

Majgull Axelsson

Ta, którą nigdy nie byłam

Tytuł oryginału Den jag aldrig var

Copyright © 2004 Majgull Axelsson och Bokförlaget Prisma, Stockholm

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2008 Copyright © for the Polish

translation by Wydawnictwo W.A.B., 2008 Wydanie I Warszawa 2008

przypuszczenie

Białe slipy w doskonałym gatunku.

Pielęgniarka, która go znalazła, nie mogła się powstrzymać, musiała ich dotknąć. Przesunęła ręką

po materiale, palec dotknął metki Björn Borg underwear. Nic jej to nie powiedziało. Nigdy nie

słyszała o kimś takim jak Björn Borg.

Poranek był zimny, przez chwilę zastanawiała się, czy zdjąć płaszcz i przykryć tego człowieka, ale

zaraz wyobraziła sobie, że kiedy przyjedzie karetka, zrobi się tu zbiegowisko i ktoś - pewnie jakaś

Rosjanka - złapie płaszcz, twierdząc, że należy do niej. Nie stać jej na stratę płaszcza. Zdjęła swój

kraciasty szalik i położyła tamtemu na piersi. Wiedziała, że nie może go nim owinąć, nie wolno go

ruszać z miejsca. Najmniejsze poruszenie mogłoby raz na zawsze uczynić z niego kalekę. Jeśli już nim

nie był.

Przesunęła dłonią po jego ramieniu. Bardzo owłosione. Przystojny mężczyzna, od razu widać, chociaż mięśnie ma tak zwiotczałe, że sprawiają wrażenie, jakby miały się odkleić od kości. Bardzo

blady, ale półprzymknięte oczy są ciemne. Może jest przytomny.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła. - Zobacz pan. Proszę tylko poczekać.

Jakiś hałas. Spojrzała w górę budynku. Na wietrze trzaskało otwarte okno.

wspomnienie

Trzeciej nocy zaczęłam śnić.

Chociaż wcale nie spałam. Siedziałam z otwartymi oczami na krześle dla odwiedzających przy

łóżku Sverkera i nagle zobaczyłam siebie samą pod latarnią w przyszpitalnym parku. Postawiłam

kołnierz kożuska i schowałam brodę w białym futrze. Strasznie zimno. Mój oddech zamarźnie,

pomyślałam, może zawisnie w powietrzu jak kłaczek waty cukrowej. W tej samej chwili zobaczyłam tę

drugą kobietę. Biegła przez trawnik ubrana w zwiewną, letnią sukienkę - białą w zielone groszki -

obcasy jej sandałów na rzemyki wywiercały kwadratowe dziurki w śniegu. W pierwszej chwili jej nie

poznałam, nie myślałam o niej przez wiele lat, istniała na marginesie mojej świadomości, dobrze

znana i oczywista niczym blizny po małych rankach dzieciństwa i podobnie jak one niewarta uwagi.

Musi marznąć, pomyślałam, otulając się jeszcze szczelniej kołnierzem, nie ma nawet pończoch. W tej

samej chwili stanęła przede mną, spojrzaliśmy na siebie.

- Marie - zapytałam - to naprawdę ty

Wykrzywiła się.

- Mary - powiedziała - czy to naprawdę ja

- MaryMarie - zapytał stłumiony głos - nie położysz się

Przy moim krześle przykucnęła pielęgniarka, delikatnie gładziła mnie po ramieniu. Młoda blondynka w niebiesko-białym stroju. Świeża jak jabłuszko. Przez chwilę jej się przyglądałam, potem

przesunęłam czubkiem języka po zębach. Pokrywała je warstwa czegoś dziwnego. Kiedy ostatnio je

myłam Nie mogłam sobie przypomnieć. Kiedyś.

Pielęgniarka miała na piersi małą tabliczkę z imieniem. Jennifer. Cześć, Jennifer, pomyślałam.

Podobałabyś się Sverkerowi. Szkoda, że nie może cię poznać. A właściwie to bardzo dobrze.

Niesamowite szczęście zarówno dla ciebie, jak i dla mnie.

Jennifer przekrzywiła głowę, usiłując się uśmiechnąć.

- Potrzebujesz snu, MaryMarie. Nic się nie polepszy od tego, że i ty zachorujesz.

Oklepane zdanie, które - jak większość zdań tego typu - zawierało prawdę. Nic by się nie polepszyło, gdybym i ja zachorowała. Z drugiej strony, nic by się też nie pogorszyło. Na jedno

wychodzi.

Kilka sekund czekała na odpowiedź, a kiedy ta nie nadeszła, zaczęła mnie namawiać bardziej zdecydowanie.

- Słuchaj - powiedziała. - Mamy wystarczająco dużo pacjentów na tym oddziale, nie potrzebujemy

więcej... Teraz wstaniesz, a ja zaprowadzę cię do łóżka.

Wzięła mnie pod ramię i postawiła na nogi. Gwałtowna zmiana pozycji sprawiła, że zakręciło mi

się w głowie, ale nie stawiałam oporu. Przez kilka chwil stałam bez ruchu z zamkniętymi oczami i

czekałam, aż podłoga przestanie wirować, potem wyslizgnęłam się pielęgniarce. Nie potrzebowałam

pomocy. Mogłam iść sama. Dodatkowe łóżko było zresztą blisko, wystarczyło kilka kroków, żeby do

niego dojść.

Kiedy się położyłam, poczułam zmęczenie w całym ciele. Bolały mnie plecy. Kark też był obolały.

Mimo to wiedziałam, że nie zasnę. Kiedy Jennifer nakrywała mnie żółtą pikowaną kołdrą, schwyciłam

jej fartuch. Tyle że straciłam zdolność mówienia, w ciągu ostatniej doby byłam w stanie

wypowiedzieć zaledwie jedno słowo, a to nie starczyło, by wytłumaczyć, że chcę coś na sen. Na

przykład pigułkę. Albo strzał prosto w czoło. Nie mogłam powstrzymać tylko tego jedyne słowa,

wytaczało się z moich ust jak małe jajeczko. Bez udziału woli.

- Albatros

W oczach Jennifer mignął strach, ale szybko go odpędziła. Nie ma się czego bać. Jako świeżo upieczona dyplomowana pielęgniarka wiedziała, jak radzić sobie zarówno z wariatami, jak i z ludźmi

w stanie szoku. Nie zdążyła jeszcze zdecydować, do jakiej kategorii mnie zaliczyć, ale nie miało to aż

takiego znaczenia, sposób traktowania był i tak jednakowy. Życzliwie, lecz zdecydowanie. I oczywiście

spokojnie. Tylko niewzruszony spokój.

- Już dobrze - powiedziała.

Nie rozumiała. Przede mną kolejna bezsenna noc. Westchnęłam.

- Westchnij, serce moje, ale nie pęknij - wyrecytowała Jennifer. - Ten, kogo kochasz, jest obojętny.

Zamrugałam. Co

Można to było lepiej sformułować, ale i tak wystarczyło. Do Jennifer dotarło, co powiedziała.

Przysłoniła usta dłonią i wytrzeszczyła oczy.

- Przepraszam - dodała po chwili - bardzo mi przykro. Jakoś mi się wyrwało. Moja babcia zawsze

mówiła ten wierszyk, kiedy ktoś westchnął... Nie miałam nic złego na myśli.

Człowiek peszy się tak tylko wtedy, gdy zorientuje się, że niechcący powiedział prawdę. Ten, kogo

kochasz, jest obojętny. Jakbym nie wiedziała. Jakbym nie wiedziała tego od zawsze.

Pokręciłam

głową, żeby ją uspokoić. Nic się nie stało.

Wychodząc, zgasiła lampkę przy moim łóżku. Zdziwiłam się. Jak zorientuje się w tych wszystkich

przewodach i aparatach, jeśli w pokoju będzie ciemno Z drugiej strony, nie była to kompletna ciemność, później to zauważyłam. Latarnie na zewnątrz przekształciły okno w szary prostokąt pośrodku ciemności. Obok łóżka Sverkera, ponad przyrządami i panelami kontrolnymi, unosiła się

jasna smuga. Czerwone i zielone światełka. I jeszcze mały zielony punkcik, kołyszący się rytmicznie na

czarnym monitorze. Uderzenia jego serca.

On żyje, wyszeptał głos wewnątrz mnie. Jeszcze

żyje.

Niemo przytaknęłam ciemności. Miała rację. Jeszcze żył.

możliwe noty (I)

Pilne

Ambasada otrzymała dziś informację od władz pańruskich w sprawie obywatela szwedzkiego,

Sverkera Sundina, który znajduje się w szpitalu we Vladi- sta. Lekarze podają, że obywatel Sundin ma

skręcony kark po upadku z dużej wysokości. Jest nieprzytomny. Przyjęto go do szpitala w nocy z

czwartku na piątek, ale ambasada została o tym powiadomiona dopiero w poniedziałek przed

południem. Stało się to po tym, jak Sundin został zidentyfikowany przez swoich towarzyszy podróży

(Andersa Simonssona i Niclasa Rundberga), którzy wcześniej zgłosili jego zaginięcie.

Wyżej wymienieni podają, że Sverker Sundin jest szefem sztokholmskiej agencji reklamowej Ad

Aspera. Jego najbliższą krewną jest żona Mary Sundin (Uwaga! Simonsson i Rundberg nazywają ją

MaryMarie, ale wydaje się, że jest to przezwisko, a nie prawdziwe imię), redaktor naczelna dziennika

„Aftonbladet, zamieszkała na ulicy Treriksvagen 87 w Bromma. UWAGA! Jak najszybsze poinformowanie żony o wypadku stanowi kwestię najwyższej wagi. Stan Sundina jest krytyczny.

Sprawy ubezpieczeniowe powinny być niezwłocznie omówione z żoną. Lekarze pałuscy twierdzą

wprawdzie, że przewiezienie pacjenta do kraju w najbliższych dniach jest wykluczone, ale sprawa

powinna mimo to zostać omówiona z SOS International w Kopenhadze.

Fax do Wydziału Konsularnego Ambasady Szwedzkiej we Vladivostoku, 30 listopada 1997

Albatrosy Diomedidae - rodzina ptaków oceanicznych, obejmuje 14 gatunków zamieszkujących

wszystkie oceany południowe, północny Pacyfik aż do wysp Galapagos oraz Hawaje i Japonię;

przemierzając się, docierają także do Morza Północnego i Skagerraku. U największych okazów

rozpiętość skrzydeł wynosi ponad 3 metry. Albatrosy do perfekcji doprowadziły technikę lotu,

wykorzystując różnice w prędkości wiatru, tuż nad powierzchnią morza lub na większej wysokości

(...).

Encyklopedia Narodowa

SZTOKHOLM (depesza TT). Szwed z ciężkimi obrażeniami ciała został znaleziony nocą z czwartku

na piątek we Vladista. Policja podejrzewa, że spadł albo został wyrzucony z okna kilkupiętrowego

budynku. Niektóre symptomy wskazują na to, że przed upadkiem mężczyzna został pobity.

Znaleziony był ponadto mocno przemarznięty - miał na sobie jedynie bieliznę.

Szweda znalazła idąca do pracy pielęgniarka, która dopilnowała, żeby został przewieziony do szpitala. Lekarze twierdzą, że jego stan jest krytyczny.

Mężczyzna razem z dwoma kolegami przebywał w podróży służbowej we Vladista. Wszyscy trzej

mieszkali w hotelu w innej części miasta. Koledzy twierdzą, że nie wiedzą, jak mężczyzna znalazł się

na miejscu wypadku. W czwartek koledzy mężczyzny powrócili do Szwecji.

„Dagens Nyheter, 1 grudnia 1997

Zagadkowy zgon w szpitalu Karolińska „Dagens Nyheter, 16 grudnia 1997

Dlatego go zabiłam Spowiedź mściwej żony „Expressen, 10 stycznia 1998

Kłamaliśmy. Przecież tak naprawdę nie opłakiwaliśmy Sverkera.

Kiedy nawzajem próbowaliśmy sobie tłumaczyć, co się stało, drżały nam głosy. Nie rozumieliśmy.

To była zagadka. Bądźmy jednak ze sobą szczerzy. To nie Sverkera było nam żal. Nie jego. Płakaliśmy

nad sobą, nad samotnością, która nas czekała.

Pozostaje zatem stwierdzić, że w zasadzie nie byłam ani odrobinę zdziwiona tym, co dało początek

owemu łańcuchowi nieszczęść. Sverker zawsze miał wyraźną skłonność do dziwek. A ty...

Brudnopis listu od Sisseli Oscarsson 13 stycznia 1998 (nigdy niewysłany)

Jest już za późno, MaryMarie. Nie umiem Cię pocieszyć.

Chociaż kiedy tej nocy leżałem i myślałem o Tobie, przez chwilę wydawało mi się, że na coś wpadłem.

tomik poezji - to znaczy byłby nim, gdyby nie został odrzucony przez wszystkie wydawnictwa.

Przeczytałaś go kiedyś i myślę, że zrozumiałaś, że w jakimś sensie mówił o Tobie. Zawsze podejrzewałem, że podwójność nie tyczy się tylko Twojego imienia. Jest tak każda cząstka elementarna w kosmosie ma swoją antycząstkę. Razem tworzą parę, są identyczne, ale się nie tolerują. Jeśli zanadto zbliżą się do siebie, ulegają zagładzie i zamieniają się w światło.

Podczas narodzin wszechświata cząstki i anty- cząstki nieustannie powstawały i nieustannie ulegały unicestwieniu. To dlatego wszechświat składa się głównie ze światła. Tylko jedna miliardowa

cząstek wszechświata to zwykła materia, tworzywo, z którego ulepieni jesteśmy Ty, ja i Ziemia. Ale

gdzie jest antimateria Gdzie szukać naszego lustrzanego odbicia, tak bardzo do nas podobnego, a

zarazem tak zupełnie różnego Nie wiemy. Po prostu go nie ma. Znajduje się poza zasięgiem naszych

myśli i rozumienia. Chociaż według wszelkich szacunków gdzieś być musi.

Właśnie to mogę Ci chyba dać na pociechę, myśl, że gdzieś jest miejsce, w którym to się nie zdarzyło. Życzę Ci, żebyś czasem umiała zamknąć oczy i odpocząć, zastanawiając się nad tym.

Jednocześnie wiem, że to niemożliwe. Co się stało, już się nie odstanie, nie można unicestwić przeszłości...

Brudnopis listu od Torstena Matssona 1 lutego 1998 (nigdy niewysłany)

ciężka próba

Kiedy dotarli do ambasady, schowała się w toalecie.

Najpierw nie zapaliła nawet światła, stała tylko bez ruchu, w ciemności, z czołem przytkniętym do

kafelków. Może miała zamknięte oczy, nie wiem, wystarczy, że wokół niej panowała taka ciemność

jak wokół mnie. Ciemność uspokaja. Daje pociechę.

Pragnęła też ciszy, ale nie mogła nie słyszeć głosów innych gości. Z drugiej strony, nie miało to

większego znaczenia, ten stłumiony gwar dobrze wychowanych głosów. Mogła go znieść. Gdyby tylko

dało się przez chwilę odpocząć w ciemności, przeszłoby jej to klucie w języku i lekkie drętwienie

prawej ręki. I jeszcze ból głowy, czyhający nad prawym okiem.

Tak, były znaki ostrzegawcze, chociaż nie chciała tego uznać. Nie żeby miało to dla mnie znaczenie. Mary zawsze uwielbiała swoje iluzje, a ja najlepiej czułam się z nią właśnie wtedy, gdy je w

sobie pielęgnowała. Już parę lat temu Mary przekonała siebie samą, że jest bezpieczna, a to, co

kiedyś stało się z jej umiejętnością mówienia, już się nie zdarzy, nawet nie może się zdarzyć.

Przeszłość była czymś, co jakoś zniosła, co minęło, zostało przeżyte, odeszło. Teraz wszystko jest

inaczej. Ona jest inna. Klucie i drętwienie nie mają więc specjalnego znaczenia, a ból głowy, no tak,

może dałoby się go wytłumaczyć tym, że w czasie lotu nad Bałtykiem Hakan Bergman siedział w tym

samym samolocie co ona. Nie żeby to zauważyła, zwróciła na niego uwagę dopiero wtedy, kiedy już

wstała po wylądowaniu. Siedział w rzędzie za nią i wyglądało na to, że cierpliwie czeka na swoją kolej.

Nie śpieszył się, wyglądał na bardzo zadowolonego z sytuacji. Pani minister i jej świta mogli spokojnie

zbierać swoje papiery i teczki. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się lekko do Mary i kiwnął

jej ręką.

- Cześć, Mary - powiedział stłumionym głosem. - Jak się czujesz z powrotem tutaj

Mary udawała, że nie słyszy, odwróciła wzrok i skoncentrowała się na wkładaniu płaszcza. Czowała, że

Hakan nie spuszcza z niej wzroku.

- Do zobaczenia na konferencji - dodał. - Jestem ciekaw twojego przemówienia. Bardzo ciekaw.

Mrugam i otwieram oczy, znowu czuję się w pełni sobą. Ciemność wcale nie jest taka

nieprzenikniona, teraz to widzę. Reflektory na zewnętrznym ogrodzeniu sprawiają, że noc wydaje się

szara, tak jakby zaraz miało świtać. Jest bardzo cicho, ale jeśli człowiek uważnie się wsłucha, okazuje

się, że ciszę wypełniają dźwięki. Gumowe podeszwy szepczą coś do linoleum. Brzęczą klucze. Jakieś

głosy mruczą, kiedy Rosita już po raz trzeci tej nocy zostaje wypuszczona do toalety. Od czasu do

czasu słychać ostry, cichy dźwięk z sąsiedniej celi, w której siedzi Anastasia. Płacze czy śpiewa w

swoim języku Nie potrafię powiedzieć.

Już jutro wszystko to będzie poza moim zasięgiem. Wspomnienie, do którego nie da się dotrzeć.

Być może kiedyś nie będę nawet pewna, czy to prawda, czy naprawdę zdarzyło się tak, że ja, Marie

Sundin, córka Herberta i Renate, kiedyś żona Sverkera, poza tym redaktor naczelna i członkini Klubu

Bilardowego Przyszłość, spędziłam przeszło sześć lat w więzieniu Hinseberg. Skazana za morderstwo.

Ciągle nie mogę w to uwierzyć. To już ostatnia noc w więzieniu, a ja wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Dużo bardziej prawdopodobne byłoby, gdyby życie podążyło swoim ustalonym torem, gdybym po

okresie zagubienia i rozpacz, a następnie terapii i wielkich porządków psychicznych, zdecydowała się

na lojalne przetrwanie w małżeństwie. Być może pogrzyłabym się w pracy i moja kariera nabrałaby

przyśpieszenia, przecież już wtedy, gdy to się stało, moje nazwisko stale wymieniano w dyskusjach na

temat nowych ministrów. Owszem. I tak to się mogło potoczyć. Gdybym tamtego razu nie uniosła

ręki, gdybym nie schwyciła tamtego kabla i go nie szarpnęła, byłabym dziś kimś innym. Na przykład

kobietą, która stoi z czołem przyciśniętym do kafelków w toalecie ambasady, gdzieś w świecie, panią

minister, która wykradła sobie chwilę samotności przed wszystkimi czekającymi ją tego dnia

obowiązkami. Oczywiście każda minuta jest zaplanowana. Najpierw lunch w ambasadzie. Następnie

wyjazd na konferencję. Ceremonia otwarcia. Przemówienie pani minister. Inne przemówienia.

Wyjazd do hotelu. Zmiana ubrania. Kolacja w ratuszu w mieście, którego nazwy naprawdę przez

chwilę niepodobna sobie przypomnieć...

Myślę, że pamięć Mary naprawdę nie działa tak, jak powinna, i że budzi to jej niepokój. Sądzi, że

to jej wina, że ma związek z faktem, iż celowo usiłowała wypłenić z siebie wspomnienie tamtego dnia

przed siedmiu laty, kiedy to na progu jej gabinetu nagle stanęła Anna, ta, która całe jej życie podzieliła na Przed i Po. Wprawdzie Mary nauczyła się marszczyć twarz w wyrazie stonowanego

smutku, kiedy ktoś wspomina o tamtym dniu, ale to tylko gra, udawanie. Tak naprawdę nawet nie

słysz, co ludzie mówią, słowa tracą swoje znaczenie na długo przedtem, nim dotrą do jej
błon

bębenkowych. Tak samo zdecydowanie odpycha własne myśli. Dopiero po paru latach
zorientowała

się, że decyzja ta ma swoją cenę. Wcześniej mogła zaglądać do przeszłości, kiedy przyszła jej
na to

ochota, teraz drzwi do niej są zamknięte. Mary nie może już uczynić nudnego zebrania
bardziej

znośnym dzięki wspomnianiu Midsommar1 z Klubem Bilardowym Przyszłość, nie słyszy już
śmiechu i

głósów innych, nie przypomni sobie, jakie to uczucie, kiedy późno w nocy wtulasz policzek w
kłujący

wełniany sweter, nie wiedząc nawet, nie dbając wręcz o to, czy nosi go Magnus, Torsten, czy
Per.

Straciła zresztą nie tylko wszystkie święta Mid- sommar. Dzieciństwo, dorastanie, praca i
pierwsze

lata ze Sverkerem nie są już wspomnieniami, jedynie suchą wiedzą. Wie, że wychowywała
się w

białym domu, że matka ochrzciła ją Mary, ale ojciec nazywał Marie, i że jeszcze jako
nastolatka bawiła

się, że ma dwa życia, że istnieje jakieś drugie ja, które budzi się, kiedy ona zasypia, i zapada
w sen,

kiedy ona się budzi. Wie też, że jej matka zginęła w wypadku samochodowym, tuż po tym,
jak Mary

skończyła dwadzieścia cztery lata, a ojciec, który w tym samym wypadku uległ ciężkim
obrażeniom,

żył jeszcze cztery lata. Ale tego nie pamięta. Puste słowa. Całe jej życie zamieniło się w
słowa.

Chociaż może wszystko dąży ku lepszemu. Dziś rano obudził ją niepokój, że nie pozna Pera,
kiedy

się znów spotkają. Pomimo wysiłków nie mogła sobie przypomnieć, jak on wygląda. Pozostał
tylko

opis blondyn, niebieskie oczy. Martwiła się niepotrzebnie; kiedy jej delegacja weszła do
pokoju VIPów

na lotnisku, nie miała wątpliwości. Mężczyzna w głębi pomieszczenia, w rozpiętym palcie i z rękami założonymi na plecach to na pewno Per. Zmienił się. Nadal ma gęste włosy w kolorze zboża,

ale od ostatniego razu spuchła mu twarz i zwęziły się oczy. Dużo whisky, pomyślała. Dużo whisky i

ciągnące się po nocach rozprawy karne. Uporczywie się jej przyglądał, ale nie zrobił kroku. Miało to

swoje znaczenie, oboje o tym wiedzieli, jako ambasador powinien stać tuż przy drzwiach i powitać ją

pierwszy. Być może stanowiło to jeszcze jedną karę, dość niezręczną i spóźnioną, za to, że zobaczył,

jak razem z Torstenem pływają nago w jeziorze Haste- rumssjon podczas ostatniej nocy Midsommar z

Klubem Bilardowym Przyszłość.

- MaryMarie - powiedział, kiedy do niego podeszła.

- Per.

- Dawno się nie widzieliśmy.

- Tak.

- Gratuluję nominacji na ministra.

- Dziękuję.

- A jak tam Sverker

- Ani lepiej, ani gorzej.

- Niech to szlag.

- Tak.

- Naprawdę, niech to szlag.

- Tak.

- To jedziemy

- Tak.

Ktoś chrząka dyskretnie w korytarzu przed drzwiami toalety i Mary zaczyna się śpieszyć. Obmacuje

ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Za chwilę stoi już, mrużąc oczy oślepienie halogenową żarówką.

Albatros, przelatuje jej przez myśl, chociaż sama nie rozumie, o co jej chodzi. Rozgląda się wokół.

Stylowa mała toaleta w ambasadzie na ścianach kafelki z bordiurą kontrastują ze zgrzebną elegancją

plytek podłogowych. Ktoś - być może Anna - próbował zmiękczyć wrażenie tej surowej

nowoczesności przy umywalce rozłożono pastelowy wachlarz gościnnych ręczników, ale niewiele to

pomaga. Błada twarz w lustrze nie czyni obrazu cieplejszym. Jest zbyt niewyraźna. Rozmazuje się.

Trudno ją zobaczyć i opisać.

Mary nie wierzy już własnemu odbiciu. Czasem widuje w gazetach swoją twarz, która nie przypomina niczym tej z lustra w łazience. Twarz z gazety ma wąskie wargi i podejrzliwe spojrzenie,

podczas gdy ta z lustra uśmiecha się niemal dziewczęco, a wokół jej oczu pełno zmarszczek od

śmiechu. Mary bardzo nie lubi twarzy z gazet, tak bardzo, że poinformowała własną sekretarz prasową, że w wycinkach, które lądują na jej biurku, nie może być zdjęć jej samej. Zorientowała się,

że w ministerstwie krążą plotki na ten temat. I dobrze. Nie ma nic przeciwko temu. Byłoby gorzej,

gdyby wyszło na jaw, że przestała już czytać gazety codzienne, że nie jest nawet w stanie ich otworzyć. Prawda jest taka nie lubi patrzeć na swoje wydrukowane nazwisko. Od paru miesięcy

bazuje tylko i wyłącznie na wiadomościach radiowych. Tak dalej być nie może, zdaje sobie z tego

sprawę, ale nie wie, co poradzić.

Kolejne chrząknięcie. Mary szybkim ruchem wyjmuję z torebki szminkę, maluje górną wargę i

przyciska do dolnej, przeczesuje dłonią włosy, odkręca kran. Kiedy leci woda, Mary liczy sekundy,

tysiąc jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, na razie nie sięga po mydło. Nie musi myć rąk, ale człowiek za

drzwiami nie może tego wiedzieć, więc Mary komponuje dla niego odgłosy, które towarzyszyłyby

myciu. W ten sposób unikniemy dyskusji, myśli. Jakby za drzwiami stała Renate, gotowa do interpretowania, oceniania i krytykowania postępowania córki. Oczywiście, to nie ona. Renate od

ponad dwudziestu pięciu lat jest prochem. To Anna. Kiedy drzwi się otwierają, cofa się o krok i

rozkłada ramiona.

- MaryMarie! - woła. - Jak dobrze cię widzieć.

Kiedyś Anna była sekretarzem prasowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych i to ona powiadomiła

wszystkich, co przydarzyło się Sverkerowi. Wcześniej należała do kręgu przyjaciół i w związku z tym -

ta myśl przemyka gdzieś w tyle głowy Mary - z całą pewnością była obiektem uwodzicielskich

sztuczek Sverkera, przynajmniej przez jakiś czas. Być może Sverker odniósł nawet sukces. Nie żeby

Anna lub on kiedykolwiek zostali na czymś przyłapani, istnieją tylko poszlaki, które nie stanowią

wystarczającego dowodu. Przynajmniej nie dla Mary. Spojrzenia się nie liczą. Ani przelotna pieśczoć, kiedy mijające się w drzwiach osoby myślą, że nikt ich nie widzi. Mogła być przecież

zwykłym przyjacielskim gestem. Teoretycznie.

Anna jest nadal pulchna i tak jak kiedyś ma oczy wiewiórki, ale coś się w niej zmieniło. Nie chodzi

tylko o to, że na szyi zaczęły już odciskać swoje ślady lata, ale także o coś nowego w sposobie bycia,

coś, co ma niewiele wspólnego z Anną, którą Mary pamięta z Klubu Bilardowego Przyszłość.

Nie ma

już tamtej zdecydowanej idealistki z potarganymi włosami. Stoi przed nią wyjątkowo zadbana żona

ambasadora, z fryzurą na pazia, w marynarce z aksamitnym kołnierzem. Nareszcie okiełznana, myśli

Mary, odpychając cień tęsknoty, który przez nią przemyka. Anna była częścią jej dawnego życia, do

którego dziś tęskni.

- Och - mówi, rozkładając ramiona - Anna!

Anna nawet pachnie jak żona ambasadora,

Mary czuje ten zapach, kiedy cmokają powietrze obok swoich policzków. Słodko-kwaśny. Cofają się o

krok i przez chwilę przyglądają sobie nawzajem, potem Anna przechyliła głowę i ścisza głos, nim zada

nieuniknione pytanie

- Jak Sverker

Mary wzrusza lekko ramionami.

- Jest, jak jest.

Anna potrząsa głową.

- To takie smutne - mówi. - Takie potwornie smutne.

Oczywiście jest tak, jak mówi Anna, właśnie tak o tym trzeba mówić. Anna zawsze ma pod ręką

właściwe słowa, ma nimi wypchane policzki, zupełnie jak chomik, wystarczy lekko ruszyć językiem,

żeby owe słówka się wysypały.

Ciekawa jestem, jakiego frazesu użyłaby, gdyby mnie teraz zobaczyła Pewnie tego samego, może

wypowiedzianego ostrzejszym tonem. Takie smutne. Takie potwornie smutne. Chociaż jednocześnie,

pod powierzchnią, byłaby dość zadowolona. Anna zawsze przeliczała porażki innych kobiet z Klubu

Bilardowego Przyszłość na punkty dla siebie. Z drugiej strony, myślę, że tak naprawdę w jakimś

zakamarku duszy byłaby też zazdrosna. Zawsze zazdrościła tym, którzy kochają i nienawidzą.

Zielone cyferki na starym radiu z budzikiem przy moim łóżku drżą i zmieniają się. Już po trzeciej.

Za niecałe cztery godziny przekręci się klucz w zamku. Bardzo dużo wydarzy się rano. Powinnam

jeszcze zasnąć. Muszę spać.

Tylko że gdzieś pod moimi powiekami Mary siada przy zastawionym jedzeniem stole w ambasadzie. Oczywiście, posadzono ją po prawej stronie Pera, inaczej byłoby to zbyt wyraźne złamanie protokołu. Najpierw panuje między nimi cisza, potem Mary wciąga głęboko powietrze i

zaczyna mówić o budynku, w którym odbędzie się konferencja. Czy to prawda, że kiedyś to był

kościół

- Tak - odpowiada Per. - W czasach komunizmu przerobiono go na teatr, a teraz stał się obiektem

konferencyjnym. Najlepszym, jaki mają. Co w rzeczy samej niewiele znaczy.

- Więc ty nie jesteś nim zachwycony

Per odwraca się i udaje, że się jej przygląda, choć w gruncie rzeczy utkwiał wzrok w jej lewej skroni.

Uśmiecha się.

- Rzadko mnie coś zachwyca - mówi. - Myślałem, że o tym pamiętasz.

Mary robi zmęczoną minę. Jedna uszczypliwość przyjęta i zarejestrowana. Będzie ich więcej, zdaje

sobie z tego sprawę. Kobięcy sukces ma cenę. Sama jest do tego stopnia ukształtowana przez hierarchię dawnych lat, iż łapie się na tym, że ma ochotę przeprosić Pera Przepraszam. Naprawdę nie

chciałam zrobić większej kariery niż ty! Przez sekundę kusi ją nawet, żeby wyznać, iż każdy dzień

kończy się dla niej pragnieniem zszorowania ze swojej skóry wstydu. Powstrzymuje się od tych

zwierzeń w ostatniej chwili bez sensu, i tak nie pojąłby, o czym mówi. Nawet Torsten i Sissela,

najmądrzejsi członkowie Klubu Bilardowego Przyszłość i jedyni, z którymi miała kontakt w ostatnich

latach, nie rozumieją, o co jej chodzi, kiedy próbuje opowiadać im o wstydzie, który ją prześladowa,

odkąd została ministrem. Myślą, że ma na myśli niechęć do polityków, a to nie takie proste. Raczej

wstyd związany z całą współczesną sferą publiczną, z tym, że od każdej osoby, na którą padnie

światło reflektorów, oczekuje się, że w zamian da coś z siebie, coś prywatnego, osobistego, coś

głęboko intymnego, ze środka. To warunek, a ten, kto nie jest gotowy mu sprostać, musi pogodzić

się, że zostanie uznany za wyniosłego i pełnego pogardy. Rozwiązaniem jest, oczywiście, kłamstwo,

fraternizowanie się na niby, cicha zgoda na uproszczenie, na to, że staniesz się człowiekiem, którego

całe życie i osoba mogą zostać podsumowane w zaledwie kilku słowach. Minister do spraw pomocy

rozwojowej. Niebieskooka blondynka, bardzo obowiązkowa. Niezbyt rozrywkowa, ale - Boże mój - nie

można wymagać zbyt wiele.

Po drugiej stronie stołu cały czas słyhać głos Anny, unosi się i opada, coraz to zmieniając tonację,

podczas gdy Anna rozsypuje pośród gości swoje pytania, komplementy i komentarze.

Większość

zaproszonych stanowią kobiety, niektóre uderzająco skromnie ubrane, ich spojrzenia z niepokojem

krążą wśród stołowych kryształów i sreber.

- Organizacje pozarządowe - wyjaśnia Per i bierze do ręki szklanę z wodą. Gestem przedstawia jej

kobietę siedzącą po lewej stronie.

Mary uśmiecha się i wyciąga rękę. Kobieta ma siwe włosy i szary kostium, jej dłoń jest ciepła i

sucha. Per mówi kilka słów w obcym języku, potem znowu odwraca się do Mary.

- Ta pani jak-tam-ona-się-nazywa jest przewodniczącą Stowarzyszenia na rzecz Osób Zaginionych.

Nie zna angielskiego.

- Ale ty możesz z nią rozmawiać Znasz język

- Tylko kilka fraz grzecznościowych. Anna jest w tym dużo lepsza.

Anna, która obserwuje ich ze swojego miejsca po drugiej stronie stołu, nachyla się teraz w ich kierunku i podkreśla każde wypowiedane słowo, stukając lekko w obrus paznokciem wskazującego

palca

- Stowarzyszenie na rzecz Osób Zaginionych naprawdę robi dobrą robotę, żebyście wiedzieli.

Lepszą niż organy państwowe. Prowadzą własne dochodzenia, zajmują się dziewczynami, które

wracają z burdeli w całej Europie, załatwiają dla nich mieszkania, opiekę lekarską i pomoc psychologiczną... A mimo to nie dostają prawie żadnych środków finansowych.

Siedząca obok Anny kobieta kładzie rękę na jej ramieniu i coś mówi, Anna słucha z przechyloną

głową, a potem jeszcze raz odwraca się w kierunku Mary i szepcze teatralnie

- Wszystkie są krewnymi.

Kobieta obok niej kiwa głową, tak jakby rozumiała, co powiedziała. Ma bardzo duże oczy. Oczy

dzikiego zwierzątka w kociej twarzy.

- Co masz na myśli - pyta Mary.

Anna ścisza głos, ale każde słowo wymawia bardzo wyraźnie

- Straciły kogoś. Wszystkie.

- Yes - mówi nagle kobieta-kot. - Verloren. Wir haben alle jemand...

Jej głos zamienia się w mamrotanie, przez chwilę kobieta patrzy w stół. Kiedy znowu podnosi wzrok, patrzy prosto w oczy Mary.

- My son - mówi. - Zwolfjahre...

Anna przykrywa jej dłoń ręką. Podwójny gest, pocieszający i uciszający zarazem.

- Cztery lata temu straciła swojego synka... Miał dwanaście lat.

- Jak to straciła

- Był na dworze, bawił się... I zniknął. Po prostu go nie ma.

Kobieta-kot pochyla się do przodu. Jej brązowe oczy błyszczą.

- Wir reden nimmer - mówi. - Never. Ever.

Anna zerka szybko na Pera, a potem zniża głos

- Jej mąż nie chce o tym mówić. Zachowuje się tak, jakby chłopiec nigdy nie istniał. Nie chce wymawiać jego imienia...

Kobieta-kot kładzie obie dłonie na białym obrusie i słucha z uwagą, wygląda, jakby zamierzała

wstać, ale zatrzymuje się w pół drogi i zamiast tego przykłada prawą rękę do piersi.

- Er lebt! - mówi. - I can feel it. In here!

Jej głos przecina stłumiony gwar. Zapada cisza, wszystkie spojrzenia kierują się w jej stronę. Sama

zdaje się tego nie zauważać, siedzi bez ruchu, z błyszczącymi oczami i ręką na piersi. Mary odwraca

wzrok, nagle zawstydzona w imieniu kobiety i zawstydzona tym, że się za nią wstydzi. To nie jest

świat, w którym wolno obnażać swoje rany, to świat, w którym mówi się o swoim smutku ściszym

głosem, nie patrząc nikomu w oczy. O ile w ogóle się o nim wspomina, o ile nie pochowało się tego

smutku tak głęboko, że nie da się go już dosięgnąć.

Per zastygł w bezruchu, ale teraz unosi już kieliszek, rzucając szybkie spojrzenie w kierunku Anny.

Wszystko wskazuje na to, że tego wieczoru czeka ją sypialniana rozprawa karna. Per uzna, że wyskok

kobiety-kota to jej wina. Czy nie powinna być na tyle rozsądna, by nie sadzać tej nie zrównoważonej

osoby w pobliżu MaryMarie Nie mogła się domyślić, że doprowadzi to do jakiejś zenującej sytuacji

Wiele razy słyszałam, jak Per prowadzi sypialniane rozprawy karne. Kiedy byliśmy bardzo młodzi,

każdej nocy świętojańskiej słuchaliśmy ze Sverkerem, jak Per strofuje Annę w pokoju obok.

Najczęściej chodziło o innych mężczyzn, o to, że Torsten szepnął jej coś do ucha, a Magnus pogłaskał

ją po karku podczas tańca. Jednak czasem to Anna była niemożliwa, za dużo się śmiała, za głośno

mówiła albo siedziała cicho z nadętą miną. Tak czy owak, Per musiał się za nią wstydić. Zawsze

musiał się wstydić za Annę.

Nie żeby było to widoczne. W obecności innych ludzi Anna i Per zamieniali się w parę idealną. Już

jako dwudziestolatka Anna do perfekcji opanowała sztukę wsuwania ręki pod ramię Pera i opierania

policzka na rękawie jego marynarki w sposób, który wyrażał wzruszającą ufność, podczas gdy on,

jakby w przyływie czułego roztargnienia, przesuwał wargami po jej włosach. Zajęło mi to niemal

dziesięć lat - zrozumienie, że ci dwoje to tak naprawdę wrogowie, którzy ścierają się i pojedynkują ze

sobą, że toczy się między nimi ukryta walka - walka, w której bronią są szybkie spojrzenia, rzucone

kątem oka, i niemal niewidoczne grymasy twarzy. Kiedy Per mówi o potrzebie realistycznej

szwedzkiej polityki zagranicznej, Anna z pogardą wygina wargi - dlaczego Perowi wydaje się, że

ludziom imponuje jego tani cynizm Kiedy Anna opowiada o artykule na temat różnych zbrodni

przeciw prawom człowieka, Per unosi brwi i spogląda w bok. Politycznie poprawna bigoteria jest

czymś żenującym. Niesamowicie żenującym.

Anna rzadko odzywała się, kiedy Per wygłaszał swoje sypialniane monologi, przez cienką ścianę

docierał do nas jedynie jego głos.

- Może Anna śpi - powiedziałam kiedyś do Sverkera. - Albo czyta książkę.

Wracaliśmy właśnie do domu po obchodach Midsommar. Sverker prowadził.

Jeszcze nic się nie stało. Jeszcze nie zaczęło się dziać.

- Nie - odpowiedział Sverker. - Nie śpi. Przecież potem uprawiają seks.

Nie zwróciłam na to uwagi, ale rzeczywiście następnego roku, w Midsommar, usłyszałam, że to

prawda. Sypialniana rozprawa karna zakończyła się chwilą rytmicznego skrzypienia wysłużonych

sprężyn. Bardzo krótką chwilą. Poza tym nie było słycać nic, żadnych głosów, stłumionych krzyków

pożądania lub bólu, żadnych jęków ani stęknień. A mimo to następnego rana Anna opierała głowę na

ramieniu Pera i głaskała jego ramię w sposób, który miał chyba wyglądać na sensualne przypomnienie o rozkoszach nocy.

- Może czyta tę książkę także wtedy, kiedy uprawiają seks - zauważyłam w drodze do domu.

Sverker nie odpowiedział. Bardzo długo było między nami cicho.

Anastasia już nie śpiewa. Ani nie płacze.

Mam nadzieję, że zasnęła, wygląda na taką, której potrzeba dużo snu. Przypomina cień, mały, blade cień z ciemnymi włosami i paseczkiem piegów na nosie. Może jest po prostu niedożywiona,

przecież nic nie je. Rano wypija z nami wszystkimi filiżankę kawy, ale wzdryga się i kręci głową, kiedy

ktos wskazuje na koszyk z pieczywem albo sok. Nigdy nie przychodzi na lunch ani na kolacje; gdy tylko

dowioza jedzenie na nasz oddzial, wslizguje sie do swojej celi i zamyka za soba drzwi. Nikt nie wydaje

sie zwracac na to uwagi.

Ciekawa jestem, co ona takiego zrobila

Pewnie chodzi o jakis rodzaj przemocy. W Hin- seberg staraja sie oddzielic morderstwa i zabojstwa

od kradziezy i przestepstw narkotykowych. Na tym oddziale chyba wszystkie kogos zabily. Sporo

odsiaduje dozywocie, co oznacza, ze przemoc, ktorej sie dopuscily, byla szczegolnie okrutna.

Rozwalaly czaszki, strzelaly miedzy oczy i podrzynaly gardla z niezwykla brutalnoscia; sprawia to, ze

osoba, ktora tylko odlaczyla kabel, moze czuc sie przyjemnie praworzadna i normalna.

Trudno mi jednak wyobrazic sobie, ze Anastasia kogos zabila. Nie tylko dlatego, ze jest taka malutka i wiotka, ale takze dlatego, ze wydaje sie zalkniona. Wzrusza ramionami i patrzy w ziemie,

jej postawa zdradza, ze nawykla do bicia i ze nie nalezy do tych, ktore oddaja. Chociaz nigdy nie

wiadomo. Czasami przemoc moze zaskoczyc nawet jej sprawce. Spytaj o to mnie. Albo Mary.

Mary stoi teraz przy francuskim oknie w salonie, odwrócona plecami do innych gości.

Migrena

nasilila sie, ale Mary nie pozwoli sobie przyznac sie do tego. W ostatnich latach z premedytacja

wyparla ze swiadomosci wszystkie pomniejsze bole i symptomy, ktore martwily ja w mlodości. Byla

wtedy pelna leku osoba, ktora czesto myslala o swojej odpornosci immunologicznej i zawsze czula na

plecach oddech smierci; teraz nie dostrzega nawet, ze boli ja tak bardzo, ze musi zamknac jedno oko,

kiedy oglada widok na zewnatrz. Jesien rozgoscila sie juz na dobre, ludzie na ulicy poospiesznie ida w

mżawce, a drzewa zaczęły się żółcić.

- To bomby - mówi Anna za jej plecami.

Mary odwraca się i marszczy czoło, Anna z uśmiechem podaje jej filiżankę kawy.

- Fakt, że jest tu tyle parków - wyjaśnia - ma związek z bombardowaniami w czasie drugiej wojny

światowej. Zniszczone dzielnice przerobiono na parki... Dlatego miasto jest dziś takie zielone.

- Dobrze ci tutaj

Anna wzrusza ramionami.

- No cóż. Zawsze lepiej tu niż w Islamabadzie.

- Jak długo tu jesteście

- Rok.

- Czyli zostały wam trzy.

Anna znowu wzrusza ramionami, ale nie odpowiada. Zapada cisza, Mary podnosi do ust filiżankę i

wypija łyk.

- A jak ty się tutaj czujesz - pyta Anna półgłosem. - Właśnie w tym mieście

Mary w odpowiedzi wydaje cichy dźwięk. Wie, na co się teraz zanosi, ale nie wie, jak tego uniknąć.

- Ostatnim razem nie zdążyłaś się przecież rozejrzeć. I, szczerze mówiąc, byłoby dość dziwne,

gdybyś wybrała się na zwiedzanie, w czasie gdy Sverker...

Mary najpierw przytakuje, a potem kręci głową, ale sama nie wie, co chce przez to wyrazić.

Anna

wpatrując się w nią, wypija łyk kawy.

- Myślę, że jesteś wspaniała - mówi po chwili. - To, że z nim zostałam. Że się nim zajęłam.

Pomimo

wszystko.

Mary spuszcza wzrok, wpatruje się w filiżankę z kawą nie ma ucieczki.

- Nie wiem, czy ja dałabym sobie z tym radę - mówi Anna. - Nie sądzę. Chybabym go zabiła.

Mary rzuca jej spojrzenie, które mówi wystarczy już. Anna tego nie dostrzega, może tylko udaje,

miesza w swojej filiżance i mówi dalej

- Byłoby inaczej, gdyby chodziło o zwyczajny romans. Rozumiesz, romanse miała większość z nas i

większość też musiała je znosić. Ale to... Przepraszam, że to mówię, ale to było takie...

Tanie! Anna nie kończy zdania, ale niewypowiedziane słowo pozostaje pomiędzy nimi. Język Mary

wydaje się spuchnięty i obcy, kiedy ona unosi swoją filiżankę, jak gdyby nic jej nie dotknęło, i upija

kolejny łyk kawy. Pozostali goście zaczęli już wychodzić, tylko kilku ociąga się w oczekiwaniu na

samochody, które zawiozą ich do sali konferencyjnej.

- Ale ty mu przebaczyłaś i zostałam - ciągnie Anna, kładąc białą jak alabaster dłoń na rękawie marynarki Mary. - Uważam, że to wspaniale. Zupełnie fantastyczne.

Mary odsuwa rękę i zerka na swój zegarek.

- Och - mówi, bardzo starannie artykułując słowa spuchniętym językiem - trzeba się śpieszyć.

To dobra wymówka. Jedyna możliwa do zaakceptowania.

Może to dla tej wymówki Mary zgodziła się zostać ministrem. Ciężka praca i wypełniony kalendarz

to skuteczna ochrona przed światem. Mimo to często narzeka na swój przeładowany plan dnia i

twierdzi, że brak jej czasu dla innych ludzi. To prawda. W gruncie rzeczy gotowa jest posunąć się

bardzo daleko po to, by wykręcić się od swojego życia.

Jednak czasami nie da się uciec. Przed południem w samolocie dosięgło ją dziesięć niczym niewypełnionych minut, pierwszych od kilku tygodni. Najpierw przeglądała kalendarz i zaskoczyło ją,

że w poniedziałek ma lecieć do Burundi, potem dwa razy przeczytała swoje przemówienie, poprawiając literówki i błędy stylistyczne, aż dotarło do niej, że tak naprawdę nie ma nic do roboty.

Żadnych notatek służbowych do przeczytania. Żadnych problemów do rozwiązania. Żadnego człowieka, z którym trzeba porozmawiać. To ostatnie - w pełni celowo. Kiedy weszły na pokład,

przypilnowała, żeby Caroline, jej sekretarz prasowa i nieustająca towarzysząca, usiadła kilka rzędów

dalej. W zeszłym tygodniu podczas lotu nad Atlantykiem Caroline trochę wypila i zaczęła się jej

zwierzać. Płaczliwa opowieść o związku, który się właśnie rozpadał, wprawiła Mary w ogromną

irytację. Nie ma czasu na sentymentalne bzdury. Jest w końcu ministrem do spraw pomocy rozwojowej.

Jednak teraz siedzi w samolocie i ma przed sobą dziesięć pustych minut. Za oknem świeci słońce

nad grubą warstwą chmur, która rozciąga się nad horyzontem. Albatros, myśli, ale odpycha to słowo

tak szybko, że niemal nie zdąża go sobie uświadomić. Chciałaby zachować spokój, odpoczywać w

nadziei, że świat na dole już nie egzystuje. Nie ma już biedy ani przemocy, żadnych ciemnych zaułków, żadnych kobiet, które nauczono, by sobą pogardzały, ani mężczyzn, którzy zawsze cierpieli

na brak wszystkiego. Jedyne, co istnieje, to błękitne niebo i nieskończoność białych chmur. W następnej chwili w jej pamięci błyska jeszcze jeden obraz, widzi Sverkerą takim, jakim był przed

wózkiem inwalidzkim i respiratorem, dużego mężczyznę o ładnie zarysowanych wargach, wyraźnych

brwiach i z uśmiechem w spojrzeniu. Tęsknota uderza ją w plecy jak hak rzeźnika, w samym środku

bólu na języku czuje jego imię, leży tam jak jagoda albo inny owoc, na wpół pogryziony, pełen

słodocy. Zaskoczyło ją, kiedy usłyszała swój szept Ten, którego kochałam. Sverker.

Przewracam się na łóżku i wwiercam głowę w poduszkę. Nie chcę dzielić z Mary wszystkich jej

myśli i wspomnień. Zamykam oczy, żeby upłynęła jeszcze jedna godzina z jej życia. Wchodzi teraz do

budynku konferencyjnego, obok niej idzie Per. Nie patrzy na nią, w rzeczywistości nie spojrzął na nią

ani razu, odkąd wylądowała. Być może to także kara, może naprawdę uważa siebie za

Wicenaczelnego Kontrolera Cnoty, tego, który ma prawo, by w imieniu męża przypomnieć niewiernej

żonie o jej winie. Idą w milczeniu po marmurowej podłodze w kierunku małej grupy dygnitarzy kraju

goszczącego. Kiedy do nich podchodzą, rękę Mary chwyta przysadzisty mężczyzna w ciemnym

garniturze, mija chwila, nim ona uświadomi sobie, że to minister spraw socjalnych. Sprawia jej to

radość - nareszcie praca, nareszcie może zająć się tym, co bezpieczne i nieosobiste. Uśmiecha się i

tłumaczy, że rząd szwedzki naprawdę docenia, iż minister wystąpił z inicjatywą zwołania konferencji.

Przecież handel ludźmi, mówi, poprawiając pasek torebki, nie jest problemem jedynie dla tych krajów

i rodzin, które tracą swoje córki i synów, to co najmniej w równym stopniu problem krajów, do

których trafiają ofiary. Skoro ludzie w Europie uważają, że mają prawo kupować i sprzedawać ludzi,

znaczy to, że poszanowanie praw ludzkich jest...

Pstryk! W siatkówkę trafia biała błyskawica i Mary traci wątek, przez chwilę stoi niema i oślepią,

potem przysadzisty pan bardzo ostrożnie bierze ją za łokieć i ustawia tak, by stojąc obok siebie,

patrzyli na fotografa. Młody mężczyzna w wytartych džinsach i z włosami na jeża uśmiecha się i mówi

coś w swoim języku, zanim wystrzeli kolejną błyskawicę. Tym razem Mary jest przygotowana, ale i to

nie pomaga. Przez niemal pół minuty nie widzi nic poza białymi plamkami, które wpełzły na siatkówkę. Nieprzyjemne uczucie w żołądku przypomina o czymś, ale nie wie dokładnie o czym. Mózg

odslania przed nią jedynie fragment, pamięta, że kiedyś była już tak bezbronna i oślepią białym

światłem, ale nie przypomina sobie, kiedy i jak to się stało. Nie wie, że potem przez trzy tygodnie

mogła powiedzieć tylko jedno, jedyne słowo - kompletnie bezsensowne, które nie miało nic wspólnego z czymkolwiek w jej życiu. Albatros! Dlaczego miałyby pamiętać Lekarze powiedzieli, że

to zjawisko jednorazowe, reakcja organizmu na traumatyczne przeżycia. Tamto nie ma nic wspólnego

z jej dzisiejszym życiem. Przykre uczucie musi mieć związek z twarzą, która wypełnia nagle całe

niemal pole jej widzenia, kiedy odzyskuje wzrok. Hakan Bergman staje zawsze odrobinę za blisko

ludzi, z którymi rozmawia.

- Nie odpowiedziałś mi - mówi.

Przysadzisty minister do spraw socjalnych puszcza ramię Mary i mrużąc coś, odwraca się do innych gości. W foyer tłoczą się ich setki, ale Mary zostaje sam na sam z Hakanem Bergmanem.

Kiedyś byli kolegami. Kilka lat później została jego szefową. Teraz wpatrują się w siebie, stojąc na

posadzce z dużych marmurowych płyt.

- Słucham

Mary odchyła się trochę do tyłu, ale to nie pomaga. Bergman podąża za nią.

- Nie odpowiedziałś na moje wcześniejsze pytanie.

- Jakie pytanie

- Co to za uczucie być tu z powrotem

Mary odwraca wzrok, ale tylko na chwilę.

- Dziękuję. Dobrze.

Mężczyzna unosi brwi.

- Dobrze

- Tak.

- Czy mogę tę odpowiedź zacytować

To groźba. Bez wątplenia. Hakan Bergman upatrzył sobie blond włosy Mary Sundin, chce je ucześcić u paska razem z innymi skalpami. Podkupiła go inna popołudniówka, a Mary nie jest już

dziennikarką, więc nie może liczyć na koleżeńską lojalność innych reporterów, tę samą, która uratowała Sverkera i ją siedem lat temu. Przez sekundę ma wrażenie, że widzi rozkładówkę, którą

planuje Hakan. Czarne tytuły. Zdjęcie uliczki, na której znaleziono Sverkera. Drugie przedstawia ją

samą na mównicy. Trzecie zdeglustowanego ministra spraw socjalnych. (Tytuł Nie wiedziałem...)

Z drugiej strony, nie jest aż tak zaskoczona. Zawsze wiedziała, że ten dzień nadejdzie, chociaż

oczywiście miała nadzieję, że egzekucję poprowadzi ktoś inny niż Hakan Bergman. On też ma swoje

słabe punkty. To obłudny wegetarianin, który napycha się mięchem, gdy tylko z pola widzenia zniknie

jego żona. Ponadto prywatne finanse Hakana stanowią temat do żartów we wszystkich sztokholmskich redakcjach. Pożyczenie mu pieniędzy jest jednoznaczne z wyrzuceniem ich do jeziora.

Szkoda nawet wspominać o tamtej historii, kiedy zużył dodatek na podróże w wysokości trzydziestu

tysięcy koron, nie przywożąc do domu ani jednego kwitka. Dostał potem upomnienie na piśmie. Być

może ma nadzieję, że Mary o tym zapomniała. Nie zapomniała. Dlatego przekrzywia teraz głowę i

uśmiecha się dosyć ufnie.

- Myślisz, że postaram ci się w tym przeszkodzić

Hakan nie odpowiada, ale wyjmuje z zamszowej kurtki notatnik.

- Ciekawi mnie, co myślisz o poławiaczach.

Mary uśmiecha się jeszcze łagodniej.

- Doszło chyba do jakiegoś nieporozumienia, Hakan. To nie jest konferencja na temat pereł, tylko

na temat handlu ludźmi.

Hakan zastyga z długopisem w powietrzu, ale tylko na chwilę.

- Fajnie, że nie opuszcza cię poczucie humoru. To naprawdę sztuka, gdy się weźmie pod uwagę,

że... Miałem jednak oczywiście na myśli poławiaczy zmysłowych wrażeń, amatorów dziwek. Klientów

prostytutek, mówiąc innymi słowy.

Język w jej ustach przypomina zwierzę. Obce zwierzę. Ale Mary nie może bełkotać, musi starannie

wypowiadać każde słowo.

- Oczywiście, rozumiem, co masz na myśli, Hakan. Naturalnie. Poczekaj sekundę, to poproszę

sekretarz prasową, żeby dała ci egzemplarz mojego przemówienia...

Hakan obnaża zęby w czymś, co mogłoby być uśmiechem.

- No, wolałbym bardziej osobisty komentarz. Coś na temat twoich własnych doświadczeń. Bo domyślałam się, że w przemówieniu nie zamierzasz wspomnieć o swoim mężu...

Albatros! To słowo znowu w niej narasta; Mary musi mocno zacisnąć wargi, żeby się nie wymknęło.

- No, co na to powiesz

Kręci głową, nie ma odwagi zaufać zwierzęciu w swoich ustach.

- Nie zamierzasz - mówi Hakan Bergman. - Szkoda. Wydaje mi się, że miałyby duże znaczenie,

gdybyś była gotowa nareszcie opowiedzieć o tej sprawie. W tonie osobistym. Po ludzku.

Hakan milknie i przerzuca kartki notatnika.

- I jeszcze jedna rzecz - dodaje po chwili. - Słyszałem, że należysz do stowarzyszenia o nazwie Klub

Bilardowy Przyszłość

- Ja - pyta Mary. - Nie. Nie gram w bilard.

Sama słyszy jak to brzmi. Jakby była wstawiona. Nie głam w biłald... Hakan Bergman też to usłyszał, unosi brwi, ale nie komentuje jej bełkotu.

- Dziwne - mówi za to - słyszałem, że jesteś członkiem tego klubu.

O, Mary, Mary, Mary. Ty głupia, ty! Dlaczego skłamałaś

Dziennikarzom się nie kłamie. Szczególnie Hakanowi Bergmanowi, który uwielbia demaskować i

rzucać na kolana kłamców, obnażając światu ich szkodliwość. Nie robi tego z miłości do prawdy, po

prostu uwielbia triumfować. Mary powinna o tym wiedzieć. Przecież przez długie sześć lat była jego

redaktor naczelną.

Poza tym Klub Bilardowy Przyszłość nie jest żadną tajemnicą, nie ma powodu, by ukrywać jego

istnienie. To tylko grupa przyjaciół, wiele lat temu stworzona przez siedmioro licealistów, z których

każdy był regionalnym zwycięzcą w wielkim konkursie na wypracowanie Rządu ludu i przyszłość;

grupa, która z czasem została wzmocniona przez małżonków i małżonki. Działalność Wszystko, co

czyni życie przyjemnym. Wszystko z wyjątkiem bilardu.

Brakuje mi ich. Chciałabym, żeby wciąż mogli się spotykać, żeby Sissela nadal organizowała szampańskie sylwestry i żeby Maud co roku w Midsommar nakrywała stół obok pomostu. Chciałabym

tego, chociaż rozumiem, że ja sama już nigdy nie będę mogła uczestniczyć w ich spotkaniach. Nikt z

nich nie przyszedł na moją rozprawę, nawet Torsten i Sissela. Nikt nie odwiedził mnie w więzieniu, nie

wysłał jednej pocztówki ani kartki na święta przez wszystkie te lata. Mimo to nadal myślę o nich jak o

przyjaciołach. Moich i Mary.

Stare przyjaźnie są jak stare małżeństwa. Pomagasz drugiemu w potrzebie, choćbyście nawet przed chwilą patrzyli na siebie wilkiem i powarkiwali. Dlatego Mary zostaje uratowana przez Pera,

który cały czas stał z boku, przysłuchując się jej rozmowie z Hakanem Bergmanem. Per materializuje

się obok Mary i z ujmującym uśmiechem otacza ją ramieniem, w geście, który jest zarazem przyjacielski i pełen szacunku. Ładnie pachnie mydłem i męskością.

- Niestety - mówi. - Musimy państwu przerwać. Za dwie minuty rozpoczyna się ceremonia otwarcia.

Przez kilka sekund Mary pozwala mu się wspierać, potem prostuje plecy i powściągliwie kiwa

głową w kierunku Bergmana. Per ma rację. Pani minister nie ma czasu.

Sala konferencyjna jest ciemniejsza, niż Mary się spodziewała. Musi kilka razy zamrugać, żeby móc

dojrzeć złoto i rysunki na suficie. Staje przed drzwiami i odchyła głowę do tyłu, ale Per zaraz chwyta ją

za łokieć i popycha do przodu, nie ma czasu, muszą się śpieszyć do pierwszego rzędu. W chwili, w

której opada na swoje miejsce, przysadzisty minister spraw socjalnych wchodzi na podium i zajmuje

miejsce na mównicy. Ma miły głos, niski, ojcowski. Przez sekundę Mary ma ochotę odłożyć słuchawki

z tłumaczeniem symultanicznym i słuchać brzmienia tego głosu, ale w ostatniej chwili opamiętuje się.

Musi przecież wiedzieć, co powiedział gospodarz, kiedy przyjdzie kolej na nią.

Mary zaczyna rozumieć, że ma talent do polityki. Dziwne, ale nie da się temu zaprzeczyć.

Dostrzega otwarte kwestie i możliwości kompromisu, tam gdzie inni widzą tylko konflikty; gdy trzeba,

potrafi nieco kantować, a zarazem jest wystarczająco naiwna, by wierzyć, że każdy problem ma swoje

rozwiązanie. Poza tym dobry z niej mówca, tak dobry, że czasem pozwala się uwieść własnym

słowom. To jej najlepsze chwile.

Jedna z tych chwil zaraz nadejdzie, więc Mary lekko się uśmiecha, siedząc na swoim wyściełanym

czerwonym aksamitem krześle. Za nią siedzi jakieś sto osób na takich samych czerwonych krzesłach i

już zaraz, za krótką chwilę, będzie miała ich w garści. Będzie stała na mównicy, z wyostrzonymi

zmysłami, zarejestruje każdy oddech, każde poruszenie wśród słuchaczy, wszystko, począwszy od

lekkiego drzenia niecierpliwości, które przebiegnie przez salon, kiedy przysadzisty minister spraw

socjalnych odda jej głos, do głuchej ciszy, która zapadnie, kiedy ona już ich porwie. W teczce ma

dobre przemówienie. Nie takie, które traktuje tylko o tym, że ważne jest osiągnięcie jak największej

zgodności w kwestii dokumentu końcowego, ale takie, które sprawia, że handel ludźmi staje się

czymś żywym, prawdziwym. Opowie o Zuzanie, czternastolatce, którą sprzedano za kilka torebek

heroiny, o Annie, której wydawało się, że Piękny Ivan naprawdę ją kocha, i o Daivie, której błąd

polegał na tym, że jako autostopowiczka złapała okazję na szosie na Litwie. Wszystkie ostatecznie

wylądowały w Szwecji, na jakimś betonowym przedmieściu, zamknięte każda w swojej szarej kawalerce z wyświnionym materacem na podłodze i rolką papierowego ręcznika...

Teraz skończył mówić przysadzisty. Kolej na nią.

Zwraca się do niej Your Excellency. Nadmiar uprzejmości, ponieważ Mary nie jest żadną eksceleńcją, ale teraz to bez znaczenia, szykuje się już do wejścia w rolę bycia sobą, i każda mała

zachęta to ułatwia. Nagle nie ma śladu po migrenie, a język znowu jest jej własnością. Potrzęsa lekko

włosami i chwytą swoje notatki, potem wstaje i szybko wygładza spódnicę. Spódnica jest krótka, ale

nie przesadnie, Mary włożyła też buty na wysokim obcasie - jest do tego przyzwyczajona, zdecydowanym krokiem wspina się po schodkach na scenę, jeszcze raz się uśmiecha do przysadzistego i szybko potrząsa jego ręką, a potem staje na mównicy i zaciska dłoń na jej brzegu.

- Excellencies - mówi i spogląda na zebranych. Jej słuchacze są murem ciemnych postaci. -

Minister, ladies and gentlemen.

W tej samej chwili zapala się wielki reflektor i Mary stoi teraz sama w morzu światła. Przed oczami

wirują białe plamki, widzi je i przez chwilę nie może bronić się przed tym, czego wcześniej w ciągu

dnia nie pozwoliła sobie pamiętać. Przecież to było tutaj. To w tym kraju i w tym mieście straciła

siedem lat temu zdolność wypowiedzenia czegoś innego niż to jedno słowo. Przejściowa afazja, orzekli

lekarze po jej powrocie do domu. Stan przypominający migrenę, którego ataki wywołuje stres oraz

mocne światło. Z ciemnego korytarza weszła do czegoś, co przypominało salę operacyjną, tak, tak to

było. Białe kafle na ścianach i podłodze. Białe światło olbrzymiej lampy nad łóżkiem dla pacjentów.

Jedno jedyne słowo w krtani Albatros!

Publiczność zaczyna się wiercić. Mary bardziej to czuje, niż słyszy, dociera do niej, że stała w milczeniu o kilka sekund za długo. Zmusza się do powrotu do teraźniejszości, spogląda na swój

rękopis i czyta szeptem pierwszy wers. Zebraliśmy się tu, żeby porozmawiać o niewolnictwie naszych

czasów... Ma te słowa na końcu języka. Wciąga powietrze gotowa, żeby zacząć.

- Albatros! - mówi. - Albatros!

możliwe wiadomości (II)

DEPESZA PRASOWA Ministerstwo Spraw Zagranicznych Wydział Pomocy Rozwojowej 13 października

2004

Minister do spraw pomocy rozwojowej, Mary Sundin, otrzymała zwolnienie lekarskie na czas nieokreślony.

Podczas nieobecności pani minister jej obowiązki służbowe przejmie minister spraw zagranicznych. Wizyty, między innymi w Burundi i Tanzanii, które znajdowały się w programie

minister Sundin na najbliższe tygodnie, zostaną przełożone na później.

E-mail od Caroline Suantesson do sekretarz prasowej Leny Abrahamsson Ministerstwo Spraw Socjalnych

Czy wiesz coś na temat afazji I czy to prawda, że Mary miała ją już wcześniej Czy naprawdę można z tego wyzdrowieć Według mnie, brzmi to bardzo dziwnie, ale Hakan Bergman z „Expressen

tak twierdzi. Pracował w „Aftonbladet, kiedy Mary była naczelną, ale teraz jest we Vladista. Strasznie

męczący typ.

Jeśli chodzi o panią minister, to nie można wydobyć z niej sensownego słowa. Nie stanowi to wprawdzie wielkiej różnicy w stosunku do tego, jak jest na co dzień, ale teraz odpowiedź na wszelkie

pytania brzmi albatros. Przestałam więc już je zadawać.

Na co mi była ta cholerna praca

Pozdrowienia Caroline

Od suszy wszystkim język zwiędł,

Krtań uschła, obumarła;

Nikt mówić nie mógł, jakby ktoś

Nam sadzą zapchał gardła.

O! biada! Jakież oczy złe

Tłum majtków we mnie wbijał!

Nie krzyża znak, a martwy ptak

Na mojej zawisł szyi.

Samuel Taylor Coleridge

Rytny o sędziwym marynarzu, przełożył Stanisław Kryński, w Angielscy „Poeci Jezior - W.

Wordsworth, S.T. Coleridge, R. Southey, Wrocław 1963.

E-mail od Anny Grenberg

do Sisseli Oscarsson

13 października 2004

Droga Sisselo,

Long time no see. A w zasadzie to hear. Nie bez trudu udało mi się znaleźć Twój adres mailowy.

Dlatego mogę napisać, że MaryMarie w czasie wizyty we Vladi-sta miała nawrót afazji, która dotknęła

ją po wypadku Sverkera. Nie jest w stanie nic powiedzieć (z wyjątkiem jednego słowa, które zdaje się

oznaczać wszystko) i nie mam jasności w kwestii, jak dużo rozumie. Zatrzymała się teraz na parę dni u

nas. Jednak w piątek jedzie do domu i byłabym Ci bardzo wdzięczna, gdybyś mogła odebrać ją na

lotnisku i zawieźć do lekarza. Pamiętasz, kto się nią zajmował ostatnio Czy mogłabyś już teraz

skontaktować się z nią

Przepraszam, że zmuszona jestem Cię o to prosić, ale sama wiesz, jak wygląda sytuacja ze

Sverkerem i jak samotna jest MaryMarie. Nie ma żadnych krewnych, a wy dwie zawsze byłyście sobie

bliskie. Byłabym też ogromnie wdzięczna, gdybyś zechciała przewyciężyć swoją niechęć do Sverkera

na tyle, żeby zadzwonić do niego (albo do jego asystenta) i powiedzieć, że MaryMarie zachorowała,

ale nie ma zagrożenia dla jej życia. Niech się niepotrzebnie nie denerwuje, o to mi chodzi. Wie

przecież, że MaryMarie już to przechodziła i wyzdrowiała. Na pewno musi po prostu odpocząć - w

dzisiejszych czasach trudno jest być ministrem.

A tak przy okazji, to trochę szkoda, że straciłyśmy kontakt, miałam nadzieję, że my z Klubu

Bilardowego Przyszłość będziemy się trzymać razem przez całe życie. Poza MaryMarie jedyną osobą z

klubu, którą widywałam w ostatnich latach, jest Magnus, który odwiedził nas tu rok temu, żeby - jak

twierdził - w imię solidarności sportretować to seksualne bagno. Planował jakąś wystawę fotograficzną o prostytutce. Albo film. Per miał mu to bardzo za złe. Jak się domyślasz, on nie przepada za tym typem solidarności. Poza tym coś takiego psuje jego kontakty z rządem pańskim.

Za panem Hallinem nie tęsknimy tak bardzo, jak za wami wszystkimi. Wprawdzie rozumiem, że

MaryMarie i Torsten oboje byli wściekli na Pera w tamtą noc w Midsommar, ale nie do końca rozumiem, dlaczego tak zareagowałaś. Jakoś i Ty musisz przyznać, że to, co zrobiła Sverkerowi, było

okrutne...

Myślę jednak, że powinnyśmy pozwolić bygones be bygones i spróbować ponownie się zaprzyjaźnić. Per i ja tęsknimy za wami. Zwłaszcza ja.

Twoja przyjaciółka (mam nadzieję, że tak)

Anna

PS Słyszałam, że nie jesteś już z tym aktorem. Szkoda. Naprawdę chciałabym, żebyś nareszcie

znalazła kogoś na życie. DS

E-mail od Sisseli Oscarsson

do Anny Grenberg

13 października 2004

Droga Anno,

Dziękuję za maila. Zwłaszcza za to, co w PS. Cieszę się, że nadal masz tak dużo empatii i ciepła.

Rozmawiałam z jednym z asystentów Sverkera. Był już poinformowany, odwiedził go ktoś z MSZ.

Poza tym obiecuję, że w piątek odbiorę MaryMarie na Arlandzie, pod warunkiem że napiszesz, o

której przylatuje, i podasz numer rejsu. Zamówiłam już dla niej wizytę u jej neurologa.

Sissela

cisze

Miło jest nie móc mówić. Zostawiają człowieka w spokoju. Pozwalają mu pobyć samemu.

Odwołano rezerwację mojego pokoju hotelowego i odpoczywam w domu Anny i Pera. Pokój gościnny to marzenie rodem z Państwowej Agencji Nieruchomości. Na podłodze wełniany dywan w

przygaszonej, pastelowej tonacji. Pod ścianą złotawożółte brzożowe biurko. W oknie białe koronkowe

firanki. Na zewnątrz pilnuje mnie wielki dąb, gotów bić i dusić gałęziami, jeśli ktokolwiek nieupoważniony - na przykład Hakan Bergman - odważy się zbliżyć do rezydencji ambasadora.

W domu jest cicho, ale wiem, że nie jestem sama. Przed chwilą przysnęłam, lecz obudziły mnie

kroki Anny na schodach. Być może zeszła do salonu, żeby się zastanowić, co ze mną zrobić. Nie mogę

jechać z powrotem do Sztokholmu wcześniej niż jutro lub pojutrze. Lekarz, który mnie badał, zalecił

odpoczynek. Skąd wiedział? Nie mogłam mu przecież nic powiedzieć na temat swojego stanu, jedyne,

co z siebie wydobylam, to szwedzka nazwa ptaka z rodziny burzykowatych, a to nie na wiele się zdało.

Był to jednak mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu, może zauważył, że pacjentka gwałtownie

potrzebuje ucieczki od swojego własnego życia. Oczywiście, jeśli nie było tak, że wyczytał wszystkie

tajemnice mojego mózgu z rozedrganej partytury, którą produkował aparat EEG.

To był ten sam szpital, w którym leżał kiedyś Sverker. Przynajmniej tak mi się wydaje, chociaż

wszystko wyglądało inaczej. Teraz pod sufitem wisiały prawdziwe lampy, a nie gołe żarówki, a ściany

były świeżo pomalowane, choć nadal widać na nich wszystkie pęknięcia i nierówności. Zaskoczyły

mnie jaskrawe kolory krwistoczerwony sufit i cytrynowożółte ściany, niebiesciutkie korytarze i

wściekle zielone gabinety zabiegowe. Pokój lekarza był wnętrzem jasnoniebieskiego sześcianu.

Akwarium, pomyślałam, siedząc na fotelu dla pacjentów i mrużąc oczy od światła lampy na biurku.

Kiedy zorientowałam się, w którą stronę patrzę, zgasił ją.

Być może był jednym z tych lekarzy, którzy siedem lat temu uratowali życie Sverkera. Oczywiście,

nie mogłam go rozpoznać, bo lekarze, którzy w lśniąco białym pokoju stali wtedy wokół jego łóżka,

mieli przysłonięte twarze i ze mną nie rozmawiali. Sama też nie zwracałam na nich uwagi, wszystkie

rozmowy prowadził z nimi duński lekarz z SOS International. Byłam całkowicie skoncentrowana na

Sverkerze, na jego twarzy, która wydawała się twarzą obcego człowieka, i na rękach, które pomimo

wszystkich igieł i rurek nadal były takie znajome, takie zwyczajne. Nieświadomie uniosłam jego prawą

rękę i dotknęłam nią swoich ust, kręcone włoski na wierzchu dłoni łaskotały mi wargi, przesunęłam

językiem wzdłuż palca wskazującego. Poczułam kwaśno-słony smak. Zamknęłam oczy i zobaczyłam

ptaka, który szybuje nad szarą wodą, miał białe skrzydła. Albatros, pomyślałam po raz pierwszy,

choć sama nie rozumiałam, o co mi chodzi. Albatros, albatros, albatros!

Teraz jest mi łatwiej myśleć. Wszystkie słowa są w głowie, nie chcą tylko wydostać się na zewnątrz. Poprzednim razem w środku wirowało od myśli i wspomnień, ale gdy tylko próbowałam

połączyć je w ciąg, nadlatywał biały ptak i rozrywał je na kawałki. Może miało to związek z szokiem i z

tym, że nie mogłam spać. Teraz nie jestem już w stanie szoku, wręcz przeciwnie, od dawna nie czułam

się tak spokojna. Moje ciało pod różowym kocem jest ciepłe i miękkie, co jakiś czas zapadam w

drzemkę. Może to dzięki zastrzykowi, który dostałam w szpitalu. Coś na uspokojenie, powiedział Per,

kiedy pielęgniarka ukłuła mnie w ramię. Otworzyłam usta, żeby wyjaśnić, że nie trzeba mnie uspokajać, bo naprawdę jestem już całkowicie spokojna, ale zaraz je zamknęłam, uświadomiwszy

sobie, co powiem. Przymknęłam oczy, uśmiechnęłam się, kiedy poczułam igłę. Być może,

pomyślałam, w przyszłości będę mogła rozmawiać jedynie z ornitologami. Może już nigdy nie będę

musiała mówić z ludźmi pokroju Anny, Pera, Caroline i Hakana Bergmana, ani nawet z premierem.

Przyjemna myśl. Uspokajająca. Nie trzeba się bać tych, z którymi nie można rozmawiać.

Zawsze się bałam. Bałam się być zbyt brzydka i bałam się być zbyt piękna. Bałam się za bardzo

zbliżyć do drugiego człowieka i równie mocno obawiałam się odrzucenia. Bałam się drwin. Bałam się

oskarżeń, że się mylę, i równie mocno obawiałam się uznania mnie za arogancką, kiedy miałam rację.

Takie życie bardzo wyczerpuje. W końcu brakuje już sił, wszystkie źródła są puste i człowiek chce

tylko wydobyć się ze swojego życia. Zmienić. Stać kimś innym.

Może tak to się wszystko zaczęło, może wymyśliłam Marie po to, żeby uciec od swojego własnego

strachu. Jeśli to nie Marie wymyśliła mnie. Nie wiem, jak to się stało ani kiedy, wiem tylko, że przez

całe moje dzieciństwo Marie towarzyszyła mi jak cień. To dlatego nigdy nie było problemów z

zapędzeniem mnie do łóżka; kiedy dochodziła ósma, jeszcze jako dwunastolatka z radością pędziłam

po schodach do swojego pokoju, żeby jak najszybciej zamknąć oczy i zobaczyć, co dzieje się w jej

świecie. Z pozoru świat ten niewiele się różnił od mojego, dzieliłyśmy nie tylko ciało, ale także

rodziców, szkolnych kolegów, klasę i nauczyciela. A przecież wszystko było w nim zupełnie inne.

Dopiero kiedy skończyłam szesnaście lat i Marie oddzieliła się ode mnie albo może ze mną stopiła,

zrozumiałam, że różnica tkwiła wewnątrz nas samych.

Kiedyś, gdy byłam naprawdę mała, miałam może pięć, a może sześć lat, opowiedziałam o Marie

tacie. To musiała być wczesna wiosna, stopniał już śnieg i świeciło słońce, ale drzewa nadal nie miały

liści, a na chodnikach leżał jeszcze żwirek, którym posypywano śliskie ulice. Tata wybierał się właśnie

na Radhusgatan, miał kupić radio, jakiegoś zupełnie nowego i specjalnego typu, które można nosić ze

sobą do lasu i na plażę. Pamiętam, że byłam zdziwiona tym pomysłem, ponieważ rodzice w tamtym

okresie nigdy nie bywali w lesie ani na plaży. Mama rzadko wychodziła z domu w innych celach niż po

to, by zapelnic juz przepelnioną spizarnię, a tata pracował siedem dni w tygodniu. Nie wiem, jak to

się stało, że akurat tego popołudnia miał wolne, ani dlaczego mogłam mu towarzyszyć. Być może

tego samego dnia mamę zabrała karetka i być może atak nastąpił tak niespodziewanie, że tata nie

zdążył załatwić w urzędzie kolejnego przeniesienia do domu dziecka. Chyba że był to po prostu jeden

z tych niezwykle szczęśliwych dni w życiu nas wszystkich, jeden z tych dni, kiedy mama miała siłę

pozmywać i podlać kwiaty, a tata na te parę godzin przekazał pani Lundberg odpowiedzialność za

pranie w pralni chemicznej. Takie dni musiały się zdarzać. Tak myślę. Jestem tego niemal pewna.

Kiedy zamykam oczy, widzę, jak jego ręka zaciska się na mojej dłoni. W pamięci ręce ojca są dużo

wyraźniejsze od jego twarzy, miały czerwoną skórę i żółte paznokcie. Bardzo długo przerażały mnie,

choć nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zrobiły mi krzywdę, jednak w tym wspomnieniu, o tamtej

sekundzie czterdzieści lat temu, nie ma niczego, czego należałoby się bać. Po prostu spacer z tatą.

Idzie obok mnie kołyszącym się krokiem i opowiada o bliźniakach, którzy przyszli do pralni, dwóch

mężczyznach w jego wieku, dość młodych, dość dziwnych i raczej małomównych. Znamienne, że

zabrudzili swoje garnitury w dokładnie taki sam sposób, obydwaj miały dużą plamę z musztardy na

prawym ramieniu i coś brązowo-kleistego przy kieszonce na piersi.

- A kiedy mówili - opowiada tata - to jeden zaczynał, a drugi kończył.

Słucham, nie podnosząc wzroku, całkowicie zajęta patrzeniem na moje brązowe kozaki, trudno

jest utrzymywać takie samo tempo jak tata i nie poślizgnąć się ani nie potknąć. Lubię słuchać jego

opowieści, widzę przed sobą obu mężczyzn, dwóch identycznych, małych facecików, którzy powtarzają te same słowa i ruchy.

- Byli zupełnie identyczni - mówi tata. - Jeden człowiek. Choć było ich dwóch.

- Ja też mam bliźniaczkę - wyznaję.

Ojciec parska. Może to śmiech.

- Doprawdy

- Tak.

- A gdzie ona jest

Najpierw nie wiem, co odpowiedzieć. Gdzie ona jest, kiedy nie śpię

- Śpi.

- Śpi Ale gdzie

- W domu.

Ojciec zwalnia kroku, ale nie wypuszcza mojej dłoni i nie spogląda na mnie, stoi tylko na środku

chodnika i patrzy przed siebie.

- Uważaj - mówi później. - Niedobrze jest wyobrażać sobie różne rzeczy. Pamiętaj, że dziedziczysz

brzemię.

Rzeczywiście tak było. Miałam to w genach.

A mimo to nigdy nie brałam pod uwagę, że mogłabym być szalona. Wręcz przeciwnie, zawsze

byłam pewna, że nie mam w tym kierunku predyspozycji. Nie słyszę głosów i nie żyję w świecie

pełnym znaków i tajnych przesłań, ja tylko zamykam czasem oczy i obserwuję Marie. Moje życie, choć

przecież nie moje. Mój świat, który jest innym światem. Inna rzeczywistość, która czasem - ale tylko

czasem! - bywa żywsza i prawdziwsza niż ta, w której ja sama żyję.

Straciliśmy kontakt na wiele lat, ale teraz wystarczy, że przymknę oczy i już wsuwam się do jej

świata. Stoi teraz przed drzwiami celi z ręcznikiem przerzuconym przez ramię i kosmetyczką pod

pachą, słysząc, jak po raz ostatni przekręca się klucz w jej drzwiach. Nie otwiera od razu. Jeden raz

śpieszyło się jej tak bardzo, że przewróciła strażniczkę. Niechący, ale co z tego Nikt nie pytał jej o

intencje.

Za oknem mgła. To już październik. Rzuca okiem na półdługą kurtkę, którą kupiła przed wyjściem.

Może będzie za cienka. Może jest już niemodna, może ludzie uznają, że wygląda w niej dziwnie.

Kiedy w zeszłym roku była na warunkowym, zdała sobie sprawę, że jej gust zastygł w punkcie tuż

przed rozprawą. Od tamtego czasu zwężyły się ramiona marynarek, a bluzki szyto tak dopasowane, że

dusiła się, kiedy je mierzyła. Wróciła do więzienia z jedną parą spodni od dresu i kilkoma podkoszulkami. Tu nikt nie przejmował się ubraniami, nawet te, dla których liczył się prestiż.

Najpiękniejsze miały najwięcej brzęczących ozdób. Sama bez oporów zostawiła swoje pierścionki i

bransoletki w sejfie bankowym w Sztokholmie, który załatwił dla niej adwokat. Dziś je stamtąd

odbierze. Razem z dowodami wpłat na konto oszczędnościowe, kluczem do magazynu, w którym

przechowywane są jej meble i tym, co najważniejsze - kluczami do czerwonego domu nad jeziorem

Hasterum.

- Mój - mówi na głos do siebie - tylko mój.

Podnosi rękę do ust i wbija zęby w nadgarstek. Przyzwyczajenie z więzienia, ból jest karą i przypomnieniem o zasadach, które sama ustaliła. Nie wolno mówić do siebie na głos, bo ten, kto tak

robi, wzbudza zainteresowanie innych, a Marie miała go już nadto. Dostyc na całe życie.

To dlatego tak się pilnowała w więzieniu. Nie gadała wiele, ale mówiła cześć i dzień dobry, dziękuję i proszę bardzo wystarczająco często, by nikt nie zauważył, że naprawdę milczy. Tak samo

uważała, żeby się z nikim nie skłócić i z nikim nie zaprzyjaźnić. Każdego ranka po otwarciu celi

zmuszała się, żeby czekać chwilę, zanim wyjdzie na korytarz, stała za drzwiami, licząc sekundy, żeby

nie robić wrażenia zbyt narwanej ani zbyt obojętnej. Równowaga jest ważna. Także dzisiaj.

Na korytarzu któraś zaczyna się wydzierać akurat wtedy, gdy Marie sięga do klamki.

- Czy tak ma być - wrzeszczy. - Co Czy naprawdę tak ma być

Marie przystaje i próbuje rozpoznać głos. To musi być Git. Dobrze. Jej poranne humory powinny

wszystkich zająć na jakiś czas. Otwiera drzwi i wyslizguje się na zewnątrz. Git stoi w drzwiach swojej

celi, jest biała i wielka, a wokół jej tłustego ramienia wije się kwiecisty tatuaż. W rękach trzyma

nocnik. Jest prawie pełny.

- Całą noc czekałam - krzyczy Git. - Całą noc!

- Uspokój się już - mówi strażniczka Barbro. Ma zdecydowany głos, ale dłoń, w której trzyma klucze, lekko drży. - Spokojnie!

Marie przechodzi obok nich na palcach, z półprzymkniętymi oczami. Kiwa tylko głową na przywitanie, jakby jeszcze nie obudziła się do końca i nie rozumiała, co się dzieje. Jednak Git nie

zamierza jej przepuścić, na sekundę zapomina o nocniku i cała się rozjaśnia

- Ech, dziewczyno, ostatni dzień! Gratulacje!

I nagle Marie znajduje się tam, gdzie być nie chce. W centrum. Git i Barbro uśmiechają się, a dalej,

w drzwiach do pryszniców, przystaje Lena, analfabeta ze Skanii, która dołącza do okrzyków Git.

- Gratulacje!

Z celi obok wychodzi ofiara przemocy Rosita, anioł zemsty z Hammarkullen. Uśmiecha się swoim

przepraszającym uśmiechem.

- To przecież dziś! Gratulacje!

Dalej w korytarzu słychać inne głosy. Rosie z Malezji.

- Gratulacje!

I jeszcze ponura Agneta z Norrkóping.

- To dzisiaj Aha. Powodzenia!

Odkąd było wiadomo, że Marie jest następna w kolejce do wyjścia na wolność, wyglądało to tak

prawie co wieczór któraś zmuszała ją, żeby z nią usiąść w świetlicy z jakimś tygodnikiem lub katalogiem wysyłkowym. W co się ubierze do wyjścia W coś takiego czy może takiego Czy ktoś

będzie na nią czekał przed bramą A co zrobi potem Pojedzie na północ czy na południe, do miasta

czy na wieś Czego się napije pierwszego wieczoru, co zje, czy zamierza ufarbować włosy, zanim stąd

zniknie Pytania były opowieściami o ich własnych marzeniach. Próbowwała te kobiety zbyć, nie

mówiąc zbyt wiele. Nikt jej nie odbierze sprzed bramy, wiedziała o tym, ale mruczała coś, co dało się

zinterpretować tak, że w rzeczywistości ktoś gdzieś na nią czeka. Nie wspominała nic o pieniądzach w

banku ani o czerwonym domu, który oczekiwał na nią w Smalandii. Ani słowa o meblach w magazynie

ani o tym, że już zarezerwowała i opłaciła pokój hotelowy w Sztokholmie na jedną noc. One nie miały

nic. Żadnego mieszkania, mebli, skrytki bankowej czy konta; kiedy przyjdzie ten dzień, będą stały

przed bramą Hinseberg z jedną walizką i w ubraniu, które mają na sobie. Oczywiście z wyjątkiem

Git, która ma willę i swojego Sturego z volvo. Z niewiadomych przyczyn nie opuścił żony przez te

cztery lata, kiedy siedziała za morderstwo z premedytacją. To bardzo nietypowe. Ci mężowie, którzy

sami nie siedzieli w Kumla albo Hall, zazwyczaj żądali rozwodu, gdy tylko wyrok na żonę się uprawomocnił.

- Nie miał odwagi na nic innego - szepnęła kiedyś Agneta, co bardzo rozśmieszyło Lenę. Za to Rosie

wybałuszyła swoje migdałowe oczy i wstrzymała oddech. Nie wolno tak mówić! Przecież to jej mąż!

Marie uśmiechnęła się wtedy lekko i niżej się pochyliła nad swoją pracą. Pakowała sznurowadła.

Dobra praca, może w ogóle najlepsza. Osoba pakująca sznurowadła mogła siedzieć sama w swoim

kącie, widziała i słyszała wszystko, co działo się kawałek dalej, przy maszynach do szycia, ale nie

musiała w tym uczestniczyć. Niestety, zadowolenie na ogół nie trwało zbyt długo, bo ta, która za

często chciała pracować przy sznurowadłach, przyciągała uwagę strażniczek. Tendencja do izolowania

się nie jest dobra, ważne, żeby wszystkie więźniarki, również te, które były kiedyś redaktorkami

naczelnymi, czyli damulkami, pracowały razem z innymi. Zwłaszcza jeśli nie chciały się zniżać do tego,

by studiować lub pracować w więziennej gazecie. Czasem trzeba było usiąść przy maszynie i poćwiczyć umiejętność współżycia społecznego.

- Minister sprawiedliwości! - wydziera się Git.

Marie zatrzymuje się w pół kroku.

- Co

- Musisz załatwić nam kontakt do ministra sprawiedliwości! Powiedz mu, jak jest.

Barbro marszczy brwi.

- Daj jej spokój. Marie ma mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Git odwraca się tak gwałtownie, że zawartość nocnika grozi wylaniem.

- Dobrze o tym wiem. Tylko pamiętaj, co obiecałaś, Marie. Znajdź go! Opowiedz mu, jak jest naprawdę!

Marie uśmiecha się słabo i znowu zaczyna iść w stronę pryszniców. Obiecała Co takiego obiecała,

według Git Głos za jej plecami robi się jeszcze bardziej piskliwy.

- Powiedz mu, że nic nie wyszło z tego, co nam obiecywał, kiedy tu był! Własny prysznic i ubikacja

dla wszystkich! Powiedz mu, że w nocy dalej sikamy w nocnik, przynajmniej te, które nie chcą lizać

dupy klawiszkom... Powiedz mu, że dostałyśmy nowe drzwi do celi, tylko tyle, i że to, do cholery,

skandal, że my, dziewczyny, nie mamy tego, co faceci...

- Cicho bądź! - wrzeszczy Barbro i ku zdziwieniu wszystkich Git rzeczywiście milknie.

Pod prysznicem Marie nie śpieszy się. W celach jest strasznie gorąco, nawet jesienią i zimą. Przez

sześć lat budziła się każdego rana z cienką powłoką potu na całym ciele, glazurą zamknięcia, którą

spłukiwała chłodną wodą. Teraz z tej codziennej czynności robi małą uroczystość. Po raz ostatni w

życiu bierze prysznic w więzieniu Hinseberg.

Miesiącami przygotowywała się na tę chwilę, w kosmetyczce ma butelkę luksusowego szamponu,

który udało jej się zamówić z katalogu wysyłkowego Ellos, jeszcze nieotwarte opakowanie z żelem

pod prysznic i dezodorantem (kupiła je wiosną na przepustce), i balsam do ciała, pachnący jak marzenie. Nie otworzyła jeszcze żadnej z buteleczek, od miesięcy stały i czekały w jej celi. Jest tam też

nowa bielizna, starannie rozłożona na łóżku, oślepiająco biała, z koronkami. Oczekująca.

Od wielu lat nie przyglądała się swojemu ciału, było jak zapomniane, trochę zniszczone opakowanie. Teraz otwiera oczy i przygląda się sobie. Ręka gładzi stopy, napiętą skórę na drobnych

kostkach i tę świeżo ogoloną pomiędzy kostką a kolanem - małe blizny na niej to opowieść o dzieciństwie - dalej sunie po miękkich poduszkach ud, wzdłuż bioder, zatrzymuje się przy piersiach.

Nikt ich nie dotknął od ponad siedmiu lat. Może już nigdy się to nie stanie, może straciła zdolność

wzbudzania pożądania. Zbyt stara, myśli. Zbyt wstrętna. Raz na zawsze skazana za morderstwo.

Trze mocno szczotką lewy sutek. Boli, i właśnie o to chodzi. Należy jej się kara za to, że psuje tę

chwilę zakazanymi myślami. Ostatni prysznic powinien być rozkoszą, czekała na tę chwilę od

miesiący, całe lata. Jednak myśl nie chce jej opuścić, jest jak wołanie zza skroni, bez względu na to,

jak mocno pociera. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej.

A może jednak... Przerywa i patrzy na swoją pierś. Skóra jest czerwona od szczotki, na sutku drży

mała perelka krwi. Istnieje pewnie jakaś możliwość, musi to przyznać. Żyje przecież Torsten. Wciąż

jest. W ciągu ostatniego miesiąca kilkakrotnie słyszała jego głos. Czytał w radiu swoją najnowszą

powieść, późnym wieczorem leżała w ciemnościach celi i słyszała, jak czyta. Głos mu się prawie w

ogóle nie zmienił, nigdy nie udało mu się pozbyć do końca akcentu z rodzimego Blekinge, ale sam ton

był bardziej powściągliwy i zdystansowany niż kiedyś. Prawie lodowaty.

Często o nim myślimy, Marie i ja. Widzę, jak stoi sam w jasnej jadalni Riksdagu, ciemny, trochę

zgarbiony osiemnastolatek z grzywką na oczach. Nie wiedziałam, kim jest, tamtego razu nikt spośród

nas jeszcze się nie znał, chociaż mieliśmy tego wieczoru założyć Klub Bilardowy Przyszłość.

Pochodziliśmy z siedmiu różnych miast, z siedmiu różnych okolic i nikt nie był wcześniej w parlamencie. Dreptaliśmy wtedy w grubych zimowych butach po błyszczących parkietach, nie

wiedząc do końca, jak mamy się zachować. Mieliśmy spocone ręce i uciekaliśmy wzrokiem jedni od

drugich, marząc o piątku, kiedy już będzie po wszystkim i będziemy mogli jechać do domu. Sissela,

jedyna sztok- holmianka, uratowała nas swoim spóźnieniem. Dużo później mieliśmy zrozumieć, że

Sissela nigdy nie jest bardziej zdenerwowana niż wtedy, kiedy wydaje się na luzie, ale tamtego razu

wszyscy wierzyliśmy, że jest tak pewna siebie i nonszalancka, jak na to wygląda, kiedy nagle stanęła w

drzwiach i wykrzyknęła

- Czy to tutaj mają jeść lunch geniusze pióra

Nowy sekretarz prasowy Gusten Andersson, który został wydelegowany z Wydziału Administracyjnego Riksdagu, żeby się nami zająć, odchrząknął i potwierdził. Tak, no tak, można to

nazwać lunchem geniuszy pióra, to znaczy lunchem wicemarszałka dla siedmiu licealistów, którzy

zostali wyróżnieni w konkursie na wypracowanie Rządu ludu i przyszłość. Jego niepewny ton głosu

wystarczył, żebyśmy my poczuli się pewnie. Torsten uśmiechnął się ironicznie za jego plecami i zapalił

fajkę, Magnus odwrócił się do Sverke- ra, wymamrotał swoje imię i otrzymał w odpowiedzi jakieś

mruknięcie, podczas gdy Per kilka razy wytarł dłoń o spodnie, zanim wyciągnął rękę do dziewczyny,

która schowała się za krzesłem. Anna podała mu rękę, nie wiedząc, że luźnym uściskiem właśnie

pieczętuje swój los. Sama stanęłam obok Sisseli i miałam właśnie podać jej rękę, kiedy wkroczył

wicemarszałek.

Był siwowłosym dżentelmenem; każdemu z nas ścisnął dłoń, uśmiechając się zdawkowym uśmiechem dobrego wujka, uśmiechem, który - jak kilka lat później twierdził Magnus - rozszerzył się

o kilka centymetrów, kiedy skierował go do Anny. Uśmiechnęła się wtedy niepewnie i odwróciła

wzrok, patrzyła na jasne meble i ciężkie obrazy olejne na ścianach.

- Jak miło, jak miło - powtarzał wicemarszałek. - Siadajcie, siadajcie.

Nikt nie miał odwagi pierwszy zbliżyć się do stołu nakrytego świeżo wymaglowanym, sztywnym

obrusem i niebieską parlamentarną porcelaną. Magnus udawał, że nie słyszy, Torsten odgarnął

grzywkę z czoła, a Per założył ręce na plecach i bujał się na piętach w sposób, który mieliśmy później

rozpoznać u jego ojca biskupa.

- A cóż to - powiedział wicemarszałek - nie macie ochoty na lunch

Sissela zachichotała.

- Jesteśmy trochę onieśmieleni.

Wicemarszałek zlustrował ją wzrokiem z lekkim uśmiechem. Tusz do rzęs rozmazał się od rana,

więc teraz pod każdym okiem miała czarny półksiężyc. Do tego oczko na pończosze, które najwyraźniej było tam już od wielu dni, ponieważ w kilku miejscach stopowano je lakierem do

paznokci.

- Onieśmieleni - powtórzył wicemarszałek, wysuwając dla niej krzesło. - A dlaczegoż to mielibyście być onieśmieleni Sądziłem, że właśnie udowodniliście, że jesteście najlepsi.

Sissela zawsze twierdziła, że tamtego dnia zostaliśmy pasowani na ludzi sukcesu.

- Jedno potwierdzenie za drugim – mawiała o wiele później, kiedy już przemieniła się w wyjątkowo dobrze ubraną kustosz muzeum. - Tak to właśnie jest. Człowiekowi udaje się, jeśli ktoś

powie, że mu się uda.

Może miała rację. I może właśnie w tamtej chwili po raz pierwszy zobaczyliśmy, co możemy sobie

wzajemnie zaoferować. Byliśmy siedmiorgiem dość samotnych osiemnastolatków, dziwnych typów,

zgłodniałych podobieństwa, i właśnie pojęliśmy, że ta grupa oznacza coś nowego. Ludzi, z którymi da

się porozmawiać. Ludzi, którzy coś rozumieją. Ludzi, którzy - ależ chytrze - są w dodatku potencjalnymi chłopakami lub dziewczynami. Bardzo nam to odpowiadało, większość z nas nadal była

niewinna i zaczynało nam się śpieszyć. Oczywiście, Sissela stanowiła tu wyjątek. No i Sverker.

A mimo to za pierwszym razem nie zwróciłam uwagi na Sverkera. Podążałam spojrzeniem za Torstenem, bezwolnie, mój wzrok nie mógł się od niego oderwać. Nie chodziło o jego wygląd, o to, że

ciemne włosy i brązowe oczy tak pięknie kontrastowały z całą twarzą, ani o to, że brodę i policzki

pokrywały blizny i dołki, stanowiące dowód na niedawne zwycięstwo nad trądzikiem. Co dziwne,

dobrze z tym wyglądał, porowata skóra sprawiała, że wydawał się doroślejszy od innych. Jednak

najbardziej pociągał mnie jego wzrok, który raz za razem napotykał mój, zatrzymywał się na sekundę

czy dwie, a potem uciekał w bok.

Byłam wtedy głupią gęsią. Gąską, która naczytała się książek psychologicznych. Wmawiałam sobie,

że mam jakiś feler, że jestem osobą, która na skutek tragicznej historii swojej rodziny nigdy nie

nauczy się kochać i nigdy nie będzie kochana. Ale, myślałam, siedząc przy zastawionym stole wicemarszałka, gdyby wszystko było inaczej, chciałabym pokochać kogoś takiego jak Torsten. Za tą

myślą kryły się jeszcze dwie inne, raczej proste i banalne, których starałam się nie dopuszczać do

siebie. Po pierwsze nie jestem dość ładna. Po drugie gdyby Torsten nie uciekał wzrokiem, nie byłabym tak zainteresowana. Rzadko podobali mi się chłopcy, którzy byli zainteresowani mną. Mieli

zły gust.

Tamtego razu nie wiedziałam nic o mojej własnej pogardzie, zdusiłam tylko westchnienie, przygotowana, by umieścić Torstena na długiej liście mężczyzn, których chciałabym mieć, gdybym nie

była sobą. Spokojną melancholię nie tylko lubiłam jako stan, uważałam też, że mi z nią do twarzy.

Byłam słabą istotą, która kiedyś - pomimo tego że, jak widać, nie może być kochana - zdoła wzbudzić

zainteresowanie młodego mężczyzny samą siłą swojej melancholii. Wtedy jeszcze nie poznałam

Sverkera.

Szybko przewyciężył nieśmiałość, usiadł po lewej stronie wicemarszałka i zaczął rozmowę. Co

wicemarszałek myśli o tym, co Sverker poruszył w swoim wypracowaniu, a mianowicie że duża część

obecnych parlamentarzystów nie ma prawdziwego zawodu Czy nie można tego uznać za problem

Czy obywatele szwedzcy naprawdę chcą mieć parlament składający się z samych zawodowych

polityków Przerwał na chwilę, zatrzymując wzrok na Sisseli, tak jakby wahał się nad prawdziwością

swoich własnych słów, ale Sissela była pochłonięta bujaniem się na krześle i wyglądnaniem przez okno.

Wicemarszałek nie odpowiedział, ale na chwilę utkwiał wzrok w suficie, tak jakby zastanawiał się nad

tą kwestią, a potem lekko się uśmiechnął. Następnie podniósł się ze swoją szklanką wody w rękę

- oczywiście, młodzieży nie podawano wina - i rozpoczął krótką przemowę. Byliśmy, naturalnie,

serdecznie witani w Riksdagu. Wicemarszałek ma nadzieję, że będziemy zadowoleni z programu i że

rozumiemy, jaki to przywilej już w wieku osiemnastu lat poznać prawdziwych parlamentarzystów i

przez cały tydzień móc przyglądać się ich pracy na posiedzeniach plenarnych i w komisjach. Może

doprowadzi to wręcz do tego, że niektórzy z nas zdecydują się poświęcić życie polityce.

- Ha! - wyrzuciła z siebie Sissela i znowu bujnęła się na krześle. - Wolałabym strzelić sobie w piętę.

W odpowiedzi na to Gusten Andersson, nowy sekretarz prasowy Wydziału Administracyjnego

Riksdagu, ześlizgnął się z krzesła i zemdlony osunął na podłogę.

Nigdy nie pojęłam, co się wtedy stało z Gustenem Anderssonem, nie rozumiałam tego przez te

wszystkie lata, kiedy najpierw byłam reporterką, później komentatorką polityczną, a w końcu naczelną. W redakcji zadziorność względem władzy stanowiła cnotę, szczególnie jeśli nosiło się

spódnicę. Dlatego przyzwyczaiałam się do tego, że typki w rodzaju Hakana Bergmana - przynajmniej

do czasu, kiedy pracownicza służba zdrowia wdrożyła program ograniczania urazów poalkoholowych

- wpadały z hukiem do mojego pokoju, wrzeszcząc, że mam iść do diabła, jak i do tego, że te same osoby jakiś dzień później, mamrocząc, przyznawały, że odebrało im rozum i że, ekhm,

ekhm, może to była przesada. Jeszcze gorzej bywało, kiedy w trakcie porannych zebrań zespół

zamieniał się w rozwrzeszczany motłoch, który szykował listę podpisów pod żądaniem odwołania

mnie, ale nawet wtedy nie było nigdy tak źle, żebym nie mogła sobie z tym poradzić. Należało tylko

zachowywać spokój, także wówczas, gdy słyszałam za plecami szepty w rodzaju „Królowa Śniegu i

„Żelazna Lady. Przerażało mnie to, spędziłam wiele bezsennych nocy na zapewnianiu siebie samej,

że w gruncie rzeczy nie jest aż tak źle i że żaden z epitetów, którymi mnie obrzucano, nie jest gorszy

od tych, które mruczę pod nosem na własny temat. Polepszyło się, kiedy wróciłam po wypadku

Sverkera, wprawdzie nadal szeptano, ale już w innym tonie. Niepewnie. Ciekawsko. Z litością.

Poniżenie dało mi ochronę.

W ministerstwie z początku byłam zaskoczona pełną szacunku grzecznością, którą mnie otoczono.

Już pierwszego dnia starszy wiekiem podsekretarz stanu uklonił mi się w pas w progu mojego pokoju.

Byłam tak zdumiona, że aż się roześmiałam, życie nie przygotowało mnie na to, że ktoś kiedyś będzie

mi bił pokłony. Równie mocno zaskoczona czułam się, kiedy w oczach mojej sekretarki pojawiły się

łzy, gdy natknęła się na mnie przy ekspresie do kawy na zapleczu, w kuchence. Nie zrozumiałam, że

fakt, iż sama robię sobie kawę, zinterpretowała jako krytykę. Nie mogłam ukryć uśmiechu, widząc, jak

cały departament maszeruje korytarzem, siedmiu mężczyzn w garniturach, niby klucz odlatujących

dzikich gęsi. Podsekretarz stanu był gęsią otwierającą ów klucz, za nim dwóch radców ministerialnych, pierwszy sekretarz i trzech bardzo młodych kancelistów. Razem tworzyli perfekcyjne

V.

Sekretarz prasowy Gusten Andersson też przypominał ptaka, kiedy dawno temu leżał na parkiecie

w marszałkowskiej sali jadalnej. Ptak ze złamanym skrzydłem, gotów do wzięcia na siebie odpowiedzialności za to, za co w żaden ludzki sposób odpowiadać nie mógł, mianowicie za wyskok

Sisseli i spokój ducha wicemarszałka. W ministerstwie jest pełno takich ludzi.

- Są wytresowani na dziesiątą stronę - powiedziałam, kiedy kilka dni po otrzymaniu nominacji

jadłam lunch z Sisselą. - Nie ma sposobu na to, żeby przestali być posłuszni. A jeśli poprosisz, żeby

zrobili coś, czego nigdy wcześniej nie robiono, wpadają w popłoch i zaczynają błędzić wzrokiem.

Sprawiają wrażenie, jakby myśleli, że chcesz, żeby zwędzili coś ze spożywczego.

Sissela zatrzymała widelec kilka centymetrów od ust.

- Nie - zaprzeczyła. - Oni nie myślą w ten sposób.

- Aha - odparłam. - A w jaki

- Wierzą, że gdzieś istnieją ludzie dorośli. Prawdziwi dorośli, którzy kiedyś wszystko uporządkują.

Ci urzędnicy byli niegdyś najlepsi w swojej klasie i nie rozumieją teraz, dlaczego to nie oni zostali

ministrami i dyrektorami muzeów. Są jednak przekonani, że któregoś dnia ze swoich kryjówek wyjdą

dorośli i postawią wszystkim oceny Wtedy takie jak ty czy ja wylądują w ostatnich ławkach,
tam gdzie

nasze miejsce.

Sissela zacisnęła wargi na widelcu i uśmiechnęła się. Kartofel lekko wybrzuszył jej lewy policzek.

Nie najładniej to wyglądało, ale co tam. Reszta wydawała się przez to jeszcze ładniejsza srebrnobiała

grzywka, czerwone usta i czarny kostium. Na prawej ręce Sissela miała cztery szerokie złote pierścionki, po jednym na każdym palcu. Dawno już przestałam pytać, jak to robi, że jej dłonie zawsze

wyglądają jak prosto od manikiu- rzystki, stłumiłam westchnienie i przesunęłam ręką po włosach. Nie

zdążyłam ich umyć, bo asystent Sverke- ra przyszedł rano spóźniony i to ja musiałam wykonać jego

pracę. Wprawdzie nie powinnam tego robić - twierdziła psycholog w trakcie rehabilitacji - powinnam

być żoną Sverkera, a nie opiekunką, ale z drugiej strony, nie wiedziała nic o naszym małżeństwie i

bardzo mało o smrodzie nocnych pieluch. Odsunęłam tę myśl i nabiłam kartofel na widelec.

- Ale my też byliśmy dosyć dobre w szkole.

- Nie ze wszystkiego - uściśliła Sissela. - Jesteśmy uzdolnione wybiórczo. Dobre z czegoś i głupie jak

but z czegoś innego. Za to cholernie do przodu. Człowiek robi się taki z powodu odrzucenia.

Nic nie odpowiedziałam, zerknęłam tylko na zegarek. Sissela uniosła swój kieliszek.

- Aha - rzekła z uśmiechem. - Zaczęło ci się teraz śpieszyć

Per wrócił do domu. Był nawet w moim pokoju. Zaledwie przed minutą słyszałam, jak otworzyły

się drzwi i ktoś wszedł do środka. To musiał być on. Poznałam jego zapach, ale nie otworzyłam oczu,

nie poruszyłam się.

- Ona śpi - szepnęła z korytarza Anna. - Nie budź jej!

Per nie odpowiedział, ale drzwi do mojego pokoju cicho się zamknęły. Kilka minut później

usłyszałam głosy piętro niżej. A raczej jeden głos. Per zaczął swoją rozprawę. Nie słyszałam, co mówi,

było mi zresztą wszystko jedno. Nie obchodzą mnie przestępstwa Anny. Interesują mnie tylko moje

własne.

Marie wzięła już prysznic; zawinięta w ręcznik jak w sarong odkręca korki swoich pachnących

buteleczek, kiedy nagle słyszy krzyk z korytarza. To przeraźliwy wrzask, który w sekundę ucisza

wszystkie inne dźwięki. Przez kilka chwil jest zupełnie cicho, a potem znów krzyk

- Och nie! Nie! Nie!

Marie prostuje się i uważnie słucha. Ktoś biegnie, tupiąc, przez korytarz, jakiś przedmiot upada z

łoskotem na ziemię i w następnej sekundzie korytarz wypełnia chór głosów, głosów klawiszek i

więźniarek na przemian.

- Och nie! Co ona zrobiła O Boże, Boże święty...

Marie zamyka oczy i w myślach mnie szuka, chce wyslizgnąć się ze swojej rzeczywistości i wślizgnąć w moją, ale nie zamierzam na to pozwolić. To jej czas, a nie mój, zmuszam ją, żeby zrobiła

krok w kierunku drzwi i wyciągnęła rękę. Musi je otworzyć. Musi zobaczyć, co się stało.

Najpierw widzi tylko ścianę z kobiecych pleców, jedno plecy są w niebieskich koszulach od munduru, inne w obszernych, nocnych podkoszulkach. Kobiety stoją pochylone, wpatrując się w coś,

co leży na podłodze. Przed nimi szeroko otwarte drzwi pokoju Anastasii. Na ich szarej powierzchni

czerwienią się dwa odciski dłoni.

- Nie żyje - wrzeszczy Git. - Możecie chyba, do cholery, powiedzieć, czy nie żyje!

Marie obejmuje ramionami swoją kosmetyczkę i przyciska ją do piersi, potem małymi krokami

podchodzi do reszty kobiet i ostrożnie wsuwa się między Lenę i Rosie. Lena jest biała na twarzy i

wpatruje się w podłogę, Rosie przyciska do ust zaciśniętą kurczowo pięść. Marie bardzo powoli

opuszcza wzrok, wie, co zaraz zobaczy, i nie chce tego, a jednocześnie musi widzieć.

Krew zmienia się w łamigłówkę obrazkową, trzeba zamrużyć kilka razy, żeby zobaczyć, jak głęboko

Anastasia pocięła sobie rękę. Wydaje się, że później siły ją opuściły, bo rana na szyi jest płytka i

nierozdziawiona, to tylko cienka, czerwona kreseczka. Twarz ponad nią jest bardzo blada, otwarte

oczy wpatrują się w sufit.

- Nie żyje - znowu krzyczy Git. - Nie żyje

Ale nikt nie odpowiada.

możliwa korespondencja

SZTOKHOLM, 13 MARCA 1971

Cześć, MaryMarie,

Pomyślałam, że napiszę kilka słów, żeby dowiedzieć się, co u Ciebie. Czy po powrocie zastałaś

wszystko niezmienione Czasem ciekawi mnie, jak się żyje w miasteczku tak małym, jak Nassjón. Czy

zupełnie inaczej niż w Sztokholmie (Chociaż Ty tego nie możesz wiedzieć, bo nigdy w Sztokholmie

nie mieszkałaś.) Wyobrażam sobie, że musi być spokojnie, miło i przytulnie. Przynajmniej przez

kwadrans. Później zaczęłabym wycierać w drzwi.

Czy odzywał się do Ciebie ktoś z Klubu Bilardowego Przyszłość Sverker, na przykład Chciałabym

Cię trochę ostrzec, ale domyślam się, że to bez sensu. Miałaś zbyt wiele gwiazd w oczach, kiedy na

niego patrzyłaś... Uważaj na swoją cnotę! Ten chłopak ma uśmiech wilka!

W budzie jak zawsze. Wyróżniam się nie tylko w naukach społecznych, ale ostatnio przyniosłam

nawet do domu piątkę z fizyki. Co Ty na to Nie żeby wywołało to jakiś wielki oddźwięk i owacje, ale

przynajmniej w tym tygodniu uniknęłam przybicia mojej stopy do podłogi w kuchni (UWAGA! Żart!

Stary nie ma już ani młotka, ani gwoździ.)

Członkowie partii komunistycznej w szkole uznali, że jestem zasraną reakcjonistką i klasową zdrajczynią, ponieważ na poprzednim zebraniu powiedziałam, że robotnicy też mogą być sukinsynami. (Tyczy się to na przykład zapitych stolarzy bez młotka i gwoździ.) Na pewno wkrótce

zostanę wywalona. Przypuszczam, że mnie to nie unieszczęśliwi. Myślisz, że ten wilk Sverker mówił

serio, że na Midsommar chce nas zaprosić na swoją dachę Naprawdę byłoby super. Będziemy już

wtedy wszyscy studentami - nareszcie zacznie się życie. Co i gdzie chcesz studiować

Odezwij się - pisz tylko na mój adres. Poste restante. W idealnym domu proletariackim listy mają

zwyczaj się gubić.

Pozdrowienia

Sissela

NASSJÓ, 15 MARCA 1971

Cześć, Sisselo,

Dziękuję za list. Bardzo się z niego ucieszyłam. Dzięki.

No tak, tu wszystko prawie bez zmian. Może nie aż tak spokojnie, miło i przytulnie, jak się może

zdawać. Mama jest znowu w „sanatorium. Co znaczy, że jest w Ryhov, szpitalu psychiatrycznym w

Jónkó- ping. Tata się wstydzi. Ja jedną ręką sprzątam i gotuję, a w drugiej ściskam podręczniki. Jak

byłam mała i mama chorowała, tata zawsze mnie gdzieś wysyłał. Chciałabym, żeby istniały też domy

dziecka dla licealistek. Liczę tygodnie do matury. Najpierw będę próbowała dostać się do Wyższej

Szkoły Dziennikarstwa, w Sztokholmie lub Góteborgu, wszystko jedno, a jeśli się nie dostanę, pójdę

gdzieś na nauki polityczne. Spróbujemy złożyć papiery w te same miejsca. Wszystko jest w końcu

łatwiejsze, kiedy ma się koleżankę. Tak mi się zdaje. Nigdy nie miałam prawdziwej koleżanki, mówiąc

szczerze. Najczęściej jestem gdzieś z boku różnych grup. Myślę, że chodzi o moje imię, ludzie czują się

zmyleni, kiedy nie wiedzą, jak ktoś się nazywa. No i jeśli ma się matkę, która z kolei ma świra. A

wszyscy w Nassjó o tym wiedzą, chociaż ojciec psyka i szepcze.

Dostałam pocztówkę od Sverkera, ale poza tym - żadnych wieści od nikogo innego z Klubu

Bilardowego. (Swoją drogą, to skąd wzięłaś to z Klubem Bilardowym Przyszłość Ochrzciliśmy się tak

Nie pamiętam.) Wcale nie myślę, że Sverker to wilk. Pisał, że jego rodzice zgodzili się, żeby zaprosić

nas wszystkich na Midsommar. Oby, oby! Byłoby fajnie, prawda

Napisz niedługo!

MaryMarie

zwolnienie

- Przepraszam, że musiałaś czekać - mówi Mar- garetta, wskazując mi krzesło przy biurku.

- Nie szkodzi - odpowiadam. Nie wiem dlaczego, bo jasne, że szkodzi. Uciekł mi pociąg do

Sztokholmu i nie wiem, kiedy odchodzi następny. Margareta jest blada, kiedy sięga po segregator na

półce, trzęsie się jej ręka. W brzuchu czuję coś w rodzaju współczucia. Opuszczę to więzienie, a ona w

nim zostanie. Choćby i nawet w niebieskiej koszuli.

- Zrobił się straszny chaos - tłumaczy. - W związku z Anastasią.

- Rozumiem.

- Słyszałaś coś w nocy Z jej celi

- Śpiewała.

- Śpiewała

- Tak, tak mi się zdaje. Koło trzeciej nad ranem.

- Co takiego

- Nie wiem. Po prostu śpiewała. Albo płakała.

- Płakała

Kiwam się na krzesło. Robię to nieświadomie, ale Margareta jest bardzo czujna i uznaje, że muszę

się nudzić.

- Przepraszam - powtarza. - O wiele za długo czekałaś. Jakby coś się uparło, żeby utrudnić twoje

uwolnienie. Na oddziale wypisów nie było miejsca i...

- Nie szkodzi. Nie miałabym nic przeciw temu, żeby tu zostać.

- No tak, uznaliśmy, że masz największe predyspozycje, żeby dać sobie radę bez przejściówki

przed wyjściem. Mimo że byłaś tu tak długo.

- Dam sobie radę.

Margareta odkłada skoroszyt na biurko.

- Na pewno dasz.

Na chwilę zapada cisza, Margareta wpatruje się w skoroszyt, ja wypełniam pustkę, gładząc kurtkę,

którą trzymam na kolanach, potem wyglądam przez okno. Poranna mgła już znikła. Na chwilę zamykam oczy i widzę Mary, która leży w pokoju o ścianach pomalowanych na bardzo jasny morelowy. Śpi tak głęboko, że kiedy oddycha, prawie nie widać poruszeń klatki piersiowej. Kiedy

znowu otwieram oczy, spostrzegam, że Margareta nawet nie otworzyła swojego skoroszytu, leży

przed nią czarny i zamknięty. Nie może przestać myśleć o Anastasii.

- Miała tylko dwadzieścia jeden lat - mówi.

- Co takiego zrobiła To znaczy, żeby tu wylądować.

Margareta pociąga nosem.

- Usiłowanie zabójstwa. Ale o tym nie wolno mi właściwie mówić.

- Nikomu nie powiem.

W więzieniach szwedzkich przed wyjściem na wolność przechodzi się fazę przystosowywania do

życia na wolności w więzieniu o złagodzonego rygorze (przyp. tłum.).

Wyjmuje z kieszeni kawałek papieru toaletowego i dyskretnie wydmuchuje nos.

- Nikt na ciebie nie czeka

- Nie.

- Co zamierzasz zrobić

Wzruszam ramionami.

- Najpierw pojadę do Sztokholmu. Załatwię kilka spraw praktycznych. Potem - do mojego letniego

domu w Smalandii.

Przed oczami pojawia mi się obraz jeziora Hasterum w październiku. Bursztynowa woda.
Żółte

osiki z drżącymi liśćmi. Krzyk ptaka z ciemności lasu.

- Da się tam mieszkać o tej porze roku

- O tak. Mam kaloryfer i kominek.

- Musisz o tym porozmawiać z kuratorami w Sztokholmie.

- Już rozmawiałam. Nie ma problemu. Będę utrzymywać kontakt z nimi przez biuro w Jónkóping,

dopóki jestem w Smalandii.

Obie odwracamy od siebie wzrok, znowu robi się cicho. Myślimy o Anastasii. Spoglądam w kierunku słońca i staram się, żeby mój głos brzmiał tak obojętnie, jak to możliwe.

- Kogo próbowała zabić

Margareta znowu wyciera nos.

- Artystę. Sporo o tym pisały gazety.

- Jakoś mi to umknęło.

Margareta rzuca mi szybkie spojrzenie.

- Zrobił o niej wystawę...

- Malował ją

- Nie. Fotografował. I filmował. Film będzie jutro pokazywany w telewizji.

Nie odpowiadam, kiwam tylko głową. Margareta chce powiedzieć więcej, wyczuwam to, ale nie

jestem pewna, czy mam ochotę tego słuchać. Mimo to pytam

- Wiedziała o tym

Margareta wzdycha.

- Nie wiem. Może tak. Pewnie tak. Prawdopodobnie ktoś jej powiedział.

W głowie miga podejrzenie. Czy możliwe, że... No tak, możliwe. Bardzo możliwe.

- Jak on się nazywa

- Kto

- Ten artysta.

- Nie wiem.

- Może Hallin

- Może. Nie pamiętam.

Znowu spoglądam w stronę okna, a Margareta przez chwilę siedzi cicho.

- Zdzira - mówi po chwili.

Odwracam głowę i patrzę na nią. Utkwiła wzrok gdzieś w ścianie za mną, gapi się tam.

- Ten film - dodaje później. - I wystawa. Taki mają tytuł.

Ile razy słyszałam tę bramę zamykającą się za moimi plecami

Tysiąc razy. Dziesięć tysięcy. Ale tylko w myślach.

Teraz to się dzieje. Naprawdę.

Chociaż moje uwolnienie opóźniło się wiele godzin, i tak wydaje mi się, że wszystko poszło zbyt

szybko. Ostatnie zamknięcie w celi, kiedy wynoszono ciało Anastasii. Śniadanie, kiedy siedziałyśmy

pochylone nad filiżankami kawy i słuchałyśmy odgłosu kruszenia suchego pieczywa między twardymi

zębami naszej Git.

Jeszcze chwila oczekiwania w celi, na brzegu łóżka, ale teraz już z otwartymi drzwiami.

Wzrok

ślizgający się po dobrze znanych ścianach i pustej tablicy ogłoszeniowej. Nagłe wezwanie do gabinetu

Margarety na rozmowę przed wypisaniem. Spacer asfaltową ścieżką, na którą jeszcze kilka godzin

temu nie wolno mi było wchodzić. Ceglane ściany stróżówki. Przyjazne głosy i życzenia szczęścia.

Drzwi, które się za mną otworzyły i zamknęły. Jeszcze kilka kroków do bramy, jeszcze jeden. I już na

zewnątrz. Wolna.

Stawiam torbę podróżną na asfalcie, żeby zaciągnąć suwak w kurtce. Usiłuję coś poczuć, ale nie

potrafię. Mam w środku pustkę.

- Mary - mówię na głos, ale Mary nie odpowiada, nadal śni swój chemiczny sen w pokoju gościnnym Anny.

Przede mną duży parking, zza którego prześwituje biały barak oddziału wypisów. Na kilka chwil

mój wzrok przemienia to miejsce parking staje się placem apelowym, na którym leżą setki nieruchomych ludzi, biały barak zamienia się w równie biały autobus. To zupełnie inne uwolnienie,

wspomnienie, które nie jest nawet moje. Choć należy do mnie. Pozostało jeszcze siedem lat do

moich urodzin, ale moje życie zaczyna się właśnie w tej sekundzie. To tam stoi Herbert i ze zwieszonymi ramionami wpatruje się w ludzkie morze, próbując zrozumieć, co widzi. U jego stóp leży

wychudzona jak szkielet dziewczyna z rozdziawionymi ustami. Trup. Tylko że żywy.

Wstrzymuję oddech i obraz znika, plac apelowy zamienia się w parking, autobus w barak.

Niechcący potrząsam głową. Chcę zobaczyć więcej, dowiedzieć się, co się wtedy wydarzyło. Czy

mama chwyciła rękami jego nogi i nie chciała puścić. A może to tata pochylił się nad nią, wziął ją na

ręce i poniósł w swoich silnych ramionach do białego autobusu

Nie, to mało prawdopodobne. Z drugiej strony, jest rzeczą równie nieprawdopodobną, że naprawdę zabrał ją ze sobą do Nassjó i się z nią ożenił. Był przecież mężczyzną, któremu w życiu

zależało tylko na tym, żeby być tak zwyczajnym, jak to możliwe. Normalnym.

Przezroczytym. Jak inni.

Dlatego przeżył swoje życie w milczeniu, udając, że to, co się stało, nigdy się nie zdarzyło.

No tak. Miał wtedy rację. Dziedziczyć brzemię. Z różnych stron.

Schylając się po torbę, po raz ostatni spoglądałam na barak oddziału wypisów. Dobrze, że nie mieli

tam dla mnie miejsca, nie wytrzymałabym tych organizowanych w dobrej intencji ćwiczeń sztuki

kupowania mleka i czytania rozkładów jazdy pociągów. Tak jest lepiej w jednej chwili przymus i kraty

w oknach, w drugiej totalna wolność. Albo przynajmniej tyle wolności, na ile zechce mi pozwolić

kurator. Jak dobrze, że wciąż grzeje słońce. Na sekundę odwracam twarz w jego stronę, potem idę już

w kierunku mostu. Mostu Hinseberg. W marzeniach zatrzymywałam się zawsze pośrodku,

pochylałam nad poręczą i patrzyłam na metalicznie szarą wodę jeziora Varingen. Nie zamierzam

zamienić tych marzeń w rzeczywistość. Rozstałam się już z więzieniem, nie potrzebuję więcej pożegnań.

Torba jest ciężka. Od czasu do czasu muszę się zatrzymywać i poprawiać pasek, który wrzyna mi

się głęboko w ramię. To ostatnie osiem książek - tych, z którymi nie byłam w stanie się rozstać, gdy

rozdawałam resztę mojej biblioteczki dziewczynom z oddziału. Już kilka tygodni temu pomyślałam, że

będą ciężkie, i zastanawiałam się nad zamówieniem z jakiegoś katalogu wysyłkowego walizki na

kólkach, ale powstrzymał mnie mój własny sentymentalizm. Tę torbę kupiłam osiemnaście lat temu

w Ameryce Południowej. Przypomina mi młodą reporterkę, którą kiedyś byłam. Utknęłam wtedy w

Montevideo, pomiędzy lotami, i nie pozostało mi nic poza spacerowaniem po hotelowym ogrodzie,

wśród kwitnących hibiskusów. W sklepie przy wejściu sprzedawali tanie torby, więc kupiłam ten

wielki skórzany wór, bo zdawał się należeć do osoby, którą chciałam być. W tamtym okresie często

kupowałam rzeczy, które zdawały się należeć do kogoś, kim chciałam być. Moje szyte ręcznie

jedwabne koszule i bluzki z najmiększego kaszmiru stanowiły rodzaj przebrania. Solidna skórzana

torba z Montevideo dopełniała obrazu. Kiedy parę godzin później zobaczyłam swoje odbicie w

przyciemnionym nocą oknie na lotnisku, nie mogłam powstrzymać uśmiechu. To była przecież ona,

nie Mary, nie Marie, ale ta trzecia, ta, która istniała tylko na zewnątrz i którą chciałyśmy być obie.

Deski mostu Hinseberg drżą pod moimi stopami, wiem, że nie są z tego samego materiału, który

bujał się i jęczał pod więziennym transportem, kiedy mnie tu wieziono. Kilka lat temu rozebrano stary

drewniany most i zbudowano nowy. Bardzo dobrze. Inny most. Inna ja. Nie mam nic wspólnego z

tamtą istotą, którą przywieziono tu któregoś przedpołudnia sześć lat temu z aresztu Kronoberg, z

tamtą kobietą, która siedziała bez ruchu całą podróż, wmawiając sobie, że tak naprawdę nadal znajduje się w jednym z pokoi szpitala Karolińska. Przeszłość nie istnieje. Jedyne, co istnieje, to ja

teraz. I jeszcze zawartość skrytki bankowej oraz przechowalni mebli w Sztokholmie. Moje pieniądze.

Moje rzeczy. Tęsknię za nimi.

Pasek torby wrzyna mi się coraz głębiej w ramię, muszę stanąć i na chwilę postawić ją na ziemi.

Kiedy znowu spoglądam w górę, orientuję się, że świat wokół mnie zupełnie ucichł. Nie ma wiatru.

Nie ma ptaków. Nie słyhać nawet dalekich odgłosów szosy. Naprzeciw czeka miasteczko Fróvi.

Miejsce ofiarne Frei. W pierwszych latach ta nazwa mnie bawiła, ale dziś nie wydaje się już tak

śmieszna. Anastasia nigdy nie przejdzie przez most w stronę rzucających cień drzew na drugim

brzegu, nie zostanie nawet przewieziona samochodem policyjnym, z zaświadczeniem o zwolnieniu w

ręku. Dzisiaj złożono ofiarę.

Nagle zaczynam się bać. Jest zbyt cicho. Nienaturalnie cicho. Zza żółknącej już zieleni prześwituje

kilka białych domów. Może są puste i porzucone, może całe Fróvi opustoszało przed moim

zwolnieniem, może pozostała tu tylko jedna osoba, mały i wysuszony pracownik kolei, który siedzi na

stacji za szybą, gotów sprzedać mi bilet do Sztokholmu w jedną stronę.

Ale nie, Fróvi nie jest kompletnie opustoszała. Teraz to widzę. Pochylam się, żeby podnieść torbę,

ale zatrzymuję się w pół drogi. Ktoś stoi oparty o poręcz mostu, jakiś mężczyzna w ciemnym ubraniu i

o białej twarzy. Przez sekundę widzę twarz Sverkera, ale wystarczy mrugnięcie, żeby zniknął. Nie, to

nie Sverker. Nie mogę dostrzec twarzy mężczyzny, ale widzę, że to nie on. Jest na to zbyt drobny, zbyt

szczupły i ma zdecydowanie zbyt pochylone ramiona. Jeśli kogoś przypomina, to raczej Herberta

Anderssona z Nassjón. Niegdyś kierowcę autobusu, potem właściciela pralni chemicznej. Zmarłego

przeszło dwadzieścia lat temu. A jednak wystarczająco żywego, by mógł czekać na swoją córkę, która

właśnie opuściła więzienie.

Robię krok do przodu, żeby sprawdzić, czy zniknie, ale on wciąż stoi i czeka. Przystaję, próbując się

opanować. Nie bądź głupia, mówię do siebie. To nie on, to nie może być on. On nie żyje. A nawet

gdyby żył, to i tak by go tutaj nie było. Wyjście na spotkanie córki, którą wypuszczono z Hinseberg,

byłoby czymś zupełnie do niego niepodobnym. Herbert Andersson nie znałby już córki, która siedziała

w Hinseberg, wymazałby ją ze swojej świadomości, milczeniem usunął z pamięci. Był zwyczajnym

człowiekiem, a córki zwykłych ludzi nie lądują w więzieniu. Nie zostają też ministrami.

Nadal nie mogę pojąć, jak doszło do tego, że mężczyzna taki jak on ożenił się z więźniarką obozu

koncentracyjnego. I dlaczego się z nią nie rozwiódł, kiedy zaczęła kraść konserwy ze spożywczego,

żeby zrobić w naszej piwnicy magazyn. Lub kiedy tygodniami leżała bez ruchu na łóżku po to, by

potem z wrzaskiem biegać po domu Może dlatego, że miała wystarczająco dużo rozumu, by trzymać

swoje koszmary w czterech ścianach. Gdyby wybiegła na ulicę, zostawiłby ją. Tak myślę.

Podejrzewam. Zresztą nie wiem. Żadne z nich nigdy nie rozmawiało ze mną o Auschwitz. Miałam

czternaście lat, kiedy zrozumiałam, dlaczego moja mama zawsze nosi bluzki i sukienki z długim

rękawem. Dopiero po śmierci obojga dowiedziałam się, że tata widział Auschwitz, że był kierowcą

jednego z białych autobusów, jadących przez ogarniętą wojną Polskę. Przez kilka dni wyobrażałam go

sobie jako bohatera, potem nie mogłam dłużej odganiać wspomnienia o tym, kim był naprawdę.

Mężczyzna przy poręczy mostu robi krok naprzód. Znowu chwytam torbę, przerzucam ją przez

ramię i zaczynam iść. Krok za krokiem zbliżamy się do siebie, on szybko, a ja powoli. Twarz, która

jeszcze przed chwilą była białą plamą, nabiera kształtów, mężczyzna otrzymuje parę ciemnych oczu,

wąski nos, uśmiechnięte usta. Nie jest to Herbert Andersson. Oczywiście, że nie.

- Jedziemy gdzieś - mówi mężczyzna, kiedy jest już blisko.

Nie poznaję go, ale musi mieć coś wspólnego z więzieniem, słychać to w tonie jego głosu.

Jednocześnie pogardliwym i dodającym otuchy.

- Tak - odpowiadam zdyszana i jeszcze raz przerzucam torbę na drugie ramię.

- Aha, to powodzenia - mówi obcy i mija mnie szybkim krokiem.

Inny mężczyzna przygląda mi się, kiedy siedzę na ławce na stacji kolejowej. Na chwilę ogarnia

mnie niepokój, uciekam wzrokiem. Poznaje mnie No nie, minęło już siedem lat, odkąd byłam

tematem gazetowych nagłówek, niemożliwe, żeby kompletnie nieznajomi ludzie mnie

rozpoznawali. Może przyjaciele i starzy koledzy z pracy, ale nie nieznajomy facet. Z drugiej strony,

może to spojrzenie, które czepia się wszystkich kobiet, siedzących samotnie na stacji kolejowej w

Fróvi. Chłodny i lekko pogardliwy wzrok, który sygnalizuje, że patrzący wie dobrze, skąd wyszła osoba

obserwowana.

Uciekł mi bezpośredni pociąg do Sztokholmu. Teraz muszę się przesiąść w Órebro, ale pociąg przyjedzie dopiero za czterdzieści minut. Wstaję, zostawiam torbę bez opieki i idę do kiosku przed

stacją. Kupuję popołudniówkę i jabłko. Płacę nowiutką pięćsetką i bez słowa kręcę głową, kiedy

kobieta w kiosku pyta, czy mam drobne. Prycha lekko w odpowiedzi, niedosłyszalnie, ale bardzo

czytelnie. Hinseberg! W odpowiedzi na to w mojej głowie buja rozdwojonym języczkiem mała

jadowitość. Kobieta jest po sześćdziesiątce, ma młode ciało, ale twarz w zmarszczkach i bruzdach. Co

takiego zwykła mówić Git, kiedy ktoś sugerował, że może już czas, żeby straciła na wadze

- Ha! W życiu każdej kobiety nadchodzi taki moment, kiedy zmuszona jest wybrać swoją twarz

albo tyłek!

Git wybrała swoją gładką księżycową twarz. Kobieta w kiosku szczupły tyłek. Muszę pochylić się

nad portfelem, żeby ukryć uśmiech, kiedy kobieta wydaje mi resztę. Jednocześnie wstydzę się za

moją dziecięcą złośliwość.

E tam, i tak zostanę zaraz ukarana. Kupiłam jabłko i zamierzam je zjeść. A ja nie toleruję jabłek. Za

dwie godziny całe ciało zacznie mnie swędzieć tak paskudnie, że będę musiała zamknąć się w toalecie

i drapać szczotką do włosów. Dobrze mi tak.

Kiedy wracam na stację, mężczyzna w poczekalni odwraca się do mnie plecami i uporczywie

wpatruje się w rozkład jazdy na ścianie. Rzucam mu szybkie spojrzenie, a potem wbijam zęby
w

jabłko i otwieram gazetę. Zdążam przerzucić tylko kilka stron - nagle z gazety wpatrują się
we mnie

dwie znajome twarze, a przed oczami faluje tytuł Wybaczam jej.

Jabłko utyka w gardle, zaczynam kaszleć.

Teraz już wiem, jak on się nazywa, tamten artysta, którego usiłowała zabić Anastasia. Tak jak
mi

się wydawało.

Magnusowi Hallinowi przeredziły się nieco włosy, ale poza tym niewiele się zmienił. Nadal
ma

dziwne proporcje; trochę zbyt wąską twarz, nadmiernie szerokie usta, za długie przedramiona.
Obok

niego stoi Maud, żona Magnusa i siostra Sverkera, moja była szwagierka. Uśmiecha się do
kamery z

zaciśniętymi ustami. Poznaję miejsce, w którym się znajdują to weranda rezydencji letniej
Sundinów,

która od lat jest ich domem. Za nim rozpościera się połyskliwe i spokojne jezioro Hasterum.
Gdzieś na

drugim brzegu stoi mój dom.

Już pierwszego wieczoru podczas tygodnia w parlamencie odkryliśmy ze Sverkerem, że w
wakacje

jesteśmy sąsiadami. Trzy lata wcześniej mój tata zaczął budowę naszego letniego domu, był
to jeden

z projektów „zwykłości, w które był zaangażowany. Pod koniec lat sześćdziesiątych
zorientował się,

że zwykle rodziny nie jeżdżą już na wakacje na zachodnie wybrzeże z czteroosobowym
namiotem w

volvo. Zwykle rodziny kupują sobie dom letniskowy, najchętniej mały i czerwony, gdzieś nad
jeziorem. Zatem i my musimy mieć mały czerwony domek nad jeziorem. Fakt, że ani ja, ani
mama nie

byłyśmy tym zainteresowane, nie miał nic do rzeczy.

Problem polegał na tym, że dom stał się zdecydowanie zbyt niezwykły. Kiedy tata zabrał się już do

pracy, nie mógł przestać - to, co wyrastało pod jego rękami, nie było zwyczajnym, drewnianym

pudełkiem na plintach, jakim zadowalają się zwykli właściciele domów letniskowych.
Herbert

Andersson zbudował solidny dom na lanych fundamentach, z piwnicą, kuchnią, dwoma dużymi

pokojami na parterze, łazienką i kilkoma małymi sypialniami na piętrze oraz - w bolesnej kolizji

stylistycznej z ciemnoczerwonymi ścianami - z wielkimi dwuskrzydłowymi oknami, wychodzącymi na

jezioro. Przez trzy sezony wakacyjne z rzędu siedziałyśmy z mamą na trawie i patrzyłyśmy, jak tata

pracuje, a jeśli kiedykolwiek wstałyśmy, żeby mu pomóc, karał nas za to spojrzeniem, które sprawiało, że zamierałyśmy w pół kroku. Rzecz niedopuszczalna. Podobnie jak opuszczanie terenu

budowy na własne życzenie po to, by się przejść do lasu czy wykąpać w jeziorze. Miałyśmy gotować

obiady i kawę na spirytusowej maszynie, którą ustawił w trawie, a czasami mogłyśmy też wybrać się

na zakupy. To wszystko. Poza tym miałyśmy jedynie siedzieć cicho, przyglądać się i być pod ręką.

Jeśli o mnie chodzi, to pierwsze lato wytrzymałam tylko dlatego, że mama utknęła w swojej wiosennej depresji i całymi dniami leżała bez ruchu w trawie. W związku z tym sama musiałam

zajmować się zmywaniem, gotowaniem i sprzątaniem namiotu, który w trakcie budowy był naszym

mieszkaniem oraz - jeśli miałam szczęście i tata zadowalał się tym, że obserwują go jedynie przygasłe

oczy mamy - jeżdżeniem na rowerze prawie dziesięć kilometrów do mleczarni w Gralebo.
Rok później

mama była bardziej ożywiona, odpędzała mnie od spirytusowej kuchenki i ostro protestowała, jeśli

usiłowałam przywłaszczyć sobie przywilej kłęczenia na brzegu jeziora i szorowania serwisu kempingowego. Źle to robisz! Jak mogło ci w ogóle przyjść do głowy, że talerze będą czyste po

wypłukaniu ich w zimnej wodzie z jeziora Jesteś niezdarną, rozpieszczoną dziewczyną, która nic nie

rozumie...

Trzeciego lata wszystko się zmieniło. Któregoś dnia w czerwcu z drugiej strony jeziora przyплыł

łódką Sverker.

Zobaczyłam go, już kiedy do niej wsiadał. Nic dziwnego odkąd śnieg stopniał, co weekend siedziałam na brzegu jeziora, wpatrując się w przeciwległy brzeg i zastanawiając nad tym, dlaczego

Sverker się nie odzywa. Powoli nauczyłam się dostrzegać to, czego nie widziałam rok wcześniej. Zza

wielkich klonów przeświecał czerwony dom, większy od naszego i dużo starszy Stare gospodarstwo.

Ziemia została wydzierżawiona, teraz już o tym wiedziałam, a dom był zamieszkały jedynie latem,

kiedy właściciel fabryki tekstyliów Sundin przyjeżdżał tu ze swoją rodziną z Boras.

- Nassjó - zapytał Sverker, siadając obok mnie już pierwszego wieczoru tamtego tygodnia w parlamencie. - Powiedziałaś, że jesteś z Nassjó

Bez słowa przytaknęłam. Siedzieliśmy w hotelowym foyer i czekaliśmy na resztę naszej grupy. Tak

bardzo bałam się spóźnić na ten obiad, że przysłam o wiele za wcześnie. Sverker przyszedł zaraz po

mnie. Teraz siedział tak blisko, że czułam jego ciepło. Białe rożki kołnierzyka były jak skrzydła mowy

nad wycięciem swetra z jagnięcej wełny. Przez chwilę czekał w milczeniu na moją odpowiedź.

- Rodzice mają dom w Nassjó - powiedział potem. - To znaczy pod miastem.

Odwróciłam do niego głowę i odchrząknęłam w poszukiwaniu swojego głosu.

- Aha. A gdzie

Pogrzebał w kieszeni spodni, wyciągnął z niej fajkę, potem pogrzebał w drugiej i wyjął paczkę

tytoniu oraz pudełko zapalek.

- Nad jeziorem Hasterum. W kierunku Jónkóping.

- Nie wierzę!

Zerknął na mnie spod oka.

- Ale to prawda.

Przygryzłam wargę. Wyglupiłam się.

- Och - dodałam. - Nie to miałam na myśli. Po prostu strasznie się zdziwiłam. Bo my też mamy

domek nad jeziorem Hasterum.

Kiedy przyszli inni, nieśmiałość zniknęła. Sverker głośno opowiadał, a ja gdzieś w tyle uśmiechałam się. Słyszeliście Jesteśmy sąsiadami! Jakie jest prawdopodobieństwo, żeby letni sąsiedzi spotkali się w ten sposób To dopiero historia!

Potem pojawiła się Sissela - spóźniona piętnaście minut i z tym samym oczkiem w północzose, co

wcześniej. Foyer wypełniło się naszymi głosami i śmiechem. Sissela musiała krzyczeć, żeby w ogóle

zostać usłyszaną

- Cicho, wieśniaki. Cicho!

Wszyscy wpatrzyli się w nią, a Magnus osunął się na ziemię, udając, że mdleje. Per zaśmiał się i

wziął go pod pachy.

- Patrzcie! Znowu to zrobiła!

Anna zasłoniła usta ręką i zachichotała, Per uśmiechnął się do niej radośnie. Usłyszałam, jak mój

własny śmiech unosi się pod sufit, a potem nagle cichnie. Sissela uśmiechnęła się krzywo i czubkiem

buta wskazała nogawkę Magnusa.

- Słuchaj, chłopie! Mięczaki nie mogą chodzić wieczorami po Sztokholmie...

Magnus wstał, poprawił sweter i uśmiechnął się. Po raz pierwszy uważnie mu się przyjrzałam.

Szczególnością była nie tylko jego budowa. Dziwny był też koloryt. Miękką oliwkową skórą do jasnozielonych oczu i rudych włosów. Tak jakby został zmontowany z części pozostałych z innych

osób kogoś ciemnego, jasnego, niskiego i wysokiego. Zobaczył, że na niego patrzę, i przez chwilę

przyglądaliśmy się sobie, potem dałam spokój i odwróciłam głowę. Magnus Hallin trochę przesadnie

lubił cudze spojrzenia.

- Najpierw pizza - powiedziała Sissela. - Potem coś wymyślimy.

- Pociąg do Örebro - mówi głos w megafonie i za chwilę powtarza jeszcze raz. - Pociąg do Örebro

wjedzie na peron drugi.

To mój pociąg, czekałam na niego, przeglądając popołudniówkę, a mimo to jestem całkowicie nieprzygotowana na falę ciepła, która nagle przeze mnie przepływa. Nareszcie to czuję. Jestem

wolna. Minęło sześć długich lat, ale teraz jestem naprawdę wolna.

Wstaję i podnoszę torbę, nagle już nie tak ciężką. No nie. Jednak trochę waży. Z uniesionym ramieniem szybko wychodzę na peron, powietrze jest chłodne i lekko się nim oddycha. Tory już

śpiewają, pociąg się zbliża. Z radości mam łzy w oczach.

Kiedy wreszcie siadam w pustym przedziale, jestem zwyczajną kobietą w podróży, kobietą, która

wprawdzie przez jakiś czas była nieobecna - z powodu choroby lub kłopotów, a może dlatego, że

musiała podjąć jakąś decyzję - ale teraz jedzie do domu. Wieszam kurtkę i wpycham torbę na półkę,

potem obciążam sweter i siadam. Dopiero wtedy orientuję się, że w poczekalni zostawiłam gazety.

Krzyżuję nogi i opadam na miękkie oparcie. Bardzo dobrze. Wręcz się cieszę, że nie będę musiała

oglądać paskudnej gęby Magnusa Hallina. Nie wspominając już o Maud.

Pociąg szarpie i zaczyna się toczyć.

Nigdy wcześniej nie jadłam pizzy. We wczesnych latach siedemdziesiątych Szwecja była jeszcze

krajem barów mlecznych i dań kuchni szwedzkiej. W Nassjón nowości ograniczały się do frytek w grillbarze

u Sig-gego, ale tam nigdy nawet nie weszłam. Porządne licealistki nie chodziły do grill-baru, to

było miejsce dla chłopaków z brylantyną na włosach i dziewczyn z wylakierowanym tapirem. Ja sama

miałam długą grzywkę i fryzurę na pazia, tak jak inne dziewczyny, które w sobotnie popołudnia pijały

herbatę w cukierni Thi-mons. Ciepły zapach frytek czułam tylko wtedy, gdy przejeżdżałam na

rowerze koło baru, nie wiedziałam, jak smakują.

Pizzeria na Drottninggatan w Sztokholmie pachniała inaczej. Zatrzymaliśmy się przed kontuarem i

staliśmy tam stłoczeni, chłonąc nowość, pozwalając, by zapachy malowały w naszych głowach obrazy.

Świeżo upieczony chleb. Delikatna słoność sera, który stopił się i zastygł. Przyprawy. Ale te ceny... W

brzuchu poczułam wierzący niepokój. Czy będzie mnie na to stać Kiedy wyruszałam w drogę, tata z

wielką powagą wyciągnął z portfela pięćdziesiątkę i przykazał, żebym nie była rozrzutna. Oznaczało

to, że dziennie mogę wydać dziesięć koron. Najwyżej. Pizza kosztowała dwanaście. Chociaż, z drugiej

strony, nie musiałam dziś przecież płacić za lunch... No tak. Jeśli do picia wezmę tylko wodę, powinno

mnie być na to stać.

Zsunęliśmy dwa stoły i zmieściliśmy się przy nich wszyscy, siedząc ciasno przy sobie. Magnus

dopilnował, żeby usiąść obok Sisseli, i słał jej teraz promienne uśmiechy, nie pojmując, że to na nic.

Per z poważną miną podsunął krzesło Annie i po raz kolejny wyjechał z tekstem o reformie konstytucji. Anna usiadła, nie patrząc na niego. Torsten usadowił się na kanapie obok mnie. Z początku nie odzywał się, jakby na coś czekał, dopiero kiedy powietrze wokół nas wypełniło się

głosami, odwrócił się do mnie i rzucił mi szybkie spojrzenie.

- Przeczytałem twoje wypracowanie - powiedział. Mówił stłumionym głosem.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wypracowanie, które wysłałam na konkurs, wcale nie przypominało tego, które chciałam napisać, tego, które powiedziałoby wszystko na temat związku

przeszłości z przyszłością. Zamiast niego powstało coś o demokracji i absolutnym obowiązku pamiętania.

- Mogło być lepsze - odparłam, patrząc w obrus.

- Było wystarczająco dobre - oświadczył Torsten.

Ostrożnie odwróciłam głowę i spojrzałam na niego. Sama też przeczytałam inne wypracowania,

kiedy poszłam się przebrać na wieczór. Bardzo się od siebie różniły. Sissela napisała o pozycji kobiet w

polityce, Sverker o polityce podatkowej przyszłości, Per o reformie konstytucji (oczywiście), Magnus o

rewolucji i demokracji, a Anna o korzyściach z reform. Tylko wypracowanie Torstena było zupełnie

inne od reszty. Wykład o konieczności równowagi pomiędzy chaosem i porządkiem w społeczeństwie. Nie byłam pewna, czy go rozumiałam. Jednak sprawił, że rozumiałam coś innego.

- Będiesz pisarzem

Zanim odpowiedział, odsunął z czoła grzywkę.

- Chciałbym. Nie wiem, czy potrafię.

Uniosłam dłoń, żeby położyć ją na jego ręce, ale w ostatniej chwili powstrzymałam się i zamiast

tego schwyciłam widelec i zaczęłam nim jeździć po czerwonych kratkach obrusa.

- Potrafisz.

Torsten mnie naśladował. Jego widelec wyrył w obrusie cztery wąskie ślady, popatrzył na nie, a

potem przesunął po nich ręką, żeby zniknęły.

- Dziękuję.

Podniosłam wzrok. Po drugiej stronie stołu siedział Sverker. Zerkał na mnie z uśmiechem, w brzuchu poczułam lekki skurcz zadowolenia. Sverker chyba o tym wiedział, uśmiechnął się jeszcze

szerzej i unióś kieliszek.

- Wypijmy za Hasterum!

Podniosłam kieliszek i wypiliśmy, Sverker - piwo niskoprocentowe, a ja - wodę. W chwili kiedy

opuściłam kieliszek, zobaczyłam, że Torsten odwrócił się ode mnie i rozmawia z Perem.

Gdyby, myślę. To niebezpieczne słowo, więc szybko otwieram oczy i rozglądam się wokół.
Nic nie

widać, tylko iglasty las za oknem pociągu i kilka pojedynczych brzoź z żółtymi liśćmi.

Gdyby, myślę znowu i teraz już mniej się boję. Łatwiej oswajać to słowo z otwartymi oczami.
Poza

tym owa myśl nie jest mi obca, wcześniej już wiele razy przychodziła mi do głowy. Czy
Sverker w

ogóle by się mną zainteresował, gdyby nie zauważył, że Torsten i ja naśladujemy swoje gesty
Nie.

Nie zrobiłby tego. Żyliśmy razem przez prawie dwadzieścia lat. Wiem, że Sverker nie tylko
chce

zwycięzać. Sverker pragnie pokonywać.

Znowu zamykam oczy. Obowiązek pamiętania został anulowany. Mam prawo zapomnieć.

Tyle że nie zapominam. Gdzieś pod powiekami widzę zbliżającą się do mnie wiosłową łódkę.

Czekałam przez cztery miesiące i wszystko, co na razie dostałam, to pocztówka - zaproszenie
na

przyjęcie z okazji Midsommar. Teraz wszystko się zmieni. Podnoszę się znad brzegu, gdzie
siedziałam

przez całe rano, i biegnę do mojego prawie już gotowego pokoju, w którym wciąż są tylko
gołe ściany

z płyty izolacyjnej i miejsce na okno. Grzebię w swojej kosmetyczce w poszukiwaniu szczotki do

włosów i czarnego tuszu do rzęs, zerkając przy tym w kierunku szafy na ubrania. Drzwi są otwarte, ale

jedyne, co znajduje się w środku, to pognieciona bawełniana sukienka i para białych szortów. Nie

mam co na siebie włożyć - O Boże święty! - będę musiała spotkać się ze Sverkerem w obciętych

starych dżinsach i pasiastej bluzie. Może Sverker uzna mnie za tak brzydką, że zawróci.

Nie zawraca. Kiedy łódź jest już kilka metrów od brzegu, Sverker podnosi się i wchodzi do wody,

chwyta dziób łódki jedną ręką i ciągnie ją za sobą. Dopiero teraz widzę, że nie jest sam. Na samym

tylu łódki siedzi dziewczyna. Ma długie włosy w tym samym kolorze co Sverker, a jej brwi są równie

ciemne jak jego. Siostra, myślę, nim wbiegnę do wody. Sverker puszcza łódkę i rozkłada ramiona, a ja

niemal w nie wpadam.

- Przyjeżdżają - mówi. - Cała paczka przyjeżdża na Midsommar!

Za jego plecami piskliwie wrzeszczy Maud. Łódka zaczęła odpływać.

możliwy mail (I)

E-mail

od Sisseli Oscarsson

do Torstena Matssona

14 października 2004

Bracie,

Od dawna nie miałam od Ciebie wieści. Przynajmniej bezpośrednio od Ciebie - co wieczór słucham

przecież w radiu Twojej nowej powieści. To bardzo interesujące słuchać, jak czytasz, tekst nabiera

zupełnie innego wymiaru niż wtedy, kiedy czyta się go samemu. Może w ogóle przerzucę się na

sluchanie ksiazek. Problem stanowi tylko kwestia, co zrobic z rękami w czasie sluchania. Moze

powinnam zaczac haftowac. Chcialbys moze pare kapci z wyhaftowanymi tulipanami (Wychodze z

zalozenia, ze lapiesz aluzje. Jestem z niej odrobinę dumna.)

Co robiles w Midsommar Ja siedzialam na lawce w Kungstradgarden i litowalam sie nad soba. Jak

zwykle. Otrzymalam wprawdzie pisemne zaproszenie na przyjecie u Maud i Magnusa, ale mowiac

szczerze, obojga nie znosze. Nie rozumiem, jak wytrzymalam z tymi swietoszkowatymi typami przez

ponad dwadziescia piec lat. Domyslam sie - biorac pod uwage zeszloroczną debata na kolumnach

kulturalnych „Dagens Nyheter - ze i Ciebie tam nie bylo. Pozwol tylko, ze powiem, iz podobal mi sie

Twój wkład w dyskusje. W szczegolności kiedy nazwales Magnusa zadufanym narcyzem.

To zreszta wlasnie z powodu tego zadufanego narcyza pisze. Chcialam Ci tylko przypomniec, ze w

najblizszym czasie wydarza sie dwie rzeczy. Po pierwsze TV-vulgus (to znaczy TV3) pokazuje jutro film

Magnusa. Prawdopodobnie Magnus bedzie potem siedzial w studio. Z pewnoscia nastapi chwila

werbalnego gwaltu rozrywkowego w rodzaju tych nazywanych debata. Obawiam sie sklaniajacej do

wymiotow hipokryzji. Juz dzisiaj Magnus pisal w „Aftonbladet, ze przebacza tej biednej dziewczynie,

ktora dzgnela go nozem. Ani slowa o tym, co on jej zrobil. Jesli chcesz zobaczyc to gówno, proponuje,

zebys mial w zasiegu ręki torebke na rzygi. Ja bede miala dwie.

Jedyną rzeczą, o której chciałam Ci przypomnieć jest fakt, że MaryMarie wychodzi w tym miesiącu

na wolność. Nie znam dokładnej daty, wiem tylko, że odsiedziała dwie trzecie kary i jeśli dobrze się

sprawowała (a można przypuszczać, że tak, trudno mi ją sobie wyobrazić na czele więziennego

buntu), muszą ją wypuścić. Nie wiem, czy kontaktowałeś się z nią przez te ostatnie lata, ja w każdym

razie nie. Nie wiem właściwie dlaczego. Trochę mi wstyd. Jak myślisz Powinniśmy się z nią spotkać

A w ogóle to może moglibyśmy kiedyś zjeść razem obiad W jakiejś restauracji, oczywiście. Nie

musisz się obawiać powtórki tego, co stało się po rozprawie MaryMarie. Mój psychoanalityk twierdzi,

że dręczyła mnie wówczas frustracja seksualna. Mam to już za sobą. Teraz jestem tak zupełnie

niesfrustrowana, że aż głupio. Ale tęsknię za niektórymi ludźmi, którzy byli dla mnie w życiu ważni. Na

przykład za MaryMarie. I za Tobą. Proszę, odezwij się! Odpowiedz!

Sissela

możliwy mail (II)

E-mail

od Sisseli Oscarsson

do Torstena Matssona

14 października 2004

Bracie,

Mam trochę nowości, które powinny Cię zainteresować. Z naciskiem na „powinny”. Z drugiej strony, Ty też powinieneś mieć tyle rozsądku, żeby odpowiedzieć na miliony maili, które wysłałam do

Ciebie w ciągu tego roku. Na pewno ucieszysz się, że Twoje milczenie naprawdę mnie wkurzyło.

Mogę zrozumieć, że jesteś zły na sporą część Klubu Bilardowego Przyszłość, ale -
przepraszam! - co ja

Ci, do cholery, zrobiłam

Zresztą teraz wydarzyły się takie rzeczy, że niech to szlag, musisz się do mnie odezwać.

MaryMarie znowu dostała afazji. (Może już wiesz. Dziś rano pisali o tym nawet w „Dagens

Nyheter, ale w dość mało eksponowanym miejscu). W sumie to z góry można było się
domyślić, że

tak się stanie doszło przecież do tego we Wladista, na wielkiej konferencji, poświęconej
handlowi

ludźmi. Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie odmówiła tego wyjazdu, powinna była
wiedzieć, że

może w ten sposób obudzić do życia to i owo. Z drugiej strony, MaryMarie nie należy do
tych, co

odmawiają. Za wszystkimi jej poglądami, wybuchami i debatami tu i tam kryje się wszak
zaskakująca

bierność. Poza tym nie sądzę, żeby powiedziała naszemu ukochanemu premierowi całą
prawdę o

Sver- kerze. Premier wie pewnie tylko, że jej mąż jest kaleką. Może dodaje jej to w jego
oczach

dodatkowych punktów za szlachetność. Ha!

No tak. Do rzeczy.

Jak wiadomo, ambasador we Wladista jest Twoim faworytem. Jego urocza żona wysłała mi
wczoraj

maila (w załączniku). Poza zwykłym chrzaniem ma jednak rację, że MaryMarie jest
bardzo

samotną osobą. Obiecałam więc, że pomogę; kiedy MaryMarie wróci jutro do Szwecji,
zabiorę ją do

neurologa, a potem odwiozę do domu. Problem polega na tym - i to dlatego piszę do Ciebie -
że jak

podejrzewam, MaryMarie raczej nie może zostać sama w domu na weekend, a w tym czasie ja nie

mogę pomóc. Będę na dużej konferencji w Sztras- burgu, poświęconej dziedzictwu kulturowemu,

mam wygłosić jeden z najważniejszych wykładów w moim życiu. Nie mogę sobie pozwolić na

odwołanie, spaliłoby mnie to na zawsze. Wyjeżdżam w sobotę, późnym popołudniem, a wracam do

domu dopiero we wtorek, też po południu. W tym czasie musisz pomagać MaryMarie!

Po prostu nie ma nikogo innego. Ty i ja jesteśmy jej jedynymi bliskimi osobami. Na Sverkera nie

można przecież liczyć, a jego opiekunowie są do tego stopnia ograniczeni przez różne instrukcje, że

nie mogą nawet zrobić MaryMarie szklanki herbaty. (Pomyśl zresztą, co by się stało, gdyby gazety

dowiedziały się, że poprosiła ich o coś takiego. Na koszt podatników. Skandal!) Jeśli Sverker miałby

dostać wylewu z powodu Twojej bytności w jego domu, to nawet dobrze. Przynajmniej według mnie.

Mam nadzieję, że wyślesz do mnie maila lub zadzwonisz w ciągu najbliższej doby, żebyśmy mogli

ustalić kwestie praktyczne.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Sissela

PS Kiedy przeczytasz mail Artny do mnie, zobaczysz, że Magnus też ich odwiedzał we Vladista.

Zrobił tam „w imię solidarności film o turystyce seksualnej. Najwyraźniej w ramach solidarności użył

jakiejś biednej nastoletniej dziwki. Piszą dziś o tym w popołudniówkach. Film będzie jutro w telewizji.

Gdybyś nie był takim upartym typem, moglibyśmy go razem obejrzeć, a potem porzucić strzałki w

jego zdjęcie. DS

królowa niepamięci

Otwieram oczy i rozglądam się dookoła. Zmierzch. Z pokoju znikły kolory. Siadam i zapalam lampkę przy łóżku, próbując pozbyć się uczucia, że trzęsie się ono jak wagon kolejowy. Nic się nie

trzęsie. Jestem Mary. Siedzę w jakimś pokoju gościnnym, pod moją podłogą jest żółty salon, w

którym właśnie zakończyła się rozprawa sądowa. Ktoś tam na dole chodzi w kółko po parkiecie, ale

nie jestem pewna, czy to Per, czy Anna. Właściwie mam to gdzieś. Muszę poprowadzić inną rozprawę. Oskarżona siedzi w pociągu do Órebro, głęboko śpi, jej głowa kiwa się w rytmie kołysania

pociągu.

Kogo ona tak naprawdę chce oszukać, kiedy pincetką palców sortuje przeszłość, chwytając wybrane

okruszki, a wszystko inne zostawia nietknięte. Czy naprawdę zapomniała, że MaryMarie siedziała w

tamtęj pizzerii, przyciskając się udami do Torstena tylko po to, żeby kilka godzin później nakryć dłonią

rozporek Sverkera Niewierna od pierwszej chwili. A czy nie pamięta, jak dzień po maturze napłula w

twarz płaczącej Renate, wrzeszcząc, że ma już dość stukniętych bab i że w gruncie rzeczy nie odwiedziła swojego ojca w szpitalu więcej niż pięć razy w ciągu czterech lat. Nie wspominając już o

tym, co stało się szesnaście lat później w pokoju dla chorych w szpitalu Karolińska.

Nie. Nikt nie ma prawa zapominać. Zwłaszcza Marie.

Powinna o tym wiedzieć. Dorastałyśmy w końcu w domu, w którym każdy dzień wymazywał poprzedni, w którym na powierzchni pływało tylko kilka wspomnień, były jak jesienne liście na tafli

wody, wszystko inne opadało na dno, w milczeniu. Wolno było mówić o przygodach taty z czasów

dzieciństwa. I o sukni ślubnej mamy, tej, którą sobie sama uszyła z grubej koronki. Poza tym mogliśmy

jedynie rozmawiać o klientach w pralni chemicznej. Ileż było wśród nich idiotów! Jak ta baba, która

uważała, że można sprać chemicznie plamę atramentową z książki. Albo pan młody, który nie mógł

się pogodzić z tym, że frakowa koszula zniszczyła się, kiedy zanurzył obie ręce w wazie z kruszonem.

Aż do łokci! Lub niechlujny nauczyciel gimnazjalny, pragnący raz w tygodniu prasować swoje

flanelowe spodnie, ale był zbyt skąpy, żeby zapłacić za ich porządne wypranie. Kiedy tata po raz

pierwszy przyłożył do jego spodni żelazko, w całej pralni zaczęło cuchnąć uryną. Po tej lekcji tata

wynosił żelazko i spodnie na dwór i prasował je pośpiesznie na stole ogrodowym. Nawet zimą. Facet

nic nie zauważał, kłaniał się tylko i dziękował, kiedy przychodził odebrać portki.

Ludzie to idioci, więc nie było powodu, żeby się z nimi zadawać. Tata nie lubił, żeby ktoś laził mu

po domu, a mama nigdy nie nauczyła się Szwedów. Tylko jeden raz została zaproszona na kawę do

sąsiadki. Nim wyszła, poświęciła całą godzinę na układanie fryzury, a mimo to, kiedy pół godziny

później wróciła, była potargana. Pokonała niepewnym krokiem ścieżkę ogrodową i weszła po schodach do domu, a potem zatrzasnęła drzwi. Przez całe popołudnie milczała, kiedy zaś znów się

odezwała, jej głos był ostrzejszy niż zwykle.

Maaary!!! Ty gupia dziewczyno!

Tata wstydził się jej akcentu i nigdy nie pozwalał na rozmowy z klientami pralni. Najbardziej było

mu wstyd, że mama nie potrafi wymówić porządnie imienia swojej córki. Dzieciak ma na imię Marie,

dlaczego, do jasnej cholery, nie umie tego powiedzieć Nigdy nie doszło między nimi do prawdziwej

kłótni, ale i tak głos mamy był zawsze ostry i oskarżający, podczas gdy bas taty zastygał w opryskliwym pomruku.

Jednak na ogół było u nas cicho, a dzień za dniem mijał bez śladu. Kiedy przed domem zatrzymywała się karetka i wyprowadzano do niej Renate, nie wolno było pamiętać, że coś takiego już

się kiedyś zdarzyło. Gdy kilka godzin później inny samochód stawał przed domem dziecka, żeby

zostawić tam sześć- siedmio- albo ośmiolatkę, opiekunki kręciły głowami. Dziewczynkę przywożą co

pół roku - dlaczego mała udaje, że nigdy tu wcześniej nie była I dlaczego nie umie powiedzieć, jak

ma na imię

Podchodzę do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz, ale w ciemnej szybie widzę czyjąś twarz. Najpierw

myślę, że to Renate, rozpoznaję jej spiczastą brodę i zaciśnięte usta, ale potem spostrzegam, że oczy i

nos należą do Herberta. Tak jest, właśnie tak. Żyje we mnie dwoje obcych - ludzi, którzy nigdy się nie

zrozumieli i których ja sama nawet nie próbowałam pojąć. Mimo to uśmiecham się do nich. Przez

wiele lat nie mogłam sobie przypomnieć ich twarzy, to, że widzę ich teraz, znaczy, że moja pamięć

wróciła do życia. Być może potrafię też mówić. Opieram czoło o szybę i dotykam językiem przednich

zębów, tak żeby z moich ust wytoczyła się pierwsza litera imienia mojej matki. Wbrew tym wysiłkom

język się cofa, a z ust wydobywa się tylko jedna sylaba. Alb...

Nagle czuję ogromne pragnienie, muszę się czegoś napić. Otwieram drzwi i wychodzę na częściowo tylko oświetlony korytarz. Dopiero po paru krokach orientuję się, że idę z szeroko rozłożonymi ramionami, tak jakbym gotowała się do lotu. Mam gołe stopy, palce zanurzają się

głęboko w czerwony dywan. Kiedy spałam, ktoś zdjął mi skarpetki i buty, ale poza tym jestem ubrana

w to, w czym tu przyjechałam. Przynajmniej prawie w to samo. Nie mam marynarki od kostiumu, a

bluzka jest pognieciona i tylko częściowo wsunięta w spódnicę. No i co z tego. Wszystko jedno. W

domu jest cicho, nic nie wskazuje na to, żeby w żółtym salonie odbywało się jakieś cocktail party albo

kolacja w dużej jadalni. Mogę zejść na dół do kuchni po picie ubrana, jak mi się podoba.

W holu na dole jest ciemno, zza przymkniętych drzwi sączy się tylko mała smuzka światła.

Idę w

jej stronę, nie zauważając, że wciąż mam rozłożone ramiona, dopiero kiedy jestem na miejscu,

opuszczam je i przystaję, żeby zajrzeć do pokoju. Anna siedzi w zielonym fotelu odwrócona do mnie

plecami, na stole przed nią - kieliszek białego wina. Najpierw nie widzi, że popycham drzwi i wchodzę

do pokoju, muszę lekko odchrząknąć, żeby odwróciła głowę w moją stronę.

- MaryMarie - mówi - jesteś tutaj Nie powinnaś leżeć

Potrząsam głową, a potem chwytam nieistniejący kieliszek i udaję, że piję. Anna kilka razy mruga

oczami, zanim zrozumie, o co mi chodzi.

- Chce ci się pić Chcesz coś

Kiwam głową. Anna uśmiecha się z ulgą.

- Usiądź, to coś zorganizuję. Zjesz coś Może kanapkę

Kręcę głową przecząco.

- Okej. Zaraz wrócę.

Siadam na kanapie i rozglądam się. Pokój jest mały, ale mija chwila, nim się orientuję, że znajduje

się w środku domu i nie ma w nim okien. Za to jedna ściana jest z cegieł, widać jeszcze fragmenty

starego tynku. Architekt pozwolił sobie na zachowanie małego wycinka historii w domu, który

zaprzecza jej istnieniu.

- Jak ci się podoba nasza biblioteka - pyta Anna i dopiero wtedy dostrzegam półki z książkami na

innych ścianach. Nie było jej przez minutę, a niesie dla mnie na tacy wodę mineralną, sok

pomarańczowy i talerzyk z małymi kanapeczkami.

- Resztki z lunchu - mówi, pokazując głową kanapeczki i stawiając tacę na stole. - Weź jedną, może

wróci ci apetyt.

Uśmiecham się lekko i wyciągam rękę po wodę mineralną. Anna podnosi z fotela coś, co wygląda

jak skoroszyt, i kładzie to na kolanach. Podąża za moim wzrokiem i przesuwa dłonią po brązowej

okładce. Teraz widzę, że to album. W dawnym stylu, w skórzanej oprawie.

- Klub Bilardowy Przyszłość - mówi Anna.

Młody Per wpatruje się z powagą w obiektyw,

za nim, w rzędzie ławek na sali plenarnej, niewyraźnie widać innych. Mocny profil Sverкера. Magnus

trzyma łokcie na ławce i opiera głowę na rękach. Gdzieś dalej prześwitują moje włosy. Zblakły w ciągu

tych lat.

- Byłam samotna - mówi Anna.

Na chwilę robi się cicho. Anna odgarnia z czoła ciemne włosy.

- Nie mogłam zrozumieć, co jest ze mną nie tak. Mówiono, że zadzieram nosa.

Przechyliłam na bok głowę i spoglądałam na nią. Znamy się od ponad trzydziestu lat, ale dopiero teraz, po raz pierwszy, Anna przyznaje, że coś w jej życiu nie jest perfekcyjne. Patrzy mi prosto w

oczy.

- Długo zastanawiałam się, co to znaczy - mówi.

- Oczywiście w języku dorosłych. Myślę, że wyniosła. Albo arogancka. Jestem taka Uważasz mnie za

osobę arogancką

Właśnie podniosłam szklanę, żeby się napić, więc mam chwilę do namysłu. Czy Anna jest arogancka Może. Często zachowuje się lekceważąco. Czasem wręcz szyderczo. Poza tym jest niezdarna, emocjonalnie niezdarna w sposób, z którego sama nie zdaje sobie chyba sprawy. Nie

rozumie innych ludzi, zwłaszcza biednych i poniżonych, tych, których - jak sama twierdzi - nieustannie

broni. Uważa, że są święci, nie jest w stanie dostrzec i uznać, że nawet ci godni pożałowania są

chwilami zdolni do tyranii, a ci najbardziej uprzywilejowani w niektórych momentach zasługują na

współczucie. Ale czy można mieć do niej o to pretensję Nie. To tak, jakby oskarżać chromego, że ma

jedną nogę krótszą od drugiej. Tak już po prostu jest. Potrząsam głową, odstawiając szklanę i dając

jej rozgrzeszenie, o które prosi. Nie jesteś arogancka. Anna przygląda mi się uważnie, a potem mówi

dalej

- To była niewielka społeczność, tata stał najwyżej na jednej z kup nawozu. Przewodniczący związku, wiesz. Może to z tego powodu. Że miałam ładne ubrania. Nikt nie rozumiał, że to nie ja

chciałam mieć te wszystkie rzeczy, że to mama tak... Zanim wyszła za mąż, była krawcową, ale potem

tata nie chciał, żeby pracowała. Nie miała żadnych zajęć poza szyciem ubrań dla mnie. Byłam ich

lalką. Chodzącą lalką, wiesz, taką z kluczem w plecach. Rano mama mnie ubierała, później przychodził

tata i mnie nakręcał, a potem dreptałam do szkoły i robiłam to, czego ode mnie oczekiwano... Nie

miałam pojęcia, kim jestem. Nic o sobie nie wiedziałam.

A czy teraz coś wie Anna spuszcza wzrok.

- Może to dlatego Klub Bilardowy Przyszłość stał się dla mnie tak ważny - mówi. - To było tak,

jakbym dostała nowe życie. Kiedy wróciłam do domu po tamtym tygodniu w Sztokholmie, przestałam

się przejmować tym, co mówią inni. Dyrektor szkoły chciał, żebym opowiedziała o wyprawie do

parlamentu na porannym apelu w auli i oczywiście, jak tylko weszłam na scenę, dziewczyny zaczęły

wznosić oczy do góry, a chłopaki gwizdać i buczeć. Ale nie obchodziło mnie to. Przez dziesięć minut

stałam w tym hałasie i mówiłam, ale potem nie wiedziałam, co powiedziałam. Nie słyszałam siebie,

bo przez cały czas myślałam o Klubie Bilardowym Przyszłość.

A on Przysuwam palec do twarzy Pera. Co on znaczył Anna najpierw kiwa głową, a potem niemal niezauważalnie nią potrząsa. Jednoczesne „tak i „nie.

- Parę tygodni później przyjechał mnie odwiedzić. Była sobota, nigdy jej nie zapomnę. Miałam na

sobie czerwoną sukienkę, taką zupełnie prostą wiesz, jakie były wtedy sukienki. Mama chciała, żebym

zamiast niej włożyła bluzkę z falbanką, ale odmówiłam, to był naprawdę pierwszy raz, kiedy powiedziałam „nie. Potem przeszłam wyprostowana przez całe miasto, nie patrzyłam ani na prawo,

ani na lewo, zupełnie jakbym zadzierała nosa, tak jak mówiono. Nie witałam się nawet z napotkanymi

ludźmi, chociaż wiedziałam, że to grzech śmiertelny. W tamtym świecie człowiek musiał witać się ze

wszystkimi. Ale ja czułam się po prostu sobą. Po raz pierwszy w życiu tylko sobą. I przyjechał on.

Nie byłam tam nigdy, ale teraz to widzę. Anna stoi na peronie, jej kasztanowe włosy błyszczą w

słońcu. Per wysiada z pociągu, jest w staromodnym płaszczu, w ręku trzyma małą walizkę. Z daleka

można by go wziąć za dorosłego mężczyznę, ale ma młodą twarz, a kiedy dostrzega Annę, jego twarz

robi się jeszcze młodszą. Zaczyna biec, najpierw z uśmiechem, potem z głośnym śmiechem, w końcu

zatrzymuje się przed nią. W pierwszej sekundzie są zbyt onieśmieleni, żeby się przytulić, ale potem

Per wypuszcza walizkę z ręki. Walizka uderza głucho o asfalt peronu i się przewraca, ale oni już tego

nie zauważają. Per rozkłada ramiona i Anna znika w jego uścisku.

- Był całkiem ładny - mówi teraz, przesuwając palcem po fotografii. - Oczywiście pryszczaty, ale

wszyscy tacy byli. No i od początku trochę nadgorliwy, ale jakoś się tego nie zauważało, myślało się,

że takim trzeba być. Wszyscy osobnicy płci męskiej byli w tamtych czasach nadgorliwi.

Unoszę brwi. Anna się śmieje.

- Tak, wiem. Nie ma aż takiej różnicy... Czy udało ci się pojąć, dlaczego oni muszą nas zawsze

pouczać

Potrząsam głową. Nie, nigdy tego nie zrozumiałam. Anna znowu zagłębia się w przeszłości.

- Mówił o związkach gminnych. Przez cały czas. Kiedy szliśmy ze stacji do domu, kiedy jedliśmy

lunch z mamą i tatą, kiedy po południu wybraliśmy się na spacer. Nie wiedziałam, o co mu chodzi,

uważałam wręcz, że jest śmiertelnie nudny, ale...

Anna zawiesza głos i marszczy brwi.

- Myślę, że był zdenerwowany. No i sądził, że interesuję się polityką jak on... Nie było tak.

Wychowano mnie na socjalistkę, ale mówiąc szczerze, bieżąca polityka wydawała mi się strasznie

nudna. Zwłaszcza związki gminne. Mimo to tamtego dnia byłam bardzo szczęśliwa. Ależ im się

dostało - mamie i tacie - z ich wiecznymi uwagami na temat tego, co robię i mówię. Im wszystkim

dziewczynom, które śmiały się za moimi plecami, i chłopakom, którzy byli tacy wstrętni...

Znowu zawiesza głos.

- Jeden z nich miał na imię Kenny. Wybrylantynowany typ, no wiesz. Przystojny. Bardzo przystojny

Trochę się w nim podkochiwałam w gimnazjum, a on to wykorzystał. Któregoś dnia pocałował mnie

przy stojaku na rowery i... - Anna wciąga powietrze - ...coś jeszcze. Następnego dnia stał przed szkołą

i opowiadał o tym na głos, ze śmiechem. Że byłam cholernie chętna. Że mógł się ze mną przespać. Ale

powstrzymał się, bo nie miał ze sobą papierowej torby. Ponieważ jestem taka brzydka, że trzeba by

mi ją wcześniej włożyć na głowę...

Zamykam oczy i trochę się odsuwam. Nie chcę wiedzieć wszystkiego. Anna nie zwraca na to uwagi, jest gdzieś bardzo daleko.

- Ale kiedy tamtego popołudnia szłam z Perem przez rynek, zobaczyłam, że Kenny stoi przed budką z kiełbaskami wśród innych wybrylantynowanych typów. Oczywiście gapili się na nas, w tej

okolicy znali się wszyscy, a tu nagle idę z chłopakiem, którego nikt wcześniej nie widział. To był dla

nich policzek. Jakoś mi się wydawało, że Per to rozumie, chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy, w

gruncie rzeczy nie porozmawialiśmy do dziś. Per objął mnie ramieniem dokładnie wtedy, gdy przechodziliśmy obok budki z kiełbaskami, a ja objęłam ramieniem jego. I tylko kiwnęłam głową do

tamtých typków, pozwalając, żeby się na nas gapili...

Anna patrzy przed siebie i uśmiecha się, nie spogląda na mnie.

- A tata... On wszędzie i zawsze widział burżujów. Mamie nie wolno było nawet robić zakupów w

sklepie ICA, bo przecież szanujący się robotnicy kupują tylko w sieci Konsumu. Ja miałam przyjąć do

wiadomości, że nawet jeśli zostanę kimś, nie wolno mi się za kogoś uważać. Jednak kiedy przyszedł

Per, ojciec całkowicie zamilkł, tak jakby nie mógł wydobyć z siebie jednego słowa tylko dlatego, że

tata Pera był biskupem. Mama się oczywiście przeraziła, że w naszym domu nie jest wystarczająco

elegancko, ale tego należało się spodziewać, za to naprawdę zdziwiłam się, że tata... Naprawdę byłam

przekonana, że jest tym pewnym siebie facetem, którego udawał. I nagle zrobił się tak nieśmiały,

kiedy spotkał pryszczatego osiemnastolatka, który gadał o związkach gminnych. Niedorzeczne. Ja

sama w jakiś sposób marzyłam skrycie o burżuazji, o tym, co wymuskane, uporządkowane i dyskretne, o czym czytałam i co widywałam w telewizji. Naprawdę serio w to wszystko wierzyłam.

Wierzyłam, że tacy ludzie, jak Per i jego rodzina, naprawdę są spokojni, szczęśliwi i przyjaźni, i tak

bardzo się cieszyłam, że dostanę się do tego świata...

Anna milknie i spogląda na fotografię, a potem wzdycha.

- Powiem teraz coś, czego nie mówiłam nigdy wcześniej... Obiecaj, że nikomu tego nie powtórzysz.

Anna odwraca się bokiem do mnie i wpatruje się w półkę z książkami, nie zauważa, że znowu zasunęłam usta na niewidzialny zamek.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była zakochana w Perze. A mówiąc dokładniej wiem, że nie.

Nigdy go nie kochałam.

Jej twarz jest nadal odwrócona do mnie profilem.

- Byłam zakochana w Klubie Bilardowym Przyszłość - mówi Anna. - Znaczył dla mnie wszystko.

Czułam tylko, że nie mam takiego samego prawa jak wy, żeby do niego należeć... Per był nią, która

mnie do was przywiązała. Ale to nie jego chciałam mieć. Chodziło o was. Was wszystkich.

Anna odwraca się i znowu patrzy na mnie.

- Uważasz, że jestem stuknięta

Ma teraz głos nastolatki. Potrząsam głową.

- Chociaż to nie jest normalne - mówi Anna. - Nie można się przecież zakochać w całej grupie ludzi.

Kiwam głową, ale nie jestem pewna, czy Anna rozumie, że to wyraz zaprzeczenia. Bo przecież

można. W tamtym pierwszym tygodniu sama byłam zakochana w Klubie Bilardowym Przyszłość,

może wszyscy byliśmy zakochani we wszystkich. Jednak Anna nie patrzy na mnie, znowu pochyliła

głowę nad swoim albumem i mówi tak cicho, że niemal nie słyszę co

- To mógłby być którykolwiek z nich. Magnus. Torsten. Albo Sverker. Wszystko jedno. Byle któryś z

nich.

Rzuca mi szybkie spojrzenie. Unikam jej wzroku. Aż takie proste to nie było i Anna o tym wie. W

pierwszym tygodniu znajdowała się cały czas na skraju mojego pola widzenia, pamiętam, że jej wzrok

raz po raz uciekał w stronę Sverkera, że uśmiechała się, kiedy on się uśmiechał, i przesuwała ręką po

włosach, kiedy tylko musnęły ją jego oczy. Nic nie pomogło. Miało jeszcze upłynąć wiele lat, nim

Sverker uznał, że warto się wysilić na wynajęcie pokoju motelowego ze względu na nią. O ile w ogóle

to zrobił. Sverker pozwalał mi się zawsze domyślać, co się dzieje, ale bardzo uważał na to, żebym się

nie dowiedziała.

Anna niezauważalnie wzdycha i przewraca kartki w albumie. Następne zdjęcie zajmuje stronę.

Cała nasza paczka stoi w rzędzie przed stołem bilardowym. Jesteśmy bardzo młodzi. Magnus i Per

mają w rękach kije, Anna się śmieje, Sissela uniosła brodę i uśmiecha się zadowolona, jak Mussolini

na mównicy. Torsten jest ostatni w rzędzie. Ja marszczę czoło, stojąc przed Sverkerem. Położył mi

rękę na ramieniu i uśmiecha się swoimi białymi zębami. Jest wysoki i rozrośnięty. Mnie niemal nie

widać. Na co mu byłam potrzebna

- Pamiętasz, kto zrobił to zdjęcie - pyta Anna.

Kiwam głową. Oczywiście. Kiedy wtargnęliśmy do sali bilardowej, siedział na krześle w głębi -

mały, gruby facecik w szerokich szelkach i ze smutną twarzą. Może siedział i czekał na ludzi, którzy

pasowaliby do scenerii, jaką tu dla siebie stworzył, przysadziści mężczyźni z jakiegoś film noir, którzy

zaraz po wejściu na salę zdjęliby marynarki, ale zostaliby w kapeluszach. Musieliśmy stanąć dla

niego rozczarowanie, banda rozchichotanych dzieciaków, które najwyraźniej nie wiedziały, gdzie kij

ma górę, a gdzie dół. Pomimo to wstał, kiedy robiliśmy zamieszanie wokół największego stołu

bilardowego, i podszedł do nas kołyszącym krokiem. Przez chwilę stał bez ruchu, przyglądając się, jak

Magnus i Per chaotycznie próbują trafić w swoje kule.

- Gracie w ruska, chłopaki - odezwał się w końcu. - To ostra gra.

- Właściwie to co w tym było śmiesznego - pyta Anna.

Wzruszam ramionami. Nie wiem. Wiem tylko, że zaczęliśmy się śmiać, gdy tylko wyszliśmy na

ulicę, że śmialiśmy się przez całą drogę powrotną do hotelu i nie mogliśmy przestać się śmiać, kiedy

byliśmy już na miejscu. Odwróciliśmy się więc i wybiegliśmy na ulicę, wpadliśmy do parku

Tegnerlunden, padliśmy na jakieś ławki obok pomnika Strindberga i dalej się śmialiśmy Rusek - to

ostra gra!

- Nigdy nie odważyłam się powiedzieć, że nie rozumiem, co w tym było śmiesznego - mówi Anna.

Znowu wzruszam ramionami. Śmiałam się dlatego, że śmiali się inni, nawet Torsten, a kiedy śmiech już osłabł, siedziałam z lekkim uśmiechem, jak inni pragnąc jakiegoś nowego powodu do

śmiechu. Ale nic takiego nie było, siedzieliśmy więc przez jakiś czas w milczeniu na ławkach i

gapiliśmy się w ciemność. Siedziałam na samym brzegu, z Torstenem po lewej stronie. Kiedy przestaliśmy się śmiać, słyszałam jego oddech. Dość długo było cicho.

- Każdy musi coś opowiedzieć - odezwał się nagle Magnus. - Jakąś tajemnicę.

Sissela prychnęła.

- Jaką tajemnicę

- Po prostu tajemnicę. Żebyśmy wszyscy dowiedzieli się czegoś o sobie.

Sissela wyprostowała się.

- Ja nie mam tajemnic. Magnus się roześmiał.

- Biedna diablica. W takim razie ja zacznę. Moja tajemnica jest taka, że zamierzam zostać artystą.

Matka o tym nie wie, ojciec też nie - myślą, że będę agentem ubezpieczeniowym albo pracownikiem

urzędu celnego czy kimś w tym rodzaju. Ale ja będę artystą, i to największym na świecie. O ile

najpierw się nie zapiję na śmierć, rzecz jasna.

Roześmiał się. Sissela pochyliła się do przodu i powiedziała stłumionym głosem

- Okej, zmieniłam zdanie. Mam sekret. Magnus uśmiechnął się.

- Wiedziałem.

Sissela odpowiedziała uśmiechem.

- Mój sekret to pogarda dla alkoholików. Moim życiowym celem jest zamordowanie jednego z

nich. Chciałabym udusić go poduszką. Albo przekręcić na plecy, kiedy zaśnie, żeby udusił się własnymi

rzygowinami.

Zrobiło się cicho. Tracimy siebie, pomyślałam. Teraz znów będziemy samotni. Potem usłyszałam

swój własny głos.

- A mój sekret jest taki, że nie wiem, jak mam na imię.

Udało się. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w moją stronę.

- Nie wiesz, jak masz na imię

Per był naprawdę zdziwiony. Przygryzłam wargę. Muszę uważać. Nie powiedzieć za dużo.

- Mama nazywa mnie Mary, a tata Marie. Nigdy nie udało im się pogodzić w kwestii mojego

imienia...

Anna wyglądała na przejętą.

- A w szkole Jak tam cię nazywają

Wzruszyłam ramionami.

- Jedni nauczyciele nazywają mnie Mary, a inni Marie.

Torsten zapytał przyciszonym głosem

- Ale kim chcesz być Mary czy Marie

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- A czy to zależy od tego, czego chcę - zapytałam i rzuciłam mu spojrzenie. - Czy imię człowieka

nie powinno być czymś oczywistym

Torsten wiercił obcasem w żwirze, właśnie miał odpowiedzieć, ale przerwał mu Sverker

- To my będziemy cię nazywali MaryMarie... - Roześmiał się, nagle zachwycony swoim pomysłem.

- Co wy na to Możemy ją ochrzcić MaryMarie, no nie

Sissela popatrzyła na mnie z uśmiechem.

- Tak, do diaska. MaryMarie dobrze brzmi.

- Bardzo dobrze - potwierdziła Anna.

- Doskonale - przyznał Per.

- Świetnie - dodał Magnus.

Torsten się nie odezwał.

Kiedy przyszła kolej na Pera, mówił, jakby czytał protokół sądowy. Jego sekretem było to, że dwa

lata temu zniszczył cenną Biblię swojego ojca. W pełni świadomie i celowo. To miała być zemsta za

krzywdę, o której nie chciał bliżej opowiadać. Po fakcie zrozumiał, że zachował się dziecinnie i

żałował; chciał, żebyśmy o tym wiedzieli.

Tajemnicą Anny było, że wierzyła w Boga. I nie miała odwagi powiedzieć o tym swoim rodzicom.

- Bo wtedy tata mnie spierze. Jest ateistą - wyznała z westchnieniem. Wszyscy się uśmiechnęli,

tylko Sissela roześmiała się na głos.

- I co - zapytała. - Nie możesz mu oddać

Anna przez chwilę wpatrywała się w nią, ale potem spuściła wzrok. Nie. Nie może tego zrobić.

Kiedy nadeszła kolej Torstena, najpierw podniósł kołnierz kurtki.

- Moją tajemnicą jest to, że nie pamiętam swoich rodziców. Powinienem ich pamiętać, miałem

osiem lat, kiedy umarli. Ale nic nie pamiętam. Ich twarzy. Ani głosów. Nic z tych rzeczy, które musiały

się wydarzyć, kiedy byłem mały.

Anna zaczerpnęła powietrza.

- To twoi rodzice nie żyją

Torsten lekko się skrzywił, ale nie odpowiedział. Na chwilę zrobiło się cicho, a potem Magnus

zwrócił się do Sverkera. On był ostatni. No dobra! Sverker uśmiechnął się przelotnie i przyjął ton,

który w późniejszym życiu będzie mi bardzo dobrze znany. Łagodny, ale męski. Przytłumiony i ciepły.

Do gruntu szczery.

- Mój sekret jest taki, że kiedy wrócę do domu, rozstanę się z moją dziewczyną. Zakochałem się w

innej...

Anna i Magnus uśmiechnęli się. Torsten poruszył się lekko obok mnie.

- Oooh! - rzuciła Sissela. - Mamy tu prawdziwego uwodziciela. Z Boras.

Na tę złośliwość Sverker odpowiedział jeszcze szerszym uśmiechem.

- A tak, maleńka. Z Boras. Tacy są najlepsi.

Wieczór się ochłodził. Po jakimś czasie wstaliśmy i niechętnie powlekliśmy się na ulicę. Na chodniku stanęliśmy w grupie, żeby pożegnać się z Sisselą, która jechała do domu metrem. Z opuszczonymi ramionami przez chwilę przestępowała z nogi na nogę, tak jakby na coś czekała lub

chciała coś powiedzieć, potem nagle zasunęła suwak wiatrówki aż po samą szyję i odwróciła do nas

plecami.

- Widzimy się jutro! - krzyknął ktoś za jej plecami.

Może to byłam ja. Nie odpowiedziała i nie odwróciła się, machnęła tylko ręką na pożegnanie i zniknęła.

A my poszliśmy do hotelu.

- Co się dzieje - pyta Anna. - Źle się czujesz

Zaczęłam trzeć czoło. Stary zwyczaj, sposób, żeby dosłownie wymazać to, o czym nie chcę myśleć.

- Chcesz się znowu położyć

Anna pochyla się nade mną zaniepokojona. Kiwam niemo głową i zamykam oczy. Pod powiekami

widzę, że Marie się obudziła. Pociąg zbliża się już do Örebro i Marie stoi w przedziale, próbując

ściągnąć z półki na bagaże swój skórzany worek. Uśmiecha się. Znowu otwieram oczy i widzę Annę.

Znowu kiwam głową. Jestem zmęczona, takie jest znaczenie mego gestu. Chemikalia, które wstrzyknięto mi w szpitalu, nadal płyną w moich żyłach.

Anna odprowadza mnie do pokoju gościnnego, pół kroku za mną, z ręką na moich plecach, jakby

się bała, że upadnę do tyłu. Nie upadam, idę przez korytarz małymi krokami, ale kiedy wchodzimy do

pokoju, mam już tylko siłę na to, żeby wskazać moją walizkę.

- Koszula nocna - pyta Anna.

Kiwam głową i opadam na brzeg łóżka.

Gdzie podziała się reszta Nie pamiętam. Pamiętam tylko, że byliśmy sami w windzie, miałam z

lewej strony Torstena, a z prawej Sverkera. Torsten odwrócił się, zanim jednak winda zatrzymała się

na trzecim piętrze, nasze spojrzenia kilka razy spotkały się w lustrze. Torsten wahał się przez chwilę,

ale zaraz otworzył drzwi, a wtedy Sverker podniósł rękę i położył mi ją na ramieniu. Pozwoliłam mu

na to. Nie strząsnęłam jego dłoni i zrobiłam krok w jego stronę. Torsten skrzywił usta i popchnął drzwi

windy.

- Ech - rzucił i zniknął.

Sverker uniósł brwi.

- Ech Czy on naprawdę powiedział „ech

Kiwnęłam głową.

- I co to miało znaczyć

Sięgnęłam po kłamstwo.

- Nie mam pojęcia.

Chwilę później stałam przed Sverkerem naga, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. On był jeszcze

ubrany. Wyciągnął ręce i chwycił mnie za nadgarstki.

- Pozwól mi na siebie popatrzeć - poprosił i rozsunął moje ręce na boki. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby po raz pierwszy mnie zobaczono.

- Czy myślałaś o tym, jak łatwo wszystko mogłoby się ułożyć inaczej - pyta Anna. Wydaje się trochę nieobecna, kiedy tak stoi przy szafie i wieszka moją sukienkę na wieszaku. - Gdybyście ty i

Sverker nie... Gdybym ja i Per nie...

Leżę w łóżku wyprostowana i nieruchoma, z rękami złożonymi niewinnie na pościeli w kratkę.

Anna niezręcznie zajmuje się moją sukienką, która zsunęła się z wieszaka i upadła na podłogę;

pochyla się, żeby ją podnieść, a potem przez chwilę trzyma ją przed sobą i myśli na głos.

- Może wtedy to ja byłabym ministrem - mówi. - A ty może towarzyszyłabyś mężowi w jakiejś

ambasadzie gdzieś tam...

Wykonuję nieznaczny gest ręką. Be my guest. Możesz marzyć o świecie, w którym jesteś

ministrem i żoną Sverkera, wyobraź sobie nawet świat, w którym Sverker daje sobie radę bez wózka

inwalidzkiego i opiekunów osób niepełnosprawnych. Nigdy nie wybrałam Sverkera i nie chciałam być

ministrem. Nie wiem, jak to jest, kiedy człowiek wybiera. Zostałam wybrana. Takie jak ja biorą to, co

im się zaoferuje, bo nie wiedzą, co innego mogłyby zrobić. Pozostaje wieczną zagadką, dlaczego to, co

wybrano dla mnie, było tak godne pożądania w oczach innych. Uwodziciel z Boras. Mężczyzna z

płynnym środkiem, uwięziony w marzeniu o sobie samym. A mimo to z nim zostałam. Z miłości i

współczucia Tak. Ale nie tylko. Zostałam także ze strachu, przed tym wstydem, który stanie się moim

udziałem, jeśli go zostawię. Porzucić kalekę! Z tego samego powodu tkwię wciąż w rządzie, wykonując swoje obowiązki z podobną gorliwością, z jaką kiedyś odrabiałam zadania domowe, ale

jestem równie nieobecna duchem na zebraniach rady ministrów, jak bywałam kiedyś w klasie. Moje

usta nieustannie zaskakują mnie wypowiedzianiem właściwych słów, a ręce podkreślają to, co powiedziane, właściwymi gestami, czoło marszczy się ze zmartwienia lub irytacji, ale nigdy nie ma w

tym moich uczuć. Gdybym dopuściła do głosu moje uczucia, na następnym zebraniu rządu wstałabym

z miejsca i powiedziała, że powinniśmy sobie wszyscy stąd iść i zostawić premiera samemu sobie.

Dlaczego Ponieważ wybrał każdego z nas nie ze względu na nasze kompetencje, ale na ich brak. Tak

naprawdę ilu z jego ministrów to politycy Może sześciu. Albo siedmiu. Reszta to tylko nowy gatunek

urzędników. Urzędnicy z poglądami. Jednak nie nazbyt zdecydowanymi i zupełnie bez odwagi ich

obrony. Siedzimy w naszych ministerstwach i pielęgnujemy poczucie winy, ponieważ wiemy, że jest

bardzo wiele do zrobienia, ale niezupełnie wiemy co. I cóż by to pomogło, gdybyśmy wiedzieli Nie

ma przecież pieniędzy. Nie ma większości w parlamencie. Nie ma też struktury poza kancelarią

prezesa rady ministrów, która umożliwiłaby urzeczywistnienie naszych decyzji. Co pozostaje Słowa.

Poglądy. Gesty. A sam premier Widzę oczami wyobraźni, jak wydałby z niezadowoleniem swoje

dziecięce usteczka, gdybym naprawdę któregoś dnia wstała i powiedziała to, co uważam za stan

rzeczywisty premier zazdrośnie strzeże władzy, ale odsuwa od siebie odpowiedzialność. Tylko że

tego nie powiem. Boję się szeptów po mojej dymisji. Nie dała rady Nie była wystarczająco dobra A

może tak beznadziejna, że nie chcieli jej dłużej trzymać

- Śpij dobrze - mówi Anna, ale nie odpowiadam jej nawet kiwnięciem głowy. Mam co innego do

roboty. Marie stoi na peronie w Örebro i czeka na pociąg do Sztokholmu, wcisnęła ręce głęboko w

kieszenie kurtki i wygląda na rozgniewaną. Uważa, że za dużo myślę o Sverkerze, sama chce sortować

wspomnienia, przebierać w nich i niektóre odrzucać. Królowa zapomnienia. Królowa, która ma

wszelkie powody po temu, by zapomnieć.

Jednak kiedy odsuwa myśl o Sverkerze, dopada ją nagły niepokój. Natychmiast zaczyna więc przekonywać siebie samą, że jest on idiotyczny i bezsensowny. Zwolnienie nie jest pomyłką. Nie

wysłano za nią listu gończego. Żaden samochód policyjny nie wyruszył, by ją zgarnąć. Jest jej absolutnym prawem stać na tym peronie i czekać na pociąg do Sztokholmu. To dlatego niecierpliwie

przestępuje z nogi na nogę, jakby było zimno, chociaż grzeje jesienne słońce. Jest wolna. Wie o tym.

Zwolniona.

Rozgląda się, usiłując wyrobić w sobie przekonanie, że już się przyzwyczaiła do tego, że świat

wygląda inaczej. Sześć lat to naprawdę nic. Starsza pani, która stoi kilka metrów dalej, na pewno

sześć lat temu wyglądała dokładnie tak samo, może była o kilka kilogramów lżejsza, ale podwójny

podbródek z pewnością był już wtedy na swoim miejscu, i nawet jeśli szary płaszcz jest nowy, to

prawdopodobnie sześć lat temu miała inny szary płaszcz. Kobieta czuje wzrok Marie na plecach i

odwraca się do niej. Marie ucieka wzrokiem, ale później zmusza się do przelotnego uśmiechu. W

odpowiedzi otrzymuje taki sam przelotny uśmiech, a potem kobieta znowu odwraca się do niej

plecami. W głośniku słychać skrzeczący głos. Pociąg do Sztokholmu wjeżdża na peron.

Kiedy siedzi już na swoim miejscu w przedziale, ma zamknięte oczy i próbuje do mnie mówić. To

ty zapominasz o tym, co najważniejsze, przekonuje. Nie pamiętasz listów w szufladzie jego biurka

Zdjęć pod podkładką na biurko Wszystkich maili do i od masy głupich panienek ze środowiska

reklamy Nie pamiętasz Małej Szarej, tamtej niedożywionej szesnastolatki z Vladisty, która trzęsła się

na posterunku policji, kiedy tam przyszliśmy. Pamiętasz, jak traktowali ją policjanci i jak ona to

akceptowała, jak siedziała tam, naznaczona śladami po igłach, z pustym wzrokiem Myślisz, że jej

wzrok był mniej pusty, kiedy ją kupił

Nie odpowiadam. Otwieram tylko oczy i patrzę w ciemność. Teraz ona nie może do mnie dotrzeć.

Nigdy nie pozwalam jej na to, kiedy usiłuje usprawiedliwić to, co zrobiła.

możliwe wspomnienie

Anna wraca sama do swojej biblioteki. Na stole nadal leży album fotograficzny, Anna bierze go na

kolana, ale nie otwiera. Nie trzeba. I bez tego przemieszcza się w czasie. Naprzeciw wspomnień.

Przynajmniej pierwsza się o tym dowiedziałam, uznaje. Nie chce myśleć, że chodziło o zwykły

przypadek. Lub kilka przypadków.

Pierwszy przypadek ktoś w konsulacie pamiętał, że Per i Anna znają MaryMarie. Gdy tylko zerknął

na wiadomość z Vladista, wykręcił numer wewnętrzny Pera.

Kolejny przypadek Per siedział akurat wtedy w swoim pokoju. W zasadzie miał być właśnie w

drodze do Nowego Jorku, ale coś sprawiło, że przesunął podróż o parę dni. Natychmiast zadzwonił do

Anny.

Teraz czas się cofnął i Anna siedzi w taksówce w drodze do Globen i redakcji „Aftonbladet z informacją, która na zawsze podzielił czas na Przed i Po.

Pierwsza się o tym dowiedziałam, myśli. Tego nikt mi nie może odebrać.

Ale to nie ona wsiądzie do samolotu. To nie po nią wyjedzie na lotnisko czarny samochód ambasady To nie ona polecą do domu samolotem sanitarnym. Wszystko przypadnie MaryMarie.

- Zmień dyskietkę - mówi do siebie. - Zmień dyskietkę!

To Sverker nauczył ją, jak zmieniać dyskietki. Wcale nie tak trudno. Człowiek po prostu usuwa z

głowy jedną rzeczywistość i wkłada inną. Powiedział to, kiedy wiązał przed lustrem krawat, a ona

leżała w głębi, wyciągnięta na łóżku jak naga Olimpia. Zerknęła na niego, uśmiechała się i usiłowała

ukryć irytację, która pełzała, łaskocząc pod skórą.

- Jak udaje ci się tak kłamać - zapytała w końcu.

Uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze.

- Ja nigdy nie kłamię.

- A co mówisz na to, co opowiadasz, MaryMarie

Znowu wyszczerzył się w uśmiechu.

- Nie opowiadam. Zmieniam dyskietkę.

- Jak to

- Mam twoją dyskietkę i mam dyskietkę MaryMarie. Kiedy w mojej głowie jest dyskietka Anny, nie

pamiętam o MaryMarie...

- A kiedy masz w głowie dyskietkę MaryMarie, nie pamiętasz o mnie

- Mniej więcej tak.

Sięgnął po marynarkę, która schludnie wisiała na wieszaku. Jej własne ubrania leżały porozrzucane po całym pokoju, stanik na podłodze, pończochy na lampie, wygnieciona kupka spódnicy na fotelu. Podobało jej się to, dzięki temu czuła, że coś znaczy. Przewróciła się na brzuch i

ukradkiem patrzyła na przerwę między swoimi białymi piersiami, potem wypięła pupę i pokręciła nią

lekko. Zrozumiał, że to zaproszenie, ale odpowiedział na nie klepieniem w pośladek, kiedy przechodził obok, żeby wziąć portfel z biurka.

- Nie miałaś przypadkiem zamiaru odwiedzić swojej mamy

Uśmiechnęła się z zaciśniętymi ustami.

- Dopiero wieczorem.

Włożył portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Okej. Widzimy się na Nowy Rok albo wcześniej.

Usiadła na łóżku z rękami skrzyżowanymi na piersiach, nie chciała, żeby zobaczył i zapamiętał, że

są obwisłe. Przed tym pytaniem zbierała się przez chwilę w sobie

- Ile masz tych dyskietek, Sverker

Uśmiechnął się i pochylił do przodu, żeby wycisnąć suchy pocałunek na jej policzku.

- Nie chcesz tego wiedzieć.

I już go nie było.

powietrze

To tutaj staliśmy. Właśnie na tym miejscu.

Wychodząc z Dworca Centralnego, zatrzymuję się w pół drogi, walizka upada na asfalt, a ja obchodzę małą uroczystość ku pamięci. Nie żeby ktoś mógł to zobaczyć lub zrozumieć, z pozoru

jestem tylko kobietą, która zatrzymała się na chwilę, żeby zaciągnąć suwak kurtki.

Jest jesień. Wtedy była zima. Staliśmy w kręgu, w błękitnym zmierzchu, podczas gdy ludzie pośpiesznie szli do metra i na dworzec. Tydzień w parlamencie skończył się, nadszedł czas na rozstanie i powrót do domu, każdy z nas wracał do swoich okolic i własnej rzeczywistości. Anna miała

łzy w oczach, szczęki Pera poruszały się cicho, jakby coś żuł, Sissela stała z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie, a Magnus przyglądał się jej przymkniętymi oczami. Torsten przesuwał

butem po asfalcie, jakby coś pisał stopą. Tylko Sverker się uśmiechał.

- To widzimy się w Midsommar - powiedział.

Nikt nie odpowiedział na jego uśmiech, nawet ja. Nie mieliśmy odwagi uwierzyć, że to, co mówi,

jest prawdą. Czy jego rodzice naprawdę mogą zrezygnować dla nas ze spędzenia Midsommar w

swoim domu letniskowym Kto nam zapłaci za podróż Ja mogę przyjechać do Hasterum na rowerze,

Anna i Per na pewno dostaną pieniądze od rodziców, ale Sissela... Jak się zorientowałam w ciągu tego

tygodnia, Sissela nie ma ani roweru, ani pieniędzy.

- Może mogłabyś przyjechać autostopem - spytałam, dotykając jej ramienia.

Skrzywiła się.

- Może nic z tego nie będzie - powiedziała.

Sverker uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Oczywiście, że będzie - zapewnił.

Opanowuję się i rozglądam dookoła. Vasagatan jest taka jak zawsze, a jednak inna. Starą księgarnię, w której zawsze kupowałam książki, kiedy wybierałam się w podróż, zastąpił sklep

papierniczy, a stare biuro turystyczne sto metrów dalej zamieniono na sklep Seven-Eleven. Tylko

okna w hotelu Continental błyszczą w zmierzchu tak jak kiedyś i taksówka zatrzymuje się na czerwonym świetle, tak jak to zawsze robiły taksówki, a przed przejściem dla pieszych stoi szary

tłumek, który gapi się pustym wzrokiem na chodnik po drugiej stronie, tłumek, który wkrótce rozplynie się i powstanie na nowo. Codzienny podział komórki. Ale to nie moja codzienność. Jeszcze

nie. Może już nigdy.

Nagle zalewają mnie odgłosy miasta; w skronie uderza hałas silników, dobiegająca skądś metaliczna muzyka zmusza do zmruczenia oczu, śmiech i głosy ludzi, którzy wchodzą i wychodzą z

dworca, kaleczą błony bębenkowe. Zgiełk potwierdza to, co już wiem. To miasto nie jest mi potrzebne. Nie zostanę tutaj.

Mimo to decyduję się na spacer do hotelu zamiast pojechać taksówką. To tylko kilkaset metrów i

nie ma powodów do pośpiechu, zarówno bank, jak i kancelaria adwokacka są już zamknięte. Nie żeby

to był jakiś problem. W portfelu mam dosyć pieniędzy, żeby przetrwać do rana. I chociaż torba jest

ciężka i zanoszi się na deszcz, to i tak marzę o spacerze. Spacerze bez nadzoru, który może trwać, jak

długo chcę.

Przez sześć lat tęskniłam do świeżego powietrza. W Hinseberg wolno mi było przebywać na dworze godzinę dziennie, ani mniej, ani więcej, bez względu na kaprysy pogody czy porę roku.

Oczywiście okna w celi nie dało się otworzyć, ale obok był mały wywietrznik, wąskie okienko z

czarnym filcem na metalowej kratce. Nie był zbyt użyteczny w najcieplejsze letnie noce, nawet

wtedy, gdy przywierałam do niego, usiłując chwytać tlen otwartymi ustami. W pierwszą noc

Midsommar próbowałam oderwać czarny filc, ale natychmiast pouczono mnie, że to niedozwolone.

Następnej nocy siedziałam po turecku na łóżku, zmuszając się do spokojnego oddychania. Nie ma

powodów do niepokoju, mówiłam sobie. Szwecja to świeckie społeczeństwo, szwedzka opieka

więzienna jest humanitarna. Nie ma miejsca na starotestamentowe kary, oko za oko, ząb za ząb. Tlen

się nie skończy. Nie umrę jak Sverker, z sinymi ustami i wybałuszonymi oczyma. Nie udało mi się

jednak samej siebie przekonać. Kiedy nadszedł ranek i otwarto drzwi celi, wypadłam na korytarz i

pędem pobiegłam pod prysznic. Jeśli nie mogę dostać świeżego powietrza, to mogę przynajmniej

postać pod strumieniem zimnej wody. Jedyłą rzeczą, której w tamtym momencie pragnęłam, były

skrzela, dwie wąskie szparki za uszami, przez które tlen sączyłby się z wody do krwi.

A teraz tyle powietrza, ile tylko chcę. Wilgotnego, miejskiego powietrza, pachnącego benzyną i

olejem do smażenia. Mojego do oddychania, do wężania, do smakowania. Do wypełnienia płuc.

Jakiś mężczyzna popycha mnie łokciem na przejściu dla pieszych, mija kilka sekund, zanim

zauważam zielone światło. Podnoszę do góry prawe ramię - torba jest ciężka - a potem podążam z

prądem.

Katrin, moja adwokatka, wybrała dla mnie hotel. Sheraton. Sama wybrałabym chyba coś mniej

ostentacyjnego.

- Ze względu na widok - wyjaśniła, kiedy rozmawialiśmy przez telefon miesiąc przed moim zwolnieniem. - Po tych latach musisz mieć pokój z widokiem.

- Wszystko jedno - odparłam - byle tylko okno dało się otworzyć.

Nie słuchała mnie.

- I dobrą restaurację - dodała. - Wieczorem zjesz smaczną kolację. Niestety, nie będę mogła ci towarzyszyć, bo przyjeżdżasz do Sztokholmu w dzień urodzin mojej córki, ale...

Jakbym tego oczekiwała. Nigdy nie spodziewałam się niczego więcej niż krótkiej rozmowy w godzinach urzędowania, raportu na temat mojej sytuacji finansowej i rachunków. Jednak Katrin

nieustannie mnie zadziwia; w ciągu tych sześciu lat od naszego rozstania w sądzie apelacyjnym dała

mi znacznie więcej niż to, za co zapłaciłam. Kiedy sprzedawano nasz dom w Bromma, dopilnowała,

żeby Maud i Magnus zagarnęli tylko tę część gospodarstwa, która należała do Sverker.

Poinformowała ich, że wprawdzie osoby skazane za morderstwo tracą prawo do spadku po ofierze,

ale zachowują prawo do małżeńskiej wspólnoty majątkowej. Dom w Hasterum, który zawsze był mój

i tylko mój, każdego lata wynajmowała niemieckim turystom, a pieniędzy za wynajem używała do

pokrycia kosztów jego utrzymania. Poza tym co roku we wrześniu przychodziła któregoś dnia do

Hinseberg, zawsze wyposażona w dużą siatkę, pełną najnowszych książek, oraz skoroszyt z wypisami

z konta.

- Żebyś zapomniała, że istnieje teraźniejszość - powiedziała za pierwszym razem - ale pamiętała,

że jest też przyszłość.

Musiałam przełknąć ślinę, żeby móc odpowiedzieć

- Czy jesteś taka miła dla wszystkich swoich klientów

- Nie - odpowiedziała Katrin - tylko dla tych, których rozumiem.

Kiedy zbliżam się do szklanych drzwi hotelu Sheraton, głęboko wciągam powietrze, ale pilnuję,

żeby nie zwolnić kroku. Działa portier nie zatrzymuje mnie, tylko uśmiecha się i przytrzymuje mi

drzwi. Odpowiadam miłym uśmiechem, pozwalam mojej twarzy kłamać. Jestem kobietą w podróży

służbowej, mówi twarz. Kobieta o wysokim współczynniku wytworności - pomimo skromnej fasady.

Może dziennikarką. Albo reżyserką. Albo wręcz aktorką, która nareszcie znalazła rolę swojego życia.

W holu nikt się za mną nie ogląda. Nikt nie zatrzymuje mnie w recepcji, mówiąc, że hotel nie przyjmuje przestępców. Kiedy idę do windy, nikt nie szepcze za moimi plecami o mordercach.

Wtapiam się, przynależę, czuję się niemal jak w domu.

Pokój wygląda tak, jak wyglądały pokoje hotelowe Przed. A ja zachowuję się tak jak w tamtych

czasach, opadam na łóżko i zrzucam buty, zanim jeszcze zapalę lampę. Potem siedzę, podziwiając

widok za oknem, który wybrała dla mnie Katrin. Niebo nad Sztokholmem jest ciemnoszare, wieża

ratusza jak czarna cień w błyszczącej koronie, światła wyspy Södermalm tworzą własne gwiaździste

niebo. Zamykam oczy i opadam do tyłu.

W moim świecie nadal trwa czwartkowy wieczór. U Mary jest już piątek rano. Dziś jedzie do domu.

Stoi przed lustrem w pokoju gościnnym rezydencji i poprawia ubranie, lekko wyciąga rękawy bluzki i wygładza ręką spódnicę. Ten ruch przywołuje wspomnienie, do którego się uśmiecha. Czy to

nie Imelda Marcos miała zawsze ze sobą dodatkowe egzemplarze każdej części swojej garderoby

Pełniący służbę trzymał się z nimi w pobliżu gotowy, żeby na dany znak pędzić za jakiś filar czy do

wnęki, żeby pomóc jej w pośpiesznej przebierance. Mniej niż pół minuty potem żona prezydenta

ponownie objawiała się światu, ale teraz już bez śladów wysiedzianych wgnieceń na spódnicy oraz

fałdów na rękawach bluzki.

- Co w tym śmiesznego

Drzwi nie były domknięte i teraz stoi w nich oparta o framugę Anna. Mary wykonuje szybki gest,

wskazujący usta. Znaczy to nadal nie mogę mówić. Może to kłamstwo. Nie przyszło jej do głowy,

żeby sprawdzić dziś rano. Zaczyna uważać, że życie bez słów jest dość przyjemne.

- Śniadanie - pyta Anna.

Mary kiwa głową. Tak, dziękuję.

Dziś rano Anna ma skurczone ramiona i lekko pochylone plecy, włosy wiszą jej wzdłuż policzków

jak apatyczne zasłony Nawet się porządnie nie ubrała, idzie korytarzem na bosaka, z rękami w tylnych

kieszeniach dzinsów. Sama Mary wygląda tak, jakby była w drodze na konferencję prasową. Świeżo

umyte włosy, świeżo wyprasowany kostium, kompletny makijaż i buty na wysokim obcasie.

Per nie jest sam w jadalni, siedzi przy stole obok młodej kobiety, pochylają się oboje nad gazetą,

która leży rozłożona na błyszczącej powierzchni blatu. Kiedy Mary i Anna wchodzi, oni podnoszą na

komendę głowy, ale palec wskazujący dziewczyny nadal dotyka jednego wersu rozłożonej gazety.

- MaryMarie - mówi z uśmiechem Per. - Jak spałaś

Mary składa palec wskazujący i kciuk w małe kółeczko. Zupełnie okej. Per nadal się uśmiecha.

- A głos nie powrócił

Mary potrząsa głową i unosi brwi. Głos

- To nie głos stanowi problem - mówi Anna. Jest odwrócona plecami, stoi przy stoliku pod ścianą i

nalewa do filiżanki kawę.

Kiedy Mary słyszy ton jej głosu, w błyskawicznym grymasie opadają jej kąciki ust. Anna nie udaje

już, że jest najszczęśliwszą z żon na najlepszym ze światów. Coś się musiało wydarzyć.

- A to jest Minna - mówi Per, wykonując gest w kierunku dziewczyny obok. - Miejskowa pracownica. Świetnie mówi po szwedzku. Każdego rana tłumaczy mi to, co najważniejsze w porannych gazetach. Bardzo zdolna dziewczyna. Bardzo. Minno, poznaj MaryMarie, moją starą,

dobłą przyjaciółkę. A do tego minister Szwecji do spraw pomocy rozwojowej.

Dziewczyna podnosi się tak gwałtownie, że niemal przewraca krzesło.

- Dzień dobry - mówi i lekko dyga. Jej głos brzmi jak szept. To do niej pasuje, jest bladą dziewczyną

o popielatych włosach, cała wygląda jak szmer. Mary odpowiada kiwnięciem głowy.

- Minno, nie wolno ci dygać - mówi Per. - Szwedki tego nie lubią. To je postarza.

Anna stawia przed Mary kawę, ma tak nerwowe ruchy, że napój prawie się wylewa.

- To męskie złudzenie, że kobiety w ich wieku są od nich starsze - mówi. - Nazywa się to męską

logiką. A z nią przegrywa nawet zwykła, rzetelna matematyka.

Per wybucha śmiechem. Ma dziś przewagę i się tym rozkoszuje.

- Czy poranek nie był satysfakcjonujący

Anna upuszcza swoją filiżankę na stół, pozwalając w ten sposób na mały cud. Kawa nie rozlewa się

po wykrochmalonym obrusie, bo filiżanka zamiast przewrócić się na bok, ustawia się schludnie na

swoim miejscu uszkiem na prawo. Anna się w nią wpatruje.

- Poranek był satysfakcjonujący - odpowiada. - Gorzej z nocą.

To kop prosto w jaja, dobrze wymierzony. Uśmiech Pera gaśnie. Minna pochyla się niżej nad gazetą, jakby nagle zrobiła się bardzo krótkowzroczna. Mary sprawia wrażenie niezwykle skoncentrowanej na smarowaniu marmoladą przypieczonego tostu.

- W końcu człowiek się przyzwyczaił - mówi Anna i odsuwa swoje krzesło. - Przez te lata. Trochę

trudniej zrozumieć, dlaczego ty usiłujesz przekłamywać proste fakty. MaryMarie nie ma kłopotów z

głosem. Ma afazję. Miejmy nadzieję, że przejściową. Problem znajduje się w jej głowie. Nie rozumiem, czemu nie możesz tego zrozumieć.

Mary otworzyła właśnie usta, żeby ugryźć swój tost, ale powstrzymuje się i siedzi z otwartymi

ustami. Rozdziawionymi. Problem w głowie Per rzuca jej szybkie spojrzenie.

- Taktowna jak zawsze, kochana Anna - mówi potem.

Anna nie odpowiada, ale jej usta powtarzają cicho jego replikę. Taktowna jak zawsze! Przypomina

łaknącą zemsty ośmiolatkę. Jednocześnie rzuca Minnie spojrzenie, które powinno podpalić jej włosy.

Per, niby przypadkiem, obejmuje ramieniem oparcie krzesła dziewczyny.

Mary spuszcza wzrok i gryzie chleb. Są na granicy, myśli. Nareszcie.

Kiedy skręciłam i podjechałam przed dom, Anna i Per byli już na miejscu. Na trawie leżały skrzyżowane dwa pnie brzozowe, Per przykucnął nad nimi z młotkiem w ręku. Anna stała obok z

pierścieniem ze stalowego drutu. Jak tylko mnie zobaczyli, oboje otworzyli ręce, młotek upadł w

trawę, a obok niego drut.

- MaryMarie! - zawołał Per. Sekundę później Anna powtórzyła jak echo - MaryMarie.

Zanim podbiegli w moim kierunku, wzięli się za ręce, a kiedy biegli, zauważyłam, że w ciągu minionych miesięcy oboje się zmienili. Włosy Pera urosły na modną długość, a pulchne ciało Anny

zrobiło się bardziej kształtne. Poza tym zmienili styl ubierania, oboje nosili podobne tuniki z hinduskim haftem, ale żadne z nich nie pozwoliło, by przemiana objęła partie poniżej tułowia. Per

miał na sobie szare flanelowe spodnie z zaprasowanymi kantami, a Anna kraciaste spodnie z bawełny, które wyglądały tak, jakby należały do dziewczynki. Stawiając rower na podpórcie,

zerknęłam na moją własną sukienkę. Biała bawełna w zielone kropki. Może nie do końca na czasie,

ona też. Ale chusteczka, którą przewięzałam włosy, była ładna.

Najpierw objął mnie Per, potem Anna. Zaskoczyli mnie tym, młodzi ludzie w Nassjó nie przytulali

się na powitanie, chłopcy wciskali ręce w kieszenie i wykonywali dość gwałtowny ruch głową, a

dziewczyny machały dłonią i mruzczały „cześć”. Stałam sztywna i wyprostowana, nie wiedząc, co ze

sobą zrobić. Anna i Per znowu wzięli się za ręce i Anna zaczęła podskakiwać w miejscu.

- Prawda, że fantastycznie - spytała. – Udało się!

Per patrzył na nią z uśmiechem.

- Uspokój się, kochanie. Uspokój się...

Zaskoczona wpatrzyłam się w niego. Kochanie

Co z nimi

Anna wtuliła się w Pera i objęła go ramionami w pasie.

- Dziś wieczorem urządzimy grilla! A siostra Sverkera upiekła dla nas tort...

Per uśmiechał się nad jej głową.

- Szykujemy maszt na Midsommar. To znaczy jego szkielet. Ubierzemy go, jak coś przekąsimy.

Nareszcie mogłam wtrącić pytanie

- A gdzie Sverker

Anna znowu zaczęła podskakiwać.

- Pojechał do miasta, żeby odebrać na stacji Torstena i Magnusa. Wiedziałaś, że zrobił prawo jazdy

Pokręciłam głową. Z wyjątkiem przelotnego spotkania kilka tygodni temu nie widziałam Sverkera

od lutego ani razu. A mimo to, odkąd stopniał śnieg, co weekend siedziałam na brzegu jeziora i

gapiłam się na drugą stronę. Czasami widziałam poruszających się tam ludzi, ale nie byłam w stanie

rozpoznać, czy to Sverker, czy jego rodzice. W moim pamiętniku pełno było rozpaczliwych

wykrzykników. Co to wszystko znaczy Już mnie nie chce Kilka tygodni temu pamiętnik znalazła

mama i wszczęła postępowanie zgodnie z polskimi zasadami z lat trzydziestych, według których nadal

żyła. Czy jestem tak głupia, że straciłam dziewictwo z jakimś kompletnie nieznanym chłopakiem

Teraz już nigdy nie wyjdę za mąż! Oczywiście szłam absolutnie w zaparte. Nie było to takie trudne,

ponieważ nie napisałam niczego wprost na temat nocy w Sztokholmie. Jednocześnie zabrałam

pamiętnik i przycisnęłam go do brzucha. Nagle doszło do mnie, że jest w nim kilka kompromitujących

zdań, zapisanych kilka tygodni po powrocie do domu. Boże święty, co zrobię, jeśli nie będzie

miesiączki Ale była. A dziewictwo byłam gotowa stracić jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze.

Anna i Per, nadal objęci, uśmiechali się.

- Przyjechała już Sissela - spytałam.

Potrząsnęli głowami i zrobili smutne miny.

- Miała złapać stopa.

Per zmarszczył brwi.

- Aż ze Sztokholmu

- Tak, dostałam od niej list w zeszłym tygodniu. Napisała, że przyjedzie autostopem.

- To przyjedzie. Prędzej czy później.

Rozejrzałam się. W weekendy na brzegu po drugiej stronie jeziora wielokrotnie wyobrażałam sobie, jak tutaj wygląda. Nic się nie zgadzało, teraz to widziałam. To, co wydawało mi się dziko

zarośniętą, naturalną działką, było idealnie uporządkowanym ogrodem z zagrabionymi żwirowymi

ścieżkami i krzakami bzu. Tuż obok kamiennych schodów, które prowadziły do podwójnych czarnych

drzwi domu, rósł krzak białej róży. Drzwi były otwarte, widziałam przedpokój. Na szerokich sosnowych deskach podłogi leżał modny pomarańczowy chodnik ze skrawków.

- Musisz poznać Maud - powiedziała Anna.

- Już ją poznałam - odparłam.

Stała w kuchni plecami do mnie, ale natychmiast się odwróciła. Najpierw starannie opłukała pod

kranem ręce i wytarła je ręcznikiem, który wisiał na haczyku obok zlewozmywaka. Ciągle stałam w

progu.

- Cześć - powiedziałam.

Powoli odwróciła się do mnie.

- Cześć.

Przekrzywiła głowę, jakby chciała o coś spytać.

- MaryMarie - wyjaśniłam. - Już się kiedyś spotkałyśmy.

- Tak

- Kilka tygodni temu. To ja mieszkam po drugiej stronie jeziora.

Zmarszczyła na chwilę czoło, jakby musiała zrobić wysiłek, żeby sobie przypomnieć, a potem kiwnęła głową.

- Ach, no tak. Cześć. Witaj.

Rozejrzałam się po kuchni. Na stole stał okrągły spód do tortu, w durszlaku obok leżały truskawki.

- Mogę w czymś pomóc

- Nie - ucięła Maud.

Znowu odwróciła się do mnie plecami, otworzyła szafkę i wyjęła z niej miskę. Jej ruchy należały do

dorosłej kobiety, nie było w tej dziewczynie nic dziewczęcego, chociaż miała dopiero szesnaście lat.

- Na pewno - spytałam.

- Całkowicie na pewno.

Stałam tak jeszcze chwilę, a potem wyszłam na schody przed domem. Anna i Per nadal zajmowali

się masztem na Midsommar, ale teraz nie wyglądali już na tak szczęśliwych. Anna podała Perowi drut,

a on odepchnął go i coś wymamrotał. W odpowiedzi Anna zrobiła zranioną minę i przycisnęła drut do

piersi. Nic nie wskazywało na to, że pragną świadków, więc odwróciłam się do nich plecami i powędrowałam w kierunku jeziora. Wzdłuż ścieżki stały na straży wysokie klony, za nimi tłoczyły się

brzozy i krzaki leszczyny, a w dole, przy brzegu, na wilgotnym zboczu, zieleń otwierała się w stronę

wąskiej wstążki żółtego piasku. Woda była tak samo przejrzysta, zabarwiona na bursztynowo, jak

wtedy, kiedy unosiła mnie, gdy ja usiłowałam płynąć w kierunku wysepek na jeziorze, których nazw

nie znałam i do których nigdy nie udało mi się dotrzeć. Po drugiej stronie jeziora prześwitywał dom.

Niedokończony. Do połowy pomalowany. Na działce leżała ostatnia sterta desek, a za nią stał czarny

samochód z przyczepą. Na brzegu siedziała wpatrzona w jezioro dziewczyna. Kiedy zamrugałam,

znikła.

Zawsze lubiłam przyglądać się mojemu światu z zewnątrz. Gdy byłam mała, potrafiłam stać w

drzwiach swojego pokoju i wyobrazać sobie, jak to jest, kiedy tamta dziewczynka, która nie śpi, kiedy

śnie ja, bawi się w środku domkiem dla lalek. Potrafiłam w ten sam sposób patrzeć na swój tornister,

rozkoszując się myślą o czterech ostrych ołówkach w czerwonym piórniku, które wyłonią się, gdy

dziewczynka rozsunie zamek w kolorze mosiądzu. Nieco starsza, czasami zostawałam w ogrodzie po

powrocie ze szkoły, stałam jak cień pośród cieni i zaglądałam do swojego własnego domu. Jeśli w

kuchni paliło się światło, mogło być naprawdę ładnie. Za pulchnymi pelargoniami, pomiędzy zlewem

a kuchenką, poruszała się kobieta, miała falbanki na kraciastym fartuchu, schludną bluzkę z długimi

rękawami i błyszczące czarne włosy. Czasami przy stole siedział też mężczyzna, czerwieniący się

człowiek o równie czerwonych rękach. Czytał gazetę „Smalands Dagblad, od czasu do czasu zwilżając

prawy palec wskazujący, żeby przewrócić stronę. Zdarzało się, że wyobrażałam sobie, jak mówi do

kobiety w tyle, czyta jej coś na głos z gazety lub komentuje przeczytany artykuł, a kobieta odpowiada

na to pytaniem albo śmiechem. Jedyłą osobą, dla której nigdy nie było miejsca w mojej wyobraźni,

byłam ja sama. Nie potrafiłam zobaczyć, jak się bawię moim domkiem dla lalek. Wiedziałam, że nigdy

nie zapomnę, iż mebelki to tak naprawdę puste pudełka po zapałkach, pokolorowane kredkami,

którym nigdy nie udało się zupełnie zakryć obrazka z białym chłopcem na etykietce. Poza tym

wiedziałam, że ostre końcówki ołówków w piórniku połamią się, gdy tylko dotknę nimi papieru, że

każda kreska będzie gruba i niezgrabna. Nie wspominając już o tym, co mnie spotka, jeśli wejdę do

oświetlonej kuchni. Stosy talerzy w zlewie. Przepelniona popielniczka na stole. Rozłożona gazeta,

która chyba nikogo nie interesuje. I cisza. Cisza. Cisza.

Kiedy stałam tak w dole, nad brzegiem jeziora, usłyszałam nagle, jak skądś nadjeżdża samochód.

Zacisnęłam pięści i głośno wciągnęłam powietrze, przygotowując się, żeby przed wieczorem i nocą

czegoś sobie zażyczyć, ale nie wymyśliłam, co by to miało być. Może coś związanego ze Sverkerem i

Torstenem Nie. Jak mogłabym wybrać któregoś z nich, skoro nie wiedziałam, czy któryś z nich

wybrałby mnie

Po powrocie zobaczyłam obejmujących się Annę i Pera, wpatrzonych w starą cortinę, która właśnie podjeżdżała pod dom. Samochód nie zdążył jeszcze stanąć, kiedy otworzyły się drzwi od

strony pasażera i wypadł z nich Magnus. Wyglądał jak wniosek patentowy do Krajowej Rady Młodzieży szwedzki osiemnastolatek roku, model IA. Półdługie włosy. Spłowiałe dzinsy i nieco mniej

spłowiała dzinsowa kurtka. Sandały w stylu chrystusowym i pokrowiec na gitarę. Jedynym problemem był fakt, że wszystko było nieco zbyt nowe i świeżo wyprasowane...

Nie. Kłamię. Widzę to w ten sposób po fakcie. Wtedy tego nie dostrzegałam.

Siadam w moim ciemnym pokoju hotelowym i włączam telewizor, przez chwilę chaotycznie naciskam guziki pilota w poszukiwaniu TV3 i Magnusa Hallina. Jednak na ekranie go nie ma, jego film

pokażą jutro. Teraz znajduję tylko reklamową fantazję na temat pięknych ludzi, którzy piją piwo na

jednej z równie pięknych wysp archipelagu. Mógłby to być Klub Bilardowy Przyszłość widziany oczami

swoich członków. Wąski krąg ludzi, pielęgnujących marzenie o sobie samych, marzenie, w którym

wszyscy są odrobinę bardziej utalentowani, odrobinę bardziej pociągający erotycznie i odrobinę bliżsi

sukcesu niż w rzeczywistości. Przez dwadzieścia pięć lat żywiliśmy się tym marzeniem, pocieszaliśmy

się nim; kochaliśmy się i onanizowali z nim w tle.

Wstaję i podchodzę do okna, otwierając je, czuję wiatr, zimno cieszy i dręczy, zmuszam się, żeby

przypomnieć sobie, jak było naprawdę. Zatem tak kiedy Magnus Hallin wysiadł tamtego dnia, wiele

lat temu, z samochodu Sverkera, pozwoliłam mu się oczarować. Był modny w każdym szczególe,

przygotowany jak żadne z nas na spotkanie spojrzeń tego świata, i potrafił nas najlepiej obronić. Nie

byliśmy grupą idiotów. Był z nami Magnus, a ktoś taki jak on nigdy w życiu nie zadawałby się z

idiotami. CZU - Co Zostanie Udowodnione, tak mogłoby to być ujęte w moim pamiętniku.

Kiedy otworzyły się drugie drzwi samochodu, obrazek stał się jeszcze bardziej przekonujący.

Sverker nie musiał się przebierać za typowego nastolatka po to, żeby dodać nam wszystkim prestiżu,

miał swoje ciało, ciemne brwi, uśmiech i naturalne przeświadczenie, że ma prawo znajdować się na

świecie. Zatrzymał się w pół kroku i schwycił mnie swoim spojrzeniem, przez kilka chwil trzymał, a

potem uśmiechnął się i rozłożył ramiona.

- Tutaj jest - wykrzyknął. - MaryMarie!

Wystarczyła chwila, żeby zapomnieć cztery miesiące męczarni i oczekiwania.

Zamykam z trzaskiem okno i zapalam lampę. Przez sześć lat żyłam bez wspomnień. Udało się,

choć cenę stanowiła ciągła obecność wyobrażonej wersji mnie samej. Teraz koniec z tym. Precz ze

wspomnieniami. Precz z wyobraźnią. Liczy się moje życie. Tylko moje.

Przyciągam torbę pod okno, rzucam ją na łóżko i otwieram. Nowa kosmetyczka. Ładne pantofle na

wysokim obcasie. Pończochy. Czyste majtki. I - najważniejsze ze wszystkiego - mała czarna garsonka.

Jestem przygotowana na dobrą kolację w hotelu Sheraton. Może będę miała nawet odwagę poflirtować z jakimś podróującym biznesmenem czy dwoma.

W łazience wymalowuję sobie z przodu głowy dość ponętą twarz, szczotkuję włosy i uśmiecham

się do odbicia w lustrze. Ciesz się! Zbrodnia została odpokutowana. Najgorsze masz za sobą. Teraz się

to zaczyna. Wszystko.

- To pierwszy dzień reszty mojego życia - mówię do swojego odbicia w lustrze. - Wszystko jest

możliwe, jeśli tylko mocno chcesz. Uśmiechaj się do świata, a ten odpowie uśmiechem. Wszyscy

kochają zwycięzców. Życie musi iść do przodu, ale...

Opatentowane frazesy odbijają się echem od kafelków w łazience i przez sekundę mam wrażenie,

że świeżo wymalowana twarz w lustrze zacznie płakać, ale nie zamierzam do tego dopuścić. Nigdy.

Utrzymuję więc na niej uśmiech, gaszę światło i wychodzę do pokoju. W dużym lustrze wyglądam

jeszcze lepiej. Prawdopodobnie to efekt przytłumionego światła, ale jeśli światło w restauracji na

dole jest podobne, to nie ma na świecie podróżującego biznesmena, który mógłby mi się oprzeć.

Obracam się i przyglądam sobie z boku, tak, z tej strony też jest niezłe...

O Boże! O dobry Boże!

W lustrze pojawia się twarz Anastasii. Przygląda mi się szeroko otwartymi, wytrzeszczonymi oczami. Przez moment, jedno czy dwa uderzenia serca, zmuszona jestem przyznać, że dokładnie tego

się spodziewałam, gdzieś w środku czuję, że właśnie na to zasługuję. Więzienie stanowiło tylko

przygrywkę. Teraz zaczyna się prawdziwa kara. Za to, co zrobiłam Sver-kerowi, zapłacę utratą

zmysłów. Postaci z koszmarów będą mnie prześladować, tak jak kiedyś prześladowały mamę, w mojej

głowie będą wołać różne głosy, tak jak kiedyś wrzeszczały w głowie mamy...

Ale nie. Wcale nie. Teraz to widzę. Obraz w lustrze jest prawdziwy. Twarz Anastasii wypełnia

ekran za mną. Zostawiłam włączony telewizor, a w TV3 lecą wiadomości. Obraz migocze i nagle w

stronę kamery uśmiecha się Magnus. Wyciągam rękę po pilota i po- głaśniam, ale jest już prawie za

późno. Prowadząca wiadomości uśmiecha się lekko, kończąc temat.

- ...mówi artysta Magnus Hallin. Decyzja o tym, czy film zostanie pokazany w zaplanowanym czasie, zostanie podjęta jutro przed południem. - Robi króciutką pauzę. - Madonna podejmuje nowe

wyzwania po swoim debiucie w roli pisarki dla dzieci...

Wyłączam telewizor i opadam na łóżko. Trzęsą mi się ręce.

możliwa przeszłość

- Uratowałem cię - powiedział Valentin.

Anastasia przytaknęła bez słowa. To prawda.

Uratował ją. Gdyby nie pojawił się Valentin, zostałyby zaraz wysłana gdzieś dalej. Może do Macedonii. W Macedonii jest gorzej. Dużo gorzej.

- Zobaczyłem, jak cierpisz, i cię uratowałem. Wziąłem cię nawet do lekarza.

To prawda. Wziął ją do lekarza. Przynajmniej tak jej się wydawało. Nie zrozumiała, co mówiła

tamta gruba, nieduża kobieta w białym fartuchu i czerwonych gumowych rękawiczkach, ale pojęła, że

to ważna osoba. Na pewno lekarka. Wsadziła do pochwy Anastasii coś ostrego i zimnego, ale

Anastasia nie krzyczała, zamknęła tylko oczy i pozwoliła na wszystko. Potem krwawiła przez osiem

dni, ale kiedy krwawienie ustało, zauważyła, że coś się zmieniło. Na lepsze. Kiedy zdjęła majtki w

ubikacji, były tak białe jak wtedy, gdy je zakładała. Prawie jak w dzieciństwie. Żadnych żółtozielonych

upławów. Żadnego smrodu. Żadnych drutów kolczastych między nogami w czasie sikania.

- Dopilnowałem, żebyś dostawała lekarstwo.

To też prawda. Każdego ranka i pod wieczór dawał jej białą pigułkę i pozwalał popić szklanką coca-

-coli. Lubiła to.

- Zabrałem cię z powrotem do Vladista.

Przytaknęła bez słowa. Zabrał ją z powrotem do Vladista. Na granicy było jej słabo z utraty krwi i

ze strachu - nie miała przecież paszportu, zabrali go jej już w pierwszym miejscu. Jednak nic się nie

stało, Valentin wyszedł tylko z samochodu i wszedł do budki straży granicznej. Pięć minut później

wyszedł, usiadł wygodnie za kierownicą, a kiedy szlaban poszybował w górę, uniósł rękę na pożegnanie. Jeden z policjantów pomachał mu w odpowiedzi. Potem była już w domu. Prawie w

domu. Przynajmniej we własnym kraju.

- Wiesz, co oni chcieli z tobą zrobić

Anastasia potrząsa głową. Nie.

- Planowali dla ciebie taką samą kurację jak dla Svetlany.

Przeszywa ją dreszcz. Nie musi patrzeć na swoje ramiona, żeby wiedzieć, że zjeżyły jej się na nich

wszystkie włoski. Zawsze unoszą jej się włoski na ramionach, kiedy myśli o Svetlanie. Zamyka oczy.

- Spójrz na mnie - mówi Valentin. - Wiesz, co oni zrobili ze Svetlaną Co zrobili, żeby była taka

Jej głos zamienia się w szept.

- Macedonia.

Valentin wybucha śmiechem.

- Macedonia Myślisz, że nawet w Macedonii chcieliby mieć tę cuchnącą zdiurę

To błąd, że odpowiedziała. Nie spodobał mu się jej ton. Z drugiej strony, brak odpowiedzi też stanowiłby błąd. Nie lubi, kiedy się boczy.

- Zabrali ją do kurnika.

Potrząsnęła głową. To nieprawda. Jediną rzeczą, którą widziała z okien swojego pokoju, był kurnik. Wczesnie rano, w tym jedynym czasie w ciągu doby, kiedy dawali jej spokój, siadała w oknie i

wyglądała na zewnątrz. Kurnik był zawsze zamknięty. Nikt się tam nie kręcił, ani kury, ani ludzie.

- Trzymali ją w kurniku przez trzy miesiące. Zafundowali jej pełną kurację. Aż nauczyła się zebrać,

żeby ją zbili.

To była prawda. Svetlana zebrała, żeby ją zbić. Wszystkich swoich klientów próbowała wciągnąć

do czarnego pokoju. Anastasia była tam tylko trzy razy, i to też starczyło. Powrócił dreszcz, tym razem

mocniejszy. Dostała gęziej skórki na rękach.

- Byłaś następna w kolejce. Potrząsnęła głową. Valentin roześmiał się.

- Nie pamiętasz już, jak cuchnęłaś. Żaden cię nie chciał. Chcieli cię zabrać do kurnika.

Pochylił się nad nią, położył ręce na oparciu krzesła i spojrzał jej w oczy. Przez sekundę w gardle

zadrżała panika, ale ją przełknęła. Nie jest zamknięta. On trzyma tylko ręce na oparciu jej krzesła.

- Uratowałem cię. Zabrałem z powrotem do Pałrusji. Dałem ci własny pokój.

Jego twarz tuż przy jej twarzy. Oddech pachnący miętą.

- Ale ty nie okazujesz wdzięczności. Potrząsnęła głową. Źle. Kiwnęła głową. Znowu źle. Otworzyła

usta, żeby powiedzieć, że...

- Nie okazujesz nawet cienia wdzięczności. Potrząsnął głową, potem puścił oparcie krzesła i wyprostował plecy.

- Wisisz mi dwadzieścia pięć tysięcy

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła bez słowa. Valentin wysunął przed siebie palce i zaczął liczyć

- Dziesięć tysięcy dla burdelu. Cztery tysiące za fałszywy paszport. Trzy tysiące za lekarza i leki.

Dwa tysiące za przejazdy. Sześć tysięcy za wyżywienie i mieszkanie. Dwadzieścia pięć tysięcy.

A co z klientami Słyszała przecież, że żąda co najmniej pięćset od klienta. I czy od powrotu nie

miała jeszcze więcej klientów dziennie Może wyczytał w jej twarzy, co pomyślała, może to dlatego

nagle uderzył ją w policzek tak mocno, że popłynęły jej łzy. Ale to był przecież Valentin. Wyjął z

kieszeni chusteczkę i wytarł łzy, kiedy zaczęły płynąć po twarzy.

- Jeszcze tylko jedna robota - wyszeptał. - Tylko jedna jedyna robota, a potem możesz już naprawdę jechać do domu... Dostaniesz nawet ode mnie pieniądze. Dziwki nigdy nie mają ze sobą

pieniędzy, więc wszyscy pomyślą, że miałaś prawdziwą pracę. To twoja jedyna szansa.

Zamknęła oczy i próbowała się opanować. Nie mogła, cały czas płynęły jej łzy. Schwycił ją za włosy

i przechylił jej głowę do tyłu.

- Słuchaj no! Po południu będą cię filmować i musisz dobrze wyglądać. Więc teraz, kurwa, idź i

umyj włosy.

sędzia i skazany

Marie idzie korytarzem hotelowym, kołysze się lekko na wysokich obcasach, a u szyi uwieszone

ma poczucie winy. Zapomniała już, że tam jest. Zawsze. Usiłuje wyglądać na zrelaksowaną, ale wiem,

że wystarczy, iż się potknie, i próba zostanie uznana za nieważną. Marie to podwójna medalistka.

Mistrzynie Szwecji w sztuce wyznaczania sobie nieosiągalnych celów oraz w sztuce dążenia do nich.

A ja sobie siedzę. Tym lepiej. Siedzę w fotelu samolotowym z półprzymkniętymi oczami, wyglądam przez okno, chociaż wiem, że nic tam nie zobaczę. Szare nic. Ciągle jeszcze się wznosimy i

pokrywa z chmur jest tak samo nieprzenikniona jak hałas silników. Tłumię mdłości. Podczas wznoszenia często robi mi się niedobrze, raz nawet zwymiotowałam do torebki. Byłam wtedy w

pierwszej ciąży, tak jeszcze młoda i niepewna, że nie miałam odwagi fatygować stewardes prośbą o

torebkę. Zamiast tego spokojnie i systematycznie opróżniłam swoją torebkę, układając na siedzeniu

obok portfel, długopis, notatnik i szczotkę do włosów, podczas gdy do gardła podchodziły mdłości,

potem pochyliłam się nad torebką i stało się. Prawie do pełna. Zaciągnęłam suwak i po wylądowaniu

wyniosłam torebkę jakby nigdy nic, dopiero na ulicy, na zewnątrz hali przylotów krajowych, wrzuciłam ją do kosza na śmieci. Dwie godziny później siedziałam okrakiem na toalecie, gapiąc się na

krę w majtkach. Sverkera nie było w domu i nie odbierał telefonu w biurze. Telefon komórkowy nie

został jeszcze wówczas wynaleziony. Może to dobrze, może zabiłabym go już tamtego wieczoru,

gdybym się do niego dodzwoniła i usłyszała w tle stłumiony szept.

Nie. Przecież bym tego nie zrobiła. Szczerze mówiąc.

Nie chełpię się tym. Nie mam żadnych powodów do dumy. Przez dwadzieścia lat moją głowę wypełniały marzenia o morderstwie. Byłam tylko zbyt tchórzliwa, żeby je przełożyć na rzeczywistość.

Miałam ochotę zabić Sverkera za każdym razem, kiedy zamknięty w swoim pokoju do pracy prowadził

przyciszone rozmowy telefoniczne. Kiedy wyjazdy służbowe wypadały nieco zbyt często. Kiedy kolacje

biznesowe przeciągały się do drugiej czy trzeciej nad ranem. A mimo to, kiedy wchodził na palcach do

naszej sypialni, udawałam, że śpię, wysilałam się, żeby każdy mój mięsień był nieruchomy i bezwładny, żeby nie dopuścić, by jakiś płytki oddech wyjawiał, co dzieje się pod moimi powiekami. A

tam którejś nocy założyłam mu na głowę plastikową torebkę, a innej poderzłam gardło, a kiedyś

jeszcze podpaliłam jego prześcieradło.

Tylko że nigdy nic nie powiedziałam. Rano, kiedy wstawał, siedziałam już wykąpana i ubrana przy

stole ze śniadaniem. Czasami potrafiłam tylko kiwnąć w jego kierunku, ale równie często

uśmiechałam się miło znad porannej gazety i pytałam, jak mu się udała podróż lub kolacja. Z jego

odpowiedzi mogłam wywnioskować, jak daleko zaszedł romans. Niezadowolone burknięcie - był

wciąż jeszcze zakochany. Westchnienie i półuśmiech - zaczynało mu się nudzić. Kiedy zaś siadał

naprzeciw i całował mnie w rękę, oznaczało to koniec. Wówczas przez miesiąc lub dwa było spokojnie

do czasu, kiedy wszystko zaczynało się na nowo.

Czasami usiłowałam przekonać siebie samą, że dokładnie wiem, co robię. Obojętność to najlepsza

zemsta, a gdybym otwarcie okazała, jak bardzo jestem zazdrosna, straciłabym ostatnie resztki szacunku do swojej osoby. Niestety, nigdy nie udało mi się siebie samej przekonać. A przecież nie

byłam tylko tchórzliwa. Nie tylko nie byłam w stanie. Nie wiedziałam raczej, jak i według jakiego

prawa mogę czegoś od niego żądać.

Poza tym to był przecież Sverker. Ze wszystkim, co to oznaczało.

Niektórzy ludzie wydają się rodzić z władzą wynoszenia innych do góry lub ponizania. Tę magiczną

zdolność posiadał Sverker, miała ją też jego siostra. Przyjazny śmiech jednego z nich mógł przemienić

przypaloną parówkę Sisseli w eksperyment kulinarny, wyrażający zainteresowanie rzut oka mógł

uczynić przydługą opowieść Pera o zagubionej depeszy z MSZ powieścią przygodową, a mały

uśmieszek przekształcał pierwszy tomik poezji Torstena w coś żenującego. Nie wspominając już o

tym, jakie efekty mogło mieć ich jawne wyśmiewanie.

Sissela przyjechała dopiero wieczorem.

Do tego czasu deszcz zapędził nas wszystkich do dużego pokoju, który Maud nazywała salonem.

Chwila spokoju. Odpoczynku. W pokoju panował półmrok, w kominku trzaskał ogień. Siedzieliśmy

przy dużym dębowym stole, paląc i popijając wino, czekaliśmy, aż przestanie padać i będziemy mogli

grilować. Wcześniej zdążyliśmy postawić midsommarowy maszt i potańczyć wokół niego, zjeść tort

truskawkowy i pobawić się w „teraz ostatnia para, nie wiedząc jeszcze, że to początek wielkiej

tradycji i że wszystko, co wydarzyło się tego dnia, powtarzać się będzie co roku, w każde święto

Midsommar przez ponad dwadzieścia lat.

Maud wyznaczyła siebie samą na wodzireja. Jedną ręką chwyciła Magnusa, a drugą Pera, podczas

gdy Anna gorliwie wyciągnęła rękę do Sverkera. Tylko ja i Torsten staliśmy niezdecydowani, nie

wiedząc, co zrobić. Koło graniaste Czy nie jest to dziecinada, której powinien unikać człowiek, który

właśnie zrobił maturę i musi dbać o swoją godność Ja sama przez całe życie nigdy nie tańczyłam w

Midsommar wokół masztu, zawsze siedziałam tylko przed telewizorem z mamą i tatą, patrząc, jak

tańczą inni. Wiele lat później dowiedziałam się, że tak samo było z Torstenem. Mimo to w chwili, w

której Magnus wciągał mnie do koła, Torsten złapał rękę Anny. Kilka sekund później, całkiem tak jak

inni, śmialiśmy się na głos, śpiewając Ścinać, ścinać owies.

Sverker wpędzał mnie przez całe popołudnie w konsternację, najpierw objął na oczach innych,

potem przez kilka godzin ignorował, po to, by w końcu złapać, kiedy zostaliśmy sami w przedpokoju, i

wcisnąć mi rękę między uda. Jego dłoń była bardzo ciepła, tak ciepła, że kompletnie zabrakło mi sił i

musiałam oprzeć się o ścianę. Sverker schwycił mnie za kark, jakby chciał utrzymać mnie w pozycji

pionowej i przesunął wargami po mojej szyi, a potem wsunął mi palec w majtki i niecierpliwie błędził

nim dalej. Zwilżyłam wargi i rozchyliłam usta, gotowa do całowania i bycia całowaną, a wtedy Sverker

nagle mnie puścił, odwrócił się plecami i zniknął w salonie. Minęło kilka sekund, zanim zorientowałam

się, co się stało. Stałam w tym samym miejscu z przyśpieszonym pulsem, zaskoczona, ponizona,

uwiedziona.

Teraz siedzieliśmy jednak w salonie, czekając, aż przestanie padać. Mnie na tym nie zależało.

Musiałam przemyśleć to, co właśnie się wydarzyło. Co takiego poczułam tam w przedpokoju

Pragnienie Pożądanie Czy byłam - w myślach płośliwo mnie to słowo - podniecona Nie miałam

pojęcia. Wiedziałam tylko, że to coś to kosmate małe zwierzątko, które przymilnie wierci się w moim

ciele i niczym nie przypomina tego, co czułam, kiedy parę miesięcy wcześniej przespałam się ze

Sverkerem. Wtedy to też była skóra, włosy i ciepło, ale takiego rodzaju, które przywodziło na myśl

kościół i ołtarze, a nie kosmate małe zwierzątko o wygłodzonym spojrzeniu.

A Sverker Czy jego zwierzątko różniło się od mojego I co miało znaczyć to, co zrobił

Teraz znowu mnie ignorował. Siedział po jednej stronie stołu i rozmawiał stłumionym głosem z

Perem na temat Uppsali czy Lund i wysoce wątpliwym dla kariery znaczeniu studiów politologicznych,

jeśli człowiek wbrew swoim planom nie dostanie się do Wyższej Szkoły Handlowej. Anna z brodą

opartą na rękach przysłuchiwała się w milczeniu ich rozmowie. Magnus i Maud siedzieli bardzo blisko

siebie po drugiej stronie stołu, przeglądając jakiś stary album ze zdjęciami. Ocierali się już o siebie

ramionami, każdy mógł dostrzec, że wkrótce zrosną się ze sobą i zamienią w syjamskie bliźnięta.

Torsten siedział trochę samotnie z zamkniętymi oczami i zaciągał się głęboko fajką.

Chciałabym, żeby

tu był, pomyślałam i przesunęłam ręką po czole, odpędzając tę dziwną myśl. Przecież tu jest.
Ledwie

kilka metrów dalej.

- Kurna!

Brzmiało to tak, jakby ktoś w domu się przewrócił. Ostry głos dochodził z przedpokoju.

- Kurna, niech to szlag!

Znowu coś huknęło. Nagle w drzwiach stanęła Sissela. Nic się nie zmieniła. Te same czarne pończochy z oczkami i plamami z lakieru do paznokci. Te same blond włosy z czarnymi odrostami. Te

same półksiężycyce rozmazanego tuszu do rzęs pod oczami. Jediną różnicę stanowił fakt, że była

mokra. Tak mokra, że kapało z minispódniczki. Mokra do tego stopnia, że jej but przy zdejmowaniu

wydawał gumopodobny odgłos. Klaaap!

To Maud roześmiała się pierwsza. Maud, która nigdy wcześniej nie spotkała Sisseli i nic nie wiedziała ani o niej, ani o jej sytuacji. Maud, która miała dopiero szesnaście lat i była w pierwszej

klasie liceum, ale chodziła, stawała i mówiła jak kobieta dorosła. Która była dowcipna. Maud ma

fantastyczne poczucie humoru, orzekła później Anna.

Chociaż i my też się roześmialiśmy. Najpierw Sverker, a potem reszta. Przez jedną tysięczną sekundy mogłam widzieć, jak ten śmiech dosłownie rujnuje twarz Sisseli. Potem zebrała się w sobie i

śmiała się najgłośniejsz ze wszystkich.

- Cześć, wieśniaki! Ale macie na tej wsi gównianą pogodę...

Stanęła na jednej nodze oparta o framugę drzwi i zdjęła drugi but. Klaaap! Maud wstała i zmieniła

się w gospodynię, podeszła do Sisseli z rozłożonymi rękami i - nadal jeszcze - z szerokim uśmiechem.

- Przepraszam za przyjęcie - powiedziała. - Po prostu bardzo nas zaskoczyłaś. To ty jesteś Sissela,

prawda Witaj!

Sissela upuściła but na podłogę, ale nie przestąpiła progu. Zmierzyła Maud wzrokiem i przez sekundę sprawiała wrażenie, że się waha. Być może doszedł do głosu jej instynkt przetrwania. To jest,

mówił pewnie, twój potencjalny wróg. Istnieją jednak powody, by obchodzić się z nim ostrożnie.

- Chodź - zachęciła Maud. - Musisz się wysuszyć. Dostaniesz swój pokój.

Z tyłu poruszyli się inni członkowie Klubu Bilardowego Przyszłość. Nikt nie dostał jeszcze pokoju.

- Daj jej któryś z pokoi sercowych.

- No nie wiem - odparła Maud. - Myślałam, że Sissela i MaryMarie będą razem w zielonym pokoju.

Sverker podniósł głos

- Mają dostać serca.

Maud odwróciła się.

- Co się z tobą dzieje Uspokój się.

Pięć minut później siedziałyśmy z Sisselą, każda na swoim łóżku w tak zwanym pokoju zielonym.

Był to duży pokój ze zniszczonymi od wilgoci tapetami z lat czterdziestych w wyblakłozielonym

odcieniu. Pomimo to był bardzo piękny i miał dwa duże okna, wychodzące na jezioro. Reszta sypialni

na górnym piętrze była nowsza i świeżo wytapetowana, ale nie było w nich piękna, zauważyłam to,

kiedy Maud chodziła dookoła i przydzielała miejsca do spania. Magnus i Torsten dostali pojedyncze,

małe pokoiki gościnne z wystylizowanymi sercami na ścianach, Magnus z żółtym, a Torsten z

czerwonym. Anna i Per - sypialnię rodziców w deseń z secesyjnych, turkusowych kwiatów.

Sverker

miał oczywiście spać w swojej własnej sypialni (tapeta w szerokie, brązowo-białe pasy), a Maud w

swojej (duże białe kwiaty na niebieskim tle).

Siedziałyśmy z Sisselą skulone, jakbyśmy obie mogły nareszcie przyznać się do wielkiego zmęczenia.

- Śmiali się - powiedziała nagle Sissela.

Wydałam z siebie cichy, pocieszający dźwięk, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Sissela pociągnęła nosem.

- Wyglądam tak cholernie idiotycznie, że aż musieli się śmiać

- Nie wyglądasz idiotycznie. Daję słowo. To nie dlatego się śmiali.

Kłamałam i obie o tym wiedziałyśmy. Sissela rzuciła mi szybkie spojrzenie, a potem zaczęła grzebać w kieszeni, znalazła pół paczki marlboro i jednego zapaliła. Rozpaczliwie szukałam innego

tematu do rozmowy.

- Trudno było złapać stopa

Prychnęła. Z nosa uleciała jej mała chmurka dymu.

- A jak myślisz

Zaciągnęła się głęboko.

- Do Norrköping nie było problemu - powiedziała, wycierając policzek. Chyba płakała. Nie wiem,

nie było widać, a może ciągle jeszcze kapało jej z grzywki. - Do Södertälje pojechałam kolejką, a

potem jacyś chłopcy mnie podwieźli, jechali do Kolmarden. Chcieli, żebym się do nich przyłączyła,

kurna mać... Szkoda, że tego nie zrobiłam!

Na chwilę zapadła cisza. Sissela paliła tak łapczywie, że żar na końcu papierosa miał ponad centymetr. Przyglądałam mu się, kiedy znowu zaczęła mówić.

- Zajęło mi ponad godzinę złapanie stopa stamtąd. Kilka razy gotowa już byłam olać to wszystko,

ale nie miałam przecież dokąd iść. W pobliżu ani jednego pieprzonego domu. A lało tak, że ani się

obejrzałam, już byłam mokrzuteńka. Musiałam wyglądać totalnie kretyńsko, kiedy tam stałam i

wystawiałam kciuk. Może to dlatego tak się uśmiechał... ten dziad, który się zatrzymał. Ten pieprzony, obleśny dziad!

- Co takiego zrobił

Podniosła oczy, jakby zapomniała, że tam jestem, a potem uciekła wzrokiem.

- Och! Nie chcę o tym gadać.

Przeciągnęła ręką pod nosem. Ten gest najwyraźniej o czymś jej przypomniał, bo na chwilę zawahała się, potem jeszcze raz przysunęła wierzch dłoni do nosa, powąchała i z obrzydzeniem

wykrzywiła twarz, a później gwałtownie potarła ręką o narzutę łóżka. Zaciągnęła się głęboko i

zmieniła ton głosu. Wróciła łobuzerska babka. Ta, co ma dobry humor i dużo się śmieje.

- Tu też padało cały dzień

- Co jakiś czas.

Sissela podniosła się i zaczęła zsuwać pończochy.

- Pieniądze - powiedziała.

Najpierw nie usłyszałam, co mówi.

- Co

- Oni mają kasę. To wyższa klasa.

Nie było wątpliwości, kogo ma na myśli. Lekko kiwnęłam głową.

- Tak, tak mi się zdaje.

- Młodsza siostrunia jest zazdrośnicą... i starszy brat jest wkurzony.

- Tak myślisz

- Oczywiście. Chciał, żebyś miała oddzielny pokój. Żeby mógł się do niego zakraść w nocy.

Nie odpowiedziałam, jak zawsze bałam się, że powiem za dużo. Sissela podniosła swoje czarne

pończochy pod światło.

- Ale to nie podobało się siostruni. A ona potrafi dopilnować swego. Zawsze.

Sissela zamilkła. Ktoś przechodził korytarzem pod naszym pokojem. Drobne, zdecydowane kroki.

- On... - powiedziałam, kiedy kroki ucichły.

- Tak

Sissela zdjęła bluzkę, a za sekundę na podłogę opadła jej spódnica. Bieliznę miała równie wytartą,

jak reszta odzienia. Wyblakły stanik. Dwie duże dziury w majtkach. Obróciła się w kółko, przeglądając

się w pokojowym dużym lustrze, a potem włożyła kciuk pod gumkę majtek i wysunęła go przez jedną

z dziur, po to, by nagle uświadomić sobie, co robi, i cofnąć rękę.

- Jaki on - zapytała. - Sverker czy Torsten

- Sverker.

- Wilk Sverker. Co takiego zrobił

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jak opowiedzieć o tym, co zrobił I o tym, czego nie zrobił

- Nic - powiedziałam więc. - I on nie jest żadnym wilkiem.

- Jest wilkiem. Powinnaś wybrać Torstena. On jest ptakiem.

- Jakim ptakiem

- Dużym ptakiem. Czarnym.

Roześmiałam się. Nigdy wcześniej nie prowadziłam podobnej rozmowy, a mimo to była taka oczywista i zwyczajna. Sissela otworzyła torbę i zaczęła w niej grzebać w poszukiwaniu suchych ubrań.

- Kruk

- Może.

- Dlaczego sama go nie weźmiesz

Sissela wyciągnęła z torby parę spranych dżinsów.

- Nie, nie. Mam na głowie inne rzeczy niż co najwyżej możliwe historie miłosne.

- Co takiego

- Życie. Przyszłość. Gdzie będę mieszkać w tym miesiącu. Co będę jeść. Jak wrócę do Sztokholmu.

- Nie będziesz mieszkać w domu, u taty

Odwróciła się do mnie plecami i znowu zaczęła grzebać w torbie. Najpierw nie usłyszałam jej odpowiedzi, zabrzmiała jak mruknięcie.

- Co

Sissela wyprostowała plecy, ale nie odwróciła się do mnie. Lekko chrząknęła.

- Wyrzucił mnie. Nie mogę już wrócić do domu.

- O Boże, dlaczego

Poruszyło mnie to, ale nie tylko jej współczułam. Może zauważyła, może kiedy się odwróciła, dostrzegła w moich oczach kroplę zazdrości. Nie wydawało się, by to jej przeszkadzało. Wręcz

przeciwnie. Wzruszyła ramionami.

- No tak. Można powiedzieć, że tak wylądowałam z powodu nieprawidłowego myślenia.

- Jak to

- Nieprawidłowego myślenia. Niewłaściwego poglądu.

- Na jaki temat

Udała, że nie słyszy, wyciągnęła z torby mały ręcznik frotte i tarła nim włosy. Podniosłam się i

zrobiłam krok do przodu. Jej torba była otwarta i mogłam zobaczyć, że są w niej nie tylko ubrania.

Jakieś stare podręczniki. Brązowa koperta. Na dnie prześwitywało coś białego. Czapka studencka.

Miała ze sobą swoją studencką czapkę. Czyli to, co mówiła, jest prawdą.

Teraz wciągnęła przez głowę T-shirt i sięgnęła po swoją kurtkę, która wisiała na haku na ścianie,

ale musnęła ją tylko czubkami palców. Pociągnęła nosem.

- Jest mokra - powiedziała.

- Możesz wziąć moją bluzę.

Rzuciła mi szybkie spojrzenie, przeanalizowała moje motywy i zaakceptowała je.

- Dobrze - odparła - jeśli masz kilka.

Kiedy zeszliśmy na dół, przestało już padać i ulotnił się wypoczynkowy nastrój. Wszyscy byli

bardzo zajęci. Magnus stał z Maud w kuchni, kroił szczypiorek i pilnował gotujących się kartofli, Anna i

Per wycierali krzesła ogrodowe, a Torsten zanosił je, jedno po drugim, na plażę. Sissela i ja złapałyśmy

z dwóch stron duży stół ogrodowy i zaczęłyśmy ciągnąć go w tym samym kierunku.

Sverker stał na plaży. Z jednej strony miał palące się ognisko, z drugiej - grill. Przywitał nas, machając czymś, co wyglądało jak długi widelec, jego wzrok prześlizgnął się po mnie błyskawicznie i

Sverker lekko nieobecny tonem spytał

- Czy ktoś mógłby powiedzieć Maud, że można już kłaść mięso na grilla

Natychmiast wypuściłam stół i zawróciłam, truchtem pobiegłam w górę zbocza do domu. Za mną

wrzęczała protestująca Sissela - nie postawiłyśmy przecież stołu na miejsce! - ale nie

odpowiedziałam jej i nie odwróciłam się. Byłam zanedo zajęta odwracaniem się plecami do Sverkera.

A potem

Potem zaczęła się pierwsza midsommarowa noc. Na plaży płonęło ognisko. Żarzył się grill. Klub

Bilardowy Przyszłość siedział na pomoście i śpiewał głosami tak czystymi, że aż rozpędził deszczowe

chmury, które odsłoniły mieniące się na szaro i różowo niebo. Nad czarną wodą unosiły się białe

mgiełki, a na wyspach i wysepkach na jeziorze potężne sosny obejmowały białe brzozy.

- One tańczą - powiedziałam, opierając głowę na czyimś ramieniu. Wypiłam trzy kieliszki wina. Za

dużo. Dużo za dużo. Ale niewystarczająco, żeby kosmate zwierzątko zasnęło.

- Kto

To był głos Torstena. Czyli opierałam głowę na jego ramieniu. Zwierzątko w moim podbrzuszu

przeciągnęło się z zadowoleniem.

- Drzewa.

- Tak - powiedział, podążając za moim wzrokiem. - Tańczą.

Na chwilę zrobiło się między nami cicho. W tle słychać było głos śpiewającej dziewczyny Maud.

Ktoś grał na gitarze. Magnus. Torsten objął mnie ramieniem.

- Napisałem o tobie.

Uśmiechnęłam się. Jakbym nie wiedziała. Chociaż skąd wiem, nie miałam pojęcia.

- Co napisałeś

Musnął wargami moje włosy.

- Nie powiem... jeszcze nie.

Wzięłam jego rękę i przysunęłam ją do moich ust. Nie pocałowałam, ale polizałam, czubek

języka przesunął się od przegubu aż do czubka paznokcia palca środkowego. Czułam dobry smak.

Gorzki, ale dobry.

- Mogłoby nam być ze sobą dobrze - powiedział.

- Tak - odparłam - mogłoby.

Stewardesa pochyla się nade mną i opuszcza stoliczek fotela, a potem łąduje na nim mała plastikowa tacka. Kręcę głową, ale stewardesa tego nie zauważa, uśmiecha się tylko i popycha swój

niewielki wózek dalej. Siedzę więc, patrząc na tackę, w brzuchu narasta obrzydzenie. Nie ma tu nic,

co chciałabym zjeść. Może poza serem.

Jesteśmy teraz nad chmurami, podróżujemy przez niebieską nicość. Biel poniżej nas wygląda jak

otwarta przestrzeń i przez chwilę widzę, jak przez nią biegnę. Jestem mała i płaska jak postać z

komiksu, podskakuję, odbijam się i bawię.

- Jak tam

Zapomniałam, że jest tu też Caroline, ale teraz widzę ją, jak siedzi na końcu rzędu foteli. Jej torebka opiera się o moją na siedzeniu pomiędzy nami. Uśmiecham się lekko. Dziękuję, jest dobrze.

Nie ma problemu. Prawie żadnych problemów.

Caroline pochyla się nad tacką i zaczyna coś dłubać przy sztuccach. Są zapakowane w przezroczystą folię. Caroline przegryza ją, żeby je wyjąć.

- Opakowanie antywłamaniowe - mówi z półuśmiechem w moją stronę. Tak jakby zaczęła się mnie

wstydzić, odkąd straciłam zdolność mówienia. Teraz wpatruje się skoncentrowana w cienie plasterki

wędliny leżącej na talerzu przed nią. Przełyka ślinę. Jeden raz. Dwa razy. Potem wydaje się, że podjęła

jakąś decyzję i odwraca się do mnie.

- Czy ty rozumiesz, co mówię

Kiwam głową.

- Naprawdę Tak samo jak wcześniej

Znowu kiwam głową. Próbuję się uśmiechnąć.

Nie do końca się to udaje. O co jej chodzi Caroline za- czerpuje tchu.

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć, zanim wylądujemy. Dwie rzeczy.

Marszczę czoło. Co Caroline ucieka wzrokiem.

- Po pierwsze, Hakan Bergman napisał artykuł... O twoim mężu.

Zamykam oczy. Aha. Nadszedł ten dzień.

- Słyszysz mnie - pyta Caroline.

Jej głos zrobił się piskliwy. Otwieram oczy i zerkam na nią. Słyszę.

- Na razie widziałam go tylko w Internecie, ale nie wygląda to dobrze... No i rzecz się rozkręca, dziś

rano dzwoniли do mnie ze wszystkich możliwych mediów. „Aftonbladet, „Svenskan, „Dagens Nyheter, „Wiadomości, „Raport, „Echo Dnia.

Podnoszę rękę, rozumiem, nie muszę wysłuchiwać całej listy. Caroline przygryza wargę.

- Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, więc plotłam jakieś bzdury... O twojej chorobie i tak dalej,

poprosiłam ich, żeby dali ci spokój, dopóki nie odzyskasz mowy. Nie wiem, czy to pomoże. A Hakan

Bergman zaczął też teraz grzebać w historii twojej afazji. Zadzwonił do mnie, kiedy wchodziłyśmy do

samolotu, podobno rozmawiał z jakimś profesorem neurologii, który twierdzi, że nie istnieje coś

takiego jak tymczasowa afazja. Zapytał, czy nie udajesz. Czy też może znowu dostałaś załamania

nerwowego. Tak samo jak wtedy, kiedy stało się to z twoim mężem...

Krzywię się. Aha. Jeszcze to. Caroline odchrząkuje.

- I kontaktował się też ze mną premier. To znaczy, przez sekretarkę. Chce się z tobą spotkać dziś

wieczorem. O dziewiątej. W siedzibie rządu. Czy to dziura powietrzna, czy zapada się pode mną

podłoga

- Czy wiesz coś na temat wstydu - pyta Marie.

Kelner, który właśnie nalewa jej wina do kieliszka, zatrzymuje rękę w pół drogi.

- Słucham

Marie wpatruje się w niego zdziwiona, że usłyszał jej myśli.

- Och - mówi z uśmiechem zażenowania. - Nie, nic takiego.

Mężczyzna wykonuje lekki ruch do przodu, coś na kształt ukłonu, a potem białą serwetką ociera

kroplę wina z butelki.

- Czy smakuje

Marie znowu się uśmiecha.

- Doskonale - mówi. - Naprawdę doskonale. Bardzo dziękuję.

Choć w gruncie rzeczy to nieprawda. Sola ją rozczarowuje. Kiedy kelner odchodzi, Marie odsuwa

talerz i chwyta kieliszek. Przynajmniej wino spełnia jej oczekiwania, jest białe, lekkie i kwaskowate.

Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni piła wino, i już ten pierwszy kieliszek dociera do wszystkich

zwojów jej mózgu. Może kiedy wstanie, nie będzie mogła iść zupełnie prosto. No i dobrze, wszystko

jedno. Restauracja świeci pustkami i nie widać tu ani jednego podróżującego biznesmena, którego

warto by poderwać. Chociaż zaraz. Jest jeden. Siedzi przy stoliku kilka metrów dalej i rozmawia przez

komórkę. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła i lekko rozluźnił krawat, ale jego koszula jest tak

ośniewająco biała i dobrze wyprasowana, że wygląda, jakby facet zszedł właśnie z reklamy proszku

do prania. Mówi po angielsku z długimi dyftongami. Może jest Irlandczykiem. Albo Szkotem. To, co

słyszysz w telefonie, lekko go rozśmiesza, unosi szklankę z piwem i wypija łyk, a potem przesuwa

kciukiem po ustach, nim jeszcze spotkają się ich spojrzenia. Patrzą na siebie przez chwilę, póki Marie

nie odwróci wzroku. Ona wie, co to wstyd.

Podnosi rękę, żeby przywołać kelnera. Zjadła tylko połowę ryby, nie dopiła wina i właściwie chciałaby zamówić deser i kawę, ale nie ma ochoty tu siedzieć. Musi wyjść. Iść stąd. Gdziekolwiek.

Wyjmuje portfel, zanim jeszcze kelner podejdzie z rachunkiem, siedzi przygotowana, dotykając

palcami banknotów i patrząc w stronę baru. Za szkłem pali się gazowy kominek, Marie wpatruje się w

sztuczny ogień z takim skupieniem, że reszta świata znika. Jest sama. Nikt jej nie widzi. Ona też nie

patrzy na nikogo. Dopiero kiedy leży już przed nią rachunek, odrywa wzrok od płomienia, wyjmuje

kilka banknotów, kładzie je na stole i wstaje. Nie ma czasu czekać na resztę.

możliwa rozmowa (I)

- Inna kwestia - mówi dziennikarz. Zdjął słuchawki i odłożył je na studyjny stół. Właśnie skończył

się wywiad i Torsten ma już wychodzić. Jednak zapada z powrotem w fotel. Dziennikarz unosi brwi.

- Widział pan dzisiejsze popołudniówki

Torsten kręci głową.

- Nie czytam popołudniówek.

- Nie - mówi dziennikarz. - Oczywiście. Pomyślałem jednak o pańskiej zeszłorocznej wymianie zdań

z Hallinem.

- Tak. Ale to było przecież w „Dagens Nyheter. I dyskusja została zakończona.

Dziennikarz przytakuje

- No tak, ale coś się wydarzyło... Piszą o tym dzisiaj obie popołudniówki.

- Wcale nie jestem zdziwiony. Wstępna reklama. Przecież film zostanie pokazany jutro wieczorem

w TV3.

- Tak, pytanie, czy na pewno... Może go wstrzymają. Chodzi o to, że dziewczyna odebrała sobie

życie.

Torsten dotyka twarzy, przesuwa dłonią po trzydniowym zarostcie. To stary gest, wspomnienie

czasu, kiedy miał brodę. Kiedy uświadamia sobie, co robi, opuszcza rękę.

- Ta mała - pyta.

- Tak - odpowiada dziennikarz. - Ta, która próbowała go pchnąć nożem. Typowa zdzira.

Przepraszam za wyrażenie.

- Co się stało

- Siedziała w Hinseberg i wczoraj rano znaleźli ją nieżywą w celi. Pocięła się.

Przez głowę Torstena przelatuje wspomnienie Magnusa, a za nim pojawia się też Sverker.
Bracia

Boys. Najbardziej męscy faceci. Odpędza myśl o nich.

- Cholera - mówi.

- Tak - przytakuje dziennikarz, nie spuszczać oczu z Torstena.

- Może mieć to jakiś związek z faktem, że film ma być pokazany w telewizji - dodaje.

Torsten unosi brwi.

- Nie jest to aby zbyt śmiała insynuacja

- Widział pan ten film

- Tak, podczas wernisazu. Byłem tam, kiedy to się stało.

Dziennikarz spuszcza wzrok.

- Tak, myśleliśmy... Oczywiście, w nawiązaniu do tego, co napisał pan w „Dagens Nyheter.

- Myśleli państwo co

- Czy nie chciałby pan napisać dla nas felietonu...

- O jej samobójstwie Nigdy w życiu.

- Nie. Nie tak. Raczej o tym, co pan pisał na temat sztuki, która karmi się sensacją. I o granicach.

- Pisałem o granicach

- Tak, pisał pan. Że granicę musi stanowić życie innych ludzi...

Torsten wykrzywia się, słysząc to sformułowanie. Był wtedy tak wściekły, że włączył się w bagno

frazesów.

- Podczas gdy Hallin twierdził, że zadaniem artysty jest przekraczanie wszelkich granic. Nie tak

było

Torsten wzrusza ramionami. Nie pozwoli, żeby ten typ pojął, że pamięta każde słowo.

- Odpowiedział pan wtedy, że w takim razie znaczy to, że w imię sztuki można torturować małe

dzieci. A jeśli Hallin nie zgodzi się z tym, znaczy to, że jednak uważa, iż istnieją jakieś granice, a

pytanie traktuje jedynie o tym, gdzie się te granice znajdują.

Udaje, myśli Torsten. Stara się mi przypochlebić, nie wspominając o epitetach, którymi się

wzajemnie obrzucaliśmy. Nadęty narcyz! Zadufany w sobie moralista! Hipokryzja Hallina!

Pogardliwość Matssona! Werbalna przemoc rozrywkowa, jakby to nazwała Sissela.

Torsten kładzie ręce na oparciu, znów zbierając się do wyjścia. Tamta dyskusja była porażką, której nie zamierza powtarzać. Nie wyrażał się dostatecznie jasno. Najgorszy był nie podwójny

wydzwięk całego projektu ani nawet to, jak dziewczyna patrzyła w kamerę zawsze tym samym

wzrokiem, bez względu na to, co wpychano jej do pochwy penis, ogórek, zaciśniętą pięść czy butelkę.

Tym, co sprawiło, że zapragnął dać Magnusowi w pysk, był kompletny brak litości, to, że kamera

ścigała ją po czarnym pokoju i pokazywała w zbliżeniu jej twarz w chwili, kiedy mięśnie pochwy nie

wytrzymały. Jedna sekwencja filmu ukazywała właśnie ten moment, powtarzała się i powtarzała,

zarówno na zdjęciach, jak i na ekranach w galerii. A już najbardziej napęłnił go niesmakiem brak

jakiegokolwiek kontaktu, widoczny w krótkim dokumencie, pokazywanym w wydzielonym boksie, w

którym Magnus siedział przed kamerą razem z dziewczyną i jej alfonsiem, udając, że rozmawiają o

projekcie. Dziewczyna właściwie nic nie mówiła, może nie znała angielskiego. Magnus mówił więcej,

ale kiedy próbował zwracać się do niej, jego wzrok uciekał w bok i zatrzymywał się na jej alfonsie.

Magnus przytakiwał nabożnie, słuchając jego wykładu, wygłaszanego w jej imieniu. Niestety, są

bardzo biedni. Niestety, jej ciało stanowi ich jedyny kapitał. Niestety, nie ma innego wyjścia poza

sprzedawaniem go.

Jednak pomimo całego przytakiwania Magnus najwyraźniej nic nie zrozumiał. Dlatego zaprosił ich

na wernisaż i sam zapłacił za ich bilety do Sztokholmu. Torsten widział tę chudą, małą dziewczynę, jak

wstrząśnięta stoi w milczeniu przed zdjęciami, jakby dopiero teraz rozumiała, co jej zrobiono.

Widział też wyraz jej twarzy, kiedy podszedł do niej Magnus. Pchnięty nazajutrz nożem Magnus miał

swoją pierwszą, zwycięską serię artykułów we wszystkich gazetach. A miało być ich więcej.

A teraz ta dziewczyna wymierzyła nóż w siebie samą... Czas wymyślić sensacyjne nagłówki gazet.

Napisać artykuły. Rozpocząć debatę. Czy Torsten chce brać w tym udział

- Nie chce pan - pyta dziennikarz.

- Nie - odpowiada Torsten.

- Proszę najpierw zajrzeć do „Aftonbladet. Może wtedy zmieni pan zdanie.

autopilot

Nie chcę takiego życia, myśli Mary.

Pory na czole rozszerzają się. Pojawiają się na nim małe kropelki potu.

Nie chcę!

I co z tego. Jakie znaczenie ma to, że nie chcesz

Dajcie mi moje nieprzeżyte życie.

Nie da rady. Niestety. Jest zajęte.

- Dobrze się czujesz

Mary rozchyła powieki. Caroline wyciąga się nad pustym fotelem pomiędzy nimi. Też jest blada.

- Mary Wszystko w porządku

Mary kiwa głową. Jest okej. Chodzi tylko o to, że nie może mówić. I o to, że dziś w gazetach obsmarowano całe jej życie. I że premier chce ją poświęcić. Poza tym wszystko jest okej.

Panika mija jednak niemal natychmiast. Autopilot zaczął działać. Ten, który uratował ją już w najtrudniejszych chwilach. Uratuje ją raz jeszcze.

To autopilot sprawia chwilę potem, że otwiera torebkę i znajduje w niej długopis i mały notatnik.

Caroline na swoim końcu wydaje bezgłośny jęk. Sens jest jasny Mary może pisać Dlaczego wcześniej

o tym nie powiadomiła

Jednak wygląda na to, że Mary nie potrafi pisać; kiedy przykłada długopis do kartki, powstają tylko

kółka i kreski. Chowając długopis i notatnik z powrotem do torebki, robi zmęczoną, niewyraźną minę

do Caroline Chciałam tylko sprawdzić! Caroline chyba nie rozumie, nie wygląda nawet na to, żeby

chciała zrozumieć, przeciwnie - wpatruje się w Mary jakby z niesmakiem. Mary uśmiecha się lekko.

Nie wszyscy na świecie muszą się kochać.

Wyjmuje zatem małą kosmetyczkę i wyciąga z niej kilka wilgotnych chusteczek, rozgląda się szybko, żeby sprawdzić, czy nie jest obserwowana, a potem wkłada rękę pod bluzkę i wyciera się pod

pachami. Następną chusteczką przeciera twarz, cały czas przyglądając się sobie w małym lusterku.

Sekundę później wyciska odrobinę brązującego kremu na brodę, policzki i czoło, i wmasowuje go

oszczędnymi, okrężnymi ruchami - dokładnie tak, jak doradzała sympatyczna telewizyjna wizażystka.

Trochę różu na kości policzkowe. Puder dla wykończenia całości. Kilka pociągnięć tuszu do rzęs,

dotknięcie szminką i - hops! - ukryła się. Żaden dziennikarz na świecie nie może teraz znaleźć prawdziwej Mary Sundin, ukrytej za jej twarzą.

W tej samej chwili samolot ląduje. Mary wkłada lusterko do torebki i wyjmuje z niej grzebień,

podczas gdy maszyna kołuje. Mary kilkoma szybkimi ruchami poprawia fryzurę, a później siedzi z ręką

na zapięciu pasa bezpieczeństwa, gotowa, żeby wstać, w chwili kiedy zgaśnie czerwony napis.

Caroline obserwuje ją.

- Teraz najważniejsze to spokój - mówi.

Mary uśmiecha się do niej przyjaźnie. Oczywiście, że będzie spokojna. Zupełnie spokojna.

Ja sama w ogóle nie jestem spokojna. Ani trochę.

Jest dopiero dwudziesta piętnaście, a ja siedzę zamknięta w swoim pokoju hotelowym.

Równie

dobrze mogłaby to być więzienna cela. Wprawdzie większa i zdecydowanie wygodniejsza, ale tak

samo zamknięta i ograniczająca. Siedzę na łóżku i bawię się pilotem od telewizora, tak jak każdego

wieczoru przez ostatnie sześć lat siedziałam na łóżku i bawiłam się pilotem od telewizora.

Zawiedziona. Upokorzona. Niespokojna.

Dlaczego nie mogłam wytrzymać wzroku tamtego mężczyzny Witaj w rzeczywistym świecie, szepcze skądś Mary. Jest osobą złośliwą. Zwłaszcza kiedy włączy autopilota.

Wydaje się, że Caroline jest tego samego zdania. Mary jest po prostu złośliwa, kiedy tak stoi,

kręcąc głową. Nie, nie zamierza przyjąć oferty dla VIP-ów. Samochód, który przyjechał, żeby

podwieźć ją i Caroline do okratowanej bramy lotniska, może sobie jechać.

- Ale dlaczego - pyta Caroline. - W hali przylotów czeka przecież cała nagonka, dlaczego, na Boga,

mamy się na to narażać

Mary unosi rękę. Nie ma o czym dyskutować! Przejdzie przez zwykłą halę przylotów, tak jak inni

pasażerowie, którzy tłoczą się teraz niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę w przejściu za nią.

- Dlaczego - powtarza Caroline. - Jeśli myślisz, że da ci to ten jedyny dodatni punkt w gazetach, to

powiem ci, że...

Przerywa i przygryza wargę. Mary przygląda się jej z zainteresowaniem, nigdy wcześniej nie widziała Caroline tak szczerzej i otwartej. Boi się Sądzi, że jutro będzie bezrobotna No tak, oczywiście, prawdopodobieństwo jest dość duże. Kiedy wywalają ministra, pracę traci także jego

sekretarz prasowy. Mimo to Mary nie zamierza zmienić zdania. Pytanie polega tylko na tym, jak

sprawić, żeby Caroline zrozumiała dlaczego. Nagłe olśnienie. W torebce ma wydrukowany mail Sisseli

do Anny. Cofa się więc do swojego rzędu foteli i ciągnie za sobą Caroline, żeby inni pasażerowie mogli

przejść. To grupka mężczyzn w średnim wieku; przyglądają jej się kwaśno, kiedy tak grzebie w swojej

torebce. Może ją rozpoznać. A może nie.

Caroline przygląda się przeszukiwaniu torebki, uniósłszy brwi. To nie jest już ta sama torebka.

Zawsze stanowiła starannie uporządkowany zestaw niezbędnych przedmiotów, a teraz nagle jest

jednym wielkim chaosem długopisów i notatników, papierowych chusteczek i kosmetyków. Dlatego

mija chwila, nim Mary znajdzie pogniecioną kartkę. Wyjmuje ją i z triumfującą miną trzyma przed

Caroline, która pochyla się i czyta.

- To znaczy, że ktoś na ciebie czeka

Mary kiwa głową.

- Sissela Oscarsson

Mary znowu kiwa głową.

- Ale nie możemy jej złapać, wychodząc tylnym wyjściem

Mary rozkłada ręce. No cóż.

- Chyba ma komórkę Można do niej zadzwonić.

Mary wskazuje palcem swoją skroń. Caroline wzdycha.

- Nie pamiętasz jej telefonu

Mary najpierw kiwa, a potem potrząsa głową. Tak. Nie wie tylko, jak go wydobyć ze swojej własnej głowy. Caroline rezygnuje.

- Dobrze, dobrze - mówi potem. - Zrobisz, jak zechcesz.

Kiedy zbliżają się do kontroli celnej, Mary prostuje plecy, idzie szybkim krokiem, ciągnąc za sobą

walizkę. Jakiś urzędnik z ministerstwa pojawia się nagle znikąd - może leciał tym samym samolotem

- i kroczy zaraz za nią razem z Caroline. Idą w równym rytmie, cała trójka. Milcząco, skupieni,

świadomi celu.

- Boże, dopomóż nam - szepcze Caroline, kiedy rozsuwają się ruchome drzwi, ale Mary zdaje się

nie słyszeć. Nie zatrzymuje się, nie waha, nie pozwala sobie nawet na to, żeby odrobinę zwolnić

kroku, idzie prosto w kierunku ostatniej przeszkody, małych barierek, które odgradzają strefę celną

od hali przylotów. Zatrzymuje się tam. Oślepią ją fleszami aparatów fotograficznych.

Nagle obok niej pojawia się Sissela.

- Żadnych fleszy! - wrzeszczy. - Żadnych fleszy!

Naganiaczy nie ma zbyt wielu, tylko czterech dziennikarzy i trzech fotografów, ale są w złym humorze.

- A czemuż to - pyta jeden z nich, podnosząc do góry aparat.

- Bo jest chora. Nie toleruje fleszy. Może dostać ataku.

Jeden z dziennikarzy przybliży się do Sisseli.

- Jakiego ataku

Sissela świdruje go wzrokiem.

- Na to pytanie może odpowiedzieć jej neurolog.

- Neurolog

- Tak. To afazja. Przejściowa afazja.

Przez sekundę wpatrują się w siebie. Sissela wygląda imponująco. Ma na sobie nowy, jasnoczerwony i odważnie skrojony płaszcz, a wokół szyi i ramion okręciła czarny szal.
Dziennikarz

cofa się nieco.

- Nie istnieje coś takiego jak przejściowa afazja. Pisali dziś o tym w „Expressen.

Sissela rzuca mu lodowate spojrzenie.

- Aha. Tak pan twierdzi.

Z poparciem włącza się jakaś dziennikarka. Ma torbę z rysunkiem osy i patrzy to na Mary, to na

Sisselę.

- Właśnie. Rozmawialiśmy z kilkoma neurologami. Wszyscy mówią to samo.

Młody mężczyzna w skórzanej kurtce wpycha się między nich i zwraca się wprost do Mary

- Czy opowiedziała pani premierowi o tak zwanym wypadku, który parę lat temu przydarzył się

pani mężowi

Kobieta z torbą z osą dołącza się

- Czy wiedziała pani, że dziewczyna, z którą się przespał, miała tylko szesnaście lat i że została

sprzedana, kiedy miała trzynaście

Skórzana kurtka usiłuje zepchnąć ją na bok.

- I czy to prawda, że ma pani dziś wieczorem spotkać się z premierem

Pierwszy z dziennikarzy przekrzywia głowę.

- Czego on może chcieć, według pani

Mary obserwuje ich z zainteresowaniem. Stoją tak blisko niej, a jednocześnie są odlegli o kilkadziesiąt kilometrów.

- Albatros - mówi.

Caroline wydaje jęk za jej plecami. Dziennikarz w skórzanej kurtce wygląda na zaskoczonego.

- Co

Caroline dość ostro szturcha Mary łokciem w bok i przeciska się do przodu.

- Proszę posłuchać - mówi. - Mary Sundin jest chora. Nie może mówić i musi teraz jechać do lekarza. W związku z tym w tej chwili nie mogą państwo uzyskać od niej żadnych komentarzy a zatem

dajcie jej po prostu spokój.

- Ale...

- Żadnych ale! - przerywa Sissela. - Teraz musimy już jechać.

Bierze Mary pod rękę i zaczyna z nią iść w kierunku wyjścia. Fotografowie podnoszą swoje aparaty, flesze uderzają w sufit, ale Mary zamyka oczy, trzyma się Sisseli i nie zatrzymuje się. Biegnie

za nimi dziennikarka.

- A pani kim jest - pyta Sisselę.

- Nemezis - odpowiada Sissela. - Więc proszę uważać!

Była mgła, kiedy dotarliśmy do niewykończonego domu po drugiej stronie jeziora. Weekend midsommarowy

się skończył. Mama leżała w łóżku. Tata siedział przy stole w kuchni i czytał gazetę. Kiedy nagle stanęliśmy w drzwiach kuchni, przestępując z nogi na nogę, spojrzał na nas ze zmarszczonym

czołem.

- To jest Sissela - oznajmiłam.

Nie odpowiedział, patrzył tylko na nas przez kilka sekund, a potem znowu wrócił do gazety.

- Przenocuje u nas - dodałam. Głos trochę mi się trząsał. Żadna z moich koleżanek nigdy u nas nie

nocowała, ani tutaj, ani w naszym domu w mieście. Żadna nie została nawet zaproszona na sok z

drożdżowymi bułeczkami.

Ojciec nadal nie odpowiadał.

- Jak mama

Teraz podniósł oczy, rzucił mi spojrzenie, a potem podniósł się, przecisnął w drzwiach między

nami i poszedł na górę, zniknął. Wszystko bez jednego słowa. Dopiero wtedy Sissela ostrożnie weszła

do kuchni. Na blacie stały stosy nieumytych naczyń. Popielniczki na stole były przepełnione. Ona

jednak zdawała się tego nie dostrzegać, okręciła się w kółko i uśmiechnęła.

- Jak ładnie - powiedziała.

Rozejrzałam się. Niezbyt, pomyślałam. Stare szafki kuchenne; do zeszłej wiosny znajdowały się w

naszej kuchni w mieście. Wtedy tata zdjął je i wywiózł tutaj, na nowo zmontował, a potem

pomalował na jasnoniebiesko. Tydzień później przeniósł kuchenkę i lodówkę. Kuchnia w mieście stała

pusta niemal przez miesiąc, aż pojawiła się nowa kuchenka w zielonym odcieniu awokado, a za nią

identycznie zielona lodówka. Po kolejnym tygodniu zainstalowano nowe szafki kuchenne.

Pomarańczowe. Mama tylko zerknęła na nie przelotnie, a potem dostała bólu głowy i musiała się

położyć. Mnie samej nic nie obchodziły kolory, byłam jedynie zadowolona, że znowu da się gotować

jedzenie. Trzy tygodnie diety na kanapkach i wodzie z kranu mocno mi doskwierały.

Sissela usiadła przy kuchennym stole i zaczęła grzebać w popielniczce, wyciągnęła niedopalony

pet i zapaliła. Rzuciłam szybkie spojrzenie w stronę drzwi. Tata dostałby szału, gdyby to zobaczył, a

mama wręcz wpadłaby w histerię. Jednak nie było widać żadnego z nich, więc przymknęłam lekko

drzwi i usiadłam po drugiej stronie stołu, przyglądając się nowości, która nagle pojawiła się w moim

życiu. Przyjaciółce.

- No to co - zagadnęła Sissela.

- No to co - co

- Co wydarzyło się między tobą a wilkiem Sverkerem

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Co naprawdę zaszło między mną a Sverkerem

- Nie wiem - odparłam.

Sissela zaciągnęła się głęboko. Roześmiała się.

- Nie wiesz

Patrzyłam w stół. Co mam powiedzieć Przez całe życie nie opowiadałam o sobie nic oprócz

powierzchnowych faktów. Ile mam lat. Gdzie mieszkam. Co było na obiad w szkolnej stołówce. Inne

dziewczyny zwierzały się sobie, wiedziałam o tym, ale sama nigdy nie pojęłam, jak to robią.

Opowiadają wszystko Ale jak opowiedzieć wszystko Jak można zawrzeć wszystko w słowach,

wszystkie unoszące się w powietrzu zapachy, wszystkie barwy, które w każdej sekundzie uderzają w

dno oka, wszystkie uczucia, przetaczające się przez żołądek. Jak można powiedzieć prawdę, chociażby

o chwili takiej jak ta Sissela i ja zamieszkujemy każda swoje uniwersum, opowiedzenie o jednym z

nich zajęłoby godziny, dni, lata, wieczność. Poza tym to niebezpieczne. Stałybyśmy się podatne na

zranienie. Łatwo byłoby nas zabić.

W mojej szkole niektóre dziewczyny twierdziły, że zwierzają się swoim matkom. Uważałam, że to

lekkomyślne. I trochę obrzydliwe, podobnie jak używanie tej samej szczoteczki do zębów czy tych

samych majtek. Z drugiej strony, nie byłam pewna, czy im wierzę.

Matki mówią lub milczą, ale nie słuchają. Nigdy. Nawet wtedy, kiedy człowiek wraca do domu z

siedmioma piątkami na świadectwie. Albo gdy mówi, że wybrano go, by wygłosił przemówienie w

auli, że będzie stał przed stu dwudziestoma rówieśnikami i opowiadał o nazizmie. W takich wypadkach matki zasłaniają uszy rękami i krzyczą, że córki nie mają prawa tego robić, że są głupimi,

naiwnymi ignorantkami, wstrętnymi poszukiwaczkami poklasku, które nic nie rozumieją. Ojcowie

wówczas podnoszą się z miejsca z przekleństwem i znikają na całą noc, a potem nie mówią, gdzie byli.

Sissela spoważniała.

- Wiesz, co myślę - spytała.

- Nie.

Zgasła niedopalek.

- Że niektóre kłopoty są cichsze od innych.

Później, kiedy zmywałam naczynia, próbowałam zwierzyć się sobie samej z tego, co wydarzyło się

między mną a Sverkerem. Tak tylko, żeby poćwiczyć. Tylko po to, żebym sama mogła zrozumieć.

On mnie zabrał, powiedziałam najpierw. Ale to nie wystarczyło. Nic nie mówiło.

Spróbowałam jeszcze raz, podsuwając zatłuszczony talerz pod ciepłą wodę. To było tak Magnus

przyniósł magnetofon. Maud i Anna podniosły stół, a Torsten i Per wynieśli go z pomostu. Ja nie

robiłam nic, stałam tylko i patrzyłam na jezioro, kołysząc się lekko w rytm muzyki. Troszkę pijana.

Sverker podszedł do mnie od tyłu. Nie poprosił mnie do tańca, tylko objął ramionami i przez chwilę

kołysał mnie tak w rytm piosenki, jak ona się nazywała, aha, A Whiter Shade of Pale, a potem obrócił

do siebie, przyłożył policzek do mojego policzka i zaczął tańczyć. Tak, tak to było. Jego policzek przy

moim. Wtedy to się stało.

Co

And the crowd called out for more...

No już przestań!

Ale to stało się właśnie wtedy. Przy ostatniej zwrotce.

Co

Stopiliśmy się. Staliśmy się jednym ciałem. Jednym systemem nerwowym.

A Torsten

Już go nie widziałam.

Ale o tym, co stało się później, nie umiałam powiedzieć. Nawet sobie samej.

Bo jak powiedzieć, że tej nocy się urodziłam, że do tej pory pozwalałam tylko, żeby sekundy, minuty i dni prześlizgiwały się przeze mnie, tak jak najmniejsze cząsteczki kosmosu w każdej sekundzie przenikają moje ciało Nigdy nie byłam do końca pewna, czy naprawdę istnieję. Mogłam

przecież być cieniem, myślą, obrazem, który błyskawicznie przemknął pod powiekami innego człowieka. Jakżeby inaczej Wystarczyło, żebym siedziała w milczeniu przez minutę czy dwie i cały

świat mógł o mnie zapomnieć.

Ale tej nocy byłam. Zaczęłam istnieć.

Sverker potwierdził moją egzystencję swoim ciężarem, nieogolonymi policzkami, niecierpliwymi

rękami, rytmicznym oddechem. Nagle wiedziałam już, czym jest moje ciało. Żywym światem, ciasno

przywartym do innego świata, który jest większy i bardziej szorstki od mojego, ale z tymi samymi

czystymi źródłami, ukrytymi pod językiem, z tymi samymi rozgałęzieniami neuronów.

Jego członek był jak z jedwabiu. Ale tylko z wierzchu.

Ech. Pierwszy lepszy heroinista mógłby stać się równie liryczny na wspomnienie pierwszej działki.

Najpierw człowiek czuje, że żyje, a potem zaczyna się wędrówka ku śmierci.

Poza tym nic nie jest mniej interesujące od starych historii miłosnych.

Kiedy dziewczyny w pudle rozkręcały się na ten temat, ziewałam i szłam się położyć.
Wcześniej

słyszałam już to wszystko tysiąc razy. Kobieta spotyka mężczyznę. Budzi się nadzieja. Mnożą marzenia. Rodzi się zawód. Kruszą iluzje. Płyną łzy.

Sverker przez całe życie tkwił w tej bańce mydlanej, to stamtąd czerpał tlen i pożywkę. Wzór był

zawsze ten sam. Wchodził do jakiegoś pomieszczenia, mogła to być poczekalnia u lekarza, restauracja

albo przyjęcie. W progu zatrzymywał się na chwilę i przesuwiał wokół wzrokiem, jakby kogoś szukał.

Natychmiast ją znajdował. Mogła to być dyżurna pielęgniarka w klinice leczenia bezpłodności, ta o

brązowych oczach i łagodnym głosem, albo zachrypnięta kelnerka, która uśmiechając się do niego,

pokazywała rząd błyszczących zębów, albo nieduża blondynka, narzeczona któregoś z najmłodszych

chłopaków w biurze reklamowym, tego wieczoru akurat w małej czarnej i kabaretkach. Spoglądał na

nią i wydarzał się cud, za każdym razem ten sam. Kobieta przechodziła przemianę.
Zadzierzysta

dyżurna pielęgniarka stawała się miękko zmysłowa, cyniczna kelnerka - nieśmiała i pełna oczekiwania,

młoda blondynka czerwieniła się jak dziewica ponad swoim wyzywającym dekoltem.

Ja stałam obok i wyglądałam jak cielę. Przynajmniej przez pierwsze lata. Później nauczyłam się nie

dostrzegać. Zamiast tego uśmiechałam się do wybranki równie szeroko jak Sverker, ale tylko przelotnie, a potem odwracałam się plecami i zajmowałam czym innym. W poczekalni kliniki leczenia

bezpłodności zanurzałam się w lekturę starych pisemek kobiecych, w restauracji uciekałam do

toalety, żeby przypudrować nos, na przyjęciu chodziłam to tu, to tam i rozmawiałam, rozmawiałam,

rozmawiałam. Nigdy nie było mi trudno znaleźć kogoś do rozmowy. I minęło trochę czasu, zanim

zorientowałam się, że koledzy Sverkera trochę się mnie boją, że wszyscy ci elegancyjcy osobnicy z

branży reklamowej obawiają się dziennikarzy i pogardy, którą - jak im się zdaje - czują do nich ludzie

prasy. Nie robiłam nic, żeby ich uspokoić, przeciwnie, bawiło mnie, jeśli mogłam ich dodatkowo

postraszyć. Unosiłam brwi, kiedy któryś wyjeżdżał z tekstem o tajnikach marketingu, i uśmiechałam

się krzywo na rozmowy o tej czy innej genialnej kampanii reklamowej, pozwalając, aby zrozumieli bez

słów, że nie zamierzam nigdy zapomnieć, iż zdecydowali się poświęcić życie sprzedaży proszku do

prania. W końcu naprawdę mnie nie znosili. Odpowiadało mi to. Wolałam ich brak sympatii niż

współczucie.

Poza tym Sverker znacznie bardziej na nie zasługiwał. Dziś o tym wiem, po sześciu latach

przemysłu. Jego koledzy nie pojęli tego nigdy. Podziwiali go, kiedy podrywał kolejną kobietę, i

zazdrościli, kiedy mu ulegała, myśleli, że naprawdę jest tym cynicznym seksualnym byczkiem, na

którego wygląda. Jednak Sverker był romantykiem. Wprawdzie romantykiem chwili, ale zawsze

romantykiem. Dyżurną pielęgniarkę z kliniki leczenia bezpłodności kochał w chwili, w której po raz

pierwszy ją ujrzał, po zaledwie kilku sekundach zdążył już kupić dla nich obojga żółty dom w Stocksund pod Sztokholmem, dom, w którym mieli razem żyć przez kilkadziesiąt lat, a potem jedno

po drugim umrzeć. Porzucił jednak ów dom w tej samej sekundzie, w której dostrzegł kelnerkę z

łśniącym białym uśmiechem, i zdecydował, że zostanie jednak pisarzem. Kelnerka zostanie jego żoną,

będzie leżeć z głową opartą na jego ramieniu w wielkim, podwójnym łóżu i szeptem opowiadać mu

historie ze swojego tragicznego żywota, historie, które on będzie przemieniał w żarliwą literaturę.

Pomimo to zapominał o swojej muzie w chwili, w której wpadała mu w oko młoda blondynka w małej

czarnej. Oto, dochodził do wniosku, prawdziwa kobieta, przyszła matka jego dzieci, ta, której będzie

mógł wszystko dać i która w zamian podaruje mu to, za czym on najbardziej tęskni. Spokój. Rodzinę.

Wierność. Trzy miesiące później blondynka była głupią i męczącą gęsią, która nigdy nie przestaje

zrzędzić.

Ja nie zrzędziłam. Nigdy. Obserwowałam go w milczeniu i nie mogłam się nadziwić. Rok po roku.

Romans po romansie. Sverker naprawdę wierzył, że któregoś dnia spotka wielką miłość, kobietę,

która stanie się światłem dla jego oczu i podporą dla jego rąk, istotą nadającą sens jego istnieniu,

małą gosposię, która nosi w sobie całe jezioro akceptacji i nieustannie z niego czerpie, po to, by

nawadniać jego usychający ogród.

Ja taką istotą nie byłam. Przynajmniej nie w jego oczach. Przynajmniej nie od czasu naszego ślubu.

Byłam strażniczką, zastępczym superego, tą, która zaprowadza porządek w chaosie i wiąże czas. Nie

od początku to rozumiałam. Minęło wiele lat, nim doszłam do tego, że Sverker tak naprawdę nigdy

nie myśli o mnie w inny sposób, że nie jest nawet zdolny myśleć o mnie tak, jak o innych kobietach. A

mimo to potrzebował mnie tak samo, jak potrzebował ich. Potrzebował wizyt w klinice leczenia

bezpłodności, aby móc wierzyć w istnienie przyszłości. Musiał mieć mnie w kuchni, żeby prowadzenie

szeptem w gabinecie rozmów telefonicznych miało jakiś sens. Musiałam leżeć w sypialni w naszym

domu, żeby on mógł się kochać w wynajmowanych, tanich pokojach hotelowych. Beze mnie wszystko

zamieniłoby się w coś realnego, a rzeczywistości Sverker naprawdę nie znośli.

A co ze mną

Odwracam się w stronę okna i kiwam głową do niewyraźnego odbicia w szybie. No tak. Po sześciu

latach w więzieniu wiem to, o czym wtedy nie wiedziałam. Dostałam, czego było mi potrzeba. A

raczej czego wydawało mi się, że chcę. Pozory. Fasadę, za którą mogłam się schować. Ścianę, przy

której trzeba było milczeć. A do tego wieczną nadzieję na to, że coś, co kiedyś się wydarzyło, stanie

się jeszcze raz. Nie stało się jednak nigdy. Wydarzyło się coś innego.

Kładę się i zamykam oczy.

- Halo - mówi Sissela. - Jesteś tu

Mary mruga oczami. Oczywiście. Jest.

- Powiedziałam taksówkarzowi, żeby poczekał. Tam stoi. Czy oni też jadą

Sissela wskazuje głową Caroline i urzędnika z ministerstwa, nie biorąc pod uwagę, że stoją blisko i

słyszą, jak mówi o nich, tak jakby ich tu nie było. Mary wygląda na trochę zażenowaną i wykonuje

pytający gest w stronę Caroline.

- Nie - odpowiada Caroline. - Wezmę inną taksówkę. Muszę odebrać dziecko z przedszkola.

Tak, oczywiście. Caroline ma trzyletniego syna. Nagle Mary uświadamia sobie, że nie wie, co się

stało z jej skomplikowanym związkiem. Czy Caroline wychowuje teraz dziecko sama Czy dlatego tak

się niepokoii Mary wyciąga rękę i kładzie ją szybko na ramieniu asystentki. To gest pełen poczucia

winy, próba wytłumaczenia i prośba o przebaczenie. Jednak Caroline natychmiast się odsuwa i

zamiast na Mary patrzy na Sisselę.

- Będzie pani towarzyszyła pani minister także wieczorem

Sissela marszczy brwi.

- Gdzie

- W Rosenbad'. Premier chce się z nią spotkać o dziewiątej.

Sissela uśmiecha się entuzjastycznie.

- Sprawii mi to dużą przyjemność.

Caroline waha się.

- Zadzwoii pani do mnie potem

Sissela uśmiecha się. Oczywiście, że zadzwoni.

Sześć lat minęło od ich ostatniego spotkania, ale lekarz się nie postarzał. Czas nie zaprzęta sobie

nim głowy, choć on wydaje się zaprzętać sobie głowę czasem. Sześć lat temu miał dłuższe włosy i był

starannie ogolony, dziś nosi modną krótką szczecinę na głowie

f Rosenbad - siedziba szwedzkiego rządu (przyp.

tłum.).

i na brodzie. Ostatnio miał też chyba okulary Mary marszczy czoło. Nie pamięta.

Badanie trwa już od kilku godzin i zaczyna być zmęczona, przymyka oczy na fotelu dla pacjentów.

W gruncie rzeczy nie miałyby nic przeciw temu, żeby położyli ją do łóżka na tydzień czy dwa, tak żeby

mogła poprzyglądać się jesiennej mgle za oknem. Mimo to zdecydowanie potrząsa głową, kiedy

lekarz proponuje hospitalizację. Nie ma czasu. Musi bronić swojego życia. Jakkolwiek miałyby się

teraz ułożyć.

Gdzieś w tyle Sissela poprawia się na krześle i do nosa Mary dociera słaby zapach nikotyny. Odkąd

znalazły się w klinice Sophiahemmet, Sissela wychodziła na papierosa co najmniej pięć razy. Może

znowu ma ochotę zapalić, ale wie, że musi się powstrzymać do czasu, kiedy lekarz powie to, co ma do

powiedzenia. A on siedzi z brodą opartą na ręce i wpatruje się w ekran swojego komputera, kilka razy

mruga oczami, a w końcu przechyla się do tyłu i potrząsa głową.

- Nie zgadza się - mówi.

- Co się nie zgadza - pyta Sissela.

- Symptomy. Powinna móc mówić.

W tej samej sekundzie lekarz uświadamia sobie, że mówi o Mary w trzeciej osobie, poprawia się

więc, spoglądając na nią z przepaszającym uśmiechem.

- Pani powinna móc mówić.

W odpowiedzi Mary rozkłada ręce z rezygnacją. Przepraszam, ale naprawdę nie mogę mówić. Tyle

tylko może powiedzieć, nie ma innych gestów, które mogłyby wyjaśnić, że nie próbowała dziś mówić i

nie zamierza próbować.

- Tomografia komputerowa nie wykazuje żadnych anomalii. Ma pani prawidłowe EEG. Jak również

EKG. Żadnych zaburzeń krążenia, z tego, co widzę, żadnych symptomów epilepsji.

- A migrena Ostatni raz mówili państwo, że to rzadko spotykana forma migreny, Mary mi o tym

opowiadała.

Sissela zdaje się nie zwracać uwagi na to, że i ona mówi o Mary w trzeciej osobie. Lekarz lekko

kręci głową.

- No tak. Oczywiście. To rzadkość, ale rzeczywiście tak się zaczęło. Jednak spowodowane migreną

zaburzenia mowy nie trwają trzy tygodnie, przechodzą po mniej więcej dobie, więc to musiała spowodować jakaś inna przyczyna...

- Jaka

Lekarz krzywi się lekko.

- Podejrzewam, że to objaw czynnościowy.

- Co to znaczy

Mężczyzna uśmiecha się przepaszająco i rysuje w powietrzu cudzysłów.

- Histeria. Jak to się kiedyś mówiło.

Mary wybucha śmiechem, ale szybko zasłania usta ręką.

- To jakaś bzdura - mówi Sissela.

Otwieram oczy i wpatruję się w sufit. Co się ze mną dzieje Dlaczego leżę tu, wyobrażając sobie

różne rzeczy Jestem wolna i mogę zrobić, co chcę. Mogę na przykład wyjść.

Myśl i ruch stają się jednością. Po sekundzie ubrana i gotowa stoję już przy drzwiach pokoju hotelowego i sprawdzam, czy w torbie jest portfel i karta wejściowa do pokoju. Potem podbiegam do

windy i podniecona naciskam kilka razy guzik po to, żeby odkryć, że winda już stoi. Kiedy zatrzymuje

się na parterze, przyciskam się do drzwi, gotowa wybiec, jak tylko się otworzą.

Dopiero po wyjściu na ulicę zatrzymuję się i wciągam głęboko oddech, a potem stoję, nie wiedząc

dokładnie, w którą stronę iść. Jednak waham się tylko przez parę sekund, potem podnoszę kołnierz

kurtki i ustawiam się przed przejściem dla pieszych. Pójdę oczywiście do Rosenbad.

Kiedyś czułam się tu jak w domu. Byłam młodą reporterką polityczną, która sądziła, że byt ma

swoje centrum, a życie staje się tym prawdziwsze, im bliżej władzy człowiek się znajdzie. Zatem

przynajmniej kilka razy w tygodniu kręciłam się po siedzibie rządu, węsząc w poszukiwaniu nowych

wiadomości. Moja płeć dawała mi przewagę nad konkurencją, mój wiek także. Uśmiechałam się z

podziwem do panów polityków i z ufnością przytakiwałam wysokim urzędnikom, znosiłam to, że

pouczają mnie w oczywistych kwestiach i że mówią szczególnie wyraźnie, żebym dobrze zrozumiała.

Kiedy odwracali się plecami, wślizgiwałam się do ich sekretarek i zamieniałam w ich dobrą koleżankę

(Jaka ładna marynarka! Gdzie ją pani kupiła Czy to prawda, że pan minister jest skłócony z ministrem

do spraw socjalnych) tylko po to, by potem sunąć dalej i z szacunkiem pukać do drzwi rejestratora,

zanim popędzę do parlamentu. Czasami zdarzało się, że po drodze natykałam się na jednego czy

dwóch ministrów, ale pomimo to, że zawsze ich z uśmiechem pozdrawiałam, tylko jeden członek

rządu zwykł się zatrzymywać. Sam premier. Ówczesny premier.

Za pierwszym razem niemal mnie sparaliżowało. Byłam wtedy początkującą dziennikarką.

Pracowałam w gazecie zaledwie od kilku miesięcy i wciąż jeszcze trochę mnie zaskakiwało, że ludzie

władzy naprawdę istnieją. Kilka dni wcześniej byłam na moim pierwszym w życiu lunchu prasowym w

Rosenbad. Wymieniłam z premierem uścisk ręki, ale byłam zbyt onieśmielona, żeby go o coś zapytać.

Może mnie nie zapamiętał. Mimo to cała się rozpromieniłam, kiedy zobaczyłam, jak idzie powoli

przez most Riksbron. Dzień był ciepły i premier rozluźniał ubranie, które tego dnia, podobnie jak we

wszystkie inne dni, wyglądało tak, jakby się w nim przespał. Pociągnął za krawat, jakby ten go dusił, i

usiłował rozpiąć najwyższy guzik koszuli, ale nagle wstrzymał się i odpowiedział na mój uśmiech.

- Witam - powiedział. - Panią Mary. Albo Marie.

Zatrzymałam się w odległości kilku kroków od niego. Rozmawia ze mną premier, pomyślałam.

Muszę go o coś spytać. Jednak nic nie przyszło mi do głowy, za to on zadawał pytania.

- Przepraszam, ale nie jestem pewien, jak ma pani na imię. Mary Czy może Marie

- Do wyboru - powiedziałam bez tchu.

- Do wyboru

- Przyjaciele nazywają mnie MaryMarie.

Zmarszczył czoło.

- Podwójne imię

Uśmiechnęłam się.

- Można tak to ująć.

Odpowiedział uśmiechem. Próbuje mnie poderwać Ta myśl zawstydzila mnie, pochyliłam się i

wpatrzyłam w czubki swoich butów.

- Chce pani jakiegoś newsa

Znowu podniosłam wzrok, powstrzymując się w ostatniej chwili od odruchu dygnięcia.

- Tak, proszę.

Roześmiał się i ruszył dalej. Poszłam za nim.

- To nic wielkiego - powiedział.

- Nie szkodzi - odparłam. - Ucieszę się nawet z czegoś małego.

Spojrzał na mnie z ukosa, oczy mu się zaiskrzyły. I tak zostaliśmy przyjaciółmi.

Tak, śmiem tak twierdzić. Byliśmy przyjaciółmi na sposób, w jaki przyjaźnią się nieznajomi. Chociaż

spotykaliśmy się nie częściej niż raz w roku i zawsze przypadkiem. Szliśmy razem wzdłuż

Drottningatan, w drodze z kancelarii rządu lub do głównej siedziby partii. Siedzieliśmy w milczeniu

obok siebie w jego gabinecie po oficjalnym wywiadzie, słuchając w radiu audycji Wiersz Dnia.

Odchodziliśmy nieco na bok podczas spotkania informacyjnego dla prasowych komentatorów politycznych i rozmawialiśmy cicho o powieści, którą oboje czytaliśmy i która nas poruszyła.

Może miał wielu takich przyjaciół. A może nie. Nie wiem.

Wiem za to, że plotkowano o nas, rozpowiadano, iż jestem jego kochanką. Nie byłam nią. Jednak

nie zrobiliśmy nic, żeby to zdementować, ani ja, ani on. Może ta plotka była dla niego tak samo

korzystna, jak dla mnie. Zwłaszcza kiedy po wielu latach nareszcie dotarła do branży reklamowej.

Tego wieczoru Sverkerowi drżała ręka. Widziałam to, kiedy nalewał wino.

- Jak się miewa premier - spytał.

- Dziękuję, dobrze - odparłam, wbijając wzrok w mój kotlet jagnięcy. Nie żebym wiedziała cokolwiek na ten temat, nie widziałam premiera od wielu miesięcy. - Doskonale.

Sverker opadł na krzesło i spojrzał na mnie. Nagle obecny. Nagle dostrzegający. Jedną ręką podniósł kieliszek wina, a drugą wyciągnął w moją stronę.

- Słuchaj - powiedział. - Jesteśmy razem, prawda

Podniosłam swój kieliszek, spojrzałam mu w oczy i uśmiechnęłam się.

- Dobrze wiesz - odparłam. - Zawsze.

możliwe diagnozy

„Wprawdzie ciało przemawia do nas zagadkami, ale tylko po to, by ujawnić tajemnicę, nie zdradzając jej. To niekończąca się opowieść o różnicach między płciami i próba ich przewyciężenia.

To wysublimowana i wieloznaczna pieśń o tragizmie niemożliwych spotkań, o pokusie, radości,

wszystkich próbach.

Irene Matthis, Myślące ciało

„Wpływ dziecięcych sadystycznych wyobrażeń na osobowość tworzy fundament poziomu perwersji w charakterze, która w ciągu życia rozwija się w każdym człowieku. Charakter perwersyjny

ujawnia się w większej lub mniejszej tendencji do poszukiwania raczej podniet niż pożądania oraz

raczej kłamstwa niż prawdy. Z takich źródeł pożywkę i inspirację czerpie przemoc. Wybory te, jeśli się

im bliżej przyjrzeć, zawsze charakteryzuje próba uniknięcia doświadczenia zależności. Mówiąc o

perwersji, mam więc na myśli obronę przed intymnością i zależnością, która sprawia, że związki z

innymi budowane są na uprzedmiotowieniu i wrogości.

Ludvig Igra, Cienka granica pomiędzy opieką a okrucieństwem

Any shame in going to prostitutes is subordinated to another important norm in male society, namely having many different sexual experiences. Thus for example, one can see a clear pattern in

the 1996 Swedish study that the experience in paying for sex is greatest among men with a lot of

sexual partners (Mansson 1998:240). This is probably a fact that goes against the popular notion of

the client as being „lonely and „sexually needy. In the North American study, mentioned before,

approximately three out of every hundred men who had at least three partners in the past year said

that they had paid someone for sex. Essentially no one who had fewer than three partners in a year

paid for sex (Michael et al. 1994:196). Similarly, sociologist Martin A. Monto, who compared his

sample of 700 clients to a national sample of North American men, found their clients were much

more likely than men in general to report that they had more than one partner over the past year, 59

percent as compared to 19 percent (Monto 2000:72). Furthermore in the Swedish study it was also

noted that men with prostitution contacts seem to have greater problems than others in maintaining

regular relationships with women. There are more divorces and broken-off cohabitation

relationships among this group than among non-purchasers (Mansson 1998:240).

Sven-Axel Mansson, Men's Practices in Prostitution. The Case of Sweden (2001)

„W tym miejscu należałoby sobie przypomnieć tak często wysuwaną kwestię, czy symptomy histeryczne mają genezę psychiczną, czy somatyczną, jeśli zaś mamy do czynienia z tym pierwszym,

to czy na mocy konieczności wszystkie one muszą być uwarunkowane psychicznie. Pytanie to,

podobnie jak wiele innych, które daremnie oczekują odpowiedzi od starającego się je uzyskać badacza, jest nieadekwatne do sytuacji. Prawdziwy stan rzeczy nie zawiera się w alternatywie tego

pytania. O ile mam właściwe widzenie sprawy, stwierdzam, że każdy symptom histeryczny wymaga

wkładu obu stron. Nie może on zaistnieć bez zbieżności somatycznej, jakiej dostarcza normalny czy

patologiczny proces, przebiegający w jakimś narządzie ciała. Zachodzi on nie częściej niż raz - a do

specyfiki symptomu histerycznego należy zdolność powtarzania się - jeśli nie ma znaczenia psychologicznego, sensu. Symptom histeryczny nie przynosi tego sensu ze sobą - jest on mu użyczany, niejako przylutowany do niego, i w każdym wypadku może być inny, w zależności od

charakterystyki walczących o formę wyrazu stłumionych myśli.

Sigmund Freud, Histeria i lęk.

Fragment analizy pewnej hysterii

„Narcyzm sam w sobie nie jest czymś nienormalnym ani chorym. Wszyscy ludzie, aby przeżyć,

muszą mieć dozę miłości własnej, i wszyscy po to, by ową miłość własną utrzymać, potrzebują

uznania innych. Wszyscy ludzie mają również lepiej lub gorzej ukryte

Sigmund Freud, Histeria i lęk, przełożył Robert Reszke, Warszawa 2001.

wyobrażenie o swojej wyższości (nierealistyczne przeświadczenie o własnej wielkości i lub talencie),

jak też wszyscy doświadczyli urażenia godności własnej. Wywyższanie się oraz nienawiść do siebie i

wstyd to dwie strony tego samego medalu. Problem pojawia się, kiedy potrzeba potwierdzenia staje

się obsesją, a życie niekończącym dążeniem do udowodnienia własnej wyższości, po to, by nie

zwyćzył lęk przed odrzuceniem przez siebie samego.

Johan Cullberg, Psychiatria dynamiczna

cienie

Kiedy idziemy przez park Rosenbad, mam wrażenie, że ją widzę.

Stoi w cieniu pod drzewami, ale mogę jedynie rzucić w jej stronę szybkie spojrzenie. Sissela idzie

obok mnie i chociaż zazwyczaj jest lojalna i można na nią liczyć, wiem, że nasza przyjaźń ma swoje

granice. Sissela nie znosi rzeczy, których nie da się uchwycić i zrozumieć. Gdyby się dowiedziała, że

mam ochotę zostać chwilę w parku, żeby przyjrzeć się osobie, którą byłabym w innym życiu,

natychmiast puściłaby moje ramię i wyjaśniła, że czas na wariatkowo. I mówiłaby serio.

Może i tak czuje się już mną zmęczona. Kiedy wyszliśmy z kliniki, niechęć westchnęła.

Zaniepokoiło mnie to.

- Chcesz jechać do Bromma, do domu - zapytała, kiedy wsiadliśmy do taksówki.

Przez chwilę się wahałam, a potem pokręciłam głową. Nie. Nie chcę do domu w Bromma. Nie, jeśli

mogę tego uniknąć.

- Okej - powiedziała Sissela. - W takim razie jedziemy do mnie.

Dom Sisseli wygląda jak Sissela. Wszystko jest czerwono-czarno-białe. Wszystkie meble i

przedmioty lśnią czystością. Zlewozmywak błyszczy. Lodówka jaśniej. Kuchenka wygląda tak, jakby

jej nikt nigdy nie używał. To zresztą dość prawdopodobne przypuszczenie. Sissela mieszka w tym

mieszkanii od ponad dziesięciu lat, ale nigdy nie interesowała się gotowaniem. Żyje owocami,

słodyczami i papierosami. I - od czasu do czasu - jakimś oficjalnym lunchem.

Kiedy tu byłam ostatnio próbowałam sobie to przypomnieć, odwieszając płaszcz. W ostatnich latach spotykałyśmy się z Sisselą wyłącznie na mieście. Zjadałyśmy razem lunch. Szłyśmy do kina lub

teatru. Biegałyśmy po sklepach w sobotnie przedpołudnia, służąc sobie wzajemnie radą. Ale tutaj

Całe wieki tu nie byłam. Przynajmniej jeśli wieczność to jakieś cztery lata. Bo to było chyba wtedy,

kiedy Klub Bilardowy Przyszłość świętował wspólnie sylwestra

Sylwester od samego początku należał do Sisseli, tak jak midsommarowy weekend należał do

Maud. Za pierwszym razem oficjalnie byłam współorganizatorką, ponieważ dzieliłyśmy z Sisselą

mieszkanie, ale w praktyce był to jej wieczór, i tylko jej. Już na początku grudnia Sissela zaczęła

pisywać jakieś tajemnicze listy, a kiedy kilka tygodni później spytałam, czy pojedzie ze mną do Nassjó

na Boże Narodzenie, kategorycznie odmówiła. Miała zdecydowanie za dużo roboty.

- Ale Wigilia - powiedziałam. - Będziesz tu siedziała w Wigilię sama

Uniosła brwi.

- Tak, a co

- Nie będzie ci nudno

Uśmiechnęła się.

- Pytasz, czy nudniej niż w Nassjó Nie. Nie ma ryzyka. Poza tym jest na pewno coś dobrego w telewizji.

Lekko westchnęłam. W każdym razie warto było podjąć próbę. Nie tęskniłam za Bożym Narodzeniem, sama myśl o spędzeniu trzech i pół dnia w towarzystwie Herberta i Renate powodowała pieczenie w dołku. Zadzwoiłam do nich raz na początku semestru. Odebrał Herbert i

wymamrotał, że nie, mama nie może podejść do telefonu, leży w łóżku i zostanie jutro wysłana do

sanatorium, tak naprawdę to leży w łóżku od czasu mojej wyprowadzki do Sztokholmu. Potem zrobiło

się między nami cicho, tak cicho, że słyszeliśmy echo jakiejś innej rozmowy na linii. Minęła chwila,

nim zrozumiałam, że Herbert odłożył słuchawkę. Później przez kilka miesięcy nie miałam odwagi

zadzwoić, ale wysłałam trzy pocztówki z tradycyjnymi motywami sztokholmskimi. We wrześniu

ratusz, w październiku zamek, a na początku listopada fontanna na Sergels torg. Nie dostałam żadnej

odpowiedzi, ale też na nią nie czekałam. Teraz miałam jednak jechać do domu na święta. Do domu na

trzy i pół dnia ciszy przed telewizorem.

Zanim włożyłam płaszcz, długo stałam w drzwiach mojego pokoju. Kochałam go, chociaż miał

popękany piec kafłowy i wytartą wykładzinę. Za to na ścianach była zblakła tapeta w kwiatki, w

wykuszu stało białe krzesło z podłokietnikami, które pozwolono mi zabrać z domu, a dalej pod ścianą

biurko; znalazłam je w sklepie z używanymi tanimi meblami i pomalowałam na odcień starej bieli. Był

to najpiękniejszy pokój świata. I mój. Tylko mój.

Sissela i ja wbrew wszystkiemu zdobyliśmy własne lokum mimo panującego w Sztokholmie kryzysu mieszkaniowego. Umowa wprawdzie obowiązywała do czasu wyburzenia budynku, ale

zawsze była to umowa. Sissela szalała ze szczęścia, kiedy dostałyśmy wiadomość, i raz po raz tłumaczyła mi, że to zupełnie niepojęte szczęście, równie nieprawdopodobne jak wygranie na loterii

kilku tysięcy koron, i że ja - jako osoba ze wsi - muszę przecież pojąć, że to zupełnie nadzwyczajne i po

prostu fantastyczne.

Było to dwupokojowe mieszkanie w budynku o nieszczelnych oknach na Söder, bez ogrzewania,

cieplej wody i prysznic. Toaleta mieściła się w komórce o powierzchni jednego metra

kwadratowego, ze zbiornikiem na wodę pod sufitem i spłuczką na łańcuszku; drewniana deska

sedesowa była popękana, a na ścianach łuszczyła się farba. W kuchni znajdował się stary piec na

drewno, w którym nie dało się palić. Już pierwszego dnia zainwestowałyśmy wspólnie w maszynkę

elektryczną, wystarczająco dużą, by podgrzać zarówno wodę na kąpiel, jak i na herbatę. Pod koniec

września doszłyśmy do wniosku, że zima będzie mroźna, i kupiłyśmy dla każdej z nas po elektrycznym

piecyku. Niewiele to pomogło, ale już na początku listopada przyzwyczyłyśmy się do spania w dwóch

bluzach i grubych skarpetach.

Jednak żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia. Rozkoszowałyśmy się naszym nowym domem,

kochałyśmy każdy zniszczony centymetr kwadratowy. Sissela wybrała sobie duży pokój i malując

ściany na czerwono, przerobiła go na modernistyczny buduar. Nie chciała żadnych używanych,

starych mebli ani zniszczonych chodników, jak te w moim pokoju. Pragnęła, żeby było prosto i

elegancko. W rezultacie umeblowanie jej pokoju składało się jedynie z materaca, starego telewizora

oraz białej skrzynki na ubrania z Ikei. A do tego kilka metrów luksusowej tkaniny z Marimekko.

- Jeśli nie stać mnie na to, co najlepsze, nie kupuję nic - wytłumaczyła.

Zdecydowanie nie było jej stać na to, co najlepsze, chociaż co wieczór pracowała na czarno w budce z kiełbaskami na Odenplan. Pożyczka na studia szła na wynajem mieszkania i książki, a poza

tym każdy zarobiony grosz inwestowała w całkowitą odnowę siebie samej. W ciągu trzech miesięcy

zdążyła nabyć sześć par majtek tak olśniewająco białych, że kiedy wyjmowała je z opakowania, aż

zmrużyłam oczy, trzy równie białe staniki, trzy pary czarnych skarpetek, dwie bluzki, sweterek z

jagnięcej wełny, dzinsy, elegancką sukienkę hinduską, pikowaną kurtkę i klasyczny zegarek. Nie od

razu zaczęła nosić nowe ubrania, wisiały rzędem, z dyndającymi metkami, na ścianie jej pokoju aż do

wtorku w połowie listopada, kiedy to Sissela poszła do fryzjera i wróciła krótko ostrzyżona. Nazajutrz

rano opiłowała paznokcie, pociągnęła je bezbarwnym lakierem, ubrała się i stanęła w drzwiach

mojego pokoju jako najbardziej schludna dziewczyna świata. Przynajmniej jeśli nie patrzyło się na

podartą reklamówkę w jej prawej ręce. Pomachała nią.

- A teraz wywalę to gównu!

Siedziałam zawinięta w koc na łóżku i usiłowałam się obudzić.

- Co wywalisz

- Gównu. To, co dostałam z domu. Majtki, w których musiałam łaźić od czternastego roku życia.

Ohydny, żółty stanik! Paskudną czarną spódnicę! Teraz całe to gównu zniknie. Na śmietnik z tym.

Gdybym tak dobrze jej nie znała, pomyślałabym, że zaczyna płakać. Oczy jej błyszczały.
Trzęsła się

dolna warga. Ale Sissela nie płakała. Sissela nie należała do tych, co płaczą. Nie ta Sissela,
którą

poznałam najpierw, ani też ta, która stała przede mną ubrana w nowe džinsy, granatowy
sweterek z

jagnięcej wełny i białą bluzkę. Owinęłam koc ciaśniej wokół ramion i popatrzyłam jej w
oczy.

- Wyglądasz świetnie. Naprawdę.

Uważnie mi się przyjrzała, szukając w mojej twarzy śladów niejednoznaczności czy ironii. Po
kilku

sekundach uspokoiła się i uśmiechnęła.

- Na pewno

- Na sto procent.

Zaczerpnęła tchu, szykując się do następnego pytania.

- Nie wyglądam biednie

- Nie - zapewniłam. - Nie wyglądasz ani trochę biednie.

Przy śniadaniu nie mogła przestać mówić. Trzymała kubek w obu rękach, jej słowa spływały
do

herbaty. Teraz zacznij zbierać na świętowanie Nowego Roku. Będzie musujące wino i pół
homara na

przystawkę. Co najmniej. Wyjmie z zawiasów drzwi do kuchni i położy na kilku książkach,
zamieniając

całość w niski stół, potem poukłada na podłodze poduszki, żebyśmy mieli na czym siedzieć.
Wino

będzie serwowane w białych papierowych graniastych kubeczkach, wszędzie takich pełno na uniwersytecie, zaczęła już je zbierać, po kilka sztuk dziennie. Nie szkodzi, że nie są z prawdziwego

szkła, najważniejszy jest i tak biały kolor, a...

Przytakiwałam z podziwem. Zaczynałam rozumieć, że stosunek Sisseli do przedmiotów jest znacznie bardziej wyrafinowany i przemyślany niż mój. Dowodem na to był chociażby fakt, że dostała

się jednocześnie do Wyższej Szkoły Wzornictwa Przemysłowego i na architekturę na politechnice. To,

że zrezygnowała z obu tych miejsc, było w jakiś zagadkowy sposób imponujące, nawet przez chwilę

nie wątpiłam, że Sissela wie, co robi, zapisując się ostatecznie na historię sztuki na uniwersytecie.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaby się bać. Sissela nie mogła się bać. Miała odwagę na

wszystko.

Ja sama dostałam się do Wyższej Szkoły Dziennikarstwa i przez cały semestr jesienny każdego

ranka budziłam się przepelniona szczęśliwym wyczekiwaniem nadchodzącego dnia. Wiedza po prostu

wpływała we mnie, nic nie wydawało się ani trudne, ani niemożliwe. W dodatku na studiach znalazłam przyjaciół. Prawdziwych przyjaciół. Własnych przyjaciół. Kiedy wieczorami wślizgiwałam się

pod pikowaną kołdrę i krzyżowałam stopy na butelce z ciepłą wodą, którą zawsze miałam w łóżku,

zamykałam oczy i myślałam o nich. Annika, Goran, Birgitta, Svante. Zdawali się mnie lubić. W gruncie

rzeczy miałam wrażenie, że lubią mnie bardziej, niż ktokolwiek kiedykolwiek lubił mnie w domu w

Nassjő. Czy chodziło tylko o to, że byliśmy do siebie podobni, że wszyscy tak bardzo przeżywalismy, że

to my jesteśmy przyszłymi dziennikarzami A może wiązało się to jakoś z Klubem Bilardowym

Przyszłość Czy z przyjaźnią jest tak jak z miłością że ten, kto ma już przyjaciół, z łatwością zdobywa

nowych, tak jak ten, którego kiedyś ktoś kochał, będzie też kochany przez innych Tak. Zaczynałam w

to wierzyć. Gdyby ktoś w domu w Nassjő mnie kochał, inni też by mnie kochali. I gdybym miała

jednego przyjaciela, zaraz miałabym ich więcej. Teraz miałam przyjaciół. Dokładnie siedmioro,

choć trochę się wahałam, czy umieścić na tej liście Maud.

Mimo to nie miałyśmy z Sisselą wiele kontaktu z resztą Klubu Bilardowego Przyszłość od naszego

rozstania po obchodach Midsommar. Anna przysłała list z Uppsali, napisała, że studiuje romanistykę

na uniwersytecie, a Per jest w wojsku w Boden. Któregoś dnia Sissela wpadła na Dworcu Centralnym

na Torstena. Wyglądał ponuro, kiedy opowiadał, że odbywa zastępczą służbę wojskową w remizie

strażackiej w Vaxholm. Ja sama po kilku dniach katuszy zadzwoniłam w końcu listopada do domu

rodziców Sverkera. Odebrała Maud. Obojętnie przyjęła moje zaproszenie na sylwestra i wyjaśniła, że

niestety, nie może jeszcze odpowiedzieć, czy będzie, ale da znać. Co robił Magnus Oczywiście tkwił

w wojsku. Tak samo jak Sverker.

Nie odezwał się do mnie nawet słowem. Latem, kiedy mieszkaliśmy z Sisselą same w domu w

Nassjő, podczas gdy Herbert i Renate milczeli sobie w naszym domu letniskowym, czekałam nieustannie. Po powrocie do domu z kiosku z kielbaskami, gdzie miałam swoją letnią pracę, biegłam

truchtem do skrzynki pocztowej i nakazałam Sisseli, żeby nie ruszała się z domu i od telefonu, kiedy

mnie nie ma. Kiedy Sissela szła na wieczorną zmianę do tej samej budki z kiełbaskami, niemal bałam

się pójść do ubikacji, bo mógłby w tym czasie zadzwonić Sverker. Jednak telefon wciąż milczał, nawet

gdy któregoś sierpniowego dnia wsiadłyśmy z Sisselą do pociągu, by pojechać do Sztokholmu, telefon

nadal nie zadzwonił.

Jesienią Sverker zamienił się w senne marzenie. Dosłownie. W ciągu dnia zapominałam o nim -

bez sensu było czekać, że się odezwie, nie miałyśmy telefonu, a Sverker nic nie wiedział o moim

nowym adresie - ale nocą nie mogłam się przed nim obronić. Czasami szedł do mnie z otwartymi

ramionami, czasami z ręką uniesioną do uderzenia. Byłam równie przerażona jednym, jak i drugim.

Kiedy mnie przytulał, zaczynał płonąć dom, kiedy uderzał, otwierała się ziemia, kiedy całował, wielkie

pęcherze jak od oparzenia wyskakiwały mi na piersiach.

Jednak na sylwestra przyjechał. Żywy. Prawdziwy. Ubrany w mundur Artylerii Nadbrzeżnej stanął

w drzwiach do czerwonego pokoju Sisseli i rozłożył ramiona.

- Sissela! - wrzasnął. - Ślicznotko!

Sissela też rozłożyła ręce, aż szerokie rękawy jej hinduskiej sukienki zafurkotały niby anielskie

skrzydła. Z tyłu za nią uśmiechali się Anna i Magnus, a Per chrząkał, poprawiając krawat. Stałam z

Torstenem daleko w głębi, w czerwonym kącie, ale kiedy Sverker przekroczył próg, zrobiłam krok do

przodu. I w tej właśnie sekundzie zobaczyłam, że nie jest sam. O ścianę w przedpokoju opierała się

dziewczyna o umalowanych na czarno oczach, która powoli obracała w ustach gumę do żucia. Żaden

dom nie zaczął płonąć, nie otworzyła się ziemia, a na moich piersiach nie wyskoczyły pęcherze. Ale

stanęłam w pół kroku.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu, jakiś rozbawiony głos zanucił w ucho

And her face, at first just ghostly, turned a whiter shade of pale...

Odwróciłam głowę. To był Magnus.

Szklane drzwi Rosenbad połyskują w ciemności. Sissela zatrzymuje się.

- Jest dopiero za piętnaście dziewiąta - mówi. - Nie za wcześnie

Zerkam w stronę cieni pod drzewami. Marie wciąż tam stoi, ale podniosła kołnierz kurtki i

przytrzymuje go pod brodą. Może marznie. Przechodzi mnie dreszcz, ale odwracam się do Sisseli i

potrząsam głową. Nie jest za wcześnie. Dostanie się do kancelarii ministra wymaga sporo czasu,

nawet dla członków rządu. Zwłaszcza jeśli nie mogą mówić własnym głosem.

Sissela nigdy wcześniej nie była w Rosenbad. Zatrzymuje się i rozgląda po foyer, a potem kiwa

głową z aprobatą. Przytakuję. Tak, jest pięknie. Marmur. Rzeźby. Szkło i mosiądz. Wiem jednak, że to

tylko początek, że ten pałac władzy jest tym piękniejszy, im głębiej człowiek wchodzi. Jako młoda

reporterka sądziłam, że przypomina to las o zmroku. Wykładziny w najjaśniejszym odcieniu błękitu

wsysały i wyciszały wszystkie dźwięki, ściany w tym samym odcieniu zmieniały światło w półmrok.

Nawet najbardziej podnieceni z podnieconych dziennikarzy ścisiali głos po wejściu w błękitne

korytarze, nie z czci dla władzy, ale z szacunku dla ciszy.

Dziś wygląda tu inaczej. Jaśniej. To, co kiedyś przypominało las, teraz stało się górą. Rosenbad

zmienił się w zamek Króla Wzgórza, zamknięty pałac, w którym drzwi otwierają się w zaskakujących

miejscach, odsłaniając lśniące białością marmury, złotą brzozę i kwiecisty kreton, by po chwili

ponownie szybko się zatrzasnąć. Pod ziemią wije się potężny labirynt przejść i korytarzy, który łączy

Rosenbad z różnymi ministerstwami. Unosi się tu echo szybkich kroków i ludzkich głosów, ale w

samym wnętrzu góry nadal jest bardzo cicho. Jednak to inna cisza niż kiedyś. Inna od ciszy lasu. To

cisza oczekiwania, która pojawia się, kiedy tylko jedna osoba wie, co się wkrótce wydarzy.

Sissela to wyczuwa. Ma stłumiony głos, kiedy pokazuje strażnikowi swoją legitymację i tłumaczy,

że należy ją traktować jako pomocnicę osoby niepełnosprawnej. Pani minister do spraw pomocy

rozwojowej nie może mówić, więc Sissela musi iść razem z nią, żeby mówić za nią. Strażnik obraca w

palcach małą plastikową kartę, potem zamyka okienko i do kogoś dzwoni. Nie słyszymy, co mówi, ale

w trakcie rozmowy lekko się do mnie uśmiecha, przelotny, krótki uśmiech, który zapewnia, że

oczywiście strażnik mnie rozpoznaje i jest mu przykro, że regulamin zmusza go do skontrolowania

mojej przyjaciółki. W odpowiedzi rozciągam lekko kąciki ust. Nie jest to prawdziwy uśmiech, tylko

małe zapewnienie, że wcale się nie obraziłam. Odrobiłam lekcje. Jestem ministrem szwedzkiego

rządu, ale wcale sobie nie wyobrażam, że jestem kimś ważnym.

Musimy przejść ze strażnikami jeszcze obok dwóch szklanych akwariów, nim dotrzemy do korytarza premiera. Jest niemal pogrążony w mroku, jedna mała lampka wskazuje drogę do pokoju

sekretarki. Staję w progu, za moimi plecami wyrasta Sissela. Mija chwila, nim sekretarka usłyszy, że

już jesteście. Kiwam głową, szukając w jej oczach znaku, co się ze mną stanie, ale nie znajduję nic, jej

wzrok lśni jak srebro.

- Och - mówi, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że zostałam wezwana. - Oczywiście.

Przestępujemy próg. Sekretarka zerka na Sisselę i marszczy czoło.

- Przepraszam, ale kim pani jest

Sissela wyciąga rękę.

- Sissela Oscarsson. Jestem dobrą przyjaciółką MaryMarie. Ona nie może mówić. Będę jej pomagać.

Sekretarka unosi brwi.

- I zamierzała pani wejść do pana premiera razem z panią minister

Sissela przytakuje. Właśnie tak.

- Czy jest pani dziennikarką

Robię krok naprzód i potrząsam głową, ale sekretarka na mnie nie patrzy. Sissela robi się nagle

zdeenerwowana, najpierw grzebie w swojej torbie, potem w portfelu, aż wreszcie wyjmuje wizytówkę.

- Kustosz muzealny - mówi bez tchu.

Sekretarka rzuca okiem na wizytówkę, a potem wykonuje drobny gest ręką.

- Proszę usiąść - mówi. - To może chwilę potrwać.

Potem otwiera tajemne drzwi i znika gdzieś we wnętrzu góry.

Przez pierwsze pół godziny siedzimy niemal bez ruchu. Sissela wpatruje się w nocne ciemności za

oknem, a ja przyglądam się swoim zaciśniętym dłoniom. Są białe i cienkie, prawie przezroczyste.

Czy to moja ostatnia godzina w roli ministra A jeśli tak, to czy jest to strata godna żalu

Wzdycham bezgłośnie. Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia, czy będzie to dla mnie druzgoczący

wstyd, czy wyzwalająca ulga.

Co zrobiłam w ciągu przeszło dwóch lat na stanowisku ministra

Prowadziłam zebrania komisji. Naradzałam się. Czytałam. Mówiłam. Podróżowałam.

Komisje były nudne, ale znośne. Kilka razy w tygodniu zasiadałam z pięcioma czy sześcioma urzędnikami ministerstwa wokół stołu w moim gabinecie, przeglądałam ich szczegółowe notatki

służbowe i słuchałam nieskończenie uprzejmych i równie nieskończenie bezosobowych głosów.

Żadne z nas nie udawało, że świat na zewnątrz się zmienił, że bieda i pomoc w biedzie nie stały się

uciążliwym kłopotem, który obecnie omawiany jest głównie w aspekcie imprez charytatywnych i

uroczystych przemówień, podczas gdy biedni stają się jeszcze biedniejsi i bardziej anonimowi. A

zatem z wielką powagą dyskutowaliśmy projekt za projektem i jeszcze kolejny projekt. Tylko raz

zasnęłam z czystego znużenia. To był późny wieczór zimy zeszłego roku, nagle zamknęły mi się

oczy, a dłoń się otworzyła i na ziemię zsunął się długopis i notatka służbowa. Dwóch urzędników

sięgnęło po nie jednocześnie, ten ruch obudził mnie i sprawił, że szybko wyprostowałam plecy.

Wszyscy udawali, że nic się nie stało, zebranie komisji toczyło się dalej i po jednym stłumionym głosie

wypowiadał się następny.

Narady rządu były inne. Z założenia niefrasobliwi, zbieraliśmy się kwadrans wcześniej, sięgaliśmy

po filiżanki z kawą, które stały na małym stoliku, i udawaliśmy, że plotkujemy i żartujemy, maczając

ostrożnie herbatniki w czarnym płynie. Patrzcie, jak świetnie dziś wygląda Erika, była w telewizji

śniadaniowej i nie zmyła makijażu! Słyszeliście, że liberałowie zamierzają w poniedziałek przedstawić

nowe propozycje podatkowe To się nazywa kiepskie wycucie chwili! A w grupie parlamentarnej

chrześcijańskich demokratów jakaś rewolucja, naprawdę, słyszałem o tym z pewnego źródła. Ci

najbardziej religijni są zawiedzeni posunięciami przewodniczącego w zakresie polityki rodzinnej, a

sam przewodniczący jest wściekły, że zwolennicy nie stają murem w jego obronie. Ale czego on

oczekuje Powinien zrozumieć, że już czas, żeby sobie radzić samemu! Król Wzgórza stał uśmiechnięty pośrodku naszej grupy. Od czasu do czasu jego bas przeszywał bezładny gwar, śmialiśmy się wtedy jeszcze bardziej hałaśliwie, ale to nie zawsze pomagało. Czasami i tak mrużył

oczy i przesuwiał po nas spojrzeniem jak papier ścierny. Na kilka sekund zapadała cisza, a potem

pośpiesznie siadaliśmy przy stole konferencyjnym i przedstawialiśmy sprawy do omówienia. Można

było niemal usłyszeć myśli krążące w naszych głowach. Kto następny do od-fajkowania Przecież nie

ja To nie będę chyba ja

A podróże Godziny, dni, wieczność ponad chmurami, dyskretne beknięcia po bąbelkach w powitalnym szampanie, serwowanym zawsze w klasie biznesowej. Niekończące się spotkania w

rozgrzanych budynkach, do których przez otwarte okna wlatywały jaskółki i gdzie gołębie budowały

gniazda w zepsutych urządzeniach klimatyzacyjnych. Sondujące spotkania ofiarodawców i odbiorców,

spojrzenia, które uciekają w bok, jeśli rozmowa zaczyna dotyczyć różnic pomiędzy pozycją tego, który

daje, a tego, który dostaje. Potem nagły wybuch śmiechu, jakby dla ukrycia wstydu po obu stronach,

albo równie niespodziewany, pęczniejący zarodek konfliktu, tam gdzie słów „arogancja i „korupcja

nigdy się nie wymawia, chociaż wyłaniają się zza innych słów. Wieczorem szybka jazda samochodem z

powrotem do hotelu, przez dzielnice slumsów, gdzie w ciemności tlą się pojedyncze żarówki i gdzie

zdaje mi się, że rozpoznaję twarze, choć wiem, że to niemożliwe, twarze kobiet, które spotykałam

jako młoda dziennikarka. Jak mogłabym je rozpoznać Wtedy były małymi dziewczynkami ze świerzbem i włosami jak ptasie gniazdo, teraz stały się istotami przedwcześnie bezzębnymi i pomarszczonymi. Poza tym ja też się zmieniłam. Kiedy byłam młoda, miałam wytrzeszczone, zdumione oczy i myślałam, że widzę wszystko. Teraz wpatrywałam się w ciemność, wiedząc, że to, co

widzę, to moje własne wspomnienia i wyobrażenia.

- Władza jest amebą - powiedziałam do Sverkera któregoś wieczoru kilka miesięcy temu.

Wróciłam właśnie z Nowego Jorku, z nieudanej wizyty w ONZ, gdzie ani Amerykanie, ani nikt inny

nie chciał słuchać o mojej koncepcji międzynarodowej konferencji na temat planowania rodziny. Nic

ich nie obchodziło, że przyrost ludności może zniszczyć wszelki postęp. Watykan, ortodoksyjni

muzułmanie i amerykańska prawica utworzyli zwarty mur w tej sprawie. Byli gotowi zapłacić każdą

sumę i poświęcić życie dowolnej liczby dzieci i kobiet, aby bronić władzy mężczyzn nad rozmnażaniem

się. Również bardziej sensowni liberałowie byli głusi na moje argumenty, dla nich planowanie rodziny

było i pozostanie yesterday's news. Byłam wściekła i zmęczona, zatrzymując się w pokoju, w którym

Sverker oglądał telewizję. Na stoliku stała butelka wina. Nalałam sobie pół kieliszka i spojrzałam na

Sverkera, usiłując udawać, że nie ma z nami jego opiekunki. To była młoda dziewczyna, mała Annabel, której nigdy wcześniej nie widziałam. Wszystko wskazywało na to, że jest to jej pierwsza

praca. Dziewczyna nie była specjalnie wprawna. Raz po raz wycierała Sverkerowi brodę, kiedy tylko

wypił łyk wina. Irytowało go to, wiedziałam o tym, ale nic nie mówił, ani mnie, ani jej. Było tak jak

zawsze. Ostatnio Sverker prawie nigdy się nie odzywał, ani do mnie, ani do swoich opiekunek, a jeśli

już się odezwał, to były to krótkie, szczekliwe rozkazy. Psycholog w klinice rehabilitacyjnej powiedziała, że nie powinnam pozwolić wciągnąć się w tę ciszę, że swoje kanały komunikacyjne

powinnam zachować otwarte. Nie miała pojęcia, jak naprawdę jest między nami.

- Tak - powtórzyłam. - Ludziom myli się władza z dostępem do informacji. Ale to nie jest to samo,

ja mam dostęp do masy informacji, ale nie mam władzy. Władza jest amebą. Nieustannie zmienia

swój kształt. Wyślizguje się. Jest zawsze gdzie indziej.

Sverker rzucił mi szybkie spojrzenie, ale nie odpowiedział. Wypiłam głęboki łyk z kieliszka, podwinęłam nogi pod siebie i kontynuowałam

- Cały czas stopują mnie stare decyzje, podjęte przez innych, dawnych ministrów i finansistów,

grupę parlamentarną... Jedyna władza, jaką mam, to możliwość zaprzestania robienia pewnych

rzeczy. Ale co to za władza

- Więcej - powiedział Sverker.

Annabel podsunęła mu kieliszek do ust. Ciągnęłam dalej

- Nie tylko ja tak czuję, jakiś czas temu rozmawiałam z Arvidem Svenssonem, wiesz, ministrem do

spraw administracji państwowej. To prawdziwy polityk, siedział w parlamencie ponad trzydzieści lat.

Wiesz, co mi powiedział

Sverker nie odezwał się i nie spojrzał na mnie. Jednak ja nie zamierzałam się tym przejmować.

- Powiedział, że jedyną rzeczą, o której z pełnym przekonaniem może powiedzieć, że była jego

osiągnięciem przez te wszystkie lata, jest plac zabaw w Asker- sund. Czasami tam chodzi, powiedział,

żeby poczuć, że nie wszystko poszło na marne. Ale poza tym Nic.

Kiedy zaczęłam mówić o latach, gdy był ministrem, tylko się roześmiał. Organizacje społeczne Sport

Młodzież i demokracja Jak, do diabła, można z tego stworzyć konkretną politykę Zwłaszcza jeśli nie

ma pieniędzy. Zrobiłem dużo jako minister, oświadczył, ale niczego nie osiągnąłem. Ja też tak czuję.

Robię piekielnie dużo, ale niczego nie osiągam.

Zamilkłam w oczekiwaniu na przytakujący pomruk z wózka inwalidzkiego. Na próżno. Zatem

mówiłam dalej

- Może to mój życiowy błąd, że wzięłam tę pracę, ale naprawdę wierzyłam, że...

Wargi Sverkera poruszyły się. Domyślałam się, co mówi, ale nie słyszałam.

- Co powiedziałaś

Zaczerpnął tchu, żeby przemówić, ale zamiast głosu wydał szept

- Milcz!

Wtedy zamilkłam.

Drzwi do pokoju ministra są nadal zamknięte. Sissela zmienia pozycję, bębni palcami w torebkę i

wzdycha. Może chce jej się palić, ale tu nie może zbiec po schodach i zaciągnąć się przed klatką.

Nigdy by jej nie wpuszczono z powrotem.

- A tak w ogóle, to ile czasu ma to wszystko trwać

Lekko opuszczam kąciki ust. Nie wiem. Może Król Wzgórza jest naprawdę zajęty za swoimi zamkniętymi drzwiami, a może siedzi sobie z nogami na biurku i ogląda telewizję, w pełni świadomy,

że jego minister do spraw pomocy rozwojowej poci się na zewnątrz. Lubi takie rzeczy. W ostatnim

roku widziałam, jak rozkoszował się, pozwalając, by miecz wisiał nad tym czy innym spośród jego

ministrów.

Sissela wstaje i podchodzi do okna, potem odwraca się i przemierza dużymi krokami parkiet, tak

jakby miała zmierzyć powierzchnię pokoju.

- Jadę do Sztrasburga - mówi. - Wyjeżdżam

jutro.

Przytakuję.

- Torsten się tobą zajmie.

Marszczę brwi. Co ona ma na myśli

- Będzie...

Więcej nie zdąża powiedzieć, bo otwierają się drzwi i w progu staje sekretarka.

- Pan premier może przyjąć panią minister - mówi. - Ale tylko panią. Pani przyjaciółka musi poczekać na zewnątrz.

Sissela otwiera usta, żeby zaprotestować, ale podnoszę rękę i ją uciszam. To się nie opłaci.

Stoi przy oknie odwrócony do mnie plecami, nie porusza się i nie patrzy na mnie. Jest bardzo cicho. W ciemności na zewnątrz żarzą się żółte światła wyspy Riddarholmen, w pokoju ciemne biurko

błyszczą jak lustro wody na dworze. Ma na sobie białą koszulę i szare spodnie. Marynarka wisi na

jednym z krzeseł dla gości, otwarta i oczekująca, gotowa, żeby objąć i przytrzymać tego, kto usiądzie.

- Tak - mówi przeciągle, potem zapada cisza.

Widzę teraz, że odsunął na bok szybę pancerną

i stoi w pozbawionej ochrony szczelinie. To niebezpieczne, myślę, gdzieś tam na jednej z wysepek

może stać szaleniec, który ma go na celowniku... W tej samej sekundzie uświadamiam sobie, że stoję

na linii strzału, tuż za nim. Robię szybki krok w bok. Jednocześnie dostrzegam swoje odbicie w

ciemnej szybie. Zsunięte stopy. Trochę rozczochrana. Obie ręce ściskają torebkę. Podnoszę ją i

zakładam na ramię, potem usiłuję przybrać bardziej zrelaksowaną postawę. Rozstawiam stopy. Lewe

ramię do góry. Prawe biodro w dół. Czemukolwiek miałyby to służyć. On i tak na mnie nie patrzy.

- Tak - powtarza, nadal nie odwracając się do mnie.

Znowu robi się cicho. Długo. Mam uczucie, że coś pełźnie mi pod skórą. On oczywiście wie o tym,

wyczuwa, rozpoznaje zapach, domyśla się. Lęk to jego specjalność, jedyny rewir, w którym może się

poruszać równie pewnie i zgrabnie jak kot. W innych rewirach robi się niezdarzy i ociężały. Kiedy

usiłuje być miły, czuje się, jaki to dla niego wysiłek; gdy mówi o współczuciu, w jego słowach czai się

pochlebstwo; kiedy opowiada o swojej pokorze, w jego spojrzeniu skrzy się pycha. Jednak teraz jest

autentyczny. Zupełnie szczery i zupełnie prawdziwy.

- Rozmawialiśmy o twoim mężu - mówi. - Pamiętasz

Kiwam głową w kierunku jego pleców. Jasne, że pamiętam. Rozmawialiśmy o Sverkerze tamtego

dnia zaraz po wyborach, kiedy zaprosił mnie do Rosenbad na krótką rozmowę. Dość odprężona

siedziałam na tym samym krześle dla gości i opowiadałam o kalectwie Sverkera - sparaliżowany od

barków w dół, ale w pełni władz umysłowych - w tym samym czasie inna część mojej głowy zastanawiała się, dlaczego chciał, żebym przyszła. Czy zamierzał prosić o moje wsparcie jako

komentatorki politycznej w jakiejś sprawie I jak w takim razie zareagowałby, gdybym odparła, że to

niemożliwe, że nie tak to się robi, że nikt nigdy nie może wymagać tego rodzaju lojalności ode mnie i

mojej gazety Czy też miał inne zamiary Czy możliwe, że jest prawdą to, z czego żartowała cała

redakcja, że zamierza mi zaproponować tekę ministra

- Powiedziałaś, że to był wypadek.

Znowu kiwam głową.

- Jednak nie wspomniałaś nic na temat okoliczności. Zrozumiałem, że chodzi o wypadek samochodowy.

Prostuję plecy i staram się nie poddawać. Nie mogę przecież brać odpowiedzialności za jego domysły.

- Powiedziałaś wprost, że nie masz żadnych szkieletów w szafie.

Tak. Pamiętam to. Siedziałam na tym krześle, niespodziewanie przytłoczona i zaszczycona jego

propozycją, twierdząc, że nie mam ani jednego szkieletu w garderobie.

Teraz odwraca się do mnie. Patrzy na mnie wąskimi oczami i wolno potrząsa głową.

- Wierzyłem ci, MaryMarie. Myślałem, że można na ciebie liczyć.

Ja też myślałam. Ja też sądziłam, że można na mnie liczyć.

Marie zawsze kłamała więcej ode mnie. Nie dało się jej powstrzymać już w wieku dziesięciu lat.

Jej broszka w kształcie motyla była zepsuta, ale to nieprawda, że podeptała ją któregoś dnia

mama, kiedy zaczęła być dziwna. Broszka zepsuła się, zaczepiwszy o gałąź, kiedy Marie wspinająca się

do drewnianego domku na drzewie, który zbudował Ove, najpopularniejszy chłopak w klasie. Ove

wspinał się przed nią i nie zauważył, co się stało, ale kiedy powiedziała mu o tym, że jedno skrzydło

motyla odpadło, zszedł na dół i długo szukał go wśród krzaczków jagód. Kiedy Ove poprosił ją, żeby

wspięła się z nim do domku Któregoś dnia po szkole. Gdzie jest domek To tajemnica.

Nie było również prawdą, że któregoś dnia przyszła do domu w czasie przerwy śniadaniowej i usłyszała dziwne odgłosy z sypialni mamy i taty, wcale nie szła na palcach przez korytarz, nie zerknęła

przez na wpół otwarte drzwi i nie zobaczyła ich, jak się biją na niepościelonym łóżku. Mama nie była

biała i półnaga, tata nie trzymał jej jedną ręką za szyję, a drugą nie zdierał z niej majtek, i nie

przestali tego robić, kiedy usłyszeli wołanie Marie. Mama nie zeskoczyła z łóżka i nie otoczyła jej

ramionami. Tata nie rzucił za mamą majtek i nie zatrzasnął drzwi. Nie, powodem, dla którego

tamtego popołudnia nie mogła przestać płakać, było to, że Tusse wpadł pod samochód.
Właśnie. Jej

kot. To przecież nie jej wina, że nikt w klasie nie wie, że miała kota.

Poza tym to nieprawda, że w końcu cała klasa obróciła się przeciw niej, że otaczali ją kołem i nazywali kłamczuchą, że rzucali w nią śnieżkami i małymi kawałkami lodu. A Ove kopnął ją w pupę

ciężkim zimowym butem. Wręcz przeciwnie. Wołał ją, prosił i błagał, żeby się z nimi bawiła, ale ona

nie chciała. Chciała sobie postać sama koło stojaków na rowery.

- Słyszysz mnie - pyta Król Wzgórza. - Wiesz, co mówię

Kiwam głową. Słucham.

- Kłamałaś. Jesteś kłamczuchą.

Ściszył głos, niemal szepcze. Jest źle. Kiedy on szepcze, jest najstraszniejszy.

- Teraz też kłamiesz Naprawdę nie możesz mówić Czy może stoisz tu i udajesz

Potrzęsam głową. Nie. Nie udaję.

- Nie wierzę ci.

Robi kilka kroków w kierunku biurka, podnosi z niego popołudniówkę i otwiera przede mną rozkładówkę. Zamykam oczy. Marie nadal stoi w parku koło Rosenbad, zupełnie nieruchoma i prawie

nie oddycha.

- To właśnie zrobiłaś temu rządowi...

Znowu potrząsam głową, ale nic to nie pomaga.

Premier jeszcze bardziej zniża głos.

- Ośmieszyłaś nas. Siebie i cały rząd. Ale najbardziej siebie.

Upuszcza gazetę, która upada z szelestem na podłogę.

- Może naprawdę nie jesteś zupełnie normalna. Czasem się nad tym zastanawiałem. Niekiedy sprawiałaś wrażenie kompletnie stukniętej, zwłaszcza gdy uczepliłaś się sprawy handlu ludźmi.

Otwieram usta i zaraz znowu zamykam. Minęły zaledwie dwa miesiące, od kiedy on sam wygłosił

wielką mowę na temat handlu ludźmi, mowę, w której nazwał go hańbą naszych czasów, niewolnictwem naszych czasów, największą niesprawiedliwością naszej epoki, ale to nie musi przecież nic znaczyć. Parę lat temu wielką hańbą naszej epoki były problemy środowiska. Potem

opieka psychiatryczna. Teraz przestępczość.

- Chcę zobaczyć twoje zaświadczenie lekarskie.

Już nie szepcze.

- Zaświadczenie lekarskie, które zawiera możliwe do przyjęcia wytłumaczenie twoich trudności z

mową. Nie jakieś psychologiczne bzdury. A kiedy już zdecydujesz, że możesz znowu mówić, masz

udzielić wywiadu jakiemuś dobremu dziennikarzowi i wytłumaczyć mu, że mnie okłamałaś.

Kręcę głową. Nie. Premier unosi brwi.

- Ależ tak. Dokładnie to masz zrobić. I przy okazji możesz też wytłumaczyć całą tę historię z twoim

mężem. Dlaczego wciąż z nim jesteś, pomimo że pieprzył się z połową Europy.

Wysuwa spod biurka krzesło i siada.

- Dopiero kiedy to zrobisz, zastanowimy się nad tym, czy masz zostać w rządzie, czy nie. Do tego

czasu jesteś na zwolnieniu.

możliwy protokół

Premier przechyla na bok głowę. Daje to osobliwy efekt. Prowadzący program kurczy się, nagle

jego czaszka staje się krótsza.

- No cóż, panie Lars - mówi premier i lekko kiwa głową. - To istotnie smutna historia.

Prowadzący program próbuje się wyprostować. To nie pomaga.

- Ale kiedy pan premier uczynił Mary Sundin ministrem do spraw pomocy rozwojowej, czy już

wtedy wiedział pan, że jej mąż uległ wypadkowi podczas korzystania z płatnych usług seksualnych

Niemal niesłyszalne westchnienie.

- Nie. Oczywiście, że nie wiedziałem. Nie wiedziałem nic na ten temat, dopóki nie napisała o tym

prasa.

- I jak pan wtedy zareagował

Krótką przerwą. Chwila namysłu.

- Oczywiście zmartwiłem się. Przede wszystkim z uwagi na panią Mary Sundin. To bardzo kompetentna osoba, pełniąca trudną i bardzo odpowiedzialną funkcję. A jej problemy zdrowotne są

przecież poważne.

- Ma pan na myśli fakt, że straciła mowę

- Tak.

- Wierzy pan w to

Premier ciężko wypuszcza powietrze, co znaczy, że jest zawiedziony. Czegoś takiego nie spodziewał się od poważnego dziennikarza politycznego.

- Oczywiście. Mary Sundin nie może mówić.

- Ale neurologi twierdzą, że...

- Cóż, nie jestem neurologiem, ale z tego, co wiem, dolegliwość tego typu może mieć wiele przyczyn.

- Na przykład jakich

- Nie chcę rozwijać tego tematu.

- Psychicznych

- Jak już powiedziałem, nie chcę tego rozwijać. Uważam, że jest istotne, abyśmy w tej sytuacji

wszyscy okazali pani Mary Sundin wzgląd i troskę. A także unikali spekulacji.

Prowadzący program spogląda w swoje papiery.

- Czyli pan premier nic nie wiedział o mężu pani minister...

Premier kręci głową.

- Jak już mówiłem, nie. Nic o tym nie wiedziałem.

- Czy uważa pan, że istnieje związek pomiędzy prywatną sytuacją Mary Sundin a faktem, że jako

minister poświęciła tak wiele energii i czasu problemom handlu ludźmi

Głos premiera brzmi teraz smutno

- Handel ludźmi to największa hańba naszych czasów.

- Ale czy Mary Sundin pozostanie po tym wszystkim w rządzie

- Mary Sundin jest na zwolnieniu lekarskim. Nie byłoby w porządku, gdybyśmy teraz spekulowali

na temat...

- Czy nadal darzy ją pan zaufaniem Pomimo tego, że ewidentnie ukrywała prawdę

Premier lekko się uśmiecha.

- Nie sędzę, byśmy powinni snuć teraz rozważania na temat chorego człowieka. Mary Sundin jest

chora.

W tle jakiś muzyczny kawałek. Prowadzący program zwraca się do kamery i życzy widzom miłego

wieczoru. Muzyka zostaje, światło w studio przyciemnia się. Premier zdejmuje mikrofon z klapy

marynarki, pochyla się do przodu i mówi coś szeptem.

Nikt poza prowadzącym program go nie słyszy.

najlepsza rzecz

Wolność. Na co mi ona

Po to by wieczorem czekać w parku na tą, którą nie jestem

W ciemności błyszczą szklane drzwi Rosenbad. Jeśli Mary istnieje, niedługo przez nie wyjdzie.

Przed nią będzie szła Sissela, jedną ręką przytrzyma drzwi, poprawiając przy okazji otulający ramiona

szal. Za nią wyjdzie Mary w rozpiętym płaszczu, patrząc gdzieś w dal. O czym ona myśli O

pogrózkach premiera Czy o tym, który czeka na nią w Bromma

Nie wiem. Nie chcę wiedzieć.

Robi się późno. Ruchliwa Drottninggatan niemal opustoszała, w ciszy suną jedynie jacyś

pojedynczy przechodnie. Kilka metrów przede mną idzie para w średnim wieku. Nie patrzą na siebie,

ale kroczą w tym samym rytmie. Wpadam w ten rytm, staję się ich odpowiednikiem, cieniem. Kiedy

zatrzymują się i spoglądają w okno wystawowe, ja też przystaję. Oni patrzą na książki, ja na rękawiczki i szaliki, potem ruszamy dalej. Kobieta wyciąga coś z torebki i unosi do twarzy. Nie widzę,

co to takiego. Może po prostu wydmuchuje nos. Mężczyzna wyjmuję rękę z kieszeni i gestykuluje,

wygląda na to, że coś opowiada. Kobieta kiwa głową i najwyraźniej zadaje jakieś pytanie. Mężczyzna

podnieca się, znowu gestykuluje i śmieje się. Kobieta uśmiecha się w odpowiedzi, potem oboje

milkną i przyspieszają kroku. Kontynuują swój wieczorny spacer wzdłuż Drottninggatan, a ja idę kilka

metrów za nimi. A jednak żyję w innym świecie, w zupełnie innym uniwersum.

Sverker i ja nigdy nie szliśmy w jednym rytmie wzdłuż Drottninggatan w czwartkowy wieczór w

październiku. Nie wiedzieliśmy nawet, że można tak zrobić. Od samego początku myśleliśmy, że

małżeństwo zostało ustanowione po to, by dać człowiekowi innego człowieka, przed którym będzie

miał sekrety.

- Kocham cię - powiedział w końcu Sverker.

Minęło pięć lat. Klub Bilardowy Przyszłość dwadzieścia pięć razy zebrał się na różnego rodzaju

przyjęcia było to pięć imprez z okazji Nocy Walpurgi u Anny i Pera, pięć obchodów Midsommar u

Sverkera i Maud, pięć wieczorów z jedzeniem raków u mnie, pięć nieprzytomnych spotkań z

glógggu u Torstena i pięć sylwestrów u Sisseli. Za każdym razem Sverker pojawiał się z nową dziewczyną. Czarnooka Helena z Wyższej Szkoły Wzornictwa Przemysłowego, za nią blond Birgitta z

Wyższej Szkoły Handlowej, za którą z kolei pojawiła się popielatoblond Anne-Marie z

psychologii Uniwersytetu Sztokholmskiego. I jeszcze kilka innych, których imion nikt nie starał się

zapamiętać. Wiedzieliśmy przecież, że za chwilę zostaną wymienione na inne. Zatem zawsze nakrywaliśmy dla dodatkowej osoby obok Sverkera, ale na wizytówce z imieniem stawialiśmy tylko

znak zapytania. Niektóre z nich się o to obrażały, ale większość unosiła tylko brwi. Wizytówka przy

nakryciu Cóż to za burżuazyjne towarzystwo

Nie byliśmy burżujami. Byliśmy tylko zbyt nastawieni na sukces, żeby dać się skusić politycznym

sektom tamtego czasu, chociaż wszyscy pilnowaliśmy, żeby trzymać się wystarczająco na lewo od

politycznego środka. Poza tym czuliśmy się nieco starsi od naszych rówieśników. Być może Magnus

był tu wyjątkiem, ale kompensował to fakt, że Maud, najmłodsza z całego Klubu Bilardowego

Przyszłość, była jednocześnie najstarszą z nas. Jeszcze zanim zrobiła maturę, mówiła do Magnusa

takim tonem, jak mama do ukochanego łobuziaka; zakochany śmiech czaił się za surowymi i pełnymi

wyrzutów słowami. Ależ Magnus! Tak się nie robi!

Przez te lata wiele się u nas wydarzyło. Per dostał się do MSZ, a Sverker otrzymał pracę w najlepszej agencji reklamowej w Sztokholmie. Anna zakończyła naukę francuskiego i zaczęła studia w

Wyższej Szkole Nauk Społecznych po to tylko, żeby je przerwać zaraz po zajściu w ciążę, Torstenowi

udało się opublikować wiersz w miesięczniku kulturalnym „BLM i kolejny w „Słowach i Obrazach, a

Sissela zaczęła pracować dorywczo jako przewodnik w Muzeum Sztuki Nowoczesnej i napisała

wysoko ocenioną pracę doktorską o Grupie Halmstad. Maud zaczęła studia w Wyższej 4 Szwedzkie ugrupowanie artystyczne (1929 -1979), którego nazwa pochodzi od miasta

Halmstad, skąd wywodzili się wszyscy członkowie ugrupowania. Artyści skupieni w Grupie Halmstad

byli surrealistami i kubistami, należeli do niej m.in. Sven Jonson i Axel Olson (przyp. tłum.).

Szkole Stomatologicznej, a Magnus błąkał się po mieście, twierdząc, że poszukuje sposobu na wyrażenie siebie. Ja sama po trzech długotrwałych umowach na czas określony nareszcie dostałam

etat w „Aftonbladet.

W końcu zebraliśmy się, żeby świętować naszą szóstą wspólną Noc Walpurgi. Per i Anna właśnie

wprowadzili się do starego segmentu w Taby, był to dom z jadalnią, kominkiem i sękatą czereśnią,

widoczną z kuchennego okna. Powiesiliśmy kurtki w przedpokoju, ustawiliśmy rzędem buty i niepewnie rozglądaliśmy się dookoła. Byliśmy przyzwyczajeni do mieszkań w domach przeznaczonych

do rozbiórki i pokoi w akademikach, a to był świat, w którym nie czuliśmy się jeszcze naprawdę

swojsko. Dlatego trwało chwilę, nim zdecydowaliśmy się wejść do salonu, staliśmy w przedpokoju,

łocząc się przed lustrem, popychając i chichocząc jak uczniowie podstawówki. W środku, w pokoju,

bujał się na obcasach Per w swoim nowym dyplomatycznym garniturze, a z kuchni, gdzie stukała

czymś niewidoczna Anna, dochodził słaby zapach czosnku. Sissela pierwsza zdecydowała, że już czas

na koniec chichotów. Złapała swoje trzy dyżurne goździki i przekroczyła próg. W tej samej chwili z

kuchni wytoczyła się Anna. Wyglądała jak mała lalka z okrągłym brzuchem, zdziwiona lalka, która

potrafi mrugać dużymi, brązowymi oczami.

- Widzicie - powiedziała, ustawiając się do nas bokiem z rękami pod brzuchem - widzicie, jaka

jestem wielka! A został jeszcze miesiąc.

To Sverker pierwszy położył rękę na jej brzuchu, dłonią złożoną w miseczkę pogłaskał miękki

aksamit ciężowej sukienki, a potem gwałtownie ją cofnął.

Sissela powtórzyła ten ruch. Zrobiłam krok w tył i nagle zobaczyłam, że stoję obok obcej dziewczyny.

Minęła sekunda, nim przypomniałam sobie, kim jest Annika. W ciągu ostatnich lat prowadziła się z

Torstenem, ale nie była traktowana jak prawdziwa członkini Klubu Bilardowego Przyszłość.

Uśmiechnęła się do mnie niewyraźnie, ale nie odpowiedziałam jej uśmiechem. Nie lubiłam Anniki ani

wcześniej, ani teraz, i tak naprawdę nie rozumiałam, jak Torsten może znosić jej obecność w pobliżu.

Była tak sztuczna, że nie potrafiła nawet normalnie rozmawiać, mówiła szeptem lub piszczala.

Typowa głupia gęś. Fałszywa gęś.

Rzucił mnie właśnie Fredrik, rudowłosy redaktor z „Expressen. Nie do końca wiedziałam, dlaczego jesteśmy razem. Teraz, już po wszystkim, musiałam przyznać, że tak naprawdę mi się nie

podobał, i podejrzewałam, że on też nie był mną specjalnie zachwycony. Parę razy próbowaliśmy się

przespać, ale moim rękami nigdy nie udało się do niego trafić. Było tak, jakbym pieściła powietrze

kilka milimetrów nad jego głową. Przyciskał się do mnie, przywierał ustami do moich ust, więził moje

ramiona i ciężko dyszał mi w szyję. Nie mogłam powstrzymać własnego ciała od stawiania oporu,

mięśnie same się napinały, a kark wykręcał, tak że odwracałam twarz. Potem leżeliśmy w milczeniu i

bez ruchu, niezdolni ani do tego, żeby porozmawiać o tym, co się stało, ani żeby znowu siebie

dotykać. Kiedy zadzwonił, żeby powiedzieć, że może nie powinniśmy się już więcej spotykać, spłynęła

na mnie fala kryicznie czystej ulgi. Nareszcie.

Może podobnie było z Torstenem i Anniką. Tak to w każdym razie wyglądało, przynajmniej z jego

strony. Jego ręce wisiały wzdłuż ciała, kiedy się do niego przytuliła i przywarła policzkiem do jego

torsu, marszczył tylko lekko brwi i dalej rozmawiał z Magnusem. Stała tak jeszcze chwilę, szukając

wzrokiem publiczności, ale nie znalazła nikogo poza mną, wszyscy inni zajęci byli rozmową i oglądaniem salonu. Podniosłam kieliszek w jej kierunku i uśmiechnęłam się, a Annika natychmiast

puściła Torstena i odwróciła się ode mnie. Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej i wypłam duży łyk

białego wina.

Tego dnia obok Sverkera stała długonoga blondynka, której imię nadal stanowiło tajemnicę.

Sissela poruszyła nagle głową i zmierzyła ją wzrokiem. Blondynka drgnęła lekko, jakby powstrzymując

odruch odwrócenia się do niej tyłem. Znów się uśmiechnęłam, unosząc kieliszek w stronę Sisseli. Klub

Bilardowy Przyszłość strzegł swoich granic.

Anna przyrządziła kurczaka w winie i usiedliśmy w jadalni przy ciemnym stole z lat czterdziestych.

Gospodyni uśmiechnęła się przepaszająco, tłumacząc, że jeszcze ich nie stać na urządzenie domu i

musieli wziąć, co się dało, ze starych mebli rodziców. Ale to nic nie szkodzi. Przecież za kilka miesięcy

Per wyjedzie na swoją pierwszą placówkę jako trzeci sekretarz ambasady i w Lizbonie będą mieli

umeblowany dom. Czy to nie fantastycznie Sama Anna zamierza zostać w Szwecji, aż dziecko

skończy pół roku, a potem wynajmą komuś segment, nie na długo, bo to ma być już zawsze ich pioda-

terre w Szwecji i...

Ktoś dzwonił do drzwi. Per podniósł się i poszedł otworzyć. Wrócił z poważną miną.

- MaryMarie - powiedział. - Jest tu ksiądz, który chce z tobą porozmawiać. I policjant.

Zawsze byłem dyspozycyjna. Co rano przychodziłam do redakcji pół godziny za wcześnie, żeby

dostać najlepsze zadania, i nigdy stamtąd nie wychodziłam, nie zostawiwszy wcześniej informacji,

gdzie można mnie złapać wieczorem lub w weekend. Byłam dobra, ale to nie wystarczało. Chciałam

być najlepsza. To była absolutna konieczność, musiałam być najlepsza ze wszystkich, żeby nie czuć się

najgorsza. Dlatego mnie znaleźli.

Prawą ręką złożyłam serwetkę, a lewą ją wygładziłam, potem siedziałam kilka chwil bez ruchu, aż

w końcu prawa ręka podniosła biały kawałek materiału i odłożyła go na stół. Nic nie myślałam, nic nie

czułam, niczego się nie obawiałam. Byłam tylko ciałem, które powoli podniosło się zza stołu.

- Chodzi o twoich rodziców - powiedział Per.

Mama od razu umarła, powiedział ksiądz. Tata leży nieprzytomny w szpitalu w Eksjów. Mógł jeszcze

dodać, że wrak samochodu nadal spoczywa w rowie na drodze między Eksjów i Nassjów. I że w kuchni w

domu ciągle pali się lampa. Powiedziałam to osiem godzin później, kiedy weszliśmy ze Sverkerem do

domu.

Chciał mnie odwieźć do Eksjów. Nie było mowy o protestach. Jego samochód stoi przecież przed

domem, zatankowany i gotowy, no a on wypił zaledwie kilka łyków wina. Nie, Sissela nie musi jechać

z nami, absolutnie nie. Torsten też nie musi. Sverker uśmiechnął się przelotnie do swojej blondynki i

cmoknął ją szybko w policzek. Chyba rozumie. Potem byliśmy już w drodze.

Przez pierwszą godzinę nie odzywaliśmy się. Sverker siedział lekko pochylony za kierownicą i

wpatrzony w drogę mrużył oczy. Może potrzebował okularów, a może było mu tylko trudno się

przyzwyczaić do nowoczesnych żółtych świateł przy drodze. W Soderlalje zaczął padać śnieg, a kilka

kilometrów dalej skończyły się żółte latarnie. Sunęliśmy przez ciemność jak przez tunel, w drodze

znikąd donikąd, podczas gdy światło reflektorów samochodowych zamieniało cicho padający śnieg w

biały kalejdoskop.

- Jak tam

Jego głos brzmiał trochę chropowato. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Jak tam Pusto. Puść jej niż zwykle. Ale poza tym dobrze, dziękuję, może z wyjątkiem tego, że jedna

połowa mnie przygląda się drugiej połowie ze zmarszczonym czołem, nieco zszokowana, że jedyne

uczucie, wirujące w tej pustce, to odrobina ciekawości. tak, właśnie tak. Byłam ciekawa, co się stało i

co stanie się dalej. być może stanowiło to pierwsze stadium szoku. Na razie nie mogłam uwierzyć, że

mamy nie ma już na świecie i że tata zamknął oczy i jeszcze głębiej zanurzył się w ciszę. Zawsze byli.

Mieli być zawsze.

- Dobrze się czujesz

Spojrzałam w jego kierunku, kilka razy zamrużałam.

- Okej.

- Jesteś głodna

Pokręciłam głową.

- Nie. A ty

- Trochę.

- Możemy się zatrzymać w jakimś barze przy drodze, jeśli chcesz.

- Zdążymy

- Kwadrans w jedną czy w drugą stronę nie robi różnicy.

Dopiero kiedy spojrzałam na Sverkera z pewnej odległości, uświadomiłam sobie, że naprawdę z nim

podróżuję. Stał ze swoją tacą przy bufecie, czytając menu, rozluźnił krawat i rozpiął górny guziczek

koszuli. Marynarka zmarszczyła mu się trochę na plecach, na czoło opadła rozwichrzona grzywka,

odgarnął ją ręką, zanim sięgnął po talerzyk z przystawką. Wszystko w nim tak dobrze znałam, a mimo

to nadal był kimś obcym.

W ciągu ostatnich lat nie pozwalałam sobie o nim myśleć. Mógł ze sobą przyprowadzać, ile chciał

dziewczyn, mnie było to obojętne, nie miałam zamiaru dać się przerobić w umierającą z tęsknoty gęś.

Uzgodniłyśmy z Sisselą, że najrozsądniej będzie, jeśli Klub Bilardowy Przyszłość pozostanie kręgiem

przyjaciół, niczym więcej. W pośpiechu niechcący spławiłam torstena o jeden raz za dużo. A

następnie przyjęcie w Midsommar przyprowadził ze sobą Annikę i od tamtej pory wymienialiśmy

tylko grzecznościowe formułki. Ucztę rakową tamtego roku skontrolowałam Miroslavem, wyjątkowo

dobrze zbudowanym studentem medycyny z Belgradu. Kilka dni potem zerwał ze mną. Za dużo

pracowałam, a poza tym moi znajomi to najbardziej niesympatyczne typy w całej Szwecji. Sytuacja

miała się powtarzać. Wszyscy moi mężczyźni rzucali mnie zaraz przed spotkaniem z Klubem

Bilardowym Przyszłość lub zaraz po. Nie rozumiałam, dlaczego tak jest. Sama nie byłam zdolna do

zerwania z nikim i równie niezdolna do rozstania z Klubem Bilardowym Przyszłość.

Sverker niósł ostrożnie tacę pomiędzy stolikami. Kiedy się zbliżył, spuściłam wzrok i zaczęłam się

przyglądać rzadko tkanej żorżecie sukienki. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że podróżujemy bez

bagażu, że

wejdę do szpitala w Eksjö ubrana w wieczorową sukienkę w głębokim odcieniu lila. Dziś w nocy to

jeszcze ujdzie, ale jak będzie wyglądało jutro rano Sverker postawił tacę na stole i uśmiechnął się.

Idę za nieznaną parą aż do końca Drottninggatan, ale kiedy skręcają w Tegnerlunden, zatrzymuję się i stoję, patrząc za nimi. Nadal idą w tym samym rytmie, tyle że teraz pod górę wolniej,

lekko pochyleni. Nagle czuję, że jest zimno, dygocząc, przechodzę na drugą stronę ulicy i szybko

ruszam z powrotem. Od ścian domów odbija się echem stukot moich obcasów.

Mężczyzna w białej koszuli siedzi przy barze. Widzę go zaraz po wejściu do Sheratonu. Bez

wahania zdejmuję kurtkę, idę w kierunku baru i siadam na jednej z głębokich kanap przed dużym

kominkiem.

Mężczyzna w białej koszuli obraca się na swoim krześle. Uśmiech. Patrę mu w oczy i odpowiadam

uśmiechem. Nie boję się.

Przy katafalku mamy ktoś zapalił świecę, ktoś ubrał ją na biało i złożył jej ręce.

A mimo to w pomieszczeniu nie czuło się spokoju. Może chodziło o twarz mamy, o to, że jej dolna

szczeka była nienaturalnie wysunięta do przodu. Mama leżała, a wyglądała tak, jakby miała zaraz

dostać ataku szału. Ty gupia dziewucho! Zrobiłam krok w tył i wyciągnęłam rękę do Sverkera. Ścisnął

ją. Przez chwilę staliśmy bez ruchu, dopiero potem mogłam znowu podejść do katafalku. Rozpięłam

jej mankiet i podwinęłam biały rękaw koszuli nocnej. Przesunęłam palcem po czterech cyfrach na

przedramieniu. Uderzyło mnie nagle, że tak naprawdę to nic o niej nie wiem, nawet

jak miała na imię jej matka, ani czym zajmował się jej ojciec, ani czy miała jakieś siostry lub braci, a

jeśli tak, to co się z nimi stało. Nie miałam odwagi o to spytać, a teraz już nigdy się nie dowiem; jej

świat rozpadł się, zniknął, uległ zagładzie.

Sverker nie powiedział nic. Ale czułam jego ciepły oddech na karku.

Mężczyzna w białej koszuli chwytą mnie za nadgarstek. Pozwalam mu na to, zamykam tylko oczy,

kiedy idziemy przez hol. Pod moimi powiekami jest pusto, nie pamiętam nieżywego ciała mamy. Nie

czuję nic poza ciepłem ręki obcego człowieka. Dotyka mnie. Pożąda. A ja nie czuję lęku. Prawie wcale

się nie boję.

Wchodzimy do windy i on mnie całuje. Jego język smakuje piwem.

Zasypia niemal natychmiast po orgazmie. Nie szkodzi. Miło jest leżeć z jego ciężkim ramieniem na

brzuchu, słuchać, jak chrapie, i myśleć, co przed chwilą się stało. Niespełna dwadzieścia cztery

godziny temu leżałam w celi w Hinseberg, a teraz po raz pierwszy w życiu poszłam do łóżka z

całkowicie nieznanym człowiekiem, mężczyzną, o którym nie wiem nic, nie znam jego imienia,

wieku ani narodowości.

Minęło przeszło sześć lat, odkąd ktoś mnie dotykał. Moje ciało ożyło. Serce wali, pieką policzki,

między wargami sromowymi ciągle czuję lekkie łaskotanie. W ciemności błyska myśl czy to tego

szukał Sverker Czy chciał czuć, że żyje

Mary wkłada klucz do zamka i otwiera drzwi. Jej dom. Mój dom.

Przez pierwsze lata w więzieniu tęskniłam za moim domem w Bromma bardziej niż za

czymkolwiek innym. Gdy tylko gasło światło w celi, byłam tam z powrotem. Wieszłam płaszcz w

przedpokoju, wchodziłam do salonu i rozglądałam się. Wszystko było na swoim miejscu. Drewno w

kominku. Otwarta książka na stoliku. Wielki hibiskus w doniczce na podłodze. W kuchni nakryto do

kolacji, biała porcelana i kwieciste podkładki pod talerze, w piecu stała zapiekanka z ryby, sos

bulgotał cicho, a powierzchnia powoli się złociła. Otwierałam drzwi do pralni tutaj też wszystko było

na swoim miejscu. Szeroko otwarte pralka i suszarka, na półce Sverkera stos czystych kalesonów, na

mojej białe bawełniane majtki. Nad zlewem wisiało kilka świeżo wyprasowanych koszul i bluzek,

wszystkie starannie zapięte pod szyją. Wsuwałam wieszaki na palec lewej ręki i wynosiłam koszule i

bluzki do sypialni, część wieszłam w szafie Sverkera, a część w mojej, potem stawałam w oknie i

patrzyłam na ogród. Śliwy błagalnie wyciągały do mnie swoje sękate gałęzie, ale nie miałam jak ich

pocieszyć. Młody dębeczak był piękniejszy, świadomy celu rósł milimetr po milimetrze, a jego korzenie

wcisnęły się coraz głębiej w ziemię. Niedługo zasłoni cały taras. Ta myśl mnie urzekła, w ciepłe,

letnie dni wolę siedzieć w cieniu dębu niż pod parasolem. A jeśli dąb doprowadzi do śmierci śliw, to

jest to strata, którą potrafię znieść. Nigdy nie lubiłam śliwek.

Przed wyjściem z sypialni kładłam rękę na narzucie. Wyglądało to tak, jakbym wygładzała niewidoczną fałdę lub zdejmowała włos, ale tak naprawdę była to pieszczota. Łóżko to był dom w

domu, za którym tęskniłam bardziej niż za czymkolwiek innym. A mimo to nie mogłam się zatrzymać,

musiałam zrobić tych pięć kroków, które mnie wyprowadzą z pokoju. Przy schodach przystawałam i

zerkałam do pokoju gościnnego. Nadal panował w nim porządek zasłane łóżko ze świeżą pościelą i

narzutą w paski, na krześle dwa starannie złożone, białe ręczniki frotte. Schodziłam po schodach.

Drzwi do mojego gabinetu były uchylone, opierałam się o framugę i zaglądałam do środka, mój wzrok

ślizgał się po biurku i półkach wypełnionych książkami. Czasami wchodziłam i zapalałam lampkę nad

biurkiem, a potem obrywałam kilka suchych liści z gardenii na parapecie. Z powrotem na korytarzu,

zatrzymywałam się przed drzwiami gabinetu Sverkera. Były zawsze zamknięte i nigdy ich nie otwierałam.

Kiedy Mary i Sissela wchodzi do domu, panuje w nim cisza. Drzwi do pokoju, który kiedyś był

gabinetem Sverkera, a teraz stanowi przystosowaną dla osoby niepełnosprawnej sypialnię, są zamknięte, podobnie drzwi do pokoju opiekunek i opiekunów. Mary zmieniła gabinet, musiała

przenieść swoje biurko i książki piętro wyżej, do małego pokoiku, w którym kiedyś zaplanowano

pokoik dziecięcy.

Sissela szepcze

- On już śpi

Mary wzrusza ramionami. Nie wie. Sama jest zmęczona, wchodząc do salonu, opuszcza ramiona.

Chodzi w samych skarpetkach, nie zauważa, że na pięcie poszło oczko, które powoli się powiększa, aż

na czarnej powierzchni otwiera się mała, biała kreska. Na stole leży trochę gazet, zbiera je wszystkie i

idzie w stronę kuchni. Sissela podąża za nią, ma ze sobą niewielką torbę z rzeczami na noc.

- Na górze nadal jest pokój gościnny

Mary kiwa głową, ale się nie odwraca.

- To zaniosę tam swoje rzeczy.

Mary znów kiwa lekko. Rób, co chcesz, mówią jej plecy.

- Za chwilę zejść z powrotem na dół...

Mary opada na krzesło w kuchni i chowa twarz w dłoniach. Siedzi tak jeszcze, kiedy wraca Sissela.

- Jesteś zmęczona

Mary nie porusza ani jednym mięśniem, tak jakby nie usłyszała. Sissela kładzie jej rękę na plecach.

Zaniepokojona pyta

- Co się dzieje

Mary nadal siedzi bez ruchu. Sissela rozgląda się, jej wzrok pada na butelkę wina na blacie kuchennym.

- Chcesz kieliszek

Nie czeka na odpowiedź, tylko wstaje i zaczyna otwierać szafkę za szafką w poszukiwaniu kieliszków do wina, nie widzi, że stoją na widoku w witrynie szafki przy półsciencie, dopóki Mary nie

wyprostuje pleców i nie pokaże ich palcem. Sissela chichocze.

- Boże święty, mnie samej przydałby się jakiś opiekun...

Sekundę później przygryza wargę i zerka na Mary. Nie miała na myśli nic złego! Ale Mary się nie

obrazila, śmieje się tylko i potrząsa głową.

Sissela stawia przed nią kieliszek, a potem siada po drugiej stronie stołu.

- Bardzo chętnie dowiedziałabym się, co on ci powiedział... Premier. Wywalił cię

Mary wypija łyk, najpierw kiwa, a potem kręci głową.

- Jedno i drugie

Mary potakuje ruchem głowy. Sissela wzdycha.

- No tak, to brzmi logicznie. W końcu on tak pracuje.

Sissela wyciąga rękę i przysuwa do siebie gazety. Dzisiejsze popołudniówki. Ktoś je czytał, obie

leżą otwarte na rozkładówce. W jednej gazecie twarz Mary zajmuje cztery szpalty, w drugiej pięć. W

„Expressen jest bardziej pociągła niż w „Aftonbladet. Twarz Sver- kera została przysłonięta czarnym

paskiem. To stempel, kara wstydu wieku informacji. Oto klient prostytutki. Klient dziwki. Mążonek

pani minister.

Szliśmy ręką w rękę przez korytarze na oddział intensywnej terapii, ale kiedy do niego dotarliśmy,

nie wpuszczono nas do pokoju taty. Staliśmy na korytarzu i patrzyliśmy na niego przez szklaną szybę.

Dziwne, bo wyglądało na to, że uległ większym obrażeniom niż mama, miał potwornie pokaleczoną

twarz, był podłączony do respiratora, kroplówki i małej szarej maszyny - nie wiedziałam, co to jest.

Drżała mu lewa ręka. Oparłam czoło o szybę, Sverker położył mi dłoń na ramieniu. Przez chwilę

staliśmy bez ruchu, nie poruszyliśmy się nawet wtedy, kiedy podszedł do nas młody lekarz. Dopiero

kiedy kilka razy odchrząknął, odwróciliśmy się. Nie potrafił mi spojrzeć w oczy.

- Niestety - powiedział. - Rokowania nie są dobre.

Późnym wieczorem szliśmy z powrotem do samochodu. Na ramieniu niosłam torebkę mamy, a w

objęciach trzymałam jej ubrania. Torebka była czarna, ciężka i staromodna, płaszcz nowy, z ciemnoniebieskiej wełny, nigdy wcześniej go nie widziałam, stara, wysłużona wyjściowa sukienka z

rypsu w gołębioszarym kolorze, którą mama miała co najmniej piętnaście lat. Czy to ostatnia rypsowa

kreacja w Szwecji Tak sądziłam. Położyłam kupkę ubrań na tylnym siedzeniu, a sama usiadłam z

przodu. Sverker, cofając, odwrócił głowę i spojrzał przez ramię. Zmrużyłam oczy, czułam ciężkie

łomotanie w skroniach.

W kuchni paliło się światło, zobaczyłam to już, kiedy podjeżdżaliśmy do domu. Nasza kuchenna

lampa świeciła tak jasno, że zdawała się jedyną zapaloną lampą w całym Nassjón. Zdziwiło mnie to.

Tata zawsze bardzo zwracał uwagę na to, by gasić światło zaraz po wyjściu z pokoju. Prąd nie jest za

darmo, nawet jeśli wydaje się wam inaczej.

Poza tym wszystko wyglądało tak jak wtedy, kiedy mama miewała złe okresy. Stosy naczyń w

zlewie, przepelniona popielniczka na stole w kuchni, cienka powłoka kurzu na podłodze i meblach, na

pół wyschnięte rośliny doniczkowe w oknach. Zrozumiałam, że się wstydzę, kiedy uświadomiłam

sobie, jak pędzę przez korytarz, żeby wyciągnąć rękę i zgasić lampę w kuchni. Potem odwróciłam się,

założyłam ręce na plecach i stałam tak, czekając grzecznie jak kelnerka.

- Masz na coś ochotę

Sverker pokręcił głową. Pod oczami pojawiły mu się dwie kreski.

- Jesteś zmęczony

Westchnął lekko.

- Tak. A ty nie

- Możesz się położyć w moim pokoju.

Uśmiechnął się, w jego spojrzeniu zamigotała iskierka nadziei. Sverker. Wiecznie ten sam.

- A ty

Po raz pierwszy w życiu powiedziałam „nie. Chociaż nie wprost.

- I tak nie zasnę.

Szłam przed nim po schodach, ostatnie stopnie pokonałam jednym wielkim susem, śpiesząc się,

żeby otworzyć drzwi sypialni rodziców. Panował tu absolutny chaos, pościel walała się po podłodze,

przy oknie leżało przewrócone krzesło, szafa mamy była otwarta na oścież. Drzwi do mojego pokoju

okazały się zamknięte, ostrożnie je otworzyłam, nagle przestraszona, co tam zobaczę.

Wyciągnięte z mojej komody szuflady stały na podłodze, ich zawartość walała się rozsypana po

dywanie. Nie było tego wiele. Koszula nocna w kwiatki, z której wyrosłam w wieku czternastu lat.

Sweter z cerą na jednym rękawie. Szczotka do włosów z różowego plastiku. Mały naszyjnik, który

zrobiłam kiedyś w domu dziecka. Podniosłam wzrok. Szuflady biurka też były wysunięte, ale ich nie

opróżniono. Nadal leżał tam mój czerwony piórnik. I zakładki do książek też. I stare świecowe kredki

w pudełku z barwną przykrywką.

Sverker przestąpił próg. Wyglądał na zbitego z tropu.

- Czy ktoś się tu włamał

Tej nocy po raz ostatni posprzątałam dom moich rodziców. Pracowałam w zupełnej ciszy, opłukałam zlew cienkim strumieniem gorącej wody, umyłam i zamiotłam podłogę, szybkimi ruchami

pościeliłam łóżko, ostrożnie pozamykałam drzwi szaf w sypialni i bezgłośnie podniosłam przewrócone

krzesło, żeby postawić je na miejscu. Kiedy zaczęło się przejaśniać, obeszłam pokoje na parterze i

pootwierałam wszystkie okna. Na koniec zdjęłam ubranie i stanęłam nago pośrodku salonu, aby

wywietrzyć stare życie z każdego pora mojego ciała.

Potem przemknęłam cicho po schodach i weszłam do łazienki, wyszorowałam całe ciało myjką,

umyłam zęby i przeplukałam gardło, rozczesałam włosy długimi pociągnięciami grzebienia i wtarłam

kropelkę perfum za uchem. Później przeszłam na palcach przez korytarz, otworzyłam drzwi i weszłam

do Sver- kera. Coś mruknął, kiedy wślizgiwałam się obok niego do łóżka, ale nie usłyszałam co.

Położyłam rękę na jego klatce piersiowej. Była nowa i obca. Pięć lat temu nie miał na piersiach

żadnych włosków, a teraz przesunęłam palcami przez gęsty dywan czarnych loków. Przysunęłam się

jeszcze bliżej do niego, wsunęłam nogę między jego uda i zamknęłam oczy. Był bardzo ciepły.

Obudził się w tej samej sekundzie, ale nic nie powiedział, leżał tylko bez ruchu i oddychał. Leżałam

koło niego tak samo nieruchoma. Czekałam. Przygotowywałam się. W końcu to się stało przesunął

dłonią po moich włosach, pochylił się nade mną i pocałował mnie w czoło.

- Kocham cię, MaryMarie - powiedział. - Wiesz o tym, prawda Wiesz dobrze, że to ciebie kocham

Mrugam oczami w ciemności, przez chwilę oszołomiona. Gdzie ja jestem Czyja to ręka leży na

moim biuście

Potem sobie przypominam. Pokój hotelowy w Sheratonie, w Sztokholmie. Nieznajomy mężczyzna

bez imienia, wieku i narodowości.

Nagle tęsknię do samotności i mojego własnego pokoju. Podnoszę jego ramię i wyślizguję się z

łóżka na podłogę, potem po omacku szukam w ciemności swego ubrania. Mam wrażliwe koniuszki

palców. Odróżniają jego kalesony od moich majtek i szybko się cofają, jeśli niechący musnę jego

białą koszulę, za to gorliwie chwytają moją spódnicę.

Głośne chrapnięcie sprawia, że zamieram tuż po zaciągnięciu suwaka, przez chwilę stoję bez

ruchu, wstrzymując oddech, aż usłyszę, że mężczyzna zapada w jeszcze głębszy sen. Wtedy pochylam

się i biorę do ręki swoje buty.

Udaje mi się bezgłośnie zamknąć drzwi.

możliwa rozmowa (II)

- Cześć - mówi mężczyzna przy stole obok.

Torsten spogląda na niego, odsuwając krzesło.

Zna ten głos, ale nie może skojarzyć skąd. Twarz wydaje się kompletnie obca. Mimo to kiwa głową i -

jak tysiąc razy wcześniej - jest gotów udawać, że wie, z kim rozmawia.

- Co słychać

- Wszystko dobrze. Gratuluję nowej książki.

- Dziękuję. Co jesz

Czy powinien dosiąść się do tego faceta Nie. Aż tak dobrze nie mogą się znać. Poza tym tamten

już prawie skończył i jeśli Torsten usiądzie przy oddzielnym stoliku, jest nadzieja, że tamten niedługo

wstanie i pójdzie.

- Zupę rybną.

- Dobra

- Całkiem niezła.

Pojawia się kelnerka z koszykiem pieczywa. Torsten bierze kawałek i kładzie na swoim talerzu, a

potem dokładnie wypytuje, jakie są składniki zupy rybnej, zanim ją zamówi. Tamten przygląda mu się

z uśmiechem.

- Uważasz na to, co jesz

Torsten unosi brwi, ale nie odpowiada. Co to za typ Dziennikarz, który przeprowadził z nim kiedyś wywiad Jakiś inny pisarz

Facet ułamuje kawałek chleba i wyciera nim talerz, wysysa resztki zupy, pochylając się przy tym do

przodu. Dopiero teraz Torsten widzi na jego stoliku rozłożoną popołudniówkę. Odwraca wzrok, nie

chce wiedzieć, o czym dziś piszą. Zupełnie mu wystarczy, że idąc przez miasto, mijał plakaty z

nagłówkami gazet.

- Widziałeś - pyta facet, podnosząc gazetę.

Torsten wpatruje się w wielkie zdjęcie MaryMarie. Ma wydłużoną twarz. Torsten potrząsa głową.

Tamten się uśmiecha.

- To jest, kurde, niesamowite. Czyli Mary Sundin jest żoną zagorzałego amatora prostytutek...

Torsten przesuwa ręką po brodzie. Co robić Wstać i iść. Powiedzieć facetowi, żeby spieprzał Nie.

Obnażyłby się w ten sposób.

- Słuchaj - mówi facet i zaczyna czytać na głos. - Mary Sundin zasłynęła z najostrożniejszej w rządzie

krytyki procederu handlu ludźmi. Jednak dziś „Expressen może ujawnić, że mąż pani minister do

spraw pomocy rozwojowej parę lat temu zapłacił za usługi seksualne we Vladista. Transakcja

handlowa zakończyła się wyrzuceniem klienta przez okno. Sundin skręcił kark i od tej pory jest

całkowicie sparaliżowany. Informacja ta stanowi niespodziankę dla premiera. Kiedy Mary Sundin

objęła stanowisko...

Głos przechodzi w mamrotanie. Po sekundzie facet podnosi wzrok z nad gazety, potrząsa głową i

uśmiecha się.

- Hakan Bergman jest dziś szczęśliwym człowiekiem.

Torsten ułamuje kawałek chleba. Najwyraźniej tamten nie ma pojęcia, że on zna MaryMarie. I

bardzo dobrze.

- Kto

- Hakan Bergman z „Expressen. To jego sprawa. Lubi rzucać na deski zawodników wagi ciężkiej.

- To Mary Sundin jest zawodnikiem wagi ciężkiej

Torstenowi udaje się zachować obojętny ton. Tamten prychnął.

- E, nie do końca. Ale Hakan Bergman lubi najpierw dać im fory, a potem rzucić na kolana...

Jesteś zazdrosny, myśli Torsten. Czyli sam jesteś dziennikarzem.

- I myślisz, że z nią mu się to uda

- Postawiłbym na to piątkę.

Torsten krzywi się.

- Ale chyba nie można obciążać jej odpowiedzialnością za to, co rzekomo zrobił jej mąż

W spojrzeniu tamtego pojawia się lekka pogarda, facet wyjmuje z kieliszka na stole
wykałaczkę i

przygryza ją.

- Nie chodzi o to - mówi po chwili.

- Więc o co chodzi w takim razie

Tamten wyjmuje wykałaczkę z ust, przez moment jej się przygląda, a potem łamie ją na pół i
wrzuca kawałki do popielniczki.

- O kłamstwa oczywiście.

- A czy ona kłamała

Facet odsuwa krzesło. Dobrze. Zamierza iść.

- W każdym razie nie powiedziała całej prawdy.

Torsten unosi brwi.

- A co to jest prawda

- Dobre pytanie - mówi tamten, wciągając kurtkę. - Możesz je postawić premierowi.

- E tam - mówi Torsten i udaje mu się uśmiechnąć. - Nie sądzę, bym mógł to zrobić.

- Nie - odpowiada facet. - Ja też nie sądzę.

w domu

- Boże święty - mówi Sissela. - Która godzina Wyciągam przed siebie zegarek i pokazuję jej.

Wpół do dwunastej. Czas się kłaść. Tylko że nie mam ochoty iść do łóżka. Wręcz przeciwnie.
Jest mi

dobrze, nagle wszystko staje się takie proste i oczywiste. Jakiego rodzaju władzy się
obawiałam

Mocy poniżenia. Jaką władzę ma Król Wzgórza, by poniżyć mnie jeszcze bardziej Żadnej. Z drugiej

strony, jest przecież pełen inwencji... Ech! Odsuwam od siebie tę myśl. Zawsze istnieje obojętność.

Stanowi ochronę. I miło jest siedzieć nareszcie w swojej własnej kuchni, z nogami na swoim własnym

stole i pić czerwone wino. Jednak Sissela nie jest podobnie odprężona. Przysuwa do siebie

popołudniówki i zaczyna je przerzucać, przejeżdża palcem wzdłuż programu, a potem podnosi wzrok.

- Cholera. Przegapiłyśmy to. Marszczę czoło. Co przegapiłyśmy

- Film Magnusa... Ten, który zrobił we Vladista. Lekko się wykrzywiam. Aha.

- Miała być po nim jakaś dyskusja. Może jeszcze trwa...

Pokazuję palcem pilota od telewizora. Leży koło zlewu. Telewizor kuchenny wisi z tyłu za Sisselą,

która musi chwilę pokręcić głową, nim go zobaczy. Potem naciska chaotycznie pilota. Przed oczami

migocze świat, późne wiadomości, sitcomowy śmiech, przesadnie sentymentalny kawałek melodii

granej przez orkiestrę symfoniczną. Żadnego filmu, żadnej dyskusji.

- Nie - mówi Sissela. - Przegapiłyśmy.

Prycham. Bez problemu zniosę taką stratę. Sissela wypija łyk wina.

- Jest tani - mówi. - Naprawdę tani.

Pytająco marszczę brwi. Kto

- Poza tym leniwy. Nie on jeden zresztą. Kurczę, dużo łatwiej wetknąć komuś w tyłek świeczkę, niż

rzeczywiście coś stworzyć. Tym się zajmują, całe to towarzystwo. Łamaniem tabu. Tanią sensacją.

Potem zadzierają nos do góry i są cholernie ważni, bo mają odwagę, chociaż wszyscy wiedzą, że nie

ma prostszego sposobu na zapewnienie sobie popularności i zwiększenie swego kapitału

kulturalnego, niż złamać tabu. I o to mu chodziło. O popularność. Nic innego. Zawsze szedł po linii

najmniejszego oporu. Wyczuwał, co w trawie piszczy, ale uważał, żeby niczego nie traktować

poważnie. Dlatego obłudnie gadał o solidarności, fotografując ją jednocześnie z każdej strony, kiedy

wsadzali jej tam ogórki, pięści i butelki... Obrzydliwość.

Czyli Magnus. Kiwam potakująco głową, chociaż nie widziałam tamtej wystawy.

Wystarczyły mi

zdjęcia w gazetach, fotografie dziewczyny i łagodnie uśmiechającego się Magnusa. Nic dziwnego, że

Torsten dostał ataku furii na łamach „Dagens Nyheter.

- Możesz wybaczyć - pyta nagle Sissela.

Prostuję plecy. Istnieją rzeczy, o których nie rozmawiamy.

- To znaczy nie Magnusowi, tylko...

W jednej ręce trzyma papierosa, w drugiej zapalniczkę. Gdybym mogła mówić, obróciłabym to

wszystko w żart, powiedziałabym, że mogę wybaczyć wszystko poza tym, co ona, Sissela, zamierza

teraz właśnie zrobić - nikt, kto pali w mojej kuchni, nie może liczyć na przebaczenie. Ale nie mogę

mówić. Jestem zmuszona słuchać.

- Naszym winowajcom - mówi Sissela. Potem zapala papierosa i siedzi bez ruchu, wpatrując się w

dym. Nie przytakuję, nie ruszam się.

- Ojciec umarł zeszłego lata - informuje krótko.

Unoszę brwi. Nic o tym nie wspomniała, nie pozwoliła mi się nawet domyślić. Otwieram usta, żeby

coś powiedzieć, ale zaraz je zamykam. Nie warto. Jednak jestem zdziwiona z tego, co wiem, Sissela

nie miała żadnego kontaktu z ojcem od czasu naszego pierwszego wspólnego wieczoru w

Midsommar. Niemal nic o nim nie wiem, przez trzydzieści lat przewijał się jedynie w pośpiesznych,

zdawkowych zdaniach. Stolarz. Alkoholik. Z ciężką ręką. Marksista typu starotestamentowego. Jej

mama była równie niewidoczna umarła, kiedy Sissela miała sześć lat, zostawiając po sobie jedynie

garść wspomnień.

- Dożył siedemdziesięciu ośmiu lat - mówi Sissela. - Co jest dość niezwykle, zważywszy na to, ile

palił i chlał. - Spogląda na niedopałek i potrząsa głową.

- Skontaktował się ze mną człowiek, który dokonywał wyceny majątku... Stary nie żył już wtedy od

paru tygodni. Ale nie był jeszcze pochowany. Zamrożony. Najpierw postanowiłam, że nie będę się

zajmować pieprzonym dziadem, ale potem...

Wzdycha.

- Byłam zmuszona pojechać do domu. Tak, to znaczy do jego domu. Do śmierci mieszkał w tej

starej budzie w Aspudden. Wyglądało tam dokładnie jak wcześniej. Przynajmniej prawie tak samo, w

latach siedemdziesiątych położono chyba nowe tapety. Poza tym miał te same meble, to samo

brązowe, ohydne gówno, co wcześniej. Jedynie więcej odcisków po szklankach na stole. I więcej

przypalonych miejsc. I wszędzie pety, w miednicy, w ubikacji, w wannie, na podłodze w przedpokoju.

No i puste butelki, oczywiście. Wszędzie. W szafce na rzeczy do sprzątania, pod kuchennym stołem, w

rogu dużego pokoju, pod łóżkiem w sypialni. Za samo szkło można by kupić mieszkanie własnościowe.

Tyle że on by tego nigdy nie zrobił. Tylko burżujskie kołtuny dbają o sprawy materialne. Był ponad to.

Wysoko ponad.

Zaciąga się głęboko, patrzy gdzieś w dal, wygina górną wargę.

- I to prześcieradło... Zupełnie szare z dziwnymi, czarnymi punktami. Coś jak wszy. Choć to nie

były wszy. Coś czarnego i gęstego. Może snus2.

Widzę ją, jak stoi w tym małym, burym pokoiku, patrząc na wielką stertę ubrań i pościeli na podłodze. Czerwona pikowana kołdra. Poduszka w pasiastej poszewce. Brudne prześcieradło.

Zaciągnięte żaluzje, przez szpary dostaje się białe światło słoneczne, które maluje na podłodze pasy

Mały wianuszek przepalonych śladów w głowach łóżka. Ale Sissela ma na sobie białe spodnie. I złoty

pierścionek na każdym palcu. Jej włosy błyszczą. Stoi bez ruchu.

No nie, porusza się. Siedzi z szeroko rozstawionymi nogami przy moim stole kuchennym i intensywnie wysysa papierosa.

- Posłałam tam firmę, która opróżniła całe mieszkanie i wywiozła wszystko na śmietnik. Nic nie

wzięłam, nie było nawet ręcznika, który chciałabym mieć. Potem go pochowałam. Tylko po to, żeby

mu dokuczyć. Załatwiłam pastora, śpiewanie psalmów i cały ten cyrk. Nienawidził religii i wszystkiego,

co miało jakikolwiek związek z Kościołem, uważał, że to opium dla ludu i tak dalej...

Załatwiłam więc

pastora i pochowałam ojca zgodnie z rytuałem Kościoła szwedzkiego.

Rzuca mi szybkie spojrzenie.

- To było na początku sierpnia. Byłaś w Nowym Jorku.

Kiwam głową. Jasne. Pamiętam. Nie rozmawiałyśmy ze sobą przez ponad tydzień, a kiedy do niej

w końcu zadzwoniłam, wydawała się szorstka i obcesowa.

- To nie była udana zemsta. Byliśmy tam tylko ja, pastor i organista. No i ojciec. Organista grał

trochę zbyt pięknie, a pastor nieco zbyt kwiecicie mówił, potem czułam się naprawdę źle. Minęło

sporo czasu, nim doszłam dlaczego.

Przez chwilę wpatruje się w swój niedopałek, potem wstaje i podchodzi do zlewu, zalewa żar wodą. Biorę głęboki oddech. Nocne powietrze ma smak świeżej wody.

- Chodziło o przebaczenie. O te wersy w modlitwie Ojcze nasz I odpuść nam nasze winy, jako i my

odpuszczamy naszym winowajcom. Nocami leżałam, myśląc o tym. Bo jak można przebaczyć

Niebezpiecznie jest nie przebaczać, to się wie, człowiek robi się zgorzkniały, przybity i za wcześnie

umiera. Czyli powinno się wybaczyć, jeśli nie z innych względów, to przynajmniej dla własnego

zdrowia. Albo ze względów kosmetycznych, żeby nie być osobą pomarszczoną i brzydką, której

wszyscy nienawidzą. Ale jak to zrobić Jak się zachować Jak może istnieć przebaczenie, skoro Bóg

nie istnieje

Stoi na środku kuchni na szeroko rozstawionych nogach, patrzy na mnie i męskim gestem wyciera

ręką usta.

- Pojednanie to coś innego - mówi i znowu maca w poszukiwaniu paczki papierosów. - Pojednanie

jest możliwe bez Boga. Dwoje ludzi może się ze sobą pogodzić, mogą wymienić się winami i ofiarować

sobie przebaczenie. Jest w tym wzajemność. Człowiek może też prawdopodobnie pojednać się z sobą

samym. Jednak ja nie potrzebowałam pojednania, chciałam przebaczyć. Musiałam utwierdzić się w

przeświadczeniu, że to ojciec jest mi coś winien. Byłam przecież tylko dziecakiem. Co mógł mu być

winny dzieciak Jaką odpowiedzialność może ponosić sześciolatka Co

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie. Czuję, jak moje szczęki w milczeniu przeżuwiają pytanie. Co

on zrobił Sissela znowu siada przy stole.

- Ale jak przebaczyć pijanemu dziadzyde, który bije sześciolatkę Który pozwala, żeby

dziewięciolatka wycierała jego rzygowiny, a potem, kiedy już wytrzeźwieje, musztruje ją jak kapral

Który jest szyderczy i zazdrosny Który nigdy, ani razu, nie pamięta o urodzinach, nigdy nie kupuje

prezentów pod choinkę Dlaczego jako osoba dorosła mam się czuć parszywie z tego powodu, że nie

chciałam mieć z nim nic wspólnego Co Boże, parę razy mało brakowało, a zrobiłabym się religijna

tylko dlatego, żeby mieć dostęp do tych słów. Przebaczenie. Łaska. Ale nie jestem w stanie. Nie

potrafię wierzyć, bez względu na to, jak się staram. Niebo jest puste.

Przez chwilę siedzi bez ruchu, a potem nagle spogląda w inną stronę.

- A ty - pyta. - Czy ty przebaczyłaś Tak naprawdę

Odgłos, który wydobywa się z mojej krtani, przeraża mnie samą. Syczę. Sissela błyskawicznie się

wycofuje.

- Przepraszam - mówi. - Nie chciałam... Przepraszam.

Jednak ja też nie wiem, jak to zrobić.

Marie nie przebaczyła, ani sobie, ani nikomu innemu. Unika natomiast umiejętnie pewnych myśli.

Po prostu ich nie dopuszcza, udaje przed sobą i światem, że to, co się stało, nie wydarzyło się.

Siadając do śniadania, uśmiecha się. Na swoim talerzu ma wszystko to, czego jej brakowało w

więzieniu ciepłą grzankę, kawałek owocu papai, odrobinę angielskiej marmolady. Poza tym naląła

kawy do kubka na herbatę. Jest nienasycona. Nienasycona. Wiecznie wygłodzona.

Kiedy już posmaruje chleb masłem i marmoladą otwiera „Dagens Nyheter i na chwilę pochyla się

krótkowzrocznie nad pierwszą stroną, potem przerzuca następne. Nagle zastyga. Przy jej stoliku stoi

mężczyzna w czarnych spodniach i białej koszuli, mężczyzna, który wsunął palec w wieszak swojej

marynarki, żeby móc ją nonszalancko przerzucić przez ramię. Uśmiecha się. Marie mruga oczami.

Czego on chce Dlaczego nagle wygląda jak uszczęśliwiony żigolak Noc się już skończyła. Dostał

swoje potwierdzenie oraz orgazm, a ona też wie, czego potrzebowała. Dlaczego mieliby w ogóle ze

sobą rozmawiać

- Morning - mówi mężczyzna.

Odpowiada mu uprzejmym uśmiechem. Jej głos jest całkowicie obojętny.

- Good morning.

- I didn't notice when you left

Marie marszczy brwi.

- Excuse me

Uniosła brwi i patrzy ze zdziwieniem. Mężczyzna w białej koszuli próbuje się uśmiechnąć, ale

uśmiech gaśnie w pół drogi. Chrząka.

- Last night...

Marie wypróbujuje inny wyraz twarzy. Lekko zbity z tropu.

- Yes

- I didn't notice when you left.

Marie podnosi filiżankę. Górna warga wykrzywia się w przelotnym grymasie.

- I'm sorry, but I haven't the faintest idea of what you are talking about. Have we met

To działa, mężczyzna ucieka wzrokiem i zmienia pozycję. Jego marynarka nie jest już przewieszona

przez ramię, tylko zwisa z przedramienia i zasłania brzuch.

- Sorry. I thought you were somebody else.

Marie uśmiecha się lekko.

- No problem.

Podąża za nim wzrokiem, kiedy oddala się w kierunku bufetu. Co on sobie myślał Że chciałaby za

niego wyjść Gdzieś tam z tyłu głowy słyszy aplauz koleżanek z więzienia. Dobrze! Trzeba im odmawiać!

Dzwonek do drzwi. Otwieram oczy, leżę bez ruchu i słucham. Białe światło w wykuszu. Już rano.

W kuchni gra radio. Ktoś stąpa po podłodze w korytarzu, ktoś, kto nosi w domu buty. Sissela.

Opiekunowie Sverkera mają zwyczaj biegać na palcach i w samych skarpetkach. Otwierają się drzwi

wejściowe. Stłumione głosy. Drzwi znowu się zamykają. Sekundę później kolejny dzwonek. Nikt nie

otwiera, ale osoba, która stoi na schodach przed drzwiami, nie poddaje się. Naciska, naciska i naciska

na dzwonek. Drzwi się znowu otwierają i teraz mogę usłyszeć, co mówi Sissela. Mówi zdecydowanie,

z naciskiem

- Nie kapujesz Odpowiedź brzmi nie, nie i jeszcze raz nie.

Wykrzywiam się do sufitu. To musi być jakiś dziennikarz, a Sissela najwyraźniej zapomniała o

wszelkich treningach medialnych. Z jej porannymi humorami nigdy nie należało igrac.

- Jakiego słowa nie rozumiesz Nie czy może

nie

Przedłużające się szemranie osoby na schodach.

- I jak miałyby to, do cholery, wyglądać Przecież ona nie może mówić!

Znowu szemranie.

- Nie, mogę cię zapewnić, że nie można liczyć na to z jego strony. Ani pieprzoną odrobinę.

Drzwi zamykają się z trzaskiem. Jego Czy ten dziennikarz chciał zrobić wywiad ze Sverkerem

Znowu dzwonek do drzwi. Tym razem Sissela nie otwiera. Jednak wydziera się tak, że człowiek,

który stoi na zewnątrz, musi ją słyszeć.

- Dotknij jeszcze raz tego dzwonka, pieprzony pismaku, to zadzwonię na policję i oskarżę cię o

naruszenie spokoju domowego!

Wpełzam pod koldrę. Naciągam ją na głowę.

Marie wchodzi na klatkę schodową. To klatka domu przy Óstermalm³, z błyszczącymi poręczami i

oknami w ołowianych ramach. Już na drugim piętrze Marie słyszy, jak na trzecim otwiera drzwi

Katrin.

- Marie!

Przyśpiesza kroku, w połowie drogi widzi, że Katrin rozkłada ramiona. Odpowiada na to tym samym gestem. Uścisk to najmniejsze podziękowanie, jakie może ofiarować Katrin za całą pomoc. W

poczekalni jest pusto, ale Annie, sekretarka Katrin, uśmiecha się z pokoju naprzeciwko. Witaj na

wolności!

Katrin obejmuje Marie pulchnym ramieniem i popycha ją do swojego pokoju.

- No - mówi, zamykając drzwi - i jak się teraz czujesz

Marie lekko porusza głową. Hinseberg wciąż w niej tkwi, może pozostanie w jej wnętrzu już na

zawsze. Jednak tego nie może powiedzieć. Katrin znowu się śmieje.

- Nie zapomniałaś, jak się otwiera i zamyka drzwi

Marie odpowiada uśmiechem. Zeszłej jesieni poświęciły całą godzinę odwiedzin najczęstszym

komunałom na temat więzień. Katrin lubi frazesy, zwłaszcza wtedy, gdy uda jej się uczynić je tak

niejednoznacznymi, że jej koledzy przestają być pewni, czy mówi poważnie. Od kobiet nie oczekuje

się, by drwiły z mężczyzn. Dotyczy to w szczególności prawniczek. Jednak Marie wie, o co chodzi, i

włącza się do gry.

- Nie, nie. Ćwiczyłam cały zeszły tydzień.

Katrin siada przy biurku. Jest obite skórą w kolorze byczej krwi i musiało kosztować fortunę.

Opiera brodę na dłoni i uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Wspaniale. Czyli dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

- Właśnie.

- Odpokutowałaś przeszłość i jesteś gotowa stawić czoło przyszłości.

- Tak.

- I czujesz się tak, jak na to zasługujesz.

- Czyli doskonale.

- Bosko. I każdy dzień to nowy początek

Marie nadal się uśmiecha, ale zabawa zaczyna ją nużyć.

- No tak - mówi. - Czy zostały mi jakieś pieniądze

- Ha! - odpowiada Katrin. - Pieniądze to jedyne, co masz. No i jeszcze niezwykle rozsądną adwokatkę.

Sissela stoi teraz z tacą w rękach. Spoglądamy na siebie i zgadzamy się bez słów, że to, co zdarzyło

się w nocy, nie miało miejsca. Granice zostały przywrócone.

- Słyszałaś

Podnoszę się do pozycji półsiedzącej i kiwam głową. Sissela stawia mi tacę na kolanach i przysiada

na brzegu łóżka.

- Cholerny idiota.

Chciałabym umieć ją poprosić, żeby była ostrożniejsza. Nie należy niepotrzebnie drażnić dziennikarzy, są pamiętliwi jak słonie.

- Chciał zrobić z tobą wywiad. Kiedy powiedziałam nie, zapragnął porozmawiać ze Sverkerem.

Potem zaczął gadać o Magnusie, o jego filmie i o Klubie Bilardowym Przyszłość, z czymkolwiek

miałoby się to wiązać.

Krzywię się. Aha. Hakan Bergman jest z powrotem w Sztokholmie. I skojarzył pewne fakty.

Niedobrze. Nigdy nie przebaczy mi tamtego ostrzeżenia, dostanie mi się też za to, że znam Magnusa.

Minister, klient prostytutek i skandalizujący artysta, no tak, wystarczy na jeszcze jedną rozkładówkę.

Przez chwilę Sissela siedzi, nie odzywając się. Być może myśli o tym samym, ale jest wystarczająco

mądra, żeby nic nie mówić, spogląda tylko w inną stronę i oznajmia wypranym z emocji głosem.

- Sverker bierze prysznic.

Kiwam głową. Aha.

- Zaczął się kurczyć. Zauważyłaś

Znów kiwam głową. Tak, zauważyłam. Ćwiczenia z fizjoterapeutą dwa razy w tygodniu nie wystarczają. Kurczy się.

- I włosy zrobiły mu się takie siwe...

Podnoszę rękę do góry. Już dość. Sissela wzdycha i trochę się garbi. Przez chwilę jest cicho, potem

ona prostuje plecy i kładzie rękę na środku kołdry.

- Włożyłam ci do lodówki kilka kanapek na lunch.

Uśmiecham się lekko, staram się, żeby wyglądało to na pozbawione słów podziękowanie.

- Bo ja muszę zaraz iść. Mam parę spraw do załatwienia przed wyjazdem.

Ucieka wzrokiem.

- Torsten przyjdzie o drugiej.

Potrząsam przecząco głową. Nie. Sissela odpowiada na moje spojrzenie.

- Tak. Nie możemy zostawić cię samej.

Jacy my Ona i Torsten Odkąd to tych dwoje stanowi „my

- Musisz kogoś tu mieć. Wiesz o tym. Gdyby się pogorszyło. Gdyby się coś stało.

Znowu potrząsam głową. Sissela nie zwraca na to uwagi, wstaje tylko i poprawia bluzkę.

Czarne

polo.

- Odezwę się, jak tylko wrócę do domu.

Znowu wpełzam pod kołdrę.

Katrin zaprasza na lunch do Gyllene Freden. Idą przez miasto jak dwie przyjaciółki, ale tematy do

rozmowy kończą się im już przy placu Norrmalmstorg. Przynajmniej kończą się Marie, bo Katrin po

chwili milczenia zaczyna opowiadać o sprawie, która w przyszłym tygodniu będzie się toczyć w sądzie

rejonowym. Chodzi o wzniesienie pożaru i dowody są dość przekonujące, ale ta biedna dziewczyna... Marie słucha jednym uchem, bo musi się zastanowić nad czymś innym. Czy zdąży dziś

zajść do banku i do magazynu z meblami, czy będzie musiała zostać w Sztokholmie jeszcze jedną noc

Czy może, przelatuje jej przez głowę myśl, po prostu pojechać na cmentarz i położyć kwiaty na grobie

Sverkera Sekundę potem kręci głową, odpowiadając sobie na to pytanie. Nie, nie może tego zrobić.

Absolutnie nie. Katrin interpretuje to jako przytaknięcie jej słowom.

- Nie - mówi. - Ja też myślę, że nie. Zwłaszcza jeśli chodzi o tak młodą dziewczynę...

Jak młodą I co ona zrobiła Marie nie ma odwagi zapytać, powinna była słuchać ze zwykłej grzeczności. Katrin zasługuje na jej uwagę, bez jej pomocy Marie byłaby dziś niemal równie biedna i

bezapelacyjnie wyrzucona na margines, jak większość wypuszczanych na wolność więźniarek z

Hinseberg. Pomimo to gdzieś w tyle głowy pojawia się lekka irytacja. W co się bawi Katrin Dlaczego

mają udawać najlepsze przyjaciółki, skoro w rzeczywistości są nabywcą i sprzedawcą, klientką i

adwokatem Tak naprawdę nie ma żadnych podstaw do zażyłości pomiędzy Marie i jakimkolwiek

człowiekiem na świecie. I nie chciałaby, żeby było inaczej.

- Myślę, że to ta bezdomność - mówi Katrin.

Marie wydaje z siebie cichy dźwięk. Można go zinterpretować jako przytaknięcie, i to starcza, żeby

Katrin kontynuowała

- Na początku dwudziestego wieku przeprowadzono badanie dotyczące młodych piromanek. To

były małe dziewczynki, które oddano na służbę i którym nie pozwolono już wrócić do domu.

A więc

bezdolne w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Wiele z nich uwolniono.

- Dlaczego

- Oficjalnie nie można było pociągnąć ich do odpowiedzialności karnej, ponieważ nie miały jeszcze

ani miesiączki, ani piersi. Istniała też falanga freudowska, która twierdziła, że ogień symbolizuje

tęsknotę dziecka za światłem i ciepłem domu rodzinnego. Piromania jako pociecha, można powiedzieć. Albo jako zemsta za bolesne rozdzielanie.

- Czy twoja dziewczyna też tęskniła za domem

Katrin rzuca jej spojrzenie, tli się w nim lekka irytacja.

- Ona nie jest moją dziewczyną. Jest moją klientką.

Chwilę panuje cisza. Nagle Marie zauważa, że zaczęły iść równym krokiem.

- Ale oczywiście tęskniła za domem - dodaje Katrin. - Ciągle. Nadal tęskni, chociaż nie ma domu,

do którego mogłaby wrócić.

Dom. W domu.

Sverker był zmuszony niemal natychmiast jechać z powrotem do Sztokholmu. Ja musiałam zostać

w Nassjö i załatwić wszystko, co trzeba.

Kiedy się obudziliśmy, coś się zmieniło. Zachwiała się równowaga, pojawiło się pragnienie, ale i

lekka obojętność.

Po późnym śniadaniu odprowadziłam go na ulicę, stałam z założonymi rękami, kiedy rzucił marynarkę na tylne siedzenie. Gdzieś w oddali słysząc było jakąś orkiestrę dętą. Międzynarodówka.

Był 1 Maja i pochód musiał już dotrzeć na Rynek Główny. Poza tym miasto było spokojne, jak inne

małe miasteczka szwedzkie, żaden wiatr nie poruszał nagimi brzożami, w tle nie szumiały samochody,

na ulicy przed starą halą sportową nie widziało się żywego ducha.

Kiedy byłam mała, urządzano tam tańce. Czasami siadałam przy oknie w swoim pokoju i patrzyłam, jak otwierają się drzwi i wielki budynek połyka tę część młodzieży z Nassjő, która nie

przystąpiła do żadnego z ośmiu Kościołów (niezależnych od państwa). Dziewczyny w falujących pod

niedopiętymi płaszczami spódniczkach przebiegały truchtem przez Anneforsva- gen. Nerwowi

chłopcy z dziwnymi, wybrylantowanymi fryzurami przesadnie nonszalancko sunęli wolno za nimi.

Zastanawiałam się, jak tam jest w środku wieczorami, czy muzyka odbija się równie mocnym echem

od łukowatego sufitu z masonitu, jak nasze krzyki i głuche odgłosy piłki podczas gimnastyki, i czy ów

uciążliwy zapach potu, który zdawał się wypełniać każdy por budynku, na ten jeden wieczór w

miesiącu dawał się wyprzeć perfumom konwaliowym i wodzie kolońskiej. Nigdy się tego nie dowiedziałam. Kiedy byłam już wystarczająco duża, żeby wyjść wieczorem na tańce, hala sportowa

stała już pusta i ciemna w sobotnie wieczory. Nassjő dostało Ludowy Dom Kultury z prawdziwym

parkietem do tańca. Pachniało tam dymem i lakierem do włosów, czułam to, stojąc w gromadzie

dziewcząt i czekając, aż ktoś zaprosi mnie do tańca.

Jednak na ulicy przed domem moich rodziców pachniało wiosną. Wzięłam głęboki oddech, delektując się świeżym powietrzem. Sverker uznał to za westchnienie.

- Nie martw się - powiedział. - Zadzwoń.

Nie miałam ochoty odpowiadać, że wcale się nie martwię i że nie oczekuję od niego niczego więcej niż to, co już dostałam, że nawet nie wiem, czy chciałabym czegoś więcej. Jednocześnie byłam

speszona własnymi uczuciami. Powiedział to, czego nikt nigdy mi nie wyznał. Jak to możliwe, że

czułam w środku lekką irytację, ukryte zniecierpliwienie tym, że Sverker nie puszcza mojej ręki, że

upiera się, by całować wszystkie palce Czy nie mógłby w końcu wsiąść do samochodu Czy nie

rozumie, że potrzebuję spokoju

Ostatni pocałunek. Zmiękłam w jego ramionach, otworzyłam z gotowością usta, później położyłam

mu rękę na piersi. Można było uznać to za pieszczotę. Albo za próbę utrzymania go na dystans.

Znowu objął mnie ramionami, przycisnął mocno do siebie, a potem szybko wypuścił i - nareszcie,

nareszcie - wsiadł do samochodu.

- Jedź ostrożnie! - powiedziałam i zamknęłam za nim drzwi. Potem odwróciłam się i weszłam z

powrotem do domu. Do domu mojego dzieciństwa.

Wietrzyłam całe przedpołudnie, a mimo to nadal wydawało mi się, że śmierdzi stęchlizną. Stare

powietrze i stary dym. Słabę opary chemikaliów z pralni w piwnicy. Znowu otworzyłam okna, a potem

stałam, nie wiedząc, co robić. Rozejrzałam się po salonie. Porządna sofa z lat pięćdziesiątych. Stolik

ze spuchniętymi nogami. Pianino, na którym nikt nigdy nie grał. Jednocześnie znajome i obce. Moje i

nie moje.

Oczywiście byłam zmuszona coś zrobić. Na dole, w pralni, wisiały ubrania, które należały do jakichś innych ludzi. Muszą je otrzymać z powrotem. Firma ubezpieczeniowa, zaraz, jaka to była, musi

zostać powiadomiona. Należy poinformować bank. Mama leży w chłodni w Eksjő. Trzeba ją pochować.

Świadomość tego, że nie żyje, miała do mnie nie dotrzeć jeszcze przez rok. Meble w domu były już

wtedy przykryte białymi prześcieradłami dla ochrony przed kurzem i słońcem, mama miała grób i

nagrobek na cmentarzu Skogskyrkogården, pralnia chemiczna została zamknięta, pani Lundberg

zwolniona, maszyny sprzedane i piwnica posprzątana.

Tego roku na kilka dni przed Nocą Walpurgi wsiadłam do mojego nowego czerwonego fiata, którego kupiłam za pieniądze z ubezpieczenia mamy, i pojechałam najpierw do Eksjő, a potem do

Nassjő. Tata nadal nie odzyskał przytomności. Wyglądał dziwnie bezbrinnie w pasiastej szpitalnej

pościeli. Rany zagoiły się, policzki zbieleły, ręce miał spokojnie złożone na piersi, jakby już nie żył.

Jednak nie jest wykluczone, że któregoś dnia się obudzi, tak powiedział lekarz z wysiloną niezachwianą wiarą. Takie cuda zdarzały się już wcześniej.

Nie byłam pewna, czy pragnę cudu. Nie wiedziałam, co powiedzieć lub zrobić, jeśli Herbert otworzy nagle oczy. Z drugiej strony, nie wiedziałam też, czego się ode mnie oczekuje teraz, kiedy

Herbert leży z zamkniętymi oczami, nieruchomy. Przez chwilę siedziałam przy jego łóżku, patrząc, jak

sekundnik na moim zegarku porusza się powoli po tarczy. Myślałam. Jak mówić do tego, kto nie

słyszy Co mu powiedzieć Że na pogrzeb mamy przyszły tylko trzy osoby i żadna z nich nie płakała

Że od tamtej pory byłam tak zajęta Sverkerem i swoją pracą, że prawie nigdy nie myślałam o tym, co

się stało Że musiałam wpisać słowo „Eksjó do kalendarza, żeby w ogóle pamiętać o telefonie do

szpitala raz w tygodniu i sprawdzaniu, jak ojciec się ma Że ulga jest większa od smutku

Nagle uderzyło mnie, że można by dodać te pytania i otrzymać z tego jakąś sumę... Jednak co ta

suma mówi o mnie samej, nie chciałam wiedzieć. Dlatego wstałam i po raz ostatni zerknęłam na

twarz taty, która była tak nieznajoma, tak obca, tak kompletnie inna od twarzy, którą widziałam,

kiedy o nim myślałam. Twarz na łóżku należała do kogoś obcego, do łagodnego, wychudzonego

mężczyzny, którego nie znałam.

Tak samo było z domem w Nassjó. Zauważyłam to, kiedy zaparkowałam przed czymś, co kiedyś

było garażem, potem pralnią chemiczną, a teraz stanowiło jedynie puste pomieszczenie o ścianach z

cementu. Wszystko było inne. Pączki na starej jabłonce, która od wielu lat stała sucha i naga, nagle

nabrzmiały. Wierzby płaczące miały jakiś czerwony, wiosenny połysk, którego nigdy wcześniej nie

widziałam. Wydawało się też, że dom zmienił kolor. Przedtem tynk miał szarobiałą odcień, jak stara

psia kupa po stopieniu się śniegu, ale teraz zachód słońca uczynił fasadę śmietankowo białą.

W środku domu było cicho. Ciszej niż kiedykolwiek. Zegar wahadłowy w salonie zatrzymał się.

Popołudniowe słońce przeświecało przez nieumyte okna, meble chowały się pod swoimi prześcieradłami, a na podłodze w przedpokoju nadal leżał stos gazet, które zapomniałam wyrzucić.

Wniosłam je do kuchni, usiadłam przy stole i usiłowałam rozwiązać sznurek, którym związałam gazety

rok wcześniej. Nie udało się. Supel został zbyt mocno zaciśnięty, a moje paznokcie okazały się zbyt

poobgryzane, by to było możliwe. Siedziałam więc dalej, wpatrując się w jeden z tytułów w gazecie

na samym szczycie stosu. Kobieta zginęła w wypadku samochodowym. Pociągnęłam nosem. To był

największy news tego dnia, ale i tak nie chciało im się nawet przygotować prawdziwego tytułu. To

przecież tylko etykieta, naklejka na butelkę z sokiem. Powinni z tego zrobić trzy szpalty, wyjaśnić,

skąd pochodziła, dodać przymiotnik i podtytuł, żeby brzmiało elegancko. KOBIECI Z
NASSJÓ ZGINEŁA

W TAJEMNICZYM WYPADKU. Małżonek ciężko ranny. Na przykład.

Nagle zobaczyłam ich przed sobą. Herbert i Renate. Moi rodzice. Siedzą obok siebie w granatowym volvo, które tata odebrał od sprzedawcy zaledwie kilka tygodni wcześniej. Czy to

przypadek, że płaszcz Renate jest w dokładnie tym samym kolorze. Może tak. Z drugiej strony, nie

jest to sprawa, o której rozmawiają, siedząc w nowym samochodzie. W ogóle o niczym nie rozmawiają, milczą, tak jak milczeli przez kilkadziesiąt lat. Dokąd jadą. Nie wiem.

Zazwyczaj w wieczór Nocy Walpurgi wybierają się obejrzeć ognisko w parku Hembygd. Słuchają

tam dyrektora szkoły, proboszcza albo innego z wielkich synów miasta, który tej wiosny wygłasza

przemówienie. Nie ma żadnego wytłumaczenia na to, że razem siedzą w samochodzie i jadą w

kierunku Eksjów. A mimo to siedzą tam, mama w nowym płaszczu i tata w starym trenczu. Nagle tata

skręca kierownicę, zmienia kierunek jazdy i trafia w skałę. Sekundę wcześniej, nim maska samochodu

uderzy w granit, odwracają się, patrzą na mnie i unoszą rękę w geście pożegnania. Potem pozostawiają świat dla mnie.

A rok później, tutaj, przy ich pustym stole w kuchni, zaczęłam nagle za nimi tęsknić. Tak dużo

chciałam im opowiedzieć. O mnie i Marie, o dzieciństwie. Że w ostatnim roku dwa razy udało mi się

pojechać do Ameryki Południowej, żeby napisać reportaż, i że niedługo pojedę do Indii. Że dostałam

propozycję pracy jako komentator polityczny i zamierzam ją przyjąć, chociaż wiem, że jeśli wkroczę

na tę drogę, niemożliwy stanie się powrót do dziennikarstwa newsowego. Że kupiłam
wyjątkowo

ładne, dwupokojowe mieszkanie w Smedslatten i że Sverker śpi w nim prawie każdej nocy. I
że

rozmawiamy o ślubie, ale mimo to nie jestem do końca pewna, co on czuje. Że czasem
Sverker

zasypuje mnie pocałunkami i pieszczotami, a innym razem traktuje jak daleką znajomą, że
nasz

związek to taniec o skomplikowanych krokach, w którym nieustannie zamieniamy się
miejscami. No i

że czasem zastanawiam się, czy jestem zupełnie normalna, bo uważam, że w chwilach
obojętności

Sverkera tkwi jakiś rodzaj ulgi, i tęsknię za nimi, podczas gdy słowa i gesty miłości
przyprawiają mnie

o ciarki.

Herbert i Renate nigdy nie przyprawili mnie o ciarki. Stanowi to pocieszenie. Tak jak i cisza.

Sissela już poszła. W domu jest cicho.

Ostrożnie stawiam stopę na wyszlifowanych sosnowych deskach podłogi i wstaję. Czy moje
ciało

nadal należy do mnie Czy istnieją moje ramiona, nogi, skóra, moje włosy, język i usta Czy
jestem

jedynie zabawką w głowie Marie Kompensującą fantazją. Tą, która pozwoliła Sverkerowi
żyć. Tą,

która nadal go ma.

Trę oczy. Ech. Odkąd przestałam mówić, rozmyślam, marzę i fantazjuję zdecydowanie zbyt
dużo.

Oczywiście, że istnieję. Jak w przeciwnym razie mogłabym poczuć swój własny zapach,
kiedy wstaję z

łóżka Jak mogłabym pozwalać, żeby czubek języka poruszał się po mapie podniebienia, która
składa

się z chrząstek, kości i błony śluzowej

Najwyższy czas, by się opanować. Zimny prysznic. Mycie włosów. Ćwiczenia mowy. W tej

kolejności.

Kiedy stoję pod prysznicem, powraca Marie. Chociaż tego nie chcę. Chociaż próbuję ją przekupić,

żeby sobie poszła.

Lunch nareszcie się skończył. Marie siedzi teraz przy małym stoliku na ławce i opróżnia swoją

skrytkę w banku. Dwie złote bransoletki. Klucze do domu w Hasterum. Jakieś staroświeckie książeczki

bankowe. Nie. Nie będzie cierpiała biedy. Przynajmniej nie w ciągu najbliższych lat. A tak naprawdę to

nawet nie w ciągu dosyć wielu lat, jeśli będzie żyła rozsądnie.

Szybkie spojrzenie na zegarek. Tak. Zdąży też do magazynu z meblami. Jeśli się pośpieszy.

Kiedy wychodzi, uśmiecha się do niej urzędnik bankowy. Odpowiada na jego uśmiech. Niedługo

kąciki ust zaczną ją boleć z nadwężenia.

Schodząc ze schodów, jestem poważna. Poważna i nieco spięta.

Sverker siedzi w salonie. Ręce jak zwykle ma ułożone na poręczach wózka inwalidzkiego. Głowę na

podglówku. Zamknięte oczy. Słuchawki na uszach.

- Albatros - mówię.

Otwiera oczy. Przez moment patrzymy na siebie, potem Sverker znowu zamyka oczy. Za jego wózkiem stoi Annabel, pochyla się nad nim i unosi jedną ze słuchawek, a potem mówi przesadnie

wyraźnie do ucha Sverkera

- Jest tu MaryMarie.

Żadnej reakcji. Ze słuchawki sączy się wstążka muzyki. A Whiter Shade of Pale. Oczywiście. Od

trzydziestu lat słucha tej samej melodii, a mimo to nadal nie rozumie, o co w niej chodzi. Chociaż ma

swoje teorie. Dlatego poświęca całe dnie na studiowanie Chaucera i nagrywanie własnych płyt CD, na

których miesza Procol Harum z Bachem. Jak stuknięty nastolatek. Na to przyszło temu guru reklamy,

pięciokrotnemu zdobywcy Złotego Jajka, najważniejszej szwedzkiej nagrody reklamowej.

- Halo - mówi Annabel ze śmiechem w jasnym, dziewczęcym głosie. - Czy ktoś jest w domu

Sverker nadal nie otwiera oczu. Może boi się, że zabije ją wzrokiem. Rozumiem go. To zresztą

jedyna rzecz, którą w nim rozumiem. Poza tym nie mam pojęcia, co dzieje się za jego kością czołową.

Nigdy nie miałam. Zadziwia mnie to, bo poza tym jestem przekonana, że dość dobrze potrafię interpretować zachowanie innych ludzi, że wystarczy, bym na nich popatrzyła, a usłyszę to, czego nie

mówią. Urzędnicy w ministerstwie są przezroczyści jak szkło. Szybkie spojrzenia na boki, skoroszyt

przyciśnięty do brzucha, napięty kark albo wydęta dolna warga mówią wszystko. Jednak postać

Sverkera jest równie niema, jak moja krtań. Sverker zamyka przede mną swoją twarz. Zatrzaszkuje.

Przekręca klucz i zostawia mnie na zewnątrz, tak jak to robił przez ostatnie siedem lat albo dłużej.

Annabel przekrzywia głowę.

- Pani MaryMarie nie najlepiej się czuje, ona też. Dostała amnezji.

Słyszę własne westchnienie. Czy istnieją jakieś granice głupoty tej dziewczyny Afazji. Nie amnezji.

Z moją pamięcią jest wszystko w porządku.

- Ale wkrótce jej się polepszy - mówi pocieszająco Annabel. - I wszystko będzie znowu normalnie.

Chociaż teraz pani MaryMarie zostanie z panem w domu przez kilka dni i odpocznie. To miło,

prawda. Może posłuchają państwo razem muzyki. Czy zdjąć słuchawki i włączyć głośniki

Sverker wydaje z siebie głuchy odgłos. Może to pomruk. Nie pomaga. Annabel zdejmuje słuchawki

i naciska przycisk. Fala dźwięku z głośników niemal powala nas na ziemię. Sverker zawsze słucha

muzyki na maksa.

- Ooojć! - wykrzykuje Annabel i szuka po omacku pilota do odtwarzacza CD, potem szybko naciska

kilka guzików. - Teraz pójde zająć się praniem. Harówa, cha, cha...

Odprowadzam ją wzrokiem, a potem odwracam się do Sverkera. Nadal ma zamknięte oczy. Nie

chce mnie widzieć. Może nie może wybaczyć, że ja nie umiem wybaczyć.

Ale jestem jak Sissela. Nie umiem.

Łaskę jest łatwiej zrozumieć niż wybaczenie. Przychodzi z góry, od Boga albo rządu, nie wymaga

niczego poza poczuciem się do winy. Jest chłodna i zdystansowana ten, kto ofiarowuje łaskę, nie

jest związany osobiście z tym, który zostaje ulaskawiony, nie został skrzywdzony, nie jest nawet

wmieszany w sprawę, ma tylko moc uwalniania ludzi od konsekwencji ich złych czynów.

Miałam tę moc. Ulaskawiałam. Siedziałam przy wielkim jasnym stole i słuchałam sprawozdania

ministra sprawiedliwości, kiwałam głową, mruczałam coś pod nosem i słyszałam uderzenia młotka w

stół. Łaska udzielona.

Sverkera nie mogę ulaskawić. Muszę mu wybaczyć. Nie wiem tylko, jak to zrobić. Nie wiem nawet,

co to znaczy. Może wybaczenie jest obietnicą. Ale co się obiecuje. Nie pamiętać tego, co się

pamięta Nie płakać nad tym, nad czym się płacze Nie pogardzać tym, co naprawdę rodzi pogardę

Muzyka na chwilę cichnie, a potem znowu słycać organy i jasny głos

We skipped the light fandango...

Kładę się na sofie i wsuwam ręce pod kark. Melodia wypełnia pokój, zajmuje całą przestrzeń, wysysa cały tlen.

Przez okno świeci słońce, na suficie rysuje się cień młodego dębu. Marie ma rację. Jest ładny.

Pozwolę, żeby rósł.

Jest, jak jest. Jak musi być.

możliwy żal

- Ach tak - mówi Magnus. - Tak. Skoro tak zdecydowaliście... No dobrze.

Odkłada słuchawkę, potem siedzi i wygląda przez okno. Na zewnątrz puszy się jesień, klony mienia

się na zielono i pomarańczowo, drżą złote monety osiki. Magnus szuka papierosów, zapala jednego i

sięga ponad biurkiem, żeby otworzyć okno. Robi się przeciąg i okno otwiera się na całą szerokość. Nie

szkodzi, chociaż strony rozłożonej przed nim gazety zaczynają się przewracać. Skoro wieje do pokoju,

Maud nie poczuje zapachu. Nie lubi, kiedy Magnus pali w domu. W ogóle nie podoba jej się, że pali.

Ale teraz musi zapalić. Trzeba zebrać myśli i się zastanowić.

Czyli wstrzymują. Nie chcą pokazać jego filmu. Nie chcą mu nawet obiecać, że pokażą go później,

kiedy minie zamieszanie po samobójstwie dziewczyny.

Co to znaczy Jak to rozumieć

Wstaje, ale stoi tylko przez chwilę przy biurku, potem znowu opada na krzesło. Musi dopuścić tę

myśl. Przyznać się do niej. Znieść ją. Co to w takim razie znaczy

Jest napiętnowany. Uważają, że to jego wina, że to przez niego dziewczyna odebrała sobie życie.

Nie tylko ciotki moralistki będą na niego krzywo patrzeć, ale także inni - ludzie, na których mu zależy,

osoby, o których sympatię zabiegał, za których sympatią tęsknił. Zostanie uznany za ostatniego

bydlaka. O ile już nie jest tak postrzegany.

Zapominają, że ona zgodziła się na to zupełnie dobrowolnie. Nie zmuszał jej do niczego, chciał

tylko zobaczyć i zrozumieć, i - tak właśnie! - pozwolić, by przemówiła. A poza tym zapłacił jej tak dużo,

że mogła na wiele miesięcy z tym skończyć. Zapominają też, że sam o mało nie zginął. Dźgnęła go

osiem razy i większość tych ran mogła go kosztować życie. Nabiera powietrza. Nadal czuje ból w

środku, tak jakby rany były wciąż otwarte i nie chciały się zagoić. Maud mówi, że to zupełnie normalne. Czego się spodziewać. Nie należy na to zwracać uwagi.

On sam nie uważa, żeby to było normalne. Nigdy nie może być normalne uczucie, że ciało pęka,

rozpada się od środka.

Przynajmniej obrazy znikły, tamte obrazy, które drzemały mu pod powiekami przez pierwsze miesiące po. Jej twarz, kiedy do niej podszedł, biała, pospolita twarz, która nagle rozpadła się i...

Czy została oskarżona Nie. Tylko w sensie formalnym. Postawiono ją przed sądem i dostała kilka

miesięcy więzienia. Mimo to nie była traktowana jak winna. Nie przez gazety. Pełno w nich było

analiz, interpretacji, które sugerowały, że faktycznie winien jest on. Ją można zrozumieć. Nie jego. A

teraz okazuje się, że będzie jeszcze gorzej, teraz wszyscy kategoryczni mędrzy z gazet już się na niego

szykują. Włącznie z Torstenem Matssonem. Temat, który naprawdę chciał ujawnić i przedstawić,

zostanie zapomniany Po raz kolejny

Mógłby zrobić coś o tym. Naprawdę mógłby. Obraz niemożliwego spotkania pomiędzy Wschodem

a Zachodem, mężczyzną a kobietą, bogaczem a biedakiem. Znowu wstaje. Tak. A niech mnie, to

genialne. Będzie miał szansę na powrót do malarstwa, mówiąc szczerze, od dawna za tym tęskni.

Back to basics.

Wyrzuca niedopałek za okno i wciąga bluzę. Pójdzie prosto do pracowni i zacznie szkicować.

Pomysły tłoczą mu się w głowie, jest tak tym podniecony, że aż się trzęsie.

W tej samej chwili słyszy samochód wjeżdżający na dziedziniec. Samochód Maud. Jej kroki na

żwirze. Magnus wychodzi do przedpokoju i szybko zerka w lustro. Jest trochę blady, ale to dobrze.

Blady i poważny. Nowy człowiek.

- Cześć.

Maud nie odpowiada mu od razu, rzuca tylko spojrzenie. Zła

- Jak tam w pracy

Maud wykrzywia się.

- Cholernie wesoło. Jak zawsze.

Magnus wyciąga rękę i próbuje jej dotknąć, ale Maud odsuwa się. Zaczynają mówić w tym samym

momencie

- Miałem... - mówi Magnus.

- Dzwoniłam... - mówi Maud.

Milkną i przez sekundę stoją, wyczekując.

- Ty pierwsza - decyduje Magnus.

Maud kiwa głową.

- Dzwoniłam do Hinseberg. Wyszła.

- MaryMarie

- Tak.

Maud bierze swoją torbę i przechodzi obok niego, jednak nie idzie jak zwykle do kuchni, skręca

korytarzem w lewo. Magnus idzie za nią.

- Przyjedzie tu

Rzuca mu spojrzenie przez ramię.

- Tu Niechby tylko się odważyła.

- Ale do swojego domu

- Nie chcieli powiedzieć.

Są teraz na werandzie. Zaczyna się ściemniać, nadal jednak jest wystarczająco jasno, żeby móc

widzieć dom po drugiej stronie jeziora. Nie palą się w nim żadne światła.

- Nie ma jej tam - mówi Magnus.

- Jeszcze nie - potwierdza Maud. - Ale przyjedzie. Jestem tego pewna.

- Co wtedy zrobimy

- Nic. Ale nie zapomnimy.

w drodze

Nareszcie na autostradzie. Mniej samochodów, wrzucam piątkę. Błogosławiona Katrin.

- Musisz mieć samochód - powiedziała.

Nie pomyślałam o tym. Jednocześnie zrozumiałam, że ma rację. Oczywiście, że muszę mieć samochód, w przeciwnym razie nie będę mogła mieszkać w Hasterum.

- Martin miał starą toyotę. Możesz ją kupić.

Niemo przytaknęłam. Tajemniczy mąż Katrin.

Umarł czy odszedł Nie wiem, nigdy o to nie pytałam.

- A ty I twoja córka

Katrin chwilę za długo przytrzymała łyżkę w ustach.

- Każda z nas ma samochód. Tego nie potrzebujemy. Stoi tylko i się kurzy.

- Gdzie

- W garażu na Upplandsgatan. Kosztuje mnie tysiąc pięćset na miesiąc. Zrobiłabyś mi przysługę...

Uśmiechnęłam się nad moim creme caramel. W takim razie.

A teraz, zaledwie kilka godzin później, siedzę w czerwonej toyocie, model z roku 1995, i przyciskam gaz do dechy. Bagażnik pełen jest kartonów, które odebrałam z magazynu, na tylnym

siedzeniu leżą trzy torby z ubraniami z innego życia. Za kilka dni przyjedzie ciężarówka z meblami.

Gdzie ja je pomieszczę

Wyciągam rękę i włączam radio, wewnątrz samochodu wypełniają agresywne dźwięki gitary. Szybko

wyłączam. Czy Martin był nie tylko sędzią sądu apelacyjnego, ale także fanem hard rocka I czy to

właśnie on jest powodem niezwyklej sympatii Katrin dla mnie Co ona takiego powiedziała Miła

jestem tylko w stosunku do osób, które rozumiem. Mnie Katrin potrafiła zrozumieć. I to, co zrobiłam.

Mówi to co nieco o niej i o Martinie.

Znowu wyciągam rękę w kierunku radia, teraz jestem już przygotowana i umiem sobie poradzić.

Ściszam, zanim zaczyna boleć, a potem szukam końcami palców innych kanałów. I, jasne, jest

jedynka. Jakaś kobieta czyta stłumionym głosem program na wieczór. Jej głos przywodzi mi na myśl

sweterek bliźniak, perełkowy naszyjnik, eleganckie szpilki i miły uśmiech. Pełną normatywną kobiecość, jakby to określiła Sissela, tę, której kodów nigdy do końca nie zrozumieliśmy. Jednak

kobieta w radiu wie o nich wszystko, dlatego zbliżając się do następnego punktu programu, lekko

zniża głos. To, wskazuje jej ton, coś, co naprawdę należy potraktować serio.

- O dziewiętnastej trzydzieści pięć „Wieczór z książką. Torsten Matsson przeczyta ostatni odcinek

swojej powieści Cień...

Zerkam na zegarek na tablicy rozdzielczej. Jeszcze czterdzieści minut. Osiemdziesiąt kilometrów.

Do tego trzydzieści minut z głosem Torstena. Sześćdziesiąt kilometrów. Jestem prawie w połowie

drogi. Dobrze, w takim razie mogę później zatrzymać się i zjeść w jakimś motelu..

Torsten jedyny nie wypłynął z nami na jezioro.

Przez chwilę stał na brzegu i patrzył za nami, ale nie pomachał, kiedy uniosłam rękę. Wcisnął rękę

w kieszenie spodni, odwrócił się i zaczął iść w górę, w kierunku domu i samochodu. Miał jechać przez

całą noc i złapać pierwszy poranny prom do Abo. Festiwal literacki w Finlandii. Nie może go opuścić.

Cóż, ma nadzieję, że potrafimy to zrozumieć...

Rzecz jasna, mieliśmy wziąć ślub w wieczór Midsommar. I oczywiście ceremonia miała odbyć się w

starym kościele w Nassjón, który znajdował się w pół drogi pomiędzy miastem i Hasterum. Holger i

Elisabeth chcieli, żeby tak było. Rodzice Sverkera. Mieli zapłacić, bo z moimi rodzicami stało się, co się

stało.

- Pozwól im się tym zająć - powiedział Sverker. Zatem zajmowali się.

Suknia ślubna została oczywiście uszyta w Boras przez najlepszą krawcową w fabryce rodziny

Sundinów. Garnitur Sverkera szyla zaprzyjaźniona fabryka Rotary. Pierścionek był po babce Sverkera

ze strony matki. Menu zostało ułożone przez jego kuzyna, restauratora z Góteborga, który, niestety,

sam nie mógł przyjechać, ale jako prezent ślubny wysłał do nas dwóch kuchcików. Bukiet ślubny oraz

wianek, który miałam mieć na głowie, zrobiła ciotka Agnes z Vanersborg, ta, która prowadzi kursy

układania bukietów w Domu Kultury.

Sami kupiliśmy skarpetki i buty. Naprawdę piękne skarpetki i buty.

Noc przed ślubem powinniśmy spędzić w oddzielnych pokojach, tak uważała Elisabeth.

Pozwoliliśmy jej i o tym zdecydować. Dlatego rano, w Midsommar, obudziłam się sama. Było bardzo

wcześnie, ale nie miałam już ochoty zasypiać, wyslizgnęłam się więc bezgłośnie z łóżka i wyszłam na

palcach na korytarz. W domu panowała cisza, ale mimo to wiedziałam, że jest w nim pełno ludzi.

Maud i Magnus byli tu już od tygodnia, Sissela, Per i Anna przyjechali poprzedniego wieczoru,

podobnie jak nieskończona liczba krewnych rodziny Sundinów. Ciotki i wujowie obejmowali moją

głowę obiema rękami, przyglądali mi się i całowali mnie w policzek, stryjenki i stryjkowie rechotali

gdzieś w tle i zachwalali dobry wybór Sverkera. Ja sama uśmiechałam się najłagodniej, jak potrafiłam,

i pozwalałam im wszystkim się zajmować. W tym świecie nie było dziennikarek z południówek. Nie

mogło ich tu być.

Późno wieczorem, po zakąskach przy uginającym się stole z bufetem, lekko zalany Holger objął

mnie ramieniem i wyciągnął na środek parkietu w salonie.

- Oto widzicie dziewczynę, która przedłuży trwanie rodziny Sundinów - oznajmił. - Był mocno

czerwony na twarzy. Miał przekrzywiony krawat.

Spojrzałam w bok, w stronę stołu, przy którym siedział Klub Bilardowy Przyszłość. Krzesło Sverkera

było puste. Maud siedziała z założonymi rękami. Anna i Per uśmiechali się. Sissela uniosła brwi niemal

do linii włosów. Rzuciłam jej pytające spojrzenie. Co robić Sissela wzruszyła ramionami.

- Kto to jest prawdziwy Sundin - zapytał Holger, rozglądając się dookoła. - Wiesz Czy znajduje się

tu ktoś, kto to wie

Otworzyłam usta, ale natychmiast znów je zamknęłam. Oczywiście, nie chodziło o to, żebym to ja

odpowiedziała.

- Moja przyjaciółko - oświadczył Holger. - Prawdziwy Sundin to człowiek, który potrafi używać

życia. Taki, który pije wino życia wielkimi haustami. Który ciężko pracuje. Który mocno kocha. Który

przyznaje sobie prawo do cieszenia się owocami swojej pracy i nie przywiązuje wagi do ludzkiego

gadania o cnotach pokory i skromności. Oto jest prawdziwy Sundin!

Zachwiał się. Usiłowałam się uśmiechnąć tak grzecznie, jak tylko potrafiłam, zerkając jednocześnie

w kierunku Klubu Bilardowego Przyszłość. Gdzie się podział Sverker Holger uszczypnął mnie w

policzek.

- Ta mała dziewczuszka - powiedział i zachichotał. - Dziewuszka, a nie paniuska - została stworzona

po to, by nazywać się Sundin. Ciężko pracuje, chociaż ta jej praca jest okropna. No nie Gryzipiórka w

szmatławcu socjaldemokratów, z tym będziesz naprawdę musiał coś zrobić...

W salonie zrobiło się cicho. Ciotki i wujowie nadal się uśmiechali, chociaż nie tak szeroko jak wcześniej, a stryjowie i stryjenki wciskali się w oparcia krzeseł i wyglądali na zatroskanych. Elisabeth

wpatrywała się w swój talerz. Maud siedziała wyprostowana i marszczyła czoło, nie spuszczając oczu

ze swojego ojca. Holger wyprężył się i jeszcze raz rozejrzał po salonie.

- Ale, jak już powiedziałem, ta mała została stworzona, żeby nazywać się Sundin. Będzie dużo

pracowała. I będzie też...

Próbowałam mu się wyrwać, kiedy mocniej ścisnął moje ramię. Może właśnie dlatego nie zauważyłam, że jednocześnie wyjął drugą rękę z kieszeni spodni.

Nagle poczułam ją na swojej piersi, najpierw dotknięcie, a potem szybkie uszczyknięcie w sutek.

- ...dużo kochała. Mój drogi syn tego dopilnuje. Bo on jest prawdziwym Sundinem.

Czas w wielkim salonie zatrzymał się, tylko jedno serce waliło, tylko jedne płuca oddychały, tylko

jedna para oczu mrugała. Holgera Sundina. Wszyscy inni siedzieli przez chwilę niemi i bez ruchu,

potem po podłodze zaszurało krzesło i ktoś się podniósł.

- Przepraszam - powiedziała Sissela. – Muszę wyjść.

Do na pół opróżnionych kieliszków dolano nowego wina. Powrócono do rozmów. Znad stołów

unosił się grzeczny śmiech. Sundinowie byli zgodni. To się nie stało. Anna i Per trzymali z nimi. Jak

również Magnus.

- Ależ nie - powiedziała Anna, kiedy jakiś czas potem siedziałyśmy na pomoście. -
Zobaczyłabym

to.

- Myślę, że to trema przedpremierowa - orzekł Per. - Anna też wyobrażała sobie mnóstwo rzeczy

przed ślubem. Prawda, kochanie

Objął ją ramieniem. Anna przytuliła się do niego i uśmiechnęła.

- Tak. Byłam zupełnie zakręcona. Mnóstwo rzeczy mi się wydawało.

Sissela była jak czarny cień w niebieskim świetle nocy.

- Nic jej się nie wydawało. Zgred złapał ją za pierś. Widziałam to.

Na chwilę zapadła cisza.

- Pomyśl o Sverkerze - odezwał się Magnus. - Tyle tylko powiem.

- Tak - dodał Per. - Nie opowiadaj takich rzeczy. Pomyśl o Sverkerze.

- Gdzie jest Sverker - spytał Magnus.

Nikt nie wiedział.

Znalazłam go pół godziny później. Leżał na brzuchu w swoim własnym łóżku, w pokoju w brązowe

pasy, tulił poduszkę i głęboko oddychał. Spał. Czy spał tak przez cały czas

Teraz był już ranek, a Sverker nadal spał. Cały dom spał. Tylko ja chodziłam na bosaka po

korytarzu w kostiumie kąpielowym i w szlafroku zarzuconym na ramiona. Jezioro Hasterum lśniło za

oknem. Sverker, pomyślałam. Może chciałby...

Mimo to przystanąłam tylko przed jego drzwiami, ale ich nie otworzyłam. Co by się stało, gdybym

go obudziła

Uśmiechnąłby się i wyciągnął do mnie ręce. Wciągnąłby mnie do łóżka. Chciałby się ze mną przespać. Zawsze pragnął seksu. Nocą i we dnie. Rano i wieczorem. Przed południem i po południu.

Zaczynało to być nieco męczące.

Chciałam się wykapać.

- Teraz jesteście swoimi więźniami - powiedział Holger. - Teraz już nigdy się nie uwolnicie.

Sverker zdjął marynarkę. Ja niosłam buty w ręku, wianek na mojej głowie lekko się przekrzywił.

Dzień ślubu się skończył, nadeszła noc midsommarowa i szliśmy teraz w kierunku jeziora i łódek.

Holger szedł pomiędzy nami, jednym ramieniem obejmował mnie, a drugim Sverkera.

- Więc teraz trzeba tylko wytrzymywać. Tak jak ja to robię.

- Dziękuję bardzo.

Za nami szła Elisabeth. Holger rzucił na nią szybkie spojrzenie przez ramię.

- Pieprzyć ją. Nie ma poczucia humoru.

Gdzieś tam przemknęło mi wspomnienie Herberta i Renate, ale szybko je odsunęłam. Miałam co

innego na głowie. Miękkie igliwie pod stopami. Wieczorny chłód, który zaczynał mnie już łaskotać w

plecy.

- Niektórzy próbują się rozwodzić, ale to nie pomaga - ciągnął Holger. - To ich w każdym razie nie

wyzwała. Kosztuje tylko cholerną kupę kasy. Nie, jak już powiedziałem, trzeba po prostu wytrzymać.

- Dziękuję za radę - powiedział Sverker. - Pomyślimy o tym.

Jego ton był neutralny, ale mówiąc, wyślizgnął się spod ramienia Holgera i wyciągnął rękę do mnie. Byliśmy na miejscu. Klub Bilardowy Przyszłość stał całą grupą nad wodą. Mieliśmy powiosłować

przez jezioro do mojego domu i tam spędzić noc, w domu Sundinów nie starczyło pokoi, część gości

weselnym musiała nawet rozbić namioty na trawniku. Nie znałam ich, nie miałam pojęcia, kim są,

wiedziałam tylko, że różnią się od moich rodziców. Odrębna nacja. Śmiejący się do rozpuku, raczej

krzykliwi ludzie.

Sverker wziął moją rękę i ścisnął ją między dłońmi, a potem uśmiechnął się uprzejmie do rodziców.

- Dobranoc, tato. Dobranoc, mamó.

Miałam już dygnąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam.

- Dziękujemy za przyjęcie. I za całą resztę.

- Kochane dziecko - powiedziała Elisabeth i pocałowała mnie w czoło. - Teraz masz już mimo

wszystko rodzinę.

- Więźniowie - powtórzył Holger, wciskając ręce w kieszenie. - Wspomnicie moje słowa.

Wycieczka po jeziorze stała się naszym ślubem. Naszym prawdziwym ślubem.

Anna i ja usiadłyśmy w jednej łódce, Per i Sverker popchnęli ją i wskoczyli do środka, Sissela,

Maud i Magnus wspólnymi siłami zabrali drugą. Sissela usiadła przy wiosłach. Torsten stał przez

chwilę na brzegu, przyszedł ledwie kilka minut przed ślubem, a teraz miał już jechać. Patrzył za nami,

ale nie pomachał, kiedy uniosłam rękę, tylko włożył ręce do kieszeni i odwrócił się, po czym ruszył w

kierunku domu i samochodu.

Kiedy wypłynęliśmy na jezioro, zrobiło się cicho. Teraz słyszeć było tylko odgłosy wiosł zanurzanych w wodzie, a potem znowu unoszonych. Jezioro było czarne i spokojne, mgły rozpościerały białe mosty pomiędzy wysepkami, na drugim brzegu stał ciemny, wyczekujący las.

Wtedy usłyszeliśmy głos, czysty, dziewczęcy głos, który przeciął ciszę

Wijesz z kaliny wianek na Midsommar... Maud. To ona śpiewała. Per i Sissela bez słowa unieśli

wiosła swoich łódek i odłożyli je na bok. Przyłączył się Magnus

...i wkładasz go na głowę

Ich głosy splatały się ze sobą, unosiły się i opadały, łączyły i rozłączały. Anna i Per też zawtórowali,

w tle nucił bez słów alt Sisseli. Sverker i ja siedzieliśmy poważni i nieruchomi. Podniosły czas śpiewają

dla nas nasi przyjaciele. Na sekundę mój wzrok zwrócił się do wewnątrz i mogłam zajrzeć do środka

siebie, zobaczyłam jak mury i ogrodzenia, które z taką pieczołowitością wznosiłam i utrzymywałam,

nagle pękły i rozpadły się. Wciągnęłam głęboko powietrze. Świat nie był tylko zły. Ludzie nie tylko

niebezpieczni. Nie zawsze w objęciach drugiego człowieka ryzykowało się zduszeniem i krzywdą.

Wsunęłam zaciśniętą pięść w dłoń Sverkera, spojrzałam na niego i po raz pierwszy pomyślałam o

tym słowie, które tak często powtarzałam, dlatego że się po mnie tego spodziewano, o słowie, którego sensu nie chciałam dopuścić do świadomości. Teraz mogłam przyznać, że istnieje, że ma

znaczenie. Kocham.

Mimo to nic nie powiedziałam, spojrzałam tylko na moją zaciśniętą rękę w jego dłoni. Zrozumiał.

Oczywiście, że zrozumiał. To był przecież Sverker.

Wrzeszczy. Siedzi w swoim wózku inwalidzkim i wyje jak zwierzę. Ma bełkotliwy, schrypnięty głos.

Z jego krtani wydobywają się jedynie pojedyncze samogłoski, które bluzgają na zalany słońcem,

gustownie umeblowany pokój.

Mary podnosi się z kanapy, ale natychmiast z powrotem na nią opada, zasłania rękoma uszy i zwiija się w kłębek. Gdzieś tam znowu trzaskają drzwi, ktoś biegnie przez korytarz, na sekundę przez

wrzask przebija się młody głos.

- Co się dzieje Co się stało

Annabel nadal trzyma rękę na klamce. Patrzy najpierw na Sverkera, a potem na Mary. Żadne z

nich nie odpowiada, ale krzyk ucicha. Sverker ma z wysiłku łzy w oczach.

- Zabierz mnie - mówi.

- Co

- Zabierz mnie stąd. Nie chcę tu być.

- Ale pranie...

- Pieprzę pranie. Zabierz mnie stąd.

Annabel ciągle się waha. Sverker ryczy

- Teraz!

Annabel wyciera ręce w dzinsy, śpiesząc w jego kierunku, staje za wózkiem i zwalnia blokadę,

potem rzuca szybkie spojrzenie Mary, która siedzi bez ruchu na kanapie.

- Co pani zrobiła - pyta. - Co pani mu zrobiła

Nic. Taka jest odpowiedź. Nic mu nie zrobiła.

Krzyczał. Wrzeszczał. Ryczał. Ale Mary nic nie zrobiła.

Chciałabym, żeby była w stanie to powiedzieć, żeby mogła wstać i powiedzieć, że to nie pierwszy

raz, że Sverker wył tak już wcześniej, że wszystko się zaczęło, kiedy Mary odzyskała zdolność

mówienia po pierwszej afazji, a potem nadal się zdarzało, w regularnych odstępach, choć teraz

pojawiło się jeszcze coś nowego. Wcześniej wrzeszczał, kiedy próbowała powiedzieć coś, o czym nie

chciał mówić. Dlatego nauczyła się unikania pewnych słów i pewnych tematów, ale tym razem było

inaczej. Przecież nic nie powiedziała, nie znajdowała się nawet w zasięgu jego wzroku. Leżała tylko na

czerwonej kanapie, oddychając tym samym co on powietrzem. A mimo to krzyczał. Mary nie ma z

tym nic wspólnego. Powinna wytłumaczyć, że jest niewinna, ale w zamian za to kuli ramiona, unosząc

nico jedną rękę, jakby w geście obrony. Co ona sobie myśli Że Annabel ją uderzy A gdyby tak się

stało, czy przyszłoby jej w ogóle do głowy, że można oddać

Nie. Skurczyłaby się, pokornie znosząc uderzenia.

Jestem zmęczona winą. Niejasną winą Mary; moją własną, bardzo wyraźną; winą wszystkich innych. Gdybym była ministrem, zarządziłabym doroczny dzień amnezji. Zapomnienia. Być może

należałoby dodawać czegoś do wody z kranu, szczyptę jakiegoś cudownego środka, który raz w roku

wyzwalałby cały naród od wszystkich przepełnionych wyrzutami sumienia wspomnień. Może cenę

stanowiłaby jedna czy dwie komórki mózgowe, ale warto by było. Tego ranka matki wybiegałyby ze

swoich sypialni z pieśnią na ustach, uśmiechnięci ojcowie pędziliby do kuchni i nastawiali poranną

kawę, obrażone nastoletnie córki wybaczałyby sobie, że uważają swoich rodziców za idiotów, a

pryszczaci chłopcy leżeliby w łózkach, rozkoszując się wspomnieniami marzeń nocnych.

Jednak są też naturalnie ludzie, którzy w taki dzień powinni być trzymani z dala od kranów z wodą.

Na przykład Vendela, moja pierwsza sąsiadka z celi obok w Hinseberg. Rzadko mówiła coś o swoim

wyroku, ale wiedziałyśmy, że jest pierwszą od kilkadziesiątu lat kobietą, którą skazano na dożywocie.

Dwa napady z morderstwem. Starannie zaplanowane i bardzo krwawe. Miała czarne włosy z jasnymi

odrostami, srebrzyście białą skórę i oczy bez źrenic. Przynajmniej takie sprawiały wrażenie, w jej

spojrzeniu nie było żadnej głębi. Vendela niemal zawsze miała na ustach lekki uśmiech, ale kiedy

kroczyła przez korytarz ze swoimi książkami pod pachą, po oddziale rozchodziła się fala niepokoju.

Lena chichotała nerwowo, Rosita chowała się w swojej celi i zamykała za sobą drzwi, a Git unosiła o

parę decybeli głoś, który nabierał żywszego tonu. Jak idzie nauka Czy jest już wyedukowanym

adwokatem Vendela zatrzymywała się w pół kroku i przez kilka sekund stała bez ruchu, jakby

rozpatrywała możliwość potraktowania pytania jako obrazy, po czym pozwalała łasce wyprzedzić

sprawiedliwość, i odpowiadała

- Zrobiłam sto dwadzieścia punktów z prawa - odpowiadała swoim łagodnym głosem. - Ale to nie

starcza, żeby zostać adwokatem. Trzeba też zrobić aplikację. I parę innych rzeczy.

Git krzyżowała ręce pod swoim ogromnym biustem.

- Ale ty przecież masz już wystarczającą aplikację.

Vendela zniżała głos jeszcze trochę, ale nie miało to znaczenia, na korytarzu było już tak cicho, że

nawet sylaba nie mogła umknąć.

- Co masz na myśli

Git przygryzła dolną wargę.

- Och, tylko żartowałam...

- Nie - odpowiedziała Vendela. - Kontynuuj. Wytlumacz, co masz na myśli.

- No, wszystkie mamy już aplikację... O to mi chodziło. Tylko o to. Nic innego.

Vendela wolno potrząsnęła głową. Git, która przez całe życie nigdy się nie wycofała, zrobiła krok

do tyłu. Potem przez kilka godzin nie odzywała się.

Przechodzi mnie dreszcz. Vendela też pochodziła ze Smalandii. Z Vetland. Mam nadzieję, że przeprowadziła się do Sztokholmu, tak jak zapowiadała. Myśl, że dzieli nas odległość zaledwie

kilkudziesięciu kilometrów, nie wpływałyby dobrze na mój sen.

Teraz słyszę głos Torstena w radiu. Pogłasniam

- I przyszła samotność. Powiedziałem, żeby się rozgościła.

Teraz będzie czytał swoją najnowszą książkę.

W pierwszych latach w ogóle nie fantazjowałam na temat Torstena. Miałam przecież Sverkera,

jego ciało, śmiech, głos. Nie potrzebowałam pocieszenia ani kompensacji, żadnego wsparcia.

Mimo to moje życie miało podwójny wymiar. W pracy byłam taka jak zawsze, szybka, wygadana,

uparta. W domu - wdzięczna, cicha i uległa. Wpełzałam w ramiona Sverkera, gdy tylko je otworzył,

opierałam policzek na jego piersi, wsłuchiwałam się w bicie serca i nie pozwalałam sobie zauważyć, że

Sverker czasami napina mięśnie, jakby chciał się uwolnić. Nigdy nie interesowało mnie gotowanie, ale

teraz coraz częściej stałam w kuchni, pilnując rondli i garnków. Na stole leżała rozłożona gazeta z

zaznaczonymi kółkiem interesującymi ogłoszeniami o domach na sprzedaż. Co myślisz, Sverker Willa

w mieszczańskim Taby czy w eleganckiej Bromma A może jednak duże mieszkanie własnościowe na

artystycznym Söder Możesz zdecydować. Byle tylko było tam miejsce dla wszystkich dzieci, które

mamy mieć.

Pierwszy raz poroniłam pół roku po ślubie. Drugi raz rok później. Trzeci - kolejne pół roku potem.

Były to wczesne poronienia, ale za każdym razem traciłam dziecko, którego imię i twarz dobrze już

znałam. Anton uśmiechał się ulotnym uśmiechem niemowlaka. Cecilia miała uroczy dołeczek w

policzku. Axel był typem małego zapaśnika, który stawał na moich kolanach już jako kilkumiesięczny

dzidzius.

Za czwartym razem poczułam, jak zaczyna się życie. Właśnie przeprowadziliśmy się do domu w

Bromma i leżeliśmy obok siebie w milczeniu w na pół umeblowanej sypialni. Sverker oddychał coraz

wolniej, był już bliski zaśnięcia po orgazmie, ale ja leżałam z otwartymi oczami i patrzyłam w ciemność. Coś stało się wewnątrz mnie. Czułam to tak wyraźnie, jak kilka dni wcześniej poczułam

jajeczko uwalniające się z prawego jajnika i rozpoczynające swoją wędrówkę. Jajczkowanie było jak

małe ukłucie szpilką, ale to, co działo się teraz, nie bolało, czułam tylko wielki spokój, który rozchodził

się od macicy i dalej po całym ciele. Tam! Plemniki dotarły do wyczekiwanego jajeczka, potarły główką o

porowatą powierzchnię i zaczął się w nią wwiercać. Leżałam na plecach z rozłożonymi nogami i

dłońmi przyciśniętymi do prześcieradła, prawie nie miałam odwagi oddychać. Gdybym mogła

przeleżeć bez ruchu całą noc, nowe życie zdołałoby wwiercić się w błony śluzowe macicy i schować w

środku. Komórki połączyłyby się z innymi komórkami w tajemnym systemie korzennym i dziecko, to

dziecko, które nie miało jeszcze imienia ani twarzy, przeżyłoby. Wszyscy byśmy przeżyli. Sverker i ja,

dziecko i nasze małżeństwo.

Tym razem poronienie przyszło dopiero w czwartym miesiącu.

Siedziałam właśnie i pisałam wstępniak redakcyjny, kiedy to się stało. Pisanie artykułów

wstępnych nadal było zadaniem, które wywoływało we mnie wahania i obawy. Każde słowo, każde

zdanie musiało być wyważone i sprawdzone, należało znaleźć replikę dla każdej możliwej obiekcji.

Ciągle jeszcze moje opublikowane teksty budziły we mnie zdumienie. Skąd brało się to zdecydowanie

i pewność Kim była ta osoba, która zdawała się nigdy nie wahać, podczas gdy ja wątpiłam

nieustannie Dlaczego czułam się przez nią tak bardzo winna

Teraz chodziło o wielką dewaluację. Byłam za nią, ponieważ gazeta popierała rząd. W głowie

miałam ułożony katalog argumentów. Przelewałam je jeden po drugim na papier, usiłując nie zwracać

uwagi na to, że moje podbrzusze robi się coraz cięższe i że coś wewnątrz mnie powoli opada na

ziemię. Co to znaczy

Wiedziałam co. Ale nie chciałam się do tego przyznać.

Dalej siedziałam przy biurku, aż napisałam tekst do końca. Następnie wyciągnęłam z maszyny

ostatni arkusz papieru i zrobiłam szybką redakcję, kilka słów skreśliłam, kilka dodałam. Potem

wstałam, przejechałam ręką po małej plamce na biurku, a potem dotknęłam pupy, żeby upewnić się,

że znajdująca się na widoku część dżinsów jest sucha, że żadna czerwień nie rozlała się na niebieskiej

powierzchni. Wyglądało na to, że nie. Oddałam tekst do korekty, zamieniłam z tym i owym parę słów,

pouśmiewałam się, a potem powlokłam do drzwi toalety na końcu korytarza.

Nigdy nie krwawiłam aż tak obficie. Kiedy siedziałam na sedesie, obejmując się ramionami, słyszałam, jak krew skapuje do muszli klozetowej. Szyderczy odgłos, pełen nadziei, dźwięczny jak

uderzanie kropel o dach wiosną. Plum, plump, plump. Moje białe majtki zrobiły się ciemnoczerwone

w kroku, patrzyłam na nie przez chwilę, a potem uniosłam się nieco i wzięłam garść papierowych

ręczników. Co robić Sverker wizytował potencjalnego klienta w Vasteras. To ważne spotkanie, mówił

mi o tym przy śniadaniu, spotkanie, które może wpłynąć na losy jego świeżo otwartej agencji reklamowej. Może się spóźni. Lub raczej jest dość prawdopodobne, że będzie spóźniony. Oficjalna

kolacja i te sprawy. Być może nawet przenocuje w jakimś hotelu w Vasteras.

Wstałam i wcisnęłam papierowe ręczniki między nogi, potem zaciągnęłam suwak spodni i umyłam

ręce. Następnie wyszłam z toalety i wymamrotałam w redakcji coś w rodzaju muszę spadać. Nikt nie

protestował, każdy był zajęty swoją robotą, ale kilka rąk podniosło się w milczeniu na pożegnanie,

kiedy wkładałam kurtkę i zarzucałam torbę na ramię. Nikt też nie zauważył, że pod pachę wzięłam

stertę starych gazet.

Zamierzałam usiąść na nich w taksówce. Nie chciałam zakrwawić całego siedzenia.

Następnego dnia przyjechał Sverker z bukietem. Dwadzieścia czerwonych róż.

Lekarz upierał się, że muszę być hospitalizowana, potrzebowałam porządnej skrobanki. Poza tym

powinnam mieć opiekę. Nie sprawiałam wrażenia osoby, która dobrze się czuje. Byłam zbyt blada.

Miałam zdecydowanie zbyt małe źrenice. Zbyt zimne ręce i stopy. Czy chciałabym porozmawiać z

księdzem albo kuratorem Zdecydowanie pokręciłam głową, ale zgodziłam się, żeby podrzucić mnie

na oddział i przydzielić mi łóżko, nie protestowałam, dopóki salowy nie próbował przeszkodzić mi we

wstaniu. Muszę zadzwonić! Czy tak trudno pojąć, że muszę skontaktować się z mężem

W Bromma nikt nie odpowiadał. Także wieczorem. Przez całą noc. A w Vasteras nocny portier za

nocnym portierem powtarzali, że w hotelu nie ma żadnego Sverkera Sundina. Niestety. Jak na złość.

Bardzo nam przykro.

Teraz przyszedł. Dostałam zastrzyk na uspokojenie. Czekala na mnie sala operacyjna. Sverker usiadł na brzegu łóżka, oczy mu błyszczały. Popatrzyłam na niego osowiała, zastanawiając się przez

chwilę, jak on może płakać. Ja nie mogłam, nigdy nie umiałam. Być może urodziłam się bez kanalików

łzowych. Może było we mnie coś niezgodnego z naturą także w jakiś inny sposób. Sverker zamrugał,

spłynęła jedna łza.

- Co się z nami dzieje, MaryMarie - zapytał, pociągając nosem. - Co się z nami dzieje
Spojrzałam na niego i po raz pierwszy zauważyłam, że ma niezwykle duże pory na nosie.
Dwa z nich były czarne. Paskudnie to wyglądało. Bardzo, bardzo paskudnie.

Annie i Perowi w ciągu siedmiu lat urodziło się trzech chłopców. Gabriel, Mikael i Adam.
Maud i Magnus mieli córeczkę. Ellinor.

Torsten wprowadził się do Artniki i zanim się od niej wyprowadził, urodziły im się dwie
dziewczynki. My i Lo.

Sissela zrobiła aborcję.

Sverker i ja mieliśmy poronienia. Dziewięć razy.

A przecież wszystko było z nami w porządku. Przynajmniej żadnych anomalii nie dało się
wykryć.

Badania lekarskie wykazywały, że Sverker ma spermę najwyższej jakości, moje
jajczkowanie odbywa

się prawidłowo, a jajniki nie mają blizn ani zrostów. W moim ciele zakorzeniały się kolejne
dzieci,

tylko po to, by po paru miesiącach się ode mnie oderwać. Kolejne badania macicy
potwierdzały, że

wszystko jest w normie, w moim podbrzuszu znajduje się małe, przytulne mieszkanko. Przy
następnej

ciąży na szyjkę macicy nałożono kółko, ale płód i tak umarł, a następujący potem zabieg
okazał się

dość kłopotliwy.

Nasze dzieci nie chcą nas, myślałam. Nic dziwnego. Kto by nas chciał

Z pozoru wszystko wyglądało dobrze. Bardzo dobrze.

Sverker wygrał swoje pierwsze Złote Jajko. Ja dostałam własny felieton. Nasze kalendarze
były

zawsze zapełnione, ale udawało nam się wcisnąć w nie jeszcze więcej. Ciężka praca,
intensywny czas

wolny. Książki i gazety, które po prostu trzeba przeczytać, leżały w domu w stosach, trzeba
było

zadbać o przyjaźnie, zaprosić na kolację, zorganizować wyjazd. Jeździliśmy na nartach w Salen z

Magnusem i Maud, kąpaliśmy się w Oceanie Indyjskim z Perem i Anną, jeździliśmy do Londynu z

Sisselą i do Paryża z Torstenem. Wszyscy pocieszali nas i dodawali nam otuchy. Oczywiście, że się

uda! Jasne, że Sverker i MaryMarie też będą kiedyś mieli dziecko.

Po ósmym poronieniu przestaliśmy próbować. Dziewiąta ciąża była pomyłką i kiedy w końcu ją

poroniłam, poczułam niemal ulgę. Sverker płakał.

Zawód nas zeszlifował. Pomniejszył. Sprawił, że widoczne stało się samo jądro.

Dziwiła mnie nowa emocjonalność Sverkera. Przygnębiająca notka w gazecie mogła sprawić, że

miał wilgotne oczy, a sentymentalny film, że zalewał się rzewnymi łzami. Minutę później zaśmiewał

się głośno z żartów, które tylko maszyna do śmiechu mogła uznać za zabawne. W czwartek przychodził do domu z różami, cały piątek chodził obrażony, a w sobotę chciał się kochać na kuchennym stole. W niedzielę dostawał ataku furii z powodu źle działającej lodówki, potem zamykał

się w swoim gabinecie i szeptał przez telefon. W poniedziałek rano wyjaśniał suchym tonem, że

będzie później. Bardzo późno. Nie powinnam siedzieć i czekać na niego.

Na początku usiłowałam za nim nadażyć. Ocierałam mu łzy, kiedy płakał, i uśmiechałam się, kiedy

się śmiał, nawet zaczerwieniłam się z wdzięczności, gdy w sylwestra wygłosił skierowaną do mnie

mowę miłosną w obecności całego Klubu Bilardowego Przyszłość. Jestem bajeczną kobietą i chciałby,

żeby wszyscy to wiedzieli. Fantastyczną. Wspaniałą. Jego przyjaciele wiedzą oczywiście, jakie miał

szczęście, ale nawet oni sobie nie wyobrażają, jak głęboka jest miłość, która nas łączy. Wiosną często

myślałam o tej przemowie, pocieszałam się i grzałam nią serce, popijając moje tabletki z żelazem i

usiłując zwalczyć zmęczenie związane z niekończącą się anemią, ale kiedy Sverker wstał podczas

przyjęcia na Midsommar i po raz kolejny wygłosił ten sam tekst, zaczęłam się niespokojnie wiercić.

Czy on sobie ze mnie żartuje Dwa miesiące później, podczas uczyty rakowej, trudno mi było utrzymać

kontrolę nad wyrazem twarzy, kiedy Sverker zastukał nożem do raków w kieliszek i zaczął przemawiać dokładnie tymi samymi słowami. Bajeczna. Fantastyczna. Wspaniała. Czy on zwariował

Przecież dopiero co, tego samego popołudnia, przeprowadził szeptaną rozmowę z inną kobietą,

rozmowę, którą niechcący usłyszałam, kiedy chciałam zatelefonować z kuchni, nie wiedząc, że kilka

minut wcześniej Sverker podniósł słuchawkę w gabinecie.

- Kocham cię - szeptał. - Kocham, kocham, kocham.

Kobiecy głos odpowiedział nosowo

- Och, Sverker. Dlaczego tak daleko do poniedziałku

Mogłam go wtedy zostawić. Teoretycznie. Ale nie zrobiłam tego. W zamian przybrałam zacięty

wyraz twarzy, pozwoliłam, żeby zatrzymało mi się krążenie i po ciele rozprzestrzenił chłód.
Na

pociechę stworzyłam sobie własny świat i wprowadziłam się do niego. Za każdym razem,
kiedy

dzwonił telefon, miałam nadzieję, że to Torsten. Co dzień, kiedy wychodziłam z pracy,
wyobrażałam

sobie, że przed bramą będzie czekał na mnie Torsten. Kładąc się samotnie do łóżka, zawsze

wyciągałam w ciemności rękę i szukałam dłoni Torstena. Czasem zdawało mi się, że ją
znajduję.

Jednocześnie zaczęłam pogardzać Sverkerem, jego sentymentalizmem, łzami, frazesami o
miłości.

To nie są prawdziwe uczucia, jedynie rażące imitacje. Gdyby naprawdę mnie kochał, nie
przerywałby

mi, gdy tylko otworzę usta. Nie popchnąłby mnie na zlewozmywak, kiedy był w złym
humorze, i nie

zostawiałby samej w domu wieczór po wieczorze, noc po nocy.

Jednak nic nie mówiłam i nic nie robiłam. Nie odeszłam.

Dlaczego

Ponieważ ten, kto nie ma siebie, musi mieć kogoś. Jakkolwiek by mu z nim było.

Torsten robi krótką pauzę, nim przeczyta ostatnie zdanie, milknie, a potem nabiera rozmachu.

- Teraz wiedzieliśmy już, że nigdy nie będziemy wolni. Byliśmy swoimi więźniami.

Zaciskam mocniej ręce na kierownicy. Aha. Pamięta nasz ślub i spacer do brzegu jeziora.

- Ty zdrajco - mówię na głos. - Ty złodzieju. Powraca kobieta w sweterku bliźniaku i
perłowym

naszyjniku.

- Był to ostatni odcinek...

Wyłączam radio i jeszcze mocniej chwytam kierownicę. Czas poszukać motelu.

możliwa ankieta

Odpowiem tylko pod warunkiem anonimowości. Skoro tak...

Tak, to była tamta noc w Midsommar, kiedy Sverker wszedł do kuchni. Wszyscy inni tańczyli, ale ja

poszłam do kuchni, żeby zaparzyć kawy. Położyłam się na kanapie, czekając, aż kawa będzie gotowa.

Nagle Sverker stanął nade mną, pochylił się i mnie pocałował. Długo. Intensywnie. Nigdy nie czułam

czegoś podobnego, to było jak małe solo na flecie w podbrzuszu. Głupio to brzmi, wiem, ale takie

właśnie miałam uczucie.

Anna Grenberg

To musiało być wtedy, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Muzeum Sztuki Nowoczesnej i zobaczyłem kozła Rauschenberga. Miałem czternaście lat czy coś takiego. Mama myślała, że instalacja

przedstawia wypadek samochodowy, ojciec się wściekł, kompletnie wściekł, bo w domu mieliśmy

tylko jelenie na rykowisku i tym podobne arcydzieła. Jednak ja zrozumiałem, o co w tym chodzi, i od

tego dnia wiedziałem już, co chcę robić w życiu.

Magnus Hallin, artysta

Nie używam tego słowa. Ani wtedy, gdy piszę, ani kiedy mówię czy myślę. Nie rozumiem go. Co to

znaczy

Torsten Matsson, pisarz

Gdybyś spytała mnie o to dziesięć lat temu, wiem dokładnie, co bym odpowiedział to ta chwila,

kiedy rozchylają się wargi sromowe i wchodzisz do środka. Coś większego niż orgazm. Dużo większego. Dopiero się zaczyna, wiadomo, że pozostała jeszcze wieczność.

A dziś Nic. Tylko spać i może także marzyć.

Sverker Sundin, specjalista ds. reklamy

Nie wiem. Chociaż zaraz, może wtedy, kiedy w domu, w kuchni, słuchałam wiadomości w radiu i

usłyszałam wyrok sądu pierwszej instancji dla MaryMarie. Dożywocie. Niestety, radość odebrał mi

sąd apelacyjny. Sama otrzymałam 25 000 odszkodowania. Za to, że zamordowano mi brata. Tak.

Zamordowano. Należy nazywać rzeczy po imieniu.

Maud Hallin, dentystka

Kiedy wyszłam z domu tamtego pierwszego po maturze wieczoru Midsommar. To było fantastyczne. Padało, ale tego nie zauważyłam. Byłam wolna. I już wtedy wiedziałam, że nigdy nie

wrócę.

Trochę później w ciągu dnia zrobiło się nieco mniej cudownie. Ale mimo to nie żałowałam. Nigdy

nie żałowałam.

Sissela Oscarsson, kustosz muzealny

Ślub. Tak powinienem pewnie powiedzieć. Albo tamten dzień, kiedy urodził się Gabriel.
Jednak to,

o czym rzeczywiście myślę, to dzień, kiedy po raz pierwszy pojechałem w odwiedziny do
Anny, tamta

chwila, kiedy zobaczyłem, że stoi na peronie i czeka.

Nie może być lepiej. W życiu.

Per Grenberg, ambasador

ucieczka

Pragnę być Marie.

Pragnę, żeby Sverker umarł i odzyskał wolność. Chciałabym siedzieć w samochodzie w
drodze

dokądś. Albo do domu. Gdziekolwiek on jest.

Jednak jeśli ja istnieję, to nie ma Marie. Jest tylko myślą. Dość głupią myślą poza tym, bo
jeśli

koniecznie muszę wyobrazić sobie alternatywny byt dla siebie, to powinnam go przyprawić
rzeczami

dającymi pocieszenie. Miłością. Zaufaniem i bliskością, synami i córkami, cudownymi
lekarstwami i

sensacyjnymi rezultatami badań. Problem polega na tym, że w to bym nie uwierzyła. Nie w
ten sam

sposób, w jaki wierzę w Marie. Jestem nią, a ona jest mną, dzieli nas tylko chwila.

Jednak naprawdę wcale nie myślę o Marie. Jest w mojej głowie tylko po to, żebym przestała
myśleć o Sverkerze. O jego krzyku. O tym, co on oznacza. O tym, jak go interpretować i
rozumieć.

On czuje do mnie wstręt.

Myśl sprawia, że zamykam oczy, ale mimo to zmuszam się, żeby do niej powrócić. Sverker
czuje

do mnie wstręt. Nie może znieść mojego widoku, nie chce przebywać w tym samym pokoju
co ja ani

w tym samym domu, może nawet nie w tej samej części świata.

Czasem go rozumiem. Ja też to czuję.

Minęły cztery lata i cztery miesiące, odkąd go pocałowałam. Było to podczas ostatniego weekendu

na Midsommar z Klubem Bilardowym Przyszłość, właśnie skończyliśmy się bawić w „ostatnia para

odpada, Sverker siedział obok na swoim wózku inwalidzkim i na nas patrzył. Wylądowałam na jego

kolanach spocona i roześmiana, na sekundę zapomniałam, kim jestem i kim on się stał, położyłam

rękę na jego policzku i go pocałowałam, wsunęłam mu język w usta i ostrożnie posmakowałam śliny.

Trwało to zaledwie kilka sekund, potem Sverker odrzucił głowę do tyłu i zacisnął usta.

- Idź do diabła - powiedział. - Spieprzaj!

Obok stał Per i widział, co się stało. Zmarszczył czoło i wyduł usta w wyrazie zatroskania. Może to

dlatego dostałam takiego szału, że mieliśmy świadka, bo ktoś dowiedział się, jak jest naprawdę.

Jednak nic nie powiedziałam. Ześlizgnęłam się tylko z kolan Sverke- ra i odwróciłam plecami, a potem

ruszyłam wielkimi krokami przez trawnik w kierunku czarnych drzwi. Wbiegłam do domu i zamknęłam się w toalecie. Wykrzywiałam się do swojego odbicia w lustrze, trzymając jednocześnie

dłonie pod zimną wodą. Co za cham! Jakim prawem odzywa się do mnie tym tonem Nie rozumie, że

powinien mi podziękować, że w ogóle żyje Nie pojmuję, że go oszczędziłam, i to na więcej niż jeden

sposób Nikt by mnie nie potępił, jeślibym go zostawiła w zakładzie dla obłożnie chorych,

przynajmniej nie wtedy, gdybym jednocześnie odsłoniła bliższe szczegóły jego wypadku.
Klient

prostytutki to klient prostytutki, i nikogo, absolutnie nikogo nie jest łatwiej porzucić!

Kiedy wyszłam, na schodach siedział Torsten. Przesunęłam szybko palcami po jego włosach,
a

potem usiadłam obok. Najpierw wyglądał na zdziwionego, ale potem jego oczy zamieniły się
w dwie

czarne szparki. Uśmiechnął się.

- Co u ciebie

Ja też się uśmiechnęłam, chociaż miałam sztywne od napięcia policzki. Nadal czułam, jak w
skroniach pulsuje mi wściekłość.

- A u ciebie

- Nieźle.

Na chwilę zrobiło się cicho. W kuchni ktoś czymś stuknął. Kiedy Torsten znowu się odezwał,
miał

stłumiony głos.

- Zejdziemy do jeziora

Kiwnęłam głową. Wstaliśmy i zaczęliśmy iść. Kiedy weszliśmy między drzewa i nie było już
nas

widać z ogrodu, wsunęłam rękę w jego dłoń.

- Czasami - powiedział - żałuję tego, co nigdy się nie wydarzy

Usiadłam na kamieniu i zanurzyłam prawą stopę w wodzie, była bardzo zimna, jakąś częścią
mózgu notowałam z zainteresowaniem, jak w stopie powoli zanika czucie. Reszta mnie
słuchała

Torstena, patrzyła na niego i dyskretnie wietrzyła jego zapach.

- Czego na przykład

- Na przykład, że nigdy nie będę umiał latać.

Roześmiałam się.

- To ty chciałbyś latać. Mieć skrzydła

Usiadł na skraju plaży i zaczął rozpinać sandały.

Wolno mu to szło, był niezdarny i roztargniony.

- Tak. A ty nie

- Dlaczego miałabym tego chcieć To przecież bez sensu.

- Trzeba umieć to sobie wyobrazić.

- Czemu

- Bo to jedyny sposób na latanie.

Potrząsnęłam głową.

- Ale ty nie latasz.

Zdjął skarpety.

- Latam. I żałuję, że latać nie potrafię.

Na drugim brzegu jeziora zawołał ptak. Torsten odchylił głowę do tyłu i popatrzył w zachmurzone niebo.

- Słyszałaś

Pokiwałam głową. Tak, słyszałam.

Kiedy on przyjdzie

Unoszę rękę, żeby sprawdzić godzinę, ale wpatruję się tylko w swoją skórę. Zegarek i pierścionki

zostawiłam w łazience. Wszystko jedno. Na pewno zostało jeszcze parę godzin.

Rozglądam się po pokoju. Idealnie wysprzątnany, Sverker musiał wczoraj zmusić swoją opiekunkę

do zrobienia rundy z odkurzaczem. Jest teraz bardzo dokładny w takich sprawach. Jego kalesony są

zawsze prasowane, skarpetki starannie sortowane i zwijane, bluzy, uprane w rękę, przez kilka dni

suszą się na stojaku. Właściwie w domu nie zostaje mi nic do zrobienia.

I bardzo dobrze. Przecież prawie nigdy mnie tu nie ma.

Podchodzę do drzwi tarasu i opieram czoło o zimną szybę. Na dworze stoją jeszcze meble ogrodowe, popękała na nich farba - szare szramy na białej powierzchni. Gdyby ktoś chciał mi pomóc

znieść je do piwnicy, może mogłabym je zeszlifować i pomalować, czekając, aż powrócą słowa...

Może Torsten mógłby to zrobić. Jeśli przyjdzie. Jeśli rzeczywiście odważy się przyjść.

W tej chwili wydaje się, że to nie ma znaczenia. I tak jest, jak jest. Wszystko na miejscu, mąż za

jednymi zamkniętymi drzwiami, żona za drugimi.

Nie przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Nigdy nie zaczęliśmy.

Nawet wtedy, kiedy było między nami najlepiej, nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie podejmowaliśmy

tych prób, zamiast tego śmialiśmy się, bawili i kochali. W czasie pierwszych tygodni w naszym domu

Sverker chciał inaugurować każde pomieszczenie wspólnym seksem. Kuchnię i pralnię, salon i

jadalnię, gabinet i łazienkę, spiżarnię i schowek. Kiedy na koniec uświadomiliśmy sobie, że kochaliśmy

się już wszędzie z wyjątkiem sypialni, śmialiśmy się tak, że aż się przewracaliśmy. Mieliśmy

szczęście upadliśmy na nasze łóżko. Chwilę później dokonana została inauguracja sypialni.

W tym czasie nieustannie uśmiechałam się do mojego odbicia w lustrze, nie mogłam przestać się

uśmiechać.

Dlaczego mam takie zaróżowione policzki Bo Sverker zapomniał się ogolić. Dlaczego mam takie

czerwone wargi Bo tak często go całują. Dlaczego czuję ból w kroczu Bo kochaliśmy się godzinami.

Nadal ciężko pracowaliśmy, ale późnym wieczorem siadaliśmy przez chwilę w kuchni i

plotkowaliśmy nad szklanką piwa. Zaopatrzeniowiec z poczty jest nienormalny, ale ma kupę forsy,

więc Sverker gotów jest to i owo znosić. Chłopaki z Adolfsson & Co niewłaściwie używają konta

Unilever, Sverker zamierza się z tym rozprawić w najbliższych tygodniach. I zatrudnili w firmie nową

copywriterkę. Tak, dziewczynę. Ładna E tam. Nie zastanawiał się nad tym. A jak tam w gazecie No

tak, redaktor naczelny pod pewnymi względami ma świra, ale w ostatnich tygodniach wzrósł nakład i

w redakcji narasta ostrożny optymizm. Poza tym nareszcie dowiedziałam się, kim jest Wampir z

Sollentuny, gwałciciel, o którym tak dużo pisano. Tak, to prawda! To właśnie tamten starannie

uczesany aktor. I mam znów wizytę u ginekologa. Nie, tym razem też nie musisz ze mną iść.

Mówiliśmy i mówiliśmy, i mówiliśmy. Ale nie rozmawialiśmy ze sobą. Nigdy. Nawet po poronieniach. Nawet tamtego dnia, kiedy dowiedziałam się, że Sverker zaraził mnie rzeżączką.

Wtedy w naszym wielkim domu zrobiło się tylko cicho.

Nigdy mu nie powiedziałam, że tamtego razu zrobiłam testy na HIV. Nie powiedziałam o tym nikomu, nawet nie bardzo sobie samej, któregoś dnia wymknęłam się tylko z redakcji i złapałam

autobus do Karolińska.

- Chcę być anonimowa - powiedziałam pielęgniарce.

Kiwnęła głową.

- Jakiego imienia chce pani użyć

- Nie wiem.

- Miałam dziś już Agnetę i Birgittę. Może damy pani na imię Cecilia

Przełknęłam ślinę, minęło zaledwie kilka miesięcy od ostatniego poronienia.

- Cecilia nie żyje.

Pielęgniarka przekrzywiła głowę.

- Ktoś, kogo pani znała

Powstrzymałam odruch oparcia się o nią, kiwnęłam tylko głową.

- Tak.

- To nazwiemy panią Christina. Poproszę pani rękę.

Potarła wewnętrzną stronę mojego przedramienia wilgotnym wacikiem.

- Czy chciałaby pani powiedzieć, co się stało Skąd pani niepokój

Potrząsnęłam głową. Jak mam o tym opowiedzieć, skoro sama nie rozumiem

- Dobrze, dobrze - uspokoiła mnie pielęgniarka. - Nie ma przymusu.

Kilka dni później siedziałam na korytarzu przed jej gabinetem i czekałam. Powietrze wokół mnie

stało w bezruchu, ale zadrżało, kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich ona, duża kobieta z rękami

w kieszeniach białego fartucha. Próbowałam przełknąć ślinę, ale nie mogłam, język i gardło nie

reagowały na impulsy systemu nerwowego.

- Christina

Kiwnęłam głową. Pielęgniarka rozejrzała się szybko. Korytarz był pusty.

- Boisz się

Znowu kiwnęłam głową i wstałam.

- Nie trzeba. Chodź.

Być może był to szloch, to coś, co się ze mnie wydobyło. Chociaż brzmiało inaczej, raczej jak chrząknięcie lub jęk. Jednak teraz nie mogłam się już powstrzymać, pochyliłam się do przodu i

położyłam jej głowę na piersiach.

- Już dobrze - powiedziała i pogłaskała mnie po plecach. - Nie jesteś zakażona. Nie trzeba się bać.

Wszystko dobrze.

Znowu wydobył się ze mnie jęk. Nadal żadnych łez.

- Tak, tak - dodała kobieta. - Nie zawsze jest łatwo.

Zamykam oczy, nie chcę tego pamiętać.

Marie zatrzymała się przy stacji benzynowej, teraz usiłuje odkręcić bak. Przy pompie obok stoi

mężczyzna, włożył do wlewu wąż z końcówką i założył ręce na piersi. Marie marszczy czoło. Jak to się

robi Kiedy ona zwalnia uchwyt węża, benzyna natychmiast przestaje płynąć. Ech. Wszystko jedno.

Jest już daleko od Hinseberg, nikt nie będzie podejrzewał, że powodem, dla którego nie wie, jak to

funkcjonuje, jest fakt, że sześć lat siedziała w więzieniu.

Przez opary benzyny przeciska się słaby zapach jedzenia, w dołku ssie ją z głodu. Musi coś zjeść.

Słumione światło. Puste stoły. Cerata w kratę. Małe żółte doniczki z różowymi kwiatami z

plastiku. Drukowane menu z rysunkami różnych dań. Kiełbasa z frytkami. Antrykot z sosem bearnaise.

Lazania. Marie lekko wzdycha. Pewne rzeczy nie zmieniły się ani o jotę w ciągu ostatnich sześciu lat.

Zatem będzie lazania.

Siada przy oknie i wygląda w mrok za oknem. Zaczęło padać, pod latarniami świecącymi na parkingu lśni asfalt.

- Przepraszam - mówi głos. - Czy my się nie znamy

Marie odwraca się, nagle czujna. Ten sam mężczyzna, który przed chwilą tankował samochód, stoi

teraz przed nią i uśmiecha się. Marie próbuje odpowiedzieć uśmiechem.

- Tak

- Pani jest chyba z Nassjó

Marie kiwa głową. Mężczyzna uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Mogę się przysiąc

Marie nie zdążyła jeszcze odpowiedzieć, a mężczyzna już stawia tacę na stole i wysuwa spod niego

krzesło.

- Nigdy nie zapominam twarzy. Za to nie pamiętam imion.

Marie kiwa głową.

- Marie.

Mężczyzna zaczął już rozpinąć kurtkę, ale teraz na chwilę się wstrzymuje i wyciąga rękę ponad

stołem.

- Claes. Wydaje mi się, że chodziliśmy do tej samej klasy. Pierwszej licealnej.

- Tak

- Tak. Potem zmieniłem profil na klasyczny.

Mężczyzna zdejmuje szalik, spod niego wylania się koszulka polo. Marie powstrzymuje się od

śmiechu teraz pamięta. Kiedyś ten mężczyzna był szesnastolatkiem, który robił wszystko, żeby

przypominać proboszcza w średnim wieku. Chodził zawsze w marynarce i czarnej koszulce polo, do

tego zawsze miał lśniący srebrny krzyż na łańcuszku. Klasse. Nazywany także Klerykiem.

- Teraz zaskoczyło - mówi Marie. - Czy to nie ty miałeś być pastorem

- Tak.

- Zostałeś nim

Mężczyzna odwraca wzrok.

- Na jakiś czas. Potem...

- Tak

- ...wybrałem inną drogę.

Marie wypija łyk wody ze swojej szklanki i przygląda mu się. Nadal jest bardzo chudy, z garbatym

nosem, który wyglądał na źle dopasowany do jego twarzy nastolatka i nie zrobił się wcale mniej ostry,

ale teraz do niego pasuje. Wystarczyło, by otoczyła go odrobina doświadczenia.

- Jaką drogę

Mężczyzna bierze swojego tuborga i nalewa piwa do szklanki.

- Teatr. Zostałem aktorem.

- To radykalna zmiana.

Kleryk unosi szklankę.

- No, nie jestem taki pewien. Czekał, a czy ty nie byłaś redaktorką naczelną „Aftonbladet Marie waha się. Co on jeszcze pamięta

- Dawno temu.

- Tak, może i tak. A co w takim razie robisz teraz

Kilka sekund milczenia. Nie powiedzieć za dużo.

- Jestem wolnym strzelcem. A ty

Jego oczy zwężają się, czai się w nich uśmiech.

- Ha, no, ja też jestem wolnym strzelcem. Można powiedzieć. Jeśli nie chce się użyć brzydkiego

słowa.

- Jakiego

Szeroki uśmiech.

- Bezrobotny.

Marie nie odpowiada. Kleryk ociera pianę z górnej wargi.

- Jedziesz do domu

- Do domu

- No tak. Do Nassjó.

Marie kiwa głową.

- Tak. Chociaż nie wiem, czy to nadal jest mój dom.

- Nie. Oczywiście. Żyją jeszcze twoi rodzice

Marie kręci głową.

- Zmarli dawno temu. A twoi

- Mama. Jest w domu opieki. Czekać na wielki przełom, jeżdżę czasem zajrzeć do naszego starego domu.

Uśmiecha się. Dalej przy bufecie kelnerka woła, że lazania i antrykot z frytkami są już gotowe.

Odbierają swoje talerze i jedzą w milczeniu, oboje zdają się tak samo głodni. Kiedy Marie odkłada na

bok sztuce, robi się nagle zmęczona, wstaje i rzuca spojrzenie Klerykowi.

- Chcesz kawy

Kleryk potrząsa głową. Kiedy Marie wraca, widzi, że już zjadł, odchyła się na oparcie krzesła i

zakłada przed sobą ręce.

- Nie pijam kawy. Mam od niej przerażające flashbaki.

Marie uśmiecha się.

- Wspomnienia z kościelnego życia

- Owszem. Przemoc wobec kółka krawieckiego4.

- Stosowałeś przemoc wobec kółka krawieckiego

Kleryk buja się razem z krzesłem.

- Nie, tylko o tym marzyłem. W ciągu ostatnich lat miałem dość brutalne marzenia.

Morderstwa,

podpalenia z zamiarem zabójstwa ofiary i tak dalej.

- Podpalenia

Mężczyzna pochyła się nad stołem, nagle podniecony.

- Tak. Wiedziałem dokładnie, jak to zrobić. Bierze się parę skarpetek i moczy je w czymś łatwopalnym, amoniaku na przykład, a potem kładzie się je na biurku proboszcza, zapala ergonomiczną lampkę nad jego biurkiem i przyciska ją do dołu, tak żeby leżała bezpośrednio na

skarpetkach. Potem się wychodzi, pilnując, żeby mieć na ten wieczór alibi.

- Ach tak. I co dzieje się dalej

- Oczywiście zaczyna się palić. Po paru godzinach. A potem proboszcz nie ma już gabinetu.

Kleryk buja się na krześle i uśmiecha z zadowoleniem. Marie chichocze.

- A proboszcz Co z nim

- Och, on pewnie coś gdzieś odprawia. Albo jest w domu, u swojej małej proboszczowej żoneczki.

- Ale w takim razie nie jest to podpalenie z zamiarem zabójstwa.

Kleryk przestaje się bujać, pochyła się do przodu i klaszcze w ręce.

- No nie. Plan pada. Niszczę tylko jego gabinet, a to zupełnie bez sensu. Zresztą zemsta jest zawsze

pozbawiona sensu.

Marie prostuje plecy. Czy on próbuje coś przez to powiedzieć

- Tak

- Tak.

Wyraz jego twarzy jest całkowicie neutralny Marie wypija łyk ze swojej filiżanki. Kawa smakuje

paskudnie.

- Więc zamiast tego opuściłeś Kościół.

Lekkie westchnienie po drugiej stronie stołu.

- Tak.

- Kryzys wiary

Kleryk rzuca jej spojrzenie. Ma nadal ręce złożone jak do oklasków.

- Można tak powiedzieć. Ale to nie w Boga zacząłem wątpić. Tylko w siebie samego.

- Jak to

Kleryk spuszcza wzrok, wpatruje się teraz w pustą szklankę po piwie.

- Któregoś razu zobaczyłem siebie.

- Tak

Obraca szklankę w kółko.

- Podczas mszy dla młodzieży. Grupa przystępujących do konfirmacji. Stałem przed ołtarzem i

wygłaszałem kazanie, kiedy nagle zobaczyłem siebie w lustrzanym odbiciu jednej z szyb, na dworze

panowała ciemność, więc obraz był bardzo wyraźny. Uniosłem rękę do nieba, o tak...

Podnosi rękę i ugina ją pod kątem, tak że dłoń zamienia się w miseczkę.

- Widzisz Kiedy człowiek w ten sposób stoi, wygląda jak aktor grający Jezusa. Właśnie to robiłem,

stałem jak aktor w roli Jezusa przed grupką pryszczatych czternastolatków i wygłaszałem mowę o

przebaczeniu. Nagle zdałem sobie sprawę, że trochę za bardzo lubię ten gest, że się nim rozkoszuję,

tak jak rozkoszowałem się wszystkimi biblijnymi słowami, które krążyły wokół mnie od czasu, kiedy

miałem jeszcze mleko pod nosem. Jednak nie chodziło mi o ich treść. Jedynie o gesty.

Przerywa i nabiera tchu.

- Pamiętasz, jak wyglądałem w szkole

Marie kiwa głową. Kleryk wykrzywia się.

- Marynarka, czarna koszulka polo, srebrny krzyż. Byłem przebrany za pastora. Bawiłem się. I

teraz, dwadzieścia lat później, stojąc tak, odkryłem, że nadal się bawię.

- Co powiedziałeś o przebaczeniu

Kleryk waha się chwilę.

- Jak to

Marie przygryza wargę.

- Nic.

- Jak to nic Oczywiście, że coś.

Marie patrzy na zegarek.

- Robi się późno. Muszę już iść.

Kleryk nie odpowiada. Marie otwiera torebkę i zagląda do środka, ale nie wie sama, czego szuka.

Ależ tak. Kluczyki od samochodu. Trzyma je przecież w dłoni.

- Miło było się spotkać.

Kleryk kiwa głową.

- Masz jakiś numer komórkowy

Marie potrząsa głową. W Hinseberg telefony komórkowe były zabronione, jeszcze nie zdążyła

sobie kupić.

- Nie mam komórki.

Kleryk nie spuszcza jej z oczu.

- Dziennikarka freelancerka bez komórki. Tak, Boże święty, kontynuuj, proszę. Tacy jak ja gotowi

są uwierzyć we wszystko.

Ktoś dzwoni do drzwi, siadam na kanapie i zaspana rozglądam się wokół. Światło się zmieniło.

Zszarzało. Słońce zniknęło za chmurami, w ogrodzie na wietrze bujają się gałązki jaśminowca. Są już

niemal nagie, zostało na nich kilka pojedynczych liści.

Znowu dzwonek, przez kilka sekund siedzę bez ruchu i czekam, ale żadna Annabel nie biegnie na

palcach przez korytarz, żeby otworzyć. Muszę iść sama. W przedpokoju szybko zerkam w lustro.

Błada i rozczochrana.

To Torsten.

Stoi bokiem do mnie i patrzy na ogród; kiedy otwieram, powoli się odwraca. Podnoszę rękę w niemym geście przywitania afatyczki. Odpowiada kiwnięciem, ale nic nie mówi, przechodzi tylko

przez próg i zdejmuje kurtkę. Sięgam po nią gestem gospodyni, aż uświadamiam sobie, co robię, i

opuszczam ręce. Torsten odwiesza kurtkę na wieszak, a potem zakłada ręce na plecy i rozgląda się

dookoła.

- No tak - mówi. - Więc jestem.

Pod skórą czuję lekką irytację. No i co W końcu to nie ja poprosiłam go, żeby przyszedł, to Sissela

i on całkowicie na własną rękę tak to zmajstrowali. Nie rozumiem po co. Radziłam sobie z większymi

stresami niż ten, nie zwracając się do nikogo o pomoc.

- Sto lat - mówi Torsten.

Kiwam głową. Tak. Dokładniej mówiąc, nie widzieliśmy się od ośmiu miesięcy. Ostatnio przemilczeliśmy śniadanie po nocy w hotelu miejskim w Sigtuna. Torsten musiał pisać, a ja rządzić. I

od bardzo dawna nie było między nami radości. Wszystkie marzenia zastąpiły aż zbyt wyraźne

wspomnienia.

Torsten kiwa głową w stronę zamkniętych drzwi.

- Jest w domu

Kiwam głową.

- Czyli już nie pracuje

Nie istnieje gest, który mógłby wyjaśnić, że wprawdzie Sverker czasem bierze dużą furgonetkę i

jedzie nią do agencji reklamowej, ale dziś nie jest to możliwe. Sobota, biuro zamknięte. Nie ma gdzie

się podziać, choćby nawet chciał zniknąć.

Podnoszę rękę i lekko macham. Pójdziemy na górę

Torsten marszczy czoło, wie, że górne piętro jest moje, i tylko moje, ale mimo to mija sekunda,

nim zrozumie, o co mi chodzi. Rzuca spojrzenie w stronę zamkniętych drzwi Sverkera, a potem zerka

w kierunku schodów. Kiwa głową.

- Oczywiście - mówi. - Chodźmy.

Tamtego ostatniego wieczoru Midsommar przestałam zauważać Sverkera. Nie zbliżałam się do

niego. Nie rozmawiałam z nim. Nie widziałam go. Przez lata znosiłam jego humory, przekleństwa,

jego rozdzierające wrzaski i krzyki, a także odmowę rozmowy ze mną lub z kimkolwiek innym na

temat tego, co się wydarzyło. Teraz odepchnął mnie po raz ostatni. Nadeszła moja kolej.

Mimo to przez cały wieczór widziałam go kątem oka. Wiedziałam dokładnie, co mówi i robi, jaki

jest błąd i jak zwęziły mu się oczy. Siedział przy wielkim stole z Anną po prawej i Maud po lewej

stronie. Za nim stał jego opiekun, nieśmiały praktykant wakacyjny, miał na imię Markus. Wydawał się

jeszcze bardziej niepewny niż zwykle, prawdopodobnie dostał burę podczas ubierania Sverkera do

kolacji. Jak zawsze w pierwszych latach Sverker był nieustannie wściekły i rozzłoszczony na swoich

opiekunów. Gnojki, zera, cholerni idioci! Nic nie potrafią! Nic nie rozumieją! Dwoje złożyło wypowiedzenie w proteście i szef komunalnego wydziału opieki dla niepełnosprawnych wzdychał

zmartwiony w słuchawkę telefonu. Można, rzecz jasna, zrozumieć, że Sverker jest trochę niestabilny

po ciężkiej traumie, ale czy nie mogłabym jednak spróbować z nim porozmawiać o tym, jak ważne

jest zachowywanie w miarę grzecznego tonu wobec opiekunów Mruknęłam coś tylko, nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Jednak tego wieczoru już nie mamrotałam, mówiłam głośno i głośno się śmiałam, a po czwartym

kieliszku wina wstałam i zaintonowałam solo Are You Lonesome Tonight. Sissela i Magnus ryczeli z

zachwytu, Torsten udawał, że jest tak wzruszony, iż musi wydmuchać nos w serwetkę, Anna chichotała, a Maud uśmiechała się, tylko Per rzucił niespokojne spojrzenie w kierunku Sverkera i

nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Ukłoniłam się ponad stołem i przesłałam im wszystkim całusy, a

potem opadłam na krzesło i wypiałam głęboki łyk wina. Potem zanuciłam walca Callego Schewensa.

Był Midsommar. Klub Bilardowy Przyszłość śpiewał i miał tak śpiewać przez całą noc.

Torsten siedział obok mnie, tak blisko, że czułam ciepło jego policzka. Czasem ocierały się nam

pod stołem nogi albo ręce, kiedy przerzucaliśmy skserowane teksty piosenek. Czasem zerkaliśmy na

siebie szybko i uśmiechaliśmy się. Przez cały czas podążały za nami spojrzenia, jedne wzruszone, inne

niespokojne, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Wszystko jedno. Nie jestem niczyją niewolnicą. Jestem

swoja własna. Mam prawo robić dokładnie to, na co mam ochotę.

Kiedy zjedliśmy już truskawki i opróżniliśmy miskę z bitą śmietaną, kiedy wypiliśmy kawę i koniak i

odśpiewaliśmy wszystkie piosenki, na pomoście zrobiło się nagle cicho. Nikt nie zauważył, że jasnoniebieska noc powoli zrobiła się szara, jednak teraz Anna podniosła do góry dłonie i popatrzyła w niebo.

- Jezu, pada!

Przez pierwsze kilka minut deszcz był tylko niewidocznym cieniem, potem krople zrobiły się cięższe i zaczęły padać gęściej. Markus włączył silnik wózka Sverkera i skierował go w stronę ścieżki,

Anna wzięła w ramiona poduszki na krzesła i pobiegła za nimi, Maud zrzędziła, że Magnus naprawdę

nie może uciekać z pomostu, nie zabierając nic ze sobą, ma zabrać największy kosz, a przedtem

włożyć do niego naczynia. Per pozbierał butelki wina, Sissela zaś chwyciła obrus; trzymała go nad

głową, pozwalając, żeby furkotał jak opończa, kiedy biegła w siekącym deszczu w stronę ścieżki i

dalej, do domu.

Torsten i ja zostaliśmy na pomoście.

- Chcesz popływać - spytałam.

- Tak - odparł. - Teraz popływamy.

Na pewno było zimno, ale nie zauważaliśmy tego.

Przecinaliśmy powierzchnię jeziora, pływaliliśmy długo pod wodą, potem wynurzaliśmy się, żeby

zaczepnąć powietrza, i znowu nurkowaliśmy, znikaliśmy w innym świecie. Biała skóra Torstena lśniła

w ciemności. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby ręce stały się moimi oczyma.

Wyciągaliśmy do

siebie dłonie, szukaliśmy się po omacku dotykiem, łączyli i rozdzielali po to, by za sekundę połączyć

się na nowo.

Jak długo

Nie wiem. Wystarczająco, żeby czas przestał istnieć. Wystarczająco, byśmy w końcu mogli razem

wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć tchu, nasyceni, ze łzami w oczach. Położyłam głowę na

ramieniu Torstena. Pogłaskał mnie ręką po plecach.

- Nareszcie - powiedział.

- Nareszcie - odpowiedziałam.

- Świnie - rzucił Per. - Wy cholerne, pieprzone świnie.

Nie dało się go uciszyć.

Stał w rozkroku na pomoście, ubrany w stary płaszcz przeciwdeszczowy, z rękami założonymi na

piersi, i bez końca mówił, najpierw ściszone, pełnym niesmaku głosem, potem coraz bardziej

klótliwie, coraz głośniejsze, coraz piskliwiejsze. Cholera! Jak możemy zrobić coś takiego Sverkerowi, jemu,

którego spotkał los gorszy, niż człowiek jest zdolny sobie wyobrazić. Co Co z nami jest, do diabła

Czy jesteśmy kompletnie obojętni Co za zdrajcy! Co za ohydni, cholerni zdrajcy!

Najpierw staliśmy w wodzie, obejmując się, bez ruchu, nie odzywaliśmy się słowem, tak jakbyśmy

oboje mieli nadzieję, że Per rozpuści się we mgle i zniknie, jeśli tylko będziemy udawać, że go nie ma,

jeśli wzmówimy sobie, że istota na pomoście to tylko wyobrażenie, stworzone i narodzone z poczucia

winy, która w gruncie rzeczy tak naprawdę nie jest faktyczną winą, tylko myślą, konstrukcją...

- I ty, MaryMarie! Dręczysz i katujesz tego starego drania swoimi chichotami, flirtami i wygłupami,

a potem posuwasz się do tego, żeby się pieprzyć z kimś innym tuż pod jego nosem. Jesteś obrzydliwa!

Kompletna ohyda.

Nie. Istniał naprawdę. Torsten puścił mnie, zasłoniłam rękami piersi, oboje wyszliśmy z wody.

Powiał nas zimny wiatr, skóra mi ścierpła, palce zbieleły, wargi Torstena zaczęły sinieć.

- A ty, ty wyniosły, cholerny palancie! Siedziałeś tak przez te wszystkie lata i świdrowałeś nas

oczywiście, udając, że jesteś najlepszy! Ty, z twoimi pogardliwymi uśmiezkami i besserwisterstwem!

Myślisz, że nie wiemy, że o to ci przez cały ten czas chodziło O zwykłe pieprzenie. O nic szlachetniejszego.

Staliśmy na brzegu. Było niemal ciemno ledwo widziałam swoje stopy, białe palce, zanurzone w

piasku. Chłód złapał mnie za kark i uszczypnął, zaczęłam się trząść, zęby mi szczękały. Torsten objął

mnie ramieniem.

- Oddychaj głęboko - nakazał.

Oddychałam głęboko. Pomogło tylko na chwilę,

potem znowu zaczęłam się trząść. Moje ciało nie należało już do mnie.

- Jesteś hipokrytką, MaryMarie! - wrzeszczał Per. - Jesteś cholerną, fałszywą babą! Ganiałaś tu od

lat, odgrywając męczennicę, wzdychałaś i jęczyłaś, udawałaś, że to takie tragiczne, bo Sverker jest,

jaki jest. Ale, do cholery, jakie miałaś powody do skarg Tak naprawdę Czy masz jakikolwiek dowód

na to, że Sverker zdradził cię więcej niż ten jedyny raz

- Możesz spytać o to Annę - powiedział Torsten.

Per rzucił się na niego.

Reszta była chaosem. Nagle byli koło nas wszyscy. Prawie wszyscy. Anna płakała i ciągnęła Pera za

plaszcz przeciwdeszczowy, gdzieś z tyłu potykał się i rechotał Magnus, pijany bardziej niż

kiedykolwiek wcześniej, Maud krzyczała, Sissela klęła, a Per i Torsten tarzali się w piasku, jeden goły,

drugi kompletnie ubrany, jeden milczący, a drugi wrzeszczący. Żaden z nich nie był specjalnie dobry w

biciu, za zaciśniętymi pięściami nie kryła się prawdziwa siła, chwytanie za gardło było chaotyczne,

ślizgali się i podrygiwali, jakby w gruncie rzeczy bali się siebie tknąć i toczyli walkę tylko na pokaz.

Ja stałam naga na brzegu i szczękałam zębami. Sverker, myślałam w popłochu. Czy go zabiłam

Widziałam siebie samą, jak stoję któregoś dnia przy jego łóżku w szpitalu, wyciągam rękę w kierunku

kabla respiratora i... Potem sobie przypomniałam. Sverker żyje. Leży w swoim pokoju w brązowe

paski zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, sparalizowany od ramion w dół, niezdolny do poruszania

się. Jednak może widzieć i słyszeć, wiedziałam, że w tej chwili leży z otwartymi oczyma, patrzy w

ciemność i słucha naszych wrzasków i krzyków, że już wie, iż to koniec jedynej rzeczy, którą jeszcze

ma. Jedynej rzeczy, którą mamy. Klubu Bilardowego Przyszłość.

Bijatyka skończyła się, zapadła cisza. Torsten wstał i zaczął się otrzępywać z piasku jedną ręką, a

drugą sięgnął po ubranie. Per siedział nadal, zdyszany i ze łzami w oczach, tuż za nim stała Anna z

zaciśniętą pięścią przy ustach, Maud usiłowała utrzymać w pionie Magnusa, ciągle przelykała ślinę i

mrugała. Sissela zdjęła kurtkę i narzuciła mi ją na ramiona, a potem poprowadziła mnie w kierunku

ścieżki.

Wszystko się skończyło. Klub Bilardowy Przyszłość przestał istnieć.

Torsten stoi w holu na piętrze i rozgląda się dookoła. Waha się. Nie chce wejść do sypialni ani do

pokoju gościnnego. Biorę go pod ramię i pokazuję trzecie drzwi. Gabinet. Kiwa głową i idzie za mną.

Siadam na fotelu przy biurku, a on na krześle przy oknie.

- Tak - mówi. - To co teraz zrobimy

możliwa ciemność

Trzeba mieć talent do zapominania. On go kiedyś miał.

Wystarczyło, że wziął głębszy oddech i już wspomnienie zniknęło. Nie było go. Nigdy nie istniało.

To, co trwało nadal, to niewyraźne uczucie ciepła, jakby był otulony kocem albo miał pod skórą

drugą, dodatkową skórę. Bardzo przyjemne. Stawał się przez to lepszym człowiekiem. Radośniejszym.

Przyjaźniejszym. Dosłownie cieplejszym.

Ale kiedy obudził się po długiej nieprzytomności, był zmarznięty. To było najgorsze, gorsze niż

wszystko inne. Potrzebował tygodni, żeby zrozumieć, że jest tylko żywą głową na martwym ciele, ale

lodowaty chłód poczuł od razu. Marzył i nie potrafił zapomnieć. Gdy tylko zamknął oczy, widział

wpatrującą się w niego dziewczynę, był zmuszony przypominać sobie każdy szczegół jej ciała.

Spierzchnięte ręce. Wytrzeszczone szare oczy. Niedomknięte usta o wąskich wargach. Sterczące małe

piersi, jeden sutek miał jakiś dziwny kształt. Plecy, na których mógł policzyć zarówno wszystkie kręgi,

jak i żebra.

To właśnie jej plecy zafascynowały go na początku. Podnieciły go, jak twierdziła Emma, psycholog

na oddziale rehabilitacyjnym. Podczas pierwszych sesji wściekał się, że używa raz po raz tego samego

słowa. Wkurzyło go do tego stopnia, że poprosił opiekunów, żeby znaleźli w słowniku wyrazów

bliskoźnacznych synonimy i spisali je na kartce. Zrobić na kimś wrażenie. Poruszyć. Wzruszyć.

Zelektryzować. Nie pomagało. Emma przekrzywiła tylko głowę i patrzyła na niego.

- Ale dlaczego tak bardzo nie lubi pan tego słowa

Odmawiał odpowiedzi, zamykał tylko oczy i przyglądał się dziewczynie. Jeszcze nic się nie stało,

siedziała plecami do niego, pośród innych dziewczyn przy barze. Palila. Piła coś, co mogło być dżinem

albo wódką, ale prawdopodobnie było tylko zwykłą wodą z plasterkiem cytryny. Była wręcz

idiotycznie ubrana. Elegancja z katalogu wysyłkowego. Zielone spodnie z jakiejś wygniecionej

syntetycznej tkaniny, wystrzępione aż do kolan. Czarne kozaki z pościernymi obcasami. Bluzka w

kolorze czerwonego wina, haftowana w róże, zapięta po nieistniejący przedziałek między piersiami.

Szwy pod pachami popękały, kiedy dziewczyna się poruszała, prześwitywała biała skóra. Dziwka.

Tania dziwka z Europy Wschodniej. Po prostu nic dla Sverkera Sundina, który miał właśnie romans z

dwudziestopięciolatką, rozmiar stanika C, praca magisterska w toku. Już jutro miała przyjechać do

jego hotelu.

A jednak. Te plecy. Te szczupłe plecy.

Anders i Niclas, jego koledzy z pracy, śmiali się. Kurde, Sverker, tylko nie to! Przecież ona nie jest

nawet pełnoletnia. Choć raz sobie odpuść. Nie potrafił sobie odpuścić, nie był w stanie. Przesuwał

ręką po stole, obrócił paczkę papierosów, potem obrócił ją jeszcze raz. Zaszło mu w gardle, nie

chciał rozmawiać, potrząsnął tylko głową, kiedy Anders i Niclas zbierali się do wyjścia. Nie, nie

zamierza wracać z nimi do hotelu. Jeszcze nie. Musi się zdarzyć coś, co później się nie zdarzy.

Kiedy już poszli, przez chwilę siedział bez ruchu, potem powoli wstał i odsunął krzesło. Głowy przy

barze odwróciły się, tleniona blondynka z wielkim biustem już się do niego uśmiechała, przez chwilę

widział siebie jej oczami, wysoki mężczyzna o gęstych włosach i ciemnych brwiach. W czarnych

spodniach. Czarnej koszuli. Szarej kaszmirowej marynarce. Świeżo wyglansowanych butach.

Teraz odwróciła się ona, ale nie uśmiechała się jak inne, wpatrywała się tylko w niego przez chwilę, a potem upiła łyk ze szklanki...

W tym momencie otwierał oczy Emma siedziała nadal z przekrzywioną głową. Czekwała. Od ostatniego razu zrobiła sobie jasne pasemka we włosach, ale miała na sobie ten sam co zawsze

sweter. Kość słoniowa, rzadki ścieg. Czy ona ma tylko jeden sweter Wprawdzie psychologom na

państwowych etatach chyba się nie przelewa, ale powinno ją być stać na kupienie czegoś na zmianę.

Może jest po prostu skąpa. A może pogardza nim do tego stopnia, że celowo wygląda nieatrakcyjnie.

Szukał czegoś, co mógłby powiedzieć. Czegoś bezpiecznego.

- MaryMarie znowu mówi.

- Wiem. Mówił mi pan to parę tygodni temu.

Zmarszczył brwi. Czy znowu powraca jego umiejętność zapominania

- Mówiłem

- Tak.

Na chwilę zapadła cisza. Błądził gdzieś wzrokiem. Zniszczone biurko. Półka z książkami, zastawiona

do połowy. Skoroszyty.

- Brzydki pokój.

- Wiem, że pan tak uważa.

- Nie rozmawia ze mną.

- MaryMarie

- Tak.

- To skąd pan wie, że może już mówić
- Rozmawia z moimi opiekunami. Chociaż nie za często.
- A pan z nią rozmawia

Usłyszał swoje westchnienie.

- To bez sensu.
- Na pewno
- Całkowicie. Gdybym mógł odejść, zrobiłbym to.
- Ale nie może pan odejść.

Emma założyła nogę na nogę. Te same stare džinsy co zawsze. Te same rozdeptane buty.

Przymknął oczy, znowu był z powrotem w barze, położył rękę na szczupłych plecach i otworzył usta,

żeby coś powiedzieć, potem zamrugął oczami i znowu zobaczył siebie w gabinecie lekarskim.

Popołudniowe słońce świeciło inną barwą. Czerwonawą. Już niedługo jesień.

- Jaką dziś mamy datę

Emma uniosła brwi.

- Dlaczego pan o to pyta
- Do cholery, skończmy na chwilę z terapią. Jaki dziś dzień
- Pierwszy września.
- Rok temu mogłem chodzić.
- Tak.
- Mógłbym cię wtedy uwieść. Gdyby mi się chciało.
- Mógłby pan
- Tak. Chociaż nie wiem, czy uznałbym, że warto się wysilać. Jesteś tak samo nieciekawa jak ten

pokój.

Na jej szyi pojawiły się dwie czerwone plamy, ale nie zmieniła wyrazu twarzy, rzuciła tylko okiem

na zegarek. Sverker uśmiechnął się.

- Czas jeszcze nie minął.

Emma splotła ręce na kolanie.

- Wiem. Jeszcze dwie minuty.

- Tak - potwierdził Sverker. - Dwie minuty.

- Jest panu trudno - powiedziała Emma. - W końcu musi się pan do tego przyznać.

Przymknął oczy, dziewczyna przy barze odwróciła się. Wyglądała na przestraszoną.

- Champagne - spytał.

- Thank you - odpowiedziała.

Uśmiechnął się, słysząc jej akcent. Fjenkjuu. Czyli jest Rosjanką. Tym lepiej. Nigdy nie miał Rosjanki.

boczna droga

Rzut okiem w lusterko wsteczne. Nadal tam jest, zaledwie sto metrów za nią. Jego białe renault w

światłach autostrady robi się brudnożółte.

To idiotyczne. Jestem ścigana po autostradzie przez wyrzuconego z pracy pastora.

Czego on chce

Nie wyruszyłam od razu w drogę. Kiedy otworzyłam drzwi samochodu, przypomniałam sobie, że w

domu w Hasterum nie ma nic do jedzenia. Jeśli jutro rano zapragnę zjeść śniadanie, będę musiała

znowu jechać na stację benzynową, żeby kupić kawę, chleb i sok. Zerknęłam przez ramię; Kleryk

nadal siedział w restauracji, nic nie wskazywało na to, że zamierza za mną jechać, więc zatrzasnęłam

drzwi i pobiegłam przez deszcz do szklanych drzwi. Zgarnęłam to, co najpotrzebniejsze, i zapłaciłam.

Kiedy wróciłam do samochodu, stał obok. Czekał.

- Ewangelia świętego Łukasza - powiedział. - Grzesznicy, która namaściła stopy Chrystusa, wybaczone.

Przecisnęłam się obok niego, otworzyłam drzwi samochodu i wrzuciłam do środka reklamówkę z

jedzeniem; spadła z siedzenia dla pasażera na podłogę.

- Tak, słucham

- To o tym mówiłem konfirmantom.

- Aha.

- Wybaczone jej, bo dużo kochała. Mało kocha ten, któremu mało się wybacza.

- Brzmi jakoś od tyłu.

- Jak to

- Powinno być na odwrót. Ten, któremu mało się wybacza, mało kocha. Brak wybaczenia jest konsekwencją niedoboru miłości. Naprawdę jesteś pewien, że znasz cytaty z Biblii

Założył ręce na plecy.

- Istnieją różne tłumaczenia. To jest luterańskie. Twoja interpretacja wydaje się bardziej katolicka.

- Ach tak.

Usiadłam za kierownicą i przekręciłam kluczyk, silnik kilkakrotnie zamruczał.

- Może się zobaczymy - powiedział Kleryk.

- Może - odparłam i zatrzasnęłam drzwi.

Od tamtej chwili jedzie sto metrów za mną, przyśpiesza, kiedy ja przyśpieszam; i zwalnia, kiedy ja

zwalniam. Nienormalny. Nie może być normalny. Chyba że nagle przypomniał sobie jakiś tytuł na

okładce albo dwa. Nikt nie wie lepiej niż ja, że takie tytuły mają swoje konsekwencje. Nie zawsze

przyjemne.

Trzy razy byłam materiałem okładkowym. Kiedy mnie złapano. Kiedy zostałam aresztowana. Kiedy

zapadł wyrok sądu. W tytułach figurowałam pod trzema imionami Mściwa żona. Redaktor naczelna.

Marie Sundin. Fotografie podążały za tym samym wzorcem, odsłaniały coraz więcej i więcej, w miarę

jak toczył się proces. Najpierw zasłonięte czarnym paskiem zdjęcie z paszportu, potem fotografia z

postępowania sądowego w sprawie zastosowania aresztu, na której miałam głowę przysłoniętą

chustą, na koniec uśmiechnięty portret z mojego gabinetu w redakcji. Kiedy zapadł wyrok w sądzie

apelacyjnym, skończyły się zdjęcia. Nie stanowiłam już nowości, dostały mi się tylko dwie szpalty.

Katrin uśmiechnęła się. Widzisz Zaraz o tym zapomną. Za sześć lat nikt nie będzie o tym pamiętał.

Sześć lat. Same słowa wydawały się niepojęte. Pierwszej nocy w Hinseberg próbowałam mierzyć

czas, siedziałam po turecku na wąskim łóżku i cofałam się w czasie o sześć lat, szukałam osoby, którą

byłam, żeby zrozumieć, kim się stanę. Jednak udało mi się dotrzeć jedynie do fragmentów i części,

dziwnych puzzli, które nie pasowały do innych. Przypomniałam sobie, że latem sześć lat temu miałam

parę białych sandałów na wysokim obcasie i że wąskie paski wrzynały mi się w stopy. Kiedy wracałam

z pracy do domu, zrzucałam je już w przedpokoju i zaczynałam drapać czerwone ślady. Łupkowa

podłoga chłodziła podeszwy stóp. Sverkera nie było w domu. Prawie nigdy nie było go w domu.

Rok później poroniłam po raz dziewiąty. Krwawa historia, przez kilka tygodni nosiłam podwójne

podpaski. Potem najgorsze były zawroty głowy, rano, po wstaniu, musiałam się opierać o ścianę, żeby

w ogóle móc dotrzeć do łazienki. Byłam bardzo blada, ale było mi z tym do twarzy. Co ciekawe, uznał

Sverker, wyglądałam naprawdę atrakcyjnie. We wrześniu tego roku wynajęliśmy dom w Toskanii.

Wieczorami siedzieliśmy pod czarnym, gwiazdzistym niebem i piliśmy czerwone wino. Poruszaliśmy

się w zwolnionym tempie, rzadko rozmawialiśmy, ale patrzyliśmy na siebie zupełnie bez urazy i

podejrzliwości. Byliśmy niemal szczęśliwi.

Rok później Hamrin, mój stary ginekolog, przeszedł na emeryturę i siedziałam już przed nową

lekarką, Evą Andersson. Imię pasowało, było równie anonimowe, jak bezbarwna kobieta po drugiej

stronie biurka, która obracała kościstymi palcami moją kartę choroby, a potem spojrzała na mnie ze

zmarszczonym czołem.

- Co pani sądzi o sztucznym zapłodnieniu - zapytałam, zaskakując tym siebie samą. Przecież już

się poddałam, dlaczego siedzę tu teraz, udając kogoś innego

- No cóż - powiedziała Eva Andersson. - Nie wydaje mi się, by to rozwiązało sprawę. Nie o to chodzi.

- A o co

Westchnęła.

- No, nie jestem pewna, ale domyślam się, że to problem immunologiczny.

- Immunologiczny

Uśmiechnęła się do mnie przelotnie, ukazując szparę między górnymi jędynkami.

- Tak, w gruncie rzeczy to dziwne, że w ogóle rodzą się jakieś dzieci. Że płód nie zostaje odrzucony

przez organizm matki, jak przeszczepiony organ. Zwłaszcza jeśli to chłopiec. Jednak w większości

przypadków istnieje mechanizm, który chroni płód przed atakiem ze strony układu odpornościowego

matki, ale jeśli jest on uszkodzony, wtedy powtarzają się poronienia.

Zaczęłam się pocić i przesunęłam szybko palcem po górnej wardze.

- A więc to moja wina To ja odrzucam swoje dzieci

Pokręciła głową.

- Nie, takie proste to nie jest. Być może z innym mężczyzną by się udało. Z kimś zupełnie innym.

- Co pani ma na myśli

Podniosła wzrok znad papierów.

- Być może są państwo z mężem zbyt podobni. Immunologicznie. Może dlatego się nie udaje. A

pani nie jest już znowu taka młoda.

Tego wieczoru piliśmy ze Sverkerem piwo przy kuchennym stole i kiedy na chwilę zapadło milczenie, otworzyłam usta, żeby mu powiedzieć, ale natychmiast je zamknęłam. Nie powinien o tym

wiedzieć. Nigdy

Rok potem pojechałam do Indii. Sama. Tak naprawdę to miałam napisać na drugą kolumnę coś na

temat wielkiej konferencji ekologicznej, ale poszłam na nią tylko jeden raz. Pozostały czas spędziłam,

leżąc bez ruchu w pokoju hotelowym i gapiąc się w sufit. Trzy razy dziennie do drzwi pukał służący i

zadawał dwa pytania You not well You want food Kiedy wróciłam, lekarz zakładowy przepisał mi

lek na depresję, ale przestałam go brać, kiedy Sverker powiedział, że zrobiłam się gruba i egoistyczna.

Nie chciałam być gruba i egoistyczna. Chciałam być szczupła i piękna, godna miłości i utalentowana,

hojna i pewna siebie.

Któregoś majowego popołudnia rok później zadzwoniłam do kancelarii adwokackiej, ale odłożyłam słuchawkę, zanim ktoś zdążył ją podnieść. Zbliżał się Midsommar. Gdybym się rozwiodła,

musiałabym siedzieć sama po drugiej stronie jeziora, podczas gdy Klub Bilardowy Przyszłość śpiewałby przez całą mid- sommarową noc.

Kiedy owa noc wreszcie nadeszła, wypiałam więcej wina, niż powinnam, i nie mogłam przestać się

śmiać. W końcu śmiał się ze mną cały Klub Bilardowy Przyszłość. Sverker też. Uśmiechał się nadal,

kiedy wchodziliśmy do naszego pokoju.

- Jestem jeszcze z tobą tylko ze względu na Klub Bilardowy Przyszłość - oświadczyłam, kiedy się

rozbieraliśmy.

Nie odpowiedział. Może nie usłyszał. Jednak kiedy zgasiliśmy światło, położył mi rękę na udzie i

zamruczał zadowolony. Przycisnęłam się do niego i równie zadowolona polizałam jego klatkę piersiową.

A teraz siedzę nagle w więzieniu Hinseberg i usiłuję zrozumieć, co znaczy sześć lat, kim byłam i kim

się stanę.

Kim się stałam

Nie wiem. Jeszcze nie.

Znowu zerkam w lusterko wsteczne. Kleryk jest o wiele za blisko, światło jego reflektorów mnie

oślepia. Jednak teraz zbliżamy się do Mjólby, jeśli będę miała szczęście, on tam skręci i pojedzie do

Nassjő przez Tranas. Ta droga jest krótsza, przynajmniej jeśli człowiek chce się dostać do samego

miasta. Ja pojedę przez Jónkóping, tak jest bliżej, gdy się jedzie do Hasterum.

Tęsknię do tego miejsca. Do ciszy i zapomnienia.

Mary otwiera swojego laptopa, przygryza wargę i skoncentrowana wpatruje się w klawiaturę.

Torsten siedzi w milczeniu, podczas gdy ona naciska klawisz za klawiszem. Możesz iść.

- Chcesz, żebym sobie poszedł

Mary kiwa głową.

- Boisz się, że Sverker usłyszy, że tu jestem

Mary potrząsa głową i powoli pisze kolejne słowa. To ja.

- To ty chcesz, żebym sobie poszedł

Mary kiwa głową.

- Dlaczego

Mary rozkłada ręce. Dlaczego Torsten ma siedzieć w jej pokoju i źle się czuć To bez sensu.
Być

może on myśli tak samo, bo kładzie ręce na oparciu krzesła, jakby już miał się podnieść, ale nie

wstaje. Nadal siedzi, odwraca się do niej bokiem i wygląda przez okno ze skupionym wyrazem twarzy.

Wygląda tak, jakby spodziewał się, że jakaś obca istota nagle zmaterializuje się w mokrym od deszczu

ogrodzie. Kiedy się odzywa, ma zmieniony głos. Bardziej przytłumiony.

- Zawiodłaś się na mnie

Mary marszczy brwi. Zawiodła się na Torstenie

Nie.

- Nie odzywałem się.

Mary wzrusza ramionami. No i co z tego Ona też się nie odzywała. Jednak Torsten nie patrzy na

nią, tylko mówi dalej

- Wszystko byłoby inaczej, gdybyśmy byli ze sobą, ty i ja.

Mary potrząsa głową. Czy on już zapomniał nieudaną noc w miejskim hotelu w Sigtuna Zjedzone

w milczeniu śniadanie Takie by było ich wspólne życie. Pochyla się znowu nad klawiaturą. Nie mogę.

- Czego nie możesz

Znów chwila skupienia. Życ. Potem wpatruje się w ekran, jakby sama nie rozumiała, co napisała.

Torsten odchrząkuje.

- Nie mogłabyś ze mną żyć Dlaczego nie

Mary wzdycha. On nie rozumie. Ona sama właściwie też nie, wie tylko, że nie jest niczemu winien.

W jej marzeniach stał się kimś innym, nigdy nie pozwoliła mu, by był naprawdę sobą. Znowu pochyła

się nad klawiaturą.

Nie mogę mówić, nie mogę żyć.

Teraz już wie, co to znaczy. Że nie może mówić nawet wtedy, gdy jest w stanie mówić. To dlatego

nie może żyć. Nie naprawdę. Nie do końca. Nie tak, jak powinien żyć człowiek.

- Żyjesz - mówi Torsten.

Mary uśmiecha się i znowu pochyła nad klawiaturą. Teraz pisanie idzie jej szybko.

Latasz. I cierpisz, że nie możesz latać.

Kiedy podnosi głowę, wie już, że słowa powróciły. Mogłaby mówić. Jednak nie mówi nic, pochyła

się tylko do przodu i całuje Torstena w prawą brew.

Zjazd z autostrady. Zmieniam bieg na niższy i popuszczam gaz, potem zerkam w lusterko wsteczne

i usiłuję dojrzeć, co zamierza zrobić Kleryk. No tak, on też zwalnia tempo, ale potem włącza

kierunkowskaz i skręca w prawo. Na pożegnanie mruga długimi światłami.

Aha. Dał spokój. Skręcił.

Nagle czuję się jak idiotka. Co ja sobie wyobrażałam Że będzie jechał za mną aż do czerwonego

domu Że wysiądzie z samochodu z podniesionym krucyfiksem w ręce i udzieli mi rozgrzeszenia w

imię Boga lub mieszkańców Nassjó Idiotyzm.

Prawda jest taka, że usiłowałam oszukać samą siebie i niemal mi się to udało. Wcale się nie bałam

tego, że Kleryk będzie za mną jechał aż do Hasterum. Miałam nadzieję, że to uczyni. I nie było jedynie

pomyłką, kiedy chwyciłam się tego słowa, gdzieś tam w głębi, w środku głowy, dokładnie wiedziałam,

co robię. Kleryk ponownie tchnął życie w moją starą nadzieję. Chciałam wierzyć, że on wie, czym jest

przebaczenie.

Powinam była zrozumieć, że to niemożliwe. Nikt, ale to absolutnie nikt nie wie, czym naprawdę

jest przebaczenie.

W końcu Torsten wstaje. Przez sekundę znowu ma osiemnaście lat, stoi lekko zgarbiony naprzeciw

Mary, czarna grzywka przysłania mu oczy, skóra na policzkach jest pełna zagłębień i blizn po pryszczach z okresu dojrzewania.

- Tak - mówi. - W takim razie pójdę.

Mary kiwa głową.

- Zobaczymy się znowu

Mary najpierw kiwa, a potem kręci głową. Tak. Nie. Nie wie. Może któregoś majowego dnia za rok

czy dwa wpadną na siebie na Drottninggatan. Może kiedyś zjedzą tam razem lunch.

Może cały Klub Bilardowy Przyszłość albo przynajmniej pozostała część Klubu Bilardowego Przyszłość zbierze się pewnego dnia na jakimś pogrzebie.

- Mogłoby nam być ze sobą dobrze - mówi Torsten.

Mary lekko się krzywi. Niech sobie w to wierzy. Skoro chce.

Schodzą po schodach, ręka w rękę, ich kroki niosą się echem po pustym domu. Gdzieś tam ktoś

wstrzymuje oddech i słucha.

Torsten wkłada kurtkę i kładzie rękę na policzku

Mary.

- Zadzwoń.

Lekki pocałunek. Torsten otwiera drzwi. Na zewnątrz, na schodach, stoi młody mężczyzna z aparatem fotograficznym. Hakan Bergman powrócił. Nie poddaje się.

- Hopsa - mówi - patrzcie, kogo tu mamy!

Fotograf podnosi aparat. Torsten cofa się i zatrząskuje drzwiami.

Jónkóping. Nareszcie.

Wjazd jest taki jak zawsze, autostrada się nie poszerzyła, kamienic czynszowych jest też tyle samo

co zawsze. W niemal każdym oknie palą się małe ozdobne lampki. Niektóre zupełnie proste. Inne

mają abażury przybrane falbankami. Jeszcze inne są z mieniącego się szkła.

Nagle uświadamiam sobie, że w Hasterum będzie bardzo ciemno. Muszę mieć latarkę, inaczej nie

przedostanę się z samochodu do domu. Zajeżdżam więc do sklepiku przy stacji benzynowej.

- Co, do jasnej cholery - mówi Torsten. - Kto to był

Na półce w przedpokoju leży gazeta. Mary pokazuje ją palcem.

- „Expressen

Ktoś dzwoni do drzwi, za białą szybą widać czyjś cień. Hakan Bergman zdążył już wejść po schodach.

- Kurwa mać. Czego oni chcą

Mary wskazuje zamknięte drzwi Sverkera.

- Wywiad Z nim

Mary wykonuje nowy gest, pokazuje na siebie i rozkłada ręce.

- Z tobą też Ale ty nie możesz mówić.

Mary kiwa głową; to nieprawda, ale nie zamierza tego ujawniać. Jeszcze nie. Kładzie rękę na klamce do drzwi i zerka na Torstena.

- Uważasz, że mimo to powinienem iść

Nowe kiwnięcie. Torsten waha się. Znowu dzwonek do drzwi.

- Okej. Dbaj o siebie.

Podnosi kołnierz kurtki i wciska ręce głęboko w kieszenie. Nie waha się.

- Ależ to poniżające.

Mary uśmiecha się lekko. Ach tak. Tak uważasz.

- Powinnaś podać się do dymisji. Żeby mieć z głowy ten syf.

Mary znowu się uśmiecha. A czy to pomoże

Dlaczego Mary każe Torstenowi odejść

Nigdy bym tak nie zrobiła. Owinęłabym się wokół niego jak anakonda i nie chciałabym puścić, wessałabym

mu się w szyję, zamknęła w uścisku jego ramiona i nogi, trzymałabym go tak mocno, że nigdy by mnie nie zostawił.

Mary miała go bardzo blisko, ja musiałam zadowolić się marzeniami i fantazjami. A mimo to do

końca miałam nadzieję. Kiedy wprowadzono mnie do sądu, w szalu na głowie, wmówiłam sobie, że w

sali da się wyczuć jego zapach i obecność. Dlatego kiedy już usiadłam na swoim miejscu i odsłoniłam

twarz, odwróciłam się do tyłu i przyjrzałam wypełnionym ławkom dla publiczności tuż za mną. Ktoś

uniósł rękę i dyskretnie do mnie pomachał, to była dziewczyna z mojej gazety. Ktoś inny ostrożnie

skinął głową stary kolega z grupy z Wyższej Szkoły Dziennikarstwa. Tylko Torsten nie kiwnął do mnie

głową ani nie pomachał. Oszukiwałam samą siebie. Nie było go. Nie przyszedł nikt z Klubu Bilardowego Przyszłość. Nawet Sissela.

Odwróciłam więc głowę z powrotem, złożyłam ręce jak porządna uczennica i utkwiałam wzrok w

sędzi. Byłam gotowa, przygotowana do oszacowania mojej winy i wyznaczenia kary. Nie zamierzałam

się już odwracać. Nigdy więcej.

Ręce lekko mi się trzęsą, kiedy dłubię przy bateriach w latarce i testuję ją.

Tak, działa.

Okej. Czyli trzeba teraz ruszyć i jechać dalej. Jednak ręce nie słuchają mnie, ciągle leżą na kolanach. Palce bez przerwy grzebią przy latarce, zapalają ją i gaszą, zapalają i gaszą, usiłując odsunąć

to, co musi nadejść.

Boję się. Muszę się do tego przyznać.

Boję się domu w lesie.

Boję się ciemności.

Boję się samotności.

Boję się Maud i Magnusa po drugiej stronie jeziora.

Czy mam zostać w Jónkóping, wziąć pokój w hotelu Zaglądam do portfela, leży w nim tylko jakaś

pięćsetka i kilka dwudziestek. Nie starczy. Nie mam jeszcze karty bankomatowej ani kredytowej.

Czyli samochód albo dom. Wystarczy wybrać.

Ale moje ręce nie chcą mnie słuchać, wciąż leżą.

Torsten wychodzi i Mary natychmiast zatrzaskuje drzwi, pośpiesznie przekręcając klucz.

Słyszy, jak ktoś coś wykrzykuje, ale nie otrzymuje odpowiedzi. Sekundę potem znowu słychać

dzwonek do drzwi.

- Halo - odzywa się zza drzwi Hakan Bergman. - Mary! Wiem, że tam jesteś. Otwieraj natychmiast.

Wiesz, że wiele zyskasz, jeśli się zgodzisz na wywiad.

Mary wybucha śmiechem. Doprawdy

Nagle w drzwiach kuchni staje Annabel, ma podwinięte rękawy bluzki, wyciera ręce w ręcznik.

- Co się dzieje

Mary chwyta gazetę z półki w przedpokoju i pokazuje na nią. Zaczyna być w tym dobra, być może

resztę życia uda jej się przeżyć w milczeniu.

- To „Expressen

Mary nie podoba się nagły błysk w oczach Annabel. Podniecenie. Bez wątpienia. Czyżby panienka

marząca o sławie Czy - żeby rzecz wyrazić w terminologii redakcyjnej - odczuwa parcie na szkło

- Czego oni chcą

Odpowiedzieć coś Mary przez sekundę się waha, ale postanawia zachować milczenie. Wskazuje

drzwi Sverkera.

- Chcą rozmawiać z panem Sverkerem

Mary kiwa głową.

- A co on na to

Mary potrząsa głową. Annabel marszczy czoło, nagle wygląda jak surowa, mała lalka.

- Naprawdę go pani o to pytała

Mary unosi rękę. Nie potrzeba! Jednak Annabel odwróciła się już do niej plecami i kieruje się w

stronę pokoju Sverkera, zdąża nawet do nich zapukać, nim Mary ją dogoni i położy jej rękę na

ramieniu.

- Puść - mówi Annabel i ponownie puka. - Proszę mnie nie dotykać!

Żadnej odpowiedzi. Ponowny dzwonek do drzwi, ale w pokoju Sverkera jest cicho. Może śpi.

Annabel stoi przez chwilę z przechyloną na bok głową. Czeka. Mary stoi tuż za nią, nie wie, czy

odepchnąć dziewczynę, czy jeszcze raz położyć rękę na jej ramieniu. Annabel kręci się w kółko.

- Porozmawiam z nim - mówi.

Mary kręci głową przecząco. Annabel ją odsuwa.

- Pani nie decyduje za pana Sverkera. Dobrze wiem, jak jest między wami.

Nie wiesz nic, cholerna kretynko! Nic!

Myśl jest czerwona i trująca jak parząca meduza, wyciąga macki w stronę Annabel, i przez nanosekundę

Mary jest gotowa podnieść rękę i dać dziewczynie w twarz. W następnej sekundzie

powstrzymuje się, w ten sposób dałaby kolejnego newsa Hakanowi Bergmanowi, a tego mu

podarować nie zamierza. Przystaje więc ze zwieszonymi rękami i patrzy, jak Annabel idzie w stronę

drzwi wejściowych. Wyciągając rękę w kierunku klamki, dziewczyna drugą ręką szybko poprawia

włosy, potem prostuje plecy i przywołuje na usta lekki uśmiech.

- Dzień dobry.

Jasny, dziewczęcy głos brzmi nagle niżej i bardziej zmysłowo.

- Czy mogę w czymś pomóc

Hakan Bergman nie odpowiada od razu, może jest tak zaskoczony faktem, że drzwi się otworzyły,

że po prostu nie wie, co powiedzieć. Jednak po chwili pokonuje zaskoczenie.

- Dzień dobry pani - mówi. - Nazywam się Hakan Bergman... Czy tata jest w domu

Annabel wybucha śmiechem.

- Sverker Ależ to nie jest mój tata. Oni nie mają dzieci.

Hakan Bergman przyjmuje ton, który przyprawiłby o zgrozę jego żonę. Flirtujący stryjcio.

- Nie, oczywiście... Powinienem był się domyślić. Pani jest odrobinę zbyt ładna.

Annabel chichocze.

- Jestem opiekunką.

- Czyją

Annabel znowu chichocze.

- Oczywiście, pana Sverkera. Ona nie ma opiekuna.

- Ale obecnie jest chyba również trochę niesprawna

- Ma pan na myśli amnezję Nie. Do tego nie ma opiekuna.

- Więc pani pomaga obojgu

Żadnej odpowiedzi, tylko cisza, która jest wystarczająco długa, by zmieścił się w niej grymas twarzy. Annabel stoi do niej plecami, Mary widzi, że Hakan Bergman uśmiecha się jeszcze szerzej.

- To jest Johan - oznajmia. - Mój fotograf. Nie wpuściłaby nas pani do środka

- Nooo - mówi Annabel - a czego panowie chcą

- Chcemy porozmawiać ze Sverkerem Sundinem. I z panią.

- Zrobić wywiad

- Właśnie.

Annabel cofa się o krok, Mary z wrażenia otwiera usta. To nie może być prawda! Czy ta pieprzona

idiotka zamierza wpuścić do ich domu Hakana Bergmana Ale nie, Annabel opamiętuje się.

- Muszę go spytać - mówi.

- Ja to zrobię - zapewnia Hakan Bergman.

- Ale najpierw chciałbym panią sfotografować - mówi fotograf.

Annabel chichocze zachwycona.

- Mnie

- Tak, nie wyszłaby pani na schody Światło jest tu lepsze.

Cwaniak. Kiedy Annabel robi krok na zewnątrz, Hakan Bergman robi krok do środka. Teraz jest już

w przedpokoju i uśmiecha się.

- Cześć, Mary - mówi. - Wiedziałem, że w końcu pójdziesz po rozum do głowy.

Nie ma mnie, myśli Mary. Jakie to szczęście, że mnie nie ma.

O nie. Tak łatwo się nie wywinie. Tysiąc razy utrudniała mi wyślizgnięcie się z mojego życia i

wpełznięcie do jej. Teraz moja kolej. Siedzę więc bez ruchu, nie przekręcam kluczyka w stacyjce i

wpatruję się w ciemność. Przyglądam się Hakanowi Bergmanowi, kiedy tak stoi w przedpokoju Mary.

Przerzedziły mu się trochę włosy, ale stara kurtka zamszowa jest taka sama jak dawniej. Na łokciach

wytarła się do połysku, zauważam to, kiedy mężczyzna zaczyna grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu długopisu i notesu. Wkłada długopis do ust i zdejmuje z niego zatyczkę, trzymając ją

między zębami jak czarny ustnik, uśmiecha się jeszcze szerzej do Mary.

Hakan Bergman nie jest złym dziennikarzem. Wręcz przeciwnie. Jest dobrym dziennikarzem.

Poważnym. Grzebie w ludzkich śmieciach, nie zajmuje się tanimi plotkami, pisze o ważnych problemach i zawsze starannie sprawdza materiał dowodowy. Mimo to stoi teraz tu, w przedpokoju

Mary, i uśmiecha się bardzo szczególnym uśmiechem.

Jakie ma do tego powody Co nim kieruje

Myślę, że bez problemu mógłby wygłosić dziesięciminutowe przemówienie na temat swoich motywów, mógłby zwrócić się do wymyślonej publiczności i z wielką powagą wyjaśnić, że jest

absolutnie zmuszony do przeprowadzenia pewnych nieprzyjemnych działań. Oczywiście, jest to

godne ubolewania, jeśli łączy się z bolesnymi konsekwencjami dla jego dawnej koleżanki z pracy,

Mary, lecz - niestety - on zobligowany jest nie zwracać na to uwagi. Ma swoje zadanie, które powierzyło mu szefostwo redakcji, a nie wprost - także czytelnicy, zadanie, które stanowi istotę jego

zawodu mianowicie winien obnażyć to, co Mary usiłuje ukryć. Nikt nie może zaprzeczyć, że istnieje

niezwiązane z nim zainteresowanie społeczne kwestią zbadania, czy bardzo szczególna sytuacja

prywatna pani minister do spraw pomocy rozwojowej nie wpłynęła na decyzje, które podejmowała,

lub nie zdecydowała o kierunku prowadzonej przez nią polityki. Żeby zbadać tę sprawę, on musi

zrobić wszystko, aby wydobyć prawdę o jej prywatności. Niestety. It's a dirty job but somebody's got

to do it.

Niestety - dla Mary - wywód byłby prawdziwy.

Nie jest to, oczywiście, jedyna prawda. Istnieje równie dużo prawd o Hakanie Bergmanie, jak o

o mnie i o Mary.

Może jedna z nich dotyczy chwil między snem a jawą, minut wieczorem przed zaśnięciem i tych,

zanim on wstanie rano. Wtedy jest żółwiem bez skorupy, szarym, bezbronnym stworzeniem, obnażonym przed samym sobą. Myśli o spotkaniach redakcyjnych i twardych wyrokach, które są tam

wydawane, liczy, ile dni minęło, odkąd ostatnio figurował na pierwszej kolumnie, waży i wycenia

nakłady, które decydują o jego miejscu w redakcyjnej hierarchii. Spada. To fakt. Od paru miesięcy

spada i niczego nie pragnie bardziej niż tego, by znowu iść w górę.

Druga prawda ma związek ze świeżo upieczonymi, młodymi reporterami, którzy przeskakują z

umowy na czas określony na kolejną umowę tego samego typu w niekończącej się wędrówce pomiędzy czterema dużymi gazetami. Nie mają żadnej postawy etycznej, myśli Hakan Bergman,

żadnego prawdziwego szacunku dla zawodu i zero szacunku do samych siebie. Zrobią wszystko, byle

mieć tytuł na pierwszej stronie i wzrost sprzedaży, bo wiedzą, że tylko krzykliwy nagłówek i rosnąca

sprzedaż zapewnią im stałe zatrudnienie. To dlatego kreują gwiazdy z półanalfabetów rodem z reality

shows, a potem śmieją się za ich plecami, dlatego przynoszą kwiaty i składają wyrazy współczucia

bitej żonie znanego aktora, a w drodze powrotnej od niej, w samochodzie, radośnie fetują atrakcyjny

temat, dlatego przemykają od stolika do stolika w barach nocnych wokół modnego Stureplan i

przymilnie się uśmiechają w zamian za jedną czy dwie plotki. Według Hakana Bergmana, żadna z tych

rzeczy nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem. Mimo to ostatnio milczy na zebraniach

redakcyjnych, nagle przestraszony, że młodzi dziennikarze na umowie właśnie z niego będą się

wkrótce śmiali.

Trzecia prawda ma związek z upokorzeniem. Hakan Bergman ma dobrą pamięć. Nigdy nie zapomni pogardliwego spojrzenia czy uszczypliwego komentarza. Poza tym ma cienką skórę i każda

krytyka stanowi dla niego obrazę, a każdy zarzut zniewagę. Jest także cierpliwy i potrafi długo czekać

na rewanz. Bardzo długo. Na przykład któregoś dnia wiele lat temu został wezwany do pewnej

redaktor naczelnej, która w dość chłodnych słowach powiadomiła go, że wyjaśnienia, jakie jej przedstawił w sprawie pewnej zaliczki na podróż służbową, nie są możliwe do zaakceptowania, a dziś

- nareszcie! - znowu stoi z nią oko w oko.

- Chciałbym porozmawiać z twoim mężem - mówi. - Gdzie go masz

Mary kręci głową. Ze schodów świergocze Annabel

- Drzwi na lewo! Ale może teraz spać.

Hakan Bergman robi krok do przodu. Mary znowu kręci głową. To nie pomaga.

- Nie chcę się narzucać - mówi Hakan Bergman.

- Jednak chyba wypada, by twój mąż sam zdecydował, czy chce udzielić wywiadu, czy nie.

Teraz dochodzi już do drzwi. Teraz wyciąga rękę. Teraz puka.

Żadnej odpowiedzi.

Hakan Bergman naciska klamkę i otwiera.

- Halo - mówi. - Jest tu ktoś

Na stacji benzynowej gaśnie światło. Zamykają. Już noc.

Zapalam lampkę nad kierownicą i rzucam szybkie spojrzenie w lusterko wsteczne. Okej. Czas opanować strach. W drogę.

Zamykam oczy i przywołuję obraz domu nad jeziorem Hasterum. Bzy przy narożniku domu.

Kamienne schodki, na których tak miło przysiądać w letnie poranki. Mój stary panieński pokój z

tapetą w kwiatki i koronkowymi firankami. Udaje mi się, ale nie do końca. Za wspomnieniami

wielkiego spokoju kryją się też inne obrazy. Głębokie jesienne ciemności nad jeziorem. Skrzypienie

schodów, które brzmi jak skradające się kroki. Gniazdo węży przy wejściu do piwnicy. Biorę spokojny

oddech i podejmuję decyzję. Mam latarkę i reflektory samochodu, więc nie muszę się bać ciemności.

Wiem, że przyczyną skrzypienia jest praca drewna i że o tej porze roku wszystkie węże wpełzły już

pod ziemię. Nie ma się czego bać. Nie istnieje nic poza moją wyobraźnią. Przekręcam więc kluczyk w

stacyjce i wrzucam bieg.

Skręt na Nassjó jest zaledwie kilkaset metrów stąd. Ujmuję kierownicę bez drżenia rąk i trochę za

szybko jadę przez tereny zabudowane w kierunku drogi.

Za moimi plecami powoli gaśnie Jónkóping.

- Teraz wracam do domu - mówię sobie na pocieszenie. - Przecież mam swój dom.

możliwe nocne czuwanie

Nie da się. Nie może zasnąć.

Długo leży bez zmruczenia oka i wpatruje się w ciemność, słucha oddechu Magnusa, pozwalając

krążyć myślom. Nie zamierza jeszcze wstawać, nigdy nie zasypia, póki on naprawdę głęboko nie

zaśnie. To środek ostrożności. Gdyby dowiedział się, co robi w niektóre noce, byłby tym nadmiernie

zachwycony, chciałby jej towarzyszyć i wszystko by się zepsuło.

Nocne czuwania należą do niej. Nie może ich z nim dzielić. Nie może ich dzielić z nikim.

On zapada w jeszcze głębszy sen, ona to słyszy. Nie jęczy już, jak jęczał kilka minut temu, dręczony

Bóg wie jakimi snami. O nożach najprawdopodobniej. Koszmarami o głębokich ciosach w brzuch.

Krzywi się w ciemności. Mówiła mu, żeby był ostrożny. Każdy mógł się przecież domyślić, że film na

temat wystawy będzie miał określone konsekwencje. Jednak Magnus nigdy nie pojął, że jest dorosły.

Nadal wierzy, że jest siedmioletnim łobuziakiem i że inni jego postępowanie będą oceniać stosownie

do tego. To wina matki, rozpieszczała go, kiedy był mały. A teraz to Maud jest jego mamą. Oczywiście

nieoficjalnie, ale w praktyce. Patrzy na nią tym samym spojrzeniem szczeniaka, którym kiedyś zerkał

na mamę, wzdraga się, kiedy ona go gani, i robi się nieprawdopodobnie szczęśliwy, gdy go chwali. A

ona pozwala, żeby tak było, nie wie, jak inaczej mogłaby go traktować. To jej sposób kochania.

Próbuje zmienić pozycję, potem leży bez ruchu i słucha. Nie, nic nie poczuł, nie przekręcił się na

łóżku w jej poszukiwaniu, nadal śpi głęboko. Czas na zabawę.

Od ostatniego razu minęło dużo czasu, kilka miesięcy, ale mimo to wszystko jest już gotowe.
Na

fotelu czeka szlafrok, przy drzwiach stoją przygotowane kapcie. Na komodzie w przedpokoju
leżą

zapalki, obok nich duży lichterz; rutynowym gestem wyciąga po niego rękę i zapala ogień.
Kiedy

bierze świecznik i zaczyna z nim iść, na ścianach przesuwiają się cienie.

To już nie jest październik, zaczyna się noc Midsommar. Bardzo wyjątkowy Midsommar, tak
deszczowy i zimny, że trzeba siedzieć w domu. Dobrze, że zeszłego roku zleciła remont
werandy,

zmieści się tam teraz stół tak długi, że zasiądzie przy nim cały Klub Bilardowy Przyszłość.

Ustawia lichterz na starym kredensie i rozgląda się dookoła. Od czego zacząć Oczywiście od
obrusa, nowego obrusa, który kupiła zeszłej zimy w sklepie z wyrobami rzemiosła
artystycznego w

Jónkóping. Kosztował kilka tysięcy, ale był tego wart, to dokładna kopia obrusów używanych
podczas

przyjęć noblowskich. Nieraz zastanawiała się też, czy nie zacząć kompletować zastawy
noblowskiej,

ale jak dotąd powstrzymywała się od tego, nie ze względu na cenę, tylko z powodu docinków,
które

by mogła sprowokować u niektórych członków Klubu Bilardowego Przyszłość.

Na przykład u Sisseli. Lub MaryMarie. One zawsze nią gardziły, Maud czuła to od pierwszej
chwili,

wymieniały spojrzenia nad jej głową i przewracały oczyma za jej plecami. Jednak tym razem
posadzi

je tak daleko od siebie, żeby nie mogły dawać sobie znaków.

Tak. Obrus jest idealny, Maud zatrzymuje się na chwilę i przygląda mu się, a potem wygląda
jeden z ostro zaprasowanych kantów i zastanawia się, jakie wybrać talerze. Te stare z
Rórstrand Tak,

chyba tak, kolor jasnoniebieski powinien dobrze się komponować ze śmietankowo białą
barwą

obrusa. Otwiera kredens i palcem wskazującym lewej ręki przesuwając wzdłuż piramidy talerzy - dwa,

cztery, sześć, osiem - wyjmując ciężkie naczynia i zaczyna nakrywać do stołu. Dziś wieczorem przy jej

stole zasiądzie cały Klub Bilardowy Przyszłość. Sverker też. Zwłaszcza Sverker. Będzie siedział u

szczytu stołu, z Anną po lewej i siostrą po prawej stronie. Jak gospodarz.

Pociąga nosem. Minęło siedem lat, a mimo to nadal oplakuje Sverkera. Gdyby nie miała swoich

nocy nakrywania do stołu, nie przeżyłaby. Jednak kiedy stół na oszklonej werandzie jest już nakryty,

Sverker wraca, mimo że za oknem jest jesień, mimo że został zamordowany i nie żyje.

Na początku próbowała nakrywać mniejszy stół, tak mały, że mieścili się przy nim tylko brat i siostra, ale wtedy Sverker nigdy nie przychodził. Siedziała sama obok jego pustego talerza i patrzyła,

jak wypalają się świece. W gruncie rzeczy było to logiczne. Sverker nigdy nie potrafił zadowolić się

jednym człowiekiem, nawet jeśli ów człowiek był jego własną siostrą, zarówno w życiu, jak i po

śmierci potrzebował wielu osób. To fakt, i nic nie dało się na to poradzić. Wszystko potoczyłoby się

inaczej, gdyby także MaryMarie to rozumiała, gdyby w tej kobiecie była choć odrobina pokory.

Kieliszki Oczywiście te odziedziczone w spadku kieliszki do wódki, które kiedyś uwielbiał tata, i

tamte duże kufle na piwo, które Sverker dostał w prezencie maturalnym i które ona, Maud,

szczególnie starannie zapakowała, kiedy razem z Magnusem opróżniali dom w Bromma w

towarzystwie tej czarownicy, adwokatkę MaryMarie. Maud waha się chwilę, rozmyślając nad tym

wspomnieniem, aż w końcu zaczyna wystawiać zwykłe kieliszki do wina, te, których na wszelki

wypadek zawsze używała w wieczory Midsommar. Tak było najlepiej. Kiedy nadszedł czas na wino,

wszyscy robili się głośni i niezdarni.

W zeszłym roku wysłali z Magnusem zaproszenia na Midsommar do tych, którzy zostali z Klubu

Bilardowego Przyszłość. Torsten i Sissela nawet nie odpowiedzieli, a Anna i Per znaleźli tak jawną

wymówkę, że było to wręcz żenujące. Magnus nie krył zaskoczenia i oburzenia, ale ona wzruszyła

tylko ramionami i udała, że właśnie czegoś takiego należało się spodziewać. Jednak była zawiedziona,

bardziej zawiedziona, niż nakazywałby rozsądek. Gdzieś tam, w jakimś prymitywnym zakamarku

mózgu, wyobrażała sobie, że Sverker naprawdę ożyje, jeśli zbiorą się na prawdziwy Midsommar.

Jednak teraz już wie, jak to jest. Teraz zadowala się swoimi własnymi nocnymi przyjęciami.

A więc wszystko jest już niemal gotowe, pozostają tylko dekoracje. Maud rozgląda się dokoła, co

prawda pelargonie jeszcze kwitną, ale nie pasują do stołu nakrytego na Midsommar. Urywa więc kilka

gałązek bluszczu i kładzie je na obrusie. Potem znowu otwiera kredens i zaczyna szukać masztu na

Midsommar, tego, który zrobił kiedyś Magnus, z zielonego szkła i drobnych kawałków złotej mozaiki.

Sverkerowi się podobał. Była to jedyna z prac Magnusa, o której Sverker kiedykolwiek powiedział coś

dobrego.

Maud wkłada pudło z powrotem do kredensu i odwija bibułkę, waży na ręce ciężki maszt midsommarowy i uważnie mu się przygląda. Jest nadal cały. Żadnych pęknięć. Kawałki mozaiki nie

poodpadały. Odwraca się, żeby postawić maszt na stole, ale zatrzymuje się w pół drogi. Coś się

zmieniło, w pierwszej chwili nie wie co, mija kilka sekund, nim sobie uświadomi, co widzi.
Malutkie

światło po drugiej stronie jeziora. Niewielkie światełko, które porusza się nad brzegiem,
gaśnie i

znowu się zapala.

Przyjechała MaryMarie.

Maud wzdycha tak głęboko, że brzmi to jak szloch. Tej nocy nie będzie żadnego przyjęcia na Midsommar.

woda

Sverker siedzi w swoim wózku inwalidzkim z zamkniętymi oczami. Hakan Bergman waha się chwilę, nim wejdzie do pokoju.

- Halo - mówi. - Śpi pan

Sverker otwiera oczy i spogląda na niego, a potem znowu je zamyka.

- Być może Mary nie powiedziała panu, że chcielibyśmy przeprowadzić z panem wywiad
Sverker nie odpowiada i nie otwiera oczu.

- Ale pewnie słyszał już pan, że cała prawda na temat pańskiego wypadku została ujawniona.

Może więc czas, żeby opowiedział pan swoją wersję. Dla pańskiego dobra.

Żadnej reakcji. Już w przedpokoju usiłuję powtórzyć sztuczkę Sverkera, zamykam oczy i próbuję

zniknąć z powierzchni ziemi.

Jego stare trampki stoją w środku, tuż przy drzwiach.

Marie przystaje i wpatruje się w nie przez chwilę, a potem gasi latarkę i zapala lampę pod sufitem.

Nic się nie zmieniło, nie widać, że dom był wynajmowany.

Jest tak, jakby zaledwie kilka tygodni temu zamknęła drzwi po wakacjach i poszła ze Sverkerem w

stronę samochodu, oboje szliby w milczeniu, pogrążeni w myślach o jesieni w pracy. Płaszcz przeciwdeszczowe nadal wiszą na swoich haczykach, jej biały, a jego błękitny. Sweter zrobiony na

drutach leży starannie złożony na półce w przedpokoju, obok niego letnia czapka z daszkiem z logo

„Aftonbladet. Pachnie drewnem. Świeżym drewnem.

Och, mówi w jej wspomnieniach Sverker. Ten zapach. Pamiętasz

Nie odpowiada, odpycha tylko nogą trampki i stawia na dywanie w przedpokoju torbę z

jedzeniem. Torba jest tylko do połowy wypełniona i kurczy się z plastikowym westchnieniem.

Hakan Bergman robi krok w stronę wózka inwalidzkiego.

- Przepraszam - mówi. - Czy pan słyszy, co mówię

Żadnej reakcji. Robi jeszcze jeden krok i kładzie rękę na ramieniu Sverker.

- Chcemy tylko dać panu szansę wyjaśnienia, co naprawdę się stało.

Sverker otwiera oczy, przekręca lekko głowę i przygląda się dłoni na swoim ramieniu. Hakan

Bergman próbuje się uśmiechnąć, gdzieś na schodach Annabel śmieje się, pozując fotografowi.

Sverker wciąga powietrze.

- Puszczaj.

Mrugam oczami. Rozpoznaję zarówno tę lakoniczność, jak i ton głosu. Coś się zaraz stanie, coś, co

wydarzyło się już wcześniej wiele razy. Powoli się kurczę, przykucam, przyciskam plecy do ściany i

zasłaniam się ramionami. Jestem gotowa.

Hakan Bergman zdejmuje rękę z ramienia Sver- kera i wsuwa ją do kieszeni.

- Próbowałem tylko wyjaśnić...

Sverker szarpie głową, tak że wózek zaczyna się toczyć; jedzie tak kilka centymetrów do przodu.

- Annabel! - woła. Jego głos jest mroczny i zdecydowany, ale Annabel nie słyszy albo udaje, że nie

słyszy. Pozuje.

Hakan Bergman próbuje jeszcze raz

- Proszę mi wierzyć, może pan wiele zyskać, godząc się na rozmowę.

Sverker nie odpowiada, toczy się tylko z wózkiem jeszcze kilka centymetrów dalej i zatrzymuje

dopiero, gdy kółka niemal muskają buty Hakana Bergmana. Przez sekundę mężczyźni wpatrują się w

siebie, a potem Bergman robi krok w bok. Sverker jedzie w kierunku drzwi. Dziennikarz krzyczy

- Johan!

Fotograf odwraca się, ma już podniesiony aparat. Z tyłu za nim gaśnie uśmiech Annabel.

- Panie Sverker - mówi. - Oni chcą tylko...

Reszty już nie słysząc. Trzaska flesz i w następnej sekundzie cały dom wypełnia wrzask Sverkera.

Marie zdejmuje buty i po chwili wahania decyduje, że zostanie w kurtce. Przyszły pierwsze przymrozki, wysiadając z samochodu, widziała, jak trawa i krzaki mienią się w świetle latarki. W domu

jest niemal równie zimno, jak na dworze. Musi przejść się po pokojach i uruchomić kaloryfery. Może

zapali w kominku. Włączy w kuchni piekarnik i kiedy ten już się rozgrzeje, otworzy drzwiczki.

Zrobi to wszystko, obiecuje sobie, ale najpierw chce postać przez chwilę w spokoju i pooddychać.

Wszystkie zmysły muszą potwierdzić, że to się dzieje naprawdę przyjechała, nareszcie wróciła do

domu. To nie jest sen, nic sobie nie wyobraziła, nie ma halucynacji, gdyby miała, zapach świeżego

drewna nie byłby tak rzeczywisty, nie mogłaby wtedy widzieć każdego oczka w starym swetrze na

półce w przedpokoju, palce u nóg nie kurczyłyby się i nie prostowały bez udziału jej woli, żeby

uniknąć poślizgnięcia na zimnej podłodze.

Wchodzi do salonu i zapala górne światło. Pokój jest mniejszy i dużo brzydszy, niż jej się wydawało, ale starannie wysprzątanym. Ktoś włożył nawet świeże drewno do kominka. Cztery polana

stoją oparte o siebie, pomiędzy nimi strategicznie umieszczono kilka cienkich trzasek, wystarczy tylko

podpalić je zapalniczką, która leży na gzymsie nad kominkiem. Potem siada w kucki, wyciągając ręce

do ognia, są tak zdrętwiałe i zimne, że niemal bołą. Ogień w kominku nie pomaga, przynajmniej

jeszcze nie, powinna rozgrzać dłonie pod strumieniem gorącej wody. Ale co z pompą I z grzejnikiem

na wodę Wstaje, nagle porusza się naturalnie, jak w domu, wychodzi do kuchni, otwiera szafkę z

licznikiem i kilka razy obraca pokrętłem. Przez chwilę stoi bez ruchu, słuchając szumu wody w rurach,

a potem wyciąga rękę w kierunku kranu i odkręca go. Tak, pompa działa. Ktoś zostawił w szafce

cebule, zapach sprawia, że Marie się krzywi, ale poza tym wszystko jest jak należy. Szklanki i filiżanki

stoją starannie poustawiane jedno na drugim w kuchennych szafkach, na stole zamiast obrusa leży

wykrochmalona serwetka, na niej czeka pusta miska na owoce. W spiżarni znajduje kilka puszek

przecieru pomidorowego, ale poza tym szafka jest pusta i wyszorowana. W stojaku na wino tkwi

jedna butelka, Marie bierze ją do ręki i przygląda się badawczo etykietce. Czy to wino z dawnego

życia Czy może zapomniał go tu jakiś wakacyjny gość

Nie wie, kto mieszkał w jej domu w ciągu tych ostatnich sześciu lat, kiedy wypływał ten temat,

Katrin machała tylko ręką. Jacyś Niemcy i tyle. Spragnieni lasu i ciszy, gotowi naprawdę dobrze

zapłacić za kilka tygodni w letnim domu w Smalandii. Więcej opowiadała o rzemieślniku, którego

znalazła, chłopaku z Nassjón, który był naprawdę świetny w utrzymywaniu niezamieszkałych domów

w dobrym stanie.

Kiedy Marie wchodzi na piętro, trzeszczą pod nią schody, uśmiecha się do tego dobrze znajomego

odgłosu, znika gdzieś strach, który jeszcze niecałą godzinę temu ją obezwładniał. Nie ma się czego

bać, ani ciemności, ani samotności. Tak wybrała. A teraz wybierze sobie sypialnię. Przez chwilę stoi w

korytarzu na piętrze i waha się. Duża sypialnia Nie, ona ciągle jeszcze należy do Herberta i Renate.

Mniejsza, którą kiedyś wybrali dla siebie ze Sverkerem Nie. Te drzwi muszą pozostać zamknięte.

Zostaje tylko jej pokój paniński, ze starym biurkiem i kwiecistymi tapetami z lat siedemdziesiątych.

Nie zapala lampy, zadowolona się wachlarzykiem światła, które daje lampa w korytarzu, nawet nie

rozgląda się dokoła, podchodzi tylko do okna i opiera czoło o szybę. Czy po drugiej stronie jeziora

miga światło

Nie. To musi być jakiś odblask. Albo po prostu złudzenie. Za jej oknem jest tylko noc, czarna, miękka jak aksamit noc, która ukrywa wszystko, co trzeba ukryć.

Kiedy Sverker zaczyna wrzeszczeć, najbardziej denerwuje się Hakan Bergman, potyka się i łapie

framugi drzwi. Fotograf w ogóle nie reaguje, spokojnie robi krzyczącemu Sverkerowi zdjęcie za

zdjęciem, a potem kieruje aparat w moją stronę i ustawia ostrość. Bez wątpienia widok jest oryginalny skurczona pani minister do spraw pomocy rozwojowej, z rękami przyciśniętymi do uszu.

Czuję, jak flesze uderzają mnie w powieki, i kurczę się jeszcze bardziej, zwracam twarz w stronę

podłogi i przykrywam głowę rękami. Nie chcę znowu przestać mówić. Nie powiedziałam jeszcze nic i

nie zamierzam, dopóki Hakan Bergman jest w tym domu, ale nie chcę znowu stracić zdolności

mówienia.

Sverker milknie, żeby nabrać powietrza, i przez kilka sekund słychać tylko Annabel.

- Przestań! - krzyczy, ale nikt nie wie, czy ma na myśli Sverkera, czy fotografa. -

Przestańprzestańprzestań!

Sverker znowu zaczyna wrzeszczeć, tym razem jednak nie jest to już tylko nieartykułowane wycie,

w jego wrzasku pojawiają się słowa.

- WON! SPADAJCIE STĄD! WON! WON! WON!

Fotograf nadal zachowuje kompletny spokój,

opuszcza tylko aparat i uśmiecha się lekko do Annabel.

- Wydaje mi się, że on ma także panią na myśli.

Więc jesteśmy znów sami.

Nadal siedzę w kucki przyciśnięta do ściany, opuszczam tylko ramiona i ostrożnie unoszę głowę,

rozglądam się. Gdzieś tam tyka zegarek. Na podłogę w przedpokoju upada gazeta. Poza tym wszystko

jest tak, jak być powinno.

Sverker ciężko oddycha, zwisa mu broda, żyła na skroni napuchła.

- Jak się czujesz

Mój głos jest tylko szeptem. Sverker nie odpowiada i nie spogląda na mnie, szarpie tylko głową i

wózek zaczyna jechać, zakręca i jedzie z powrotem do jego pokoju. Tam znowu robi zakręt i ustawia

się tuż za otwartymi drzwiami, a potem najeżdża na nie z taką siłą, że się zatrząskują.

Znowu wszystko jest jak zawsze.

Wypijam trzy szklanki wody, zachłannie wlewam jedną po drugiej prosto do ust, ale mimo to po

zakręceniu kranu nadal chce mi się pić. W piersi łomocze serce, czuję się jak po przebiegnięciu

kilkudziesięciu kilometrów. Muszę się oprzeć o zlewozmywak, żeby w ogóle móc ustać.

Może Sverkerowi też się chce pić.

Otwieram szafkę i wyjmuję z niej dzbanek, puszczam wodę i czekam, aż zrobi się naprawdę zimna,

w tym czasie wyjmuję z zamrażarki lód. Kostki lodu z łatwością wyskakują z pojemnika, ale zaraz po

wpadnięciu do wody skleją się ze sobą. Chrząszczą i grzechoczą, kiedy idę przez korytarz z dzbankiem i szklanką i kiedy otwieram łokciem drzwi do Sverkera.

Wyciągam do niego szklankę, a on nie mówi ani słowa, ale pije głębokimi haustami. Unoszę brwi

na znak pytania, czy dać mu więcej. Bez słowa kiwa głową i znowu otwiera usta. Kiedy wypija trzecią

szklankę, odstawiam dzbanek na stół i prostuję plecy, odchrząkuję lekko.

- Pójdę teraz do siebie. Jeśli będziesz czegoś chciał, możesz zawołać.

Jestem niemal pewna, że widzę cień uśmiechu. Tak, rzeczywiście. Po raz pierwszy od wielu lat

Sverker się do mnie uśmiecha, co prawda, przelotnie.

W podziękowaniu unoszę pilota i kieruję go w stronę CD. Pokój wypełniają dobrze znane dźwięki

organów. Sverker odchyła głowę do tyłu i zanurza się w muzyce.

Na górze w gabinecie otwieram swego laptopa, ale potem siedzę tylko i wpatruję się przed siebie.

Co mam napisać I do kogo

Tak. Najlepiej będzie zacząć od osób, których bezpośrednio dotyczą decyzje, jakie muszę podjąć.

Do Caroline i do Króla Wzgórza. Pochylam się nad klawiaturą, ale znowu zaczynam się wahać i

wyglądam przez okno. Zaczęło już padać i półnagie gałęzie dębu lekko chwieją się na wietrze.

Wzdycham z zadowoleniem. Lubię jesień, zawsze lubiłam siedzieć przy biurku i przyglądać się jesieni

na zewnątrz.

Piosenka w tle jest mi tak dobrze znana, że słyszę jej tekst, nie słysząc słów

She said There is no reason and the truth is plain to see...

I nagle widzę Marie. Naprawdę ją widzę, już nie tylko to sobie wyobrażam.

Leży w łóżku w pokoju panińskim w Hasterum. Jest noc, ale jej nie chciało się rozebrać ani wykapać, położyła się więc na narzucie i nakryła kocem. W domu jest tak zimno, że jej oddech

zamienia się w biały dymek w ciemnym pokoju, ale nic sobie z tego nie robi. Ma otwarte oczy i

napotyka moje spojrzenie. Po raz pierwszy od tamtej nocy w szpitalu patrzymy sobie w oczy.

- No - mówię.

- No co

- Tego chciałaś

Marie krzywi się lekko.

- Nie wiem, czego chciałam. Pewnie równie niewiele jak ty.

Tak łatwo się mnie nie pozbędzie.

- Nigdy za nim nie tęsknisz

Unosi brwi.

- A ty

- Ja nadal go mam.

Uśmiecha się lekko.

- No tak, jasne. Nadal go masz. Gratulacje.

Nie mogę się powstrzymać od lekkiej złośliwości.

- A czyste sumienie to najlepsza poduszka.

Marie mruży oczy.

- Jemu to powiedz. Nie mnie.

Na chwilę zapada cisza, ale nie spuszczaemy z siebie wzroku.

- Nie zapominaj o niej - mówi Marie.

- O kim

- O Małej Szarej.

Potrząsam głową.

- Nie zapomniałam.

To prawda. Przynajmniej częściowa. Nie zapomniałam o niej, ukryłam tylko jej twarz tak głęboko

w sobie, że prawie nigdy mi nie przeszkadza. Jednak teraz się zbliża, powoli wyłania się jak fotografia

w ciemni, przekształca z rozmazanego cienia w ludzką postać o wyraźnych kształtach.

Siedziała na krześle na komisariacie, skuliła ramiona i spoglądała spod grzywki. Wyglądała, jakby

szybko narzuciła na siebie ubranie albo jakby ktoś przed chwilą próbował je z niej zerwać. Miała

rozpięty suwak spodni. Z poszarpanych nogawek prześwitywała biała noga, która poniżej znikwała w

poobcieranych kozakach. Mocno wygnieciona bluzka była zapięta tylko do połowy.

Sama była tak szara jak ściana za nią. Spękane wargi, popielate cienkie włosy, jasnoniebieskie

cienie pod oczami. Miała wychudzone, przezroczyste ciało dziecka. Dziecka, które od dawna jest

głodne, ale jeszcze nie zagłodzone.

Prowadzący przesłuchanie coś do niej burknął. Wyprostowała plecy i spojrzała na mnie. Tłumacz,

mały facecik z wąsem, którego imienia nie zrozumiałam, położył mi rękę na ramieniu i powiedział

- To ona.

Wpatrywałam się w nią tępo. Aha. To ona. I dlaczegoż to przewieziono mnie przez całą Vladista,

żebym na nią popatrzyła Czy nie powinnam siedzieć teraz obok mojego nieprzytomnego męża

- Ma zaledwie szesnaście lat. Ale puszcz... - ekhm... jest prostytutką od trzynastego roku życia.

Dziewczyna nadal się we mnie wpatrywała, miała szare błyszczące oczy, nawet nie mrugnęła,

kiedy prowadzący śledztwo znowu coś warknął - gasschf! - otworzyła usta, jakby chciała coś

powiedzieć, i znowu je zamknęła. Prowadzący przesłuchanie przysadzisty mężczyzna z ostrzyżonymi

na jeża włosami podniósł coś z biurka - linijkę - i stukał ją tym w ramię, powtarzając raz za razem ten

dźwięk.

Gasschf! Gasschf! Gasschf!

- Mówi, że to ona to zrobiła - powiedział tłumacz. - Ona zaprzecza, twierdzi, że to alfons.

W rzeczywistości dziewczyna nie mówiła nic, wpatrywała się tylko pustym wzrokiem we mnie.

Wie, kim jestem Czy coś ją to obchodzi

- Policjant twierdzi, że ona kłamie, że nie ma żadnego alfonsa.

Prowadzący przesłuchanie znowu jej dotknął, dziewczyna kilka razy zamrugła, ale nie spuściła

mnie z oczu. Pochylił się nad nią, uniosła ramię jakby w obronie, ale i tak nie wydawała się w pełni

świadoma jego istnienia, nawet wtedy, kiedy schwycił ją za rękę i zaczął gmerać przy mankiecie

bluzki.

- To narkomanka - powiedział tłumacz. Wypowiedział to słowo bardzo starannie. Nar-ko-man-ka. -

Mówi, że dlatego to zrobiła. Bo jest nar-ko-man-ką i kopniętą... - znowu przez chwilę się wahał -

... prostytutką.

Dziewczyna potrząsnęła głową i coś jęknęła, spróbowała wyrwać ramię. Prowadzący

przesłuchanie nie zwracał na nią uwagi, mówił tak szybko, aż bryzgał śliną, i ciągnął ją za rękaw bluzki,

usiłując go podwinąć. Nagle w drzwiach stanęło dwóch policjantów w szarych koszulach, założyli ręce

na piersiach i zaczęli się śmiać, ale kiedy mnie zobaczyli, szybko umilkli i rzucili kilka słów do tłumacza.

Rozpostarł dłonie i odpowiedział im. Może poinformował, że jestem żoną ofiary. Kiwnęli głowami i coś

wymamrotali.

Prowadzącemu przesłuchanie udało się podnieść rękaw dziewczyny. Pociągnął ją teraz, żeby wstała, popchnął w moim kierunku i pokazał palcem ślady na wewnętrznej stronie jej ręki, niebieskożółte

siniaki i czarne ślady po ukluciach. Dziewczyna usiłowała stawiać opór, kurczowo wbijała stopy

w beton podłogi i nie chciała się ruszyć, ale to nic nie pomagało, ciągnął ją za sobą. Nagle dziewczyna

potknęła się i upadła; leżąc na podłodze, jęczała jeszcze głośniejsze. Tłumacz przełknął ślinę, nim zabrał

się do przekładu.

- Mówi, że jest niewinna, że tego nie zrobiła...

Wpatrywałam się w niego. Oczywiście, że jest niewinna, jak ta mała dziewczynka mogłaby wyrzucić Sverkera przez okno. Na pewno ważył dwa razy więcej od niej, miał dwa razy szersze

przeguby i trzy razy grubsze przedramiona. Dlaczego oni tego nie rozumieją? I co ja tu robię? Czemu

w ogóle jestem w tym pokoju?

Dziewczyna zaczęła płakać. Leżała na podłodze, zasłaniając rękami twarz, jej szczupłe plecy trzęsły

się. Teraz bez przerwy mówiła i szlochała. Mówiła coraz głośniejsze i piskliwiejsze, w końcu jej głos zamienił

się w krzyk. Prowadzący przesłuchanie dotknął jej stopę i wrzasnął, ale to nie pomogło, krzyczała

jeszcze głośniejsze.

- Znowu mówi, że jest niewinna - wyjaśnił tłumacz. Głos trochę mu się trząsnął.

Zrobiłam krok do przodu, tłumacz położył mi rękę na ramieniu, jakby chciał mnie zatrzymać. Jej

twarz była mokra od łez, smarków i śliny, rysy rozmazały się, coś wołała.

- Pomocy - przełożył automatycznie tłumacz. - Woła o pomoc. Chce, żeby pani jej pomogła.

Przełknęłam ślinę, usiłując powstrzymać mdłości, które nagle we mnie wezbrały, ale mi się to nie

udało, odwróciłam się tylko, zatykając rękami usta. Minęła chwila, nim tłumacz pojął, co się zaraz

stanie, potem położył mi rękę na plecach i popchnął mnie w kierunku zlewu przy ścianie.
Ręce

miałam już pełne rzygo- win, czerwonych rzygów z białymi grudkami, od ich smrodu byłam bliska

omdlenia. Musiałam oprzeć się o ścianę, żeby utrzymać pion. Ściana się zabrudzi, pomyślałam, kiedy

żołądek skurczył się po raz kolejny. Tylko tyle mogłam pomyśleć, chociaż słyszałam, że za moimi

plecami dzieje się coś nowego. Jakiś ryk, odgłos uderzenia i głośny śmiech policjantów.
Krzyk

dziewczyny ucichł, teraz już tylko jęczała.

Kiedy w końcu się odwróciłam, dziewczyna, prowadzący przesłuchanie i policjanci zniknęli.
Tylko

tłumacz stał obok mnie, był blady i nerwowo przygryzał wąsy.

- Szklankę wody

Kiwnęłam głową. Tak, proszę. Miałam ochotę na szklankę wody. Przeplukując usta, patrzyłam, jak

moczy pod kranem swoją chusteczkę do nosa i starannie zmywa ze ściany lepkie odciski moich rąk.

Potem równie starannie poskładał mokrą chusteczkę do nosa i przełożył ją z ręki do ręki, jakby nie

wiedział, co z nią począć.

- Z powrotem do szpitala - spytał.

Kiwnęłam głową. Tak. Do szpitala.

Nie mogę już patrzeć Marie w oczy. Są zamknięte. Marie leży w swoim wychłodzonym pokoju

panieńskim. Nie zostawiam jej jednak. Siedzę bez ruchu przy biurku i oddycham w tym samym rytmie

co ona, przyglądając się kropli deszczu, która powoli ścieka po szybie.

Nie powinna mi przypominać o Małej Szarej. Źle się od tego czuję, robię się chora. Dosłownie. Nie

wiem dlaczego. Nie chodzi tylko o to, że uklękła przede mną, zmieniając mnie w ten sposób w kogoś,

kim nie chciałam być. W jej twarzy było coś dobrze znajomego, coś, czego nie chciałam zobaczyć,

kiedy to się stało, i od tamtej pory pilnowałam się, żeby o tym nie pamiętać ani nie myśleć.

Przypominała kogoś. Ale kogo? Nie Annę i nie Sisselę, nie Maud i nie mamę, ani też nie jakiegoś

dawnego kolegę z klasy w Nassjón, żadną z dziewczyn ani kobiet, z którymi przeprowadziłam wywiady

w tych latach, kiedy byłam reporterką. Żadna z tych osób nie była tak szara jak ona. Żadna, nawet

spośród tych, które mieszkały w kloakach Bogoty czy slumsach Bombaju, nie miała w spojrzeniu tej

samej rozpacz, i żadna nigdy nie pomyślałaby nawet, żeby upaść przede mną na kolana.

Marie myśli o Anastasii. Jednak tamtego razu nie wiedziałyśmy przecież, kim jest Anastasia, a poza

tym pomiędzy nią i Małą Szarą nie było żadnego zewnętrznego podobieństwa. W Anastasii nie było

nic szarego, nawet wtedy, kiedy głodziła się w Hinseberg, wyglądała jak mała, piegowata królowa

Śnieżka. Może któregoś zimowego dnia jej matka siedziała w oknie i haftowała, może uklękała się w

palec i dokładnie jak matka Śnieżki poprosiła o córkę o barwach takich jak ten dzień o włosach

ciemnych jak nagie gałęzie drzew i wargach czerwonych jak perełka krwi, która zebrała się na czubku

palca matki.

Nie wyglądało na to, by ktokolwiek, kiedykolwiek wyczekiwał Małej Szarej.

Z wyjątkiem Sverkera oczywiście. I stu tysięcy innych klientów.

Serce zaczyna łomotać. Muszę wstać i wziąć głęboki oddech, żeby nabrać powietrza. Nie pomaga.

Pytania nie dają się odepchnąć, te same pytania, których zdecydowałam się nie zadawać przez siedem lat. Jak on mógł Jak mężczyzna, który przez ponad dwadzieścia lat był moim mężem, mógł

zrobić to, co zrobił z Małą Szarą

Wszystko inne mogłam zrozumieć, nawet jeśli budziło we mnie zimną wściekłość, którą zwie się

pogardą. Listy i fotografie, które znalazłam pod podkładką na biurko, kiedy opróżniałam jego pokój w

agencji reklamowej, wszystkie maile zebrane w osobnym pliku (oznaczonym XXX) w jego komputerze.

Oczywiście oburzyły mnie, ale nie miało to związku jedynie z wyjściem na jaw kłamstw i zdrad, tego

wszystkiego, o czym już przecież wiedziałam albo czego się domyślałam. Najbardziej dotknęła mnie

sprośność języka i to, że Sverker i jego kochanki zarzucali się wzajemnie pozornie romantycznymi,

półpornograficznymi kalkami. Zdawali się tym rozkoszować. Nikt nie jest tak piękny jak Ty!

Przywiódłś mnie do nieba bram. Twój fiut to dzieło sztuki, powinien być pokazywany na wystawach!

Kocham Twoją cipę! Nikt nie umie kochać się tak jak Ty, nawet cały harem nie mógłby tak zaspokoić

mężczyzny, jak Ty zaspokoiłś mnie...

Słowa pozbawione prawdziwej zawartości, martwe słowa, usiłujące imitować żywe.
Irytowały

mnie tym bardziej, że należały do języka, który i ja znałam, języka, który poznałam dobrze od

wewnątrz, języka, który nie miał w sobie ani krzty szczerości i prawdy. Proza rodem z popołudniówek.

Proza reklamowa. Zaczerwieniłam się, kiedy uświadomiłam sobie, że Sverker naprawdę używał tych

słów serio. Obnażało to brak wrażliwości i niedobór inteligencji, które były wprost żenujące - nie tylko

u niego, ale także u mnie samej. Nie do końca świadoma, wmówiłam sobie, że pewność siebie, z

którą obnosi się Sverker, waga, którą nadaje słowom, gdy wypowiada się na ten czy inny temat,

naturalność, z którą mnie do siebie przyciąga, to znowu odpycha, ma swoje źródło w określonym

stosunku do życia, w tym, że zdecydował, iż powierzchnia będzie jedynie powierzchnią, a pod

spodem ukrywa coś innego, coś głębszego i prawdziwszego, coś, czego nie da się łatwo zdefiniować,

ale co wpływa na jego myśli i czyny

A on był po prostu pozbawionym wyobraźni typkiem, nieumiejącym utrzymać zapiętego rozporka.

Banalne.

Wystarczyłoby dojść do tego. Jednak moje spotkanie z Małą Szarą nadało wszystkiemu jeszcze

jeden wymiar, perspektywę, której do tej pory nie chciałam zbadać. Kiedy tylko przede mną zamajaczyła, dopadły mnie mdłości i zawroty głowy. Uciekłam od wszelkich myśli, pędząc do toalety,

żeby zwymiotować.

Ale nie tym razem. Teraz nie będę wymiotowała. Teraz stanę tu, przy moim biurku, i naprawdę

spróbuję zrozumieć to, co niepojęte.

Co pomyślał Sverker, kiedy ją spotkał

Że wybrała sobie takie życie Naprawdę uznał, że zdecydowała się dzień po dniu, miesiąc po miesiącu

otwierać najintymniejsze i najbardziej wrażliwe części siebie dla obcych mężczyzn I czy wierzył też,

że on, trzy razy od niej starszy mężczyzna, będzie dla niej atrakcyjny seksualnie

Nie. Oczywiście, że nie. Być może jest powierzchowny, ale tak kompletnie naiwny być nie może.

Czyli wiedział, że robi to, bo jest do tego zmuszona, i że istnieje tysiąc wyjaśnień, dlaczego ten

przymus zaistniał, a wyjaśnienia te da się ująć w zaledwie kilku słowach. Bieda. Poniżenie. Bezsilność.

Pogarda dla siebie. Za każdym z tych słów kryją się historyczne, ekonomiczne, społeczne i psychologiczne uwarunkowania, które zarazem upraszczają i komplikują sprawę, całe systemy nauk

opisujących bezwzględność jednych ludzi względem innych. Sverker to wiedział, musiał wiedzieć, jest

to wiedza, którą dysponuje zarówno on, jak i ja oraz każdy umiejący czytać mieszkańiec bogatego

świata, jednak Sverker zdecydował się nie zwracać na to uwagi. I tak ją sobie kupił. Kupił istotę ludzką

tylko dlatego, że była na sprzedaż.

To właśnie fakt, że dziewczyna jest na sprzedaż, musiał go podniecać. Przecież nie była piękna,

zupełnie nie tak, jak inne jego kobiety. Jej młodość też nie wydawała się wystarczająca, wiele zdjęć

pod podkładką jego biurka przedstawiało dziewczyny, które nie mogły być więcej niż kilka lat starsze

od Małej Szarej. Musiało być coś w jej chudym ciele, w jej wyglądzie osoby wygłodzonej, co wzbudziło jego pożądanie, coś, co miało związek z kupowaniem i sprzedażą, z władzą i poniżeniem, z

grą, w którą sam zmuszony był grać każdego dnia i która teraz miała zostać rozegrana na najbardziej

centralnej scenie egzystencji, ale z odwróconymi rolami.

Zamykam oczy i widzę ich przed sobą, widzę, jak Sverker idzie za nią wąską klatką schodową. Jest

bardzo ciemno, gołe żarówki pod sufitem nie palą się, jedynie przez stłuczone okno wpada maleńkie

światło z latarni na dworze. Sverker trzyma się mocno poręczy i wspina ostrożnie na każdy schodek,

tak jakby się bał, że ten skruszy się pod jego ciężarem. Mimo to uśmiecha się do siebie, uśmiecha się

do przyjemności, która płynie z faktu, że nikt, ale to absolutnie nikt nie wie, gdzie Sverker znajduje się

w tej chwili. Uciekł przed wszystkimi spojrzeniami, schował przed światem, nareszcie się wyzwolił.

Mała Szara zatrzymuje się na półpiętrze i czeka na niego, Sverker przeskakuje po dwa stopnie,

żeby ją dogonić, ale kiedy jest już prawie na górze, dziewczyna odwraca się od niego i wchodzi na

kolejne schody. Jeszcze jedno piętro. Sverker przystaje i bierze głęboki wdech, zanim postawi stopę

na następnym stopniu i podąży za nią...

Ktoś dzwoni do drzwi. Mrugam oczami i rozglądam się rozespana dookoła. Wszystko wygląda tak

jak zawsze w moim gabinecie. Na ekranie komputera miga wygaszacz ekranu, raporty i notatki

służbowe z ministerstwa leżą w stosikach na biurku, na półce tłoczą się książki. Mimo to mija kilka

sekund, nim zorientuję się, gdzie i kim jestem.

Znowu dzwonek, tym razem dłuższy i bardziej zdecydowany. Kolejny dziennikarz Nie wiem, czy

wytrzymam jeszcze jednego, przechodzę więc przez korytarz i otwieram drzwi na balkon, podchodzę

na palcach do barierki i wychylam się przez nią, próbując zobaczyć, kto stoi na schodach na dole. Na

nic się to nie zdaje, nikogo nie widzę. A do drzwi ktoś znowu dzwoni.

- Halo - mówię ściszym głosem.

Mija kilka sekund i wyłania się on - chłopak w czarnej kurtce i czarnej czapce. To Andreas, od paru

lat weekendowy opiekun Sverkera. Przechyliła do tyłu głowę i spogląda na mnie.

- Czy coś się stało

Kręcę głową przecząco.

- Zejdę na dół i otworzę.

Przechodząc przez próg, Andreas wygląda trochę niepewnie i chwilę się waha, zanim rozeźnie

kurtkę.

- Nie ma Annabel Myślałem, że się z nią wymienię.

- Nie - odpowiadam. - Wyszła trochę wcześniej.

Andreas wytrzeszcza oczy.

- A poza tym pani mówi. W gazetach pisali, że nie może pani mówić.

- Tymczasowa afazja - tłumaczę. - Przeszło mi.

Andreas marszczy czoło, jak przystało na studenta medycyny.

- Czy ktoś panią zbadał

- Tak. Lekarze uważają, że to rodzaj migreny. Już wcześniej mi się to zdarzyło.

Andreas pochyla się, żeby zawiązać sznurowadła.

- A pan Sverker

- Jest w swoim pokoju.

Andreas odsuwa buty pod ścianę, nagle poważnieje.

- A to w „Expressen o jego wypadku... Czy to prawda

- Nie wiem - odpowiadam.

Andreas przesuwa ręką po brodzie, udaje mu się wyglądać zarazem na zdystansowanego i zmartwionego, tak jakby już był prawdziwym, dyplomowanym lekarzem.

- Pani nie wie

- Nie - mówię. - Nigdy mi nie powiedział, co się naprawdę stało.

Przez chwilę stoimy w milczeniu, spoglądając na siebie, potem opuszczam wzrok i wbijam go w

podłogę. Wstyd mi. Wstyd przed Andreasem, który stoi tu i patrzy na mnie szczerym spojrzeniem,

wstyd, że się boję, wstydzę się swoich wyobrażeń i potajemnych wymysłów, mojego małżeństwa,

tego, że nie ma we mnie nic naprawdę prawdziwego i rzeczywistego, i że zawsze tak było.

- Już tak nie chcę - mówię.

Andreas kładzie mi rękę na ramieniu.

- Słucham

Prostuję plecy i próbuję spojrzeć mu w oczy. Nie udaje mi się to, mój wzrok sam ucieka w bok, i

nagle słyszę, jak mówię coś zupełnie innego

- Jak długo pan zostanie

- Do jutra rana. Jak zawsze.

- Kto przyjdzie potem

Marszczy czoło.

- Chyba Birgitta. A czemu

- I nie zostawi pan Sverkera, dopóki ona nie przyjdzie

- Oczywiście, że nie. A pani Będzie pani pracowała

Najpierw kiwam głową, a potem trwam w postanowieniu, tak jak zwykłam czynić przy decyzjach,

o których dziesięć sekund wcześniej nie wiedziałam nawet, że je podejmę. Później zmieniam zdanie i

próbuję powiedzieć prawdę.

- Nie chodzi tylko o pracę, jest coś jeszcze. Muszę gdzieś pojechać. Wyjechać.

Andreas poklepuje mnie lekko po ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze. Proszę zająć się tym, co trzeba, a ja tu zostanę. Co robi pan Sverker

Słucha Procol Harum

- Być może - odpowiadam. - Albo śpi.

Andreas cofa rękę i przechyla lekko głowę, przygląda mi się taksująco.

- Pożegna się pani z nami przed wyjazdem, prawda Z nami oboma.

Nagle do gardła podchodzi mi płacz, ale powstrzymuję go grymasem ust.

- Jasne, że tak - odpowiadam.

Potem odwracam się i idę po schodach do swojego gabinetu. Muszę napisać kilka listów.

możliwe pożegnania

E-mail od Mary Sundin do Pana Premiera 16 października 2004

Podaję się do dymisji. W trybie natychmiastowym.

Napisałam już formalny wniosek o dymisję, leży w tej chwili na moim biurku, w kopercie ze znaczkiem, wrzucę go do skrzynki jeszcze dzisiaj, więc w poniedziałek rano będziesz go miał w swojej

poczcie. Sam zdecyduj, w jaki sposób podać sprawę do wiadomości publicznej, czy chcesz przedstawić to jako zdjęcie ze stanowiska, czy jako dobrowolną rezygnację. Wszystko mi jedno.

Natomiast nie zamierzam brać udziału w konferencji prasowej ani udzielać wywiadów, mimo to, że

od kilku godzin mogę znów mówić. Nie mam nic do dodania do tego, co już powiedziano i napisano o

mnie i o moim mężu w ostatnich dniach. Poza tym jeszcze dziś wieczorem zamierzam wyjechać i

przez jakiś czas nie planuję powrotu do Sztokholmu.

Natomiast jest coś, co chciałabym uzupełnić w mojej relacji z Tobą. Chodzi o przeprosiny. Nigdy

nie powinnam była przyjąć Twojej propozycji zostania ministrem, zachowałam się nie fair w stosunku

do Ciebie i równie nie fair w stosunku do siebie samej. Powinnam była zrozumieć (i być może w

jakimś sensie to zrozumiałam), że raczej nie podtrzymałbyś owej propozycji, gdybym powiedziała Ci

całą prawdę o mojej sytuacji prywatnej. Milcząc na ten temat, pogorszyłam tylko sprawę i zupełnie

niepotrzebnie naraziłam na szwank wiarygodność rządu. Przepraszam Cię za to. Powinnam zresztą

odmówić także z innych powodów. Nie jestem z tej gliny, z której lepi się ministrów, jakakolwiek by

ona była. Powinnam to z góry wiedzieć.

Pomimo to w ciągu tych dwóch lat sporo zobaczyłam oraz tego i owego się nauczyłam, między

innymi, co to jest upokorzenie i jak wielką władzę daje możliwość zagrożenia komuś publicznym

upokorzeniem. W związku z tym chciałabym z całym szacunkiem zwrócić Ci uwagę na to, że owa

władza nie należy tylko do Ciebie. Inni też ją posiadają, na przykład zdymisjonowani ministrowie,

którzy mogą zarówno mówić, jak i pisać. Dlatego proponuję, byśmy się wzajemnie traktowali z

należnym szacunkiem i uprzejmością, kiedy wypowiadamy się na swój temat w sytuacjach publicznych.

Z życzeniami udanej kadencji

Mary

E-mail od Mary Sundin

do referenta do spraw opieki socjalnej i zdrowotnej

dzielnicy Bromma

16 października 2004

Hej,

Zakładam, że nie przeczyta Pan tego maila wcześniej niż w poniedziałek rano. Będę wtedy poza

Sztokholmem i całkowicie poza zasięgiem. Dlatego postaram się wszystko przedstawić jak najdokładniej.

1. Będę poza domem dłużej niż zwykle. Jeśli w ciągu ostatnich dni czytał Pan gazety, może Pan

prawdopodobnie sam wywnioskować dlaczego. To, co pisała prasa, oczywiście wpłynęło także na

Sverkera, i dlatego jest ważniejsze niż zwykle, żeby przez całą dobę miał zapewnioną opiekę. Liczę, że

Pan tego dopilnuje.

2. W przyszłości Sverker będzie sam kontaktował się z Państwem. Przystaję się tym zajmować.

Potrzebuję odpoczynku.

3. Jedna z asystentek, Annabel Bolin, wykazała się brakiem odpowiedzialności i rozeznania, wpuszczając do naszego domu dziennikarza oraz fotografa „Expressen”. W tamtym czasie nie mogłam mówić, ale kręciłam głową, a także na inne sposoby wyraźnie dawałam jej do zrozumienia,

że drzwi nie należy otwierać. Sverker nie został nawet zapytany o zdanie. Wizyta niesłychanie go

wzburzyła i wszystko zakończyło się dość sporym zamieszaniem. Nie uważam powrotu Annabel za

możliwy.

Dziękuję za dobrą współpracę przez te lata.

Pozdrowienia Mary Sundin

E-mail od Mary Sundin do Caroline Svantesson 16 października 2004

Droga Caroline,

Próbowałam telefonować do Ciebie na komórkę, ale nie udało mi się dodzwonić. Tak, znowu mogę mówić. Ale nie jest to główna rzecz, którą mam Ci do przekazania. Chciałabym, żebyś wiedziała,

że powiadomiłam pana premiera o tym, że odchodzę z rządu w trybie natychmiastowym. Oznacza to,

że nie wrócę już do ministerstwa. Natomiast już dzisiaj wyjeżdżam. Prawdopodobnie nie będzie mnie

przez dłuższy czas.

Naturalnie jestem świadoma faktu, że moja decyzja łączy się z poważnymi konsekwencjami dla

Ciebie, ponieważ oznacza ona, że również Ty musisz zwolnić swoje stanowisko. Jednocześnie jestem

przekonana, że z Twoimi kompetencjami i zdolnościami nie będziesz miała problemu ze znalezieniem

nowej pracy. Napisałam krótki list rekomendacyjny, który może Ci się przydać; jeszcze dziś wieczorem

wrzucę go do skrzynki.

Na zakończenie chciałabym zapytać, czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę i pozbiierać wszystkie

prywatne drobiazgi w moim gabinecie. Nie ma ich wiele zaledwie kilka czerwonych notatników,

które leżą w prawej szufladzie biurka, i fotografia kilku przyjaciół w lewej szufladzie. Byłabym bardzo

wdzięczna, gdybyś mogła włożyć te rzeczy do koperty i przesłać je na mój domowy adres w Bromma.

Dziękuję za wspólnie spędzony czas.

Powodzenia w przyszłości Mary Sundin

E-mail od Mary Sundin do Sisseli Oscarsson 16 października 2004

Sisselo,

Wydarzyły się trzy rzeczy znowu mogę mówić, podałam się do dymisji i zdecydowałam, że wyjadę. Oznacza to, że nie zastaniesz mnie w domu, kiedy wrócisz ze Sztrasburga. Nie wiem dokładnie, gdzie się wtedy będę znajdowała, ale wiem, że nie zabiorę ze sobą komórki. Muszę

odpocząć. Z drugiej strony, kafejki internetowe są wszędzie, więc zawsze mogę sprawdzać maila.

Czyli do usłyszenia. Jak sądzę.

I mam nadzieję.

Mary

ostatni dzień..

Nareszcie świt.

Siedzę przy oknie w sypialni i wyglądam na jezioro. Mgły podnoszą się i powoli odsłaniają wysepkę

za wysepką. W wyblakłym świetle świerki wydają się czarne, ale wkrótce nabiorą barw. Wkrótce

także będzie widać brzeg po przeciwnej stronie jeziora, na razie jeszcze otulony poranną mgielką;

teraz trudno zgadnąć, że tam jest. To dobrze. Oznacza to, że także mojego brzegu nie widać z drugiej

strony

Ciało ciąży mi ze zmęczenia. Źle spałam, budziłam się, przysypiałam i znowu się budziłam.
Kiedy

znikła Mary, bałam się zamknąć oczy, bałam się ciemności i swojego własnego strachu,
bałam się

obrazów, które nadpływały, gdy tylko zaczynałam zasypiać. Martwa, zakrwawiona Anastasia
przed

swoją celą. Twarz Sver- kera, kiedy...

Tęsknię za Hinseberg.

Myśl jest tak dziwna, że aż marszczę brwi. To przecież bez sensu, jasne, że nie tęsknię z
powrotem

do więzienia. Zerkam na zegarek. Dziewczyny na moim oddziale jeszcze się nie obudziły,
drzwi są

nadal zamknięte, a w celach Git i Lena, Rosie i Rosita nadal leżą w swoich łóżkach i czekają,
aż ktoś na

zewnątrz, w korytarzu, zagrzechocze pękiem kluczy. Za godzinę będą siedziały przy
śniadaniu i

zaspane pomrukiwały coś do siebie, a klawiszki zza szyby będą z uwagą obserwować, co
mówią i co

robią. Jednak nie będą mówiły o mnie. Jestem już wolna, na drodze do zapomnienia, nie ma
mnie.

Być może stałam się postacią mityczną Pamiętacie, jak-ona-się-nazywała, ta dziennikarka,
wiecie, ta,

co zabiła swojego męża...

Może powinnam wrócić do łóżka. Skoro nie mogłam spać, gdy było ciemno, powinnam zasnąć,

kiedy jest jasno. Z drugiej strony, jestem też głodna, może więc powinnam zejść do kuchni i zrobić

śniadanie.

I spisać listę rzeczy, które muszę dziś zrobić. Zadzwoić do ośrodka kuratorskiego, zarówno w

Sztokholmie, jak i w Jónkóping. Pojechać do Nassjó i kupić jedzenie. Znieść do piwnicy stare meble,

żeby zrobić miejsce dla moich rzeczy, kiedy przyjadą.

Jednak nie ruszam się. Siedzę nadal przy oknie i patrzę, jak zaczyna się dzień. Może mnie nie ma.

Co za sens robić takie mnóstwo rzeczy, kiedy człowiek nie istnieje.

Mary zaczyna się pakować. Położyła walizkę na łóżku i otworzyła szafę, teraz stoi, opuściwszy

ręce, przed otwartymi drzwiami i usiłuje sobie przypomnieć, o czym właśnie myślała.

Ubrania, tak. Musi zdecydować, co ze sobą wziąć z ubrania. Przesuwa obojętnie ręką po kilku spódnicach i marynarkach. Oficjalne mundurki. Nie będzie ich już potrzebować. Wyciąga czarną

nogawkę spodni i przygląda się jej. Tak. Para czarnych spodni zawsze się przyda. I bluza.

Nie zapomniała walizki nawet do połowy, mimo że zapakowała kilka zmian bielizny, parę butów i

kosmetyczkę. Po zamknięciu wieka podnosi walizkę i słyszy, jak zawartość spada na spód. Co tam.

W progu przystaje i odwraca się, zagląda do swojego pokoju. Jest bardzo schludny. Narzuta leży

płasko, bez zmarszczki, drzwi do garderoby są zamknięte. Otwarta książka na stoliku nocnym to

jedyna rzecz, która świadczy o tym, że ktoś kiedyś tu mieszkał. Za oknem zrobiło się ciemno, mała

lampka na parapecie świeci się. Mary waha się przez chwilę, ale decyduje, że zostawi ją zapaloną.

Andreas czyta przy stole w kuchni. Pochyla się krótkowzrocznie nad książką i nie spogląda w górę,

dopóki Mary nie stanie tuż obok. Uśmiecha się przepraszająco.

- Mam we wtorek egzamin.

Mary kiwa głową.

- Był pan u Sverkera

- Tak. Śpi. Nie chciałem go budzić.

Mary zwilża usta.

- Czyli nie zostawi go pan, dopóki ktoś pana nie zmieni

Andreas potrząsa głową.

- Nie. Już obiecałem. Pani nie wyjeżdża przecież po raz pierwszy.

- Tym razem jest inaczej.

- Tak - mówi Andreas. - Rozumiem.

Przyszedł bezchmurny dzień. Nad jeziorem Hasterum świeci słońce. Przy szybie brzęczy mucha,

przez chwilę się jej przyglądam, a potem podnoszę ze stołu książkę i uderzam nią. Mucha upada na

parapet, ale nie ginie od razu, tylko leży na grzbiecie i przebiera nóżkami. Nie wiadomo skąd pojawia

się druga mucha i krąży nad nią, intensywnie brzęcząc, jakby była świadoma tego, że pierwsza mucha

umiera. Znowu uderzam, próbuję za jednym razem trafić obie muchy, ale mi się nie udaje. Kiedy

podnoszę książkę, pierwsza mucha nadal przebiera nóżkami, a drugiej nie ma, nawet nie słysząc jej

brzęczenia w pokoju.

- Bywa i tak - mówię do siebie na głos i wstaję. Koniec rozmyślań i fantazjowania. Teraz wezmę

porządny prysznic i zmienię ubranie. Potem zjem śniadanie i zmierzę się z moim nowym życiem.

W łazience ostrożnie wchodzę do wanny i wyciągam rękę do kranu. Nic tutaj się nie zmieniło, odkąd dom został zbudowany, i upływ lat zaczyna być widoczny. Kilka kafelków popękało, a na emalii

w wannie pojawiły się czarne plamy. Mam więc jeszcze jeden punkt do dopisania na mojej liście.

Remont łazienki. Może powinnam też przy okazji wyrzucić niebieskie szafki i wstawić na ich miejsce

nowe. Zerwać starą wykładzinę. I wycyklinować podłogi. I wymienić tapety w salonie. Stare tapety w

odcieniu wodorostów pochłaniają całe światło. Poza tym nie pasują tu, nigdy nie pasowały...

Żeby się opanować, unoszę prysznic nad głowę. Nie mam przecież nieskończonych pokładów pieniędzy. Mogę sobie pozwolić na farby, całe litry, ale nie byłoby zbyt rozsądnie, gdybym kupowała

nowe rzeczy i ściągala do domu tłumy robotników. Poza tym przejrzałam już samą siebie i wiem, że

wyobrażam sobie zmiany w domu tylko po to, żeby przestać myśleć o tym, jak ja tu będę żyć. Czym

wypełnię swoje dni Jak sobie poradzę z samotnością

Potrzebuję samotności. Chcę być sama. Jednocześnie boję się tego, co samotność ze mną robi.

Czy oduczę się mówić Czy przestanę się kąpać i myć zęby Czy któregoś dnia będę siedzieć przy stole

w kuchni, zapychając usta czekoladą, żelkami, ciastkami i bułkami, aż zrzygam się do zlewu

Oczywiście rozwiązaniem byłaby praca. Ale czy mogę pracować

Mogłabym być wolnym strzelcem w zawodzie. Teoretycznie. Problem polega na tym, że musiałabym podawać swoje nazwisko redaktorom i sekretarzom redakcji, którzy zechcieliby publikować moje teksty, a oni by poznawali moje pióro, jeśli nie od razu, to po jakimś czasie. Nie

chodzi o to, że byliby mniej zainteresowani moimi tekstami, wręcz przeciwnie - raczej przesadnie

zachwyceni. Wkrótce pojawiłyby się propozycje. Czy mogłabym coś napisać o polityce

penitencjarnej Lub o moich wspomnieniach z Hinseberg O handlu kobietami i prostytutce A może

coś większego o moim własnym przypadku

Wykluczone. Właśnie to byłoby prostytutką. Muszę wymyślić coś innego. Tylko że potrafię jedynie

pisać, nie wiem, jak się robi inne rzeczy, nie mam kwalifikacji, żeby siedzieć w kasie w sklepie

spożywczym albo pracować jako pielęgniarka w szpitalu.

Wyłączam wodę, ale nadal stoję w wannie, obejmując siebie samą ramionami. Marznę. I zapomniałam przynieść do łazienki ręczniki, muszę się otrząsnąć jak pies i pobiec na bosaka korytarzem do szafki na bieliznę w pokoju, który kiedyś należał do mnie i Sverkera.

Tu nie ma porannego słońca ani jeziora za oknem. Rozglądam się dookoła, owijając w stary ręcznik, wytarty i od dawna znajomy musiałam się nim wycierać wiele razy, kiedy byłam dziewczynką.

Nagle wiem, co powinnam zrobić. Najpierw, zanim postanowię cokolwiek na temat przyszłości,

opróżnię ten pokój. To mauzoleum, to zanurzona w cieniu krypta z białą narzutą i równie białymi

zasłonami. Odrażająca. Nie chcę patrzeć na ten pokój, nie chcę pamiętać, kto tu mieszkał, wolę już,

żeby stał pusty i nieumeblowany, niż żeby był pomnikiem przeszłości.

Kiedy podchodzę do okna, żeby je otworzyć, ręcznik opada na ziemię. Poranny chłód sprawia, że

skóra mi cierpnie, ale nie zważam na to. Mam rzeczy do zrobienia, rzeczy, które trzeba zrobić

natychmiast. Kiedy ściągam zasłony, obluzowuje się karnisz; na ścianie zostaną brzydkie ślady, ale

mogę je łatwo zaszpa- chlować, teraz chcę się tylko uporać z tym syfem. Nie stoję wystarczająco

długo przy oknie, by zobaczyć, jak zasłony opadają na ziemię, odwracam się tylko i podchodzę do

łóżka, ściągam narzutę i stare, czerwone, pikowane kołdry, zrywam ozdobioną koronką pościel i

zanoszę cały toból do okna, a potem go wyrzucam.

O tak. Wieczorem rozpalę małe ognisko. Ale nie teraz. Teraz mam inne rzeczy do zrobienia.

Jestem głodna i nareszcie coś zjem.

Długo siedzę przy stole w kuchni, nie śpieszę się, nawet nie biorę do ręki długopisu, żeby napisać

coś na białej kartce obok kubka z kawą. Kuratorzy w ośrodku nie przyszli jeszcze do biura, sklepy w

Nassjó nie są o tej porze otwarte, a meble w salonie mogą przez chwilę powstać na miejscu. Jestem

spokojna. Na chwilę zupełnie spokojna.

Mary, która stoi przed pokojem Sverkera, nie jest tak spokojna. Wyciąga rękę, żeby zapukać do

drzwi, ale ją opuszcza i zanim naprawdę zapuka, bierze głęboki oddech. Brak odpowiedzi. Puka więc

jeszcze raz, stoi z przekrzywioną głową, czekając chwilę, nim naciśnie klamkę.

Sverker śpi.

Wózek inwalidzki stoi przy oknie. Zanim Sverker zasnął, musiał siedzieć i patrzeć przez okno na

ogród i zmierzch. Przechylona głowa spoczywa na podglówku, ręce jak zawsze na oparciach, jakby

gotów był w każdej chwili chwycić za nie i podnieść się.

Sissela miała rację. Sverker się kurczy. W ciągu ostatniego roku schudł i osłabły mu mięśnie. Gęste

włosy posiwiwały i powinno się je ostrzyć, na karku sięgają już kilka centymetrów za kołnierzyk koszuli.

Na twarzy przybyło głębokich bruzd, ale brwi są tak ciemne jak kiedyś, a długie rzęsy wydają się

należać do dziecka.

Ten, którego kochałam. Ten, którego kiedyś obie kochałyśmy.

Mary przykłada mu do policzka miseczkę dłoni, pieszczota jest tak lekka, że go nie budzi, Sverker

wciąga tylko powietrze i zapada głębiej w sen. Gałki oczne ruszają się pod powiekami. Coś mu się śni i

Mary pozwala mu śnić dalej. Bardzo ostrożnie podnosi krzesło, które stoi przy biurku, niesie je, a

potem siada przed wózkiem inwalidzkim i składa ręce na kolanach. Odpoczywa, patrząc na odpoczynek Sverkera.

Za oknem jest bardzo ciemno.

Nie. Za oknem jest bardzo jasno. Promienny dzień z błękitnym niebem i jesiennym słońcem, które

pozłaca cały świat. Chcę wyjść. Muszę wyjść.

Mimo to starannie sprzątam ze stołu i wstawiam moją filiżankę i spodek do zlewu. Tego dnia, którego przestanę zważać na zmywanie i brud, będę stracona. Potem nagle znajduję się na schodach,

stoję na nich zupełnie bez ruchu i widzę, że brązowa, jakby nasycona żelazem woda zrobiła się

niebieska. Że świeci słońce. Że czerwienią się klony. Że liście bzu wyblakły, niemal zbieleły. Że świerki

na brzegu przeglądają się w jeziorze.

Powietrze jest pełne tlenu, aż kręci się w głowie.

Zaskakuje mnie pewna myśl To właśnie jest świat. To nie tylko miejsce, w którym się wzajemnie

krzywdzimy To też jest świat.

Mary nie wraca do czasu, kiedy wsiadam w samochód i wolno jadę wąską, żwirowaną drogą przez

las. Nie dodzwoniłam się do kuratorów, w ośrodku w Jónkóping nikt nie odbierał telefonu. Dopiero

kiedy przeczekałam ponad dziesięć sygnałów, uświadomiłam sobie, że jest sobota. Wszystkie biura

zamknięte. Teraz jadę do Nassjó z listą rzeczy do kupienia. Jedzenie na kilka dni. Poza tym sól i pieprz,

mydło i proszek do prania, kwiaty doniczkowe i jeszcze jakiś tysiąc drobnych rzeczy, które są potrzebne, żeby dom był naprawdę domem.

Mary nadal siedzi obok Sverkera i przygląda mu się. Nie śpieszy jej się, niedługo wyruszy w drogę,

ale nie musi zdążyć na żadną godzinę i wie, że tam, dokąd jedzie, nikt na nią nie czeka. W tej chwili

nie ma nawet ochoty jechać, wie jedynie, że musi to zrobić. Mimo to chciałaby, żeby ta chwila trwała

zawsze, chciałaby siedzieć tak cicho i spokojnie obok śpiącego Sverkera do czasu, aż rozpadnie się

wszechświat, mieć go tu tak blisko, a jednocześnie tak bardzo daleko. Jednak tak się nie stanie, jego

twarz nagle drga i Sverker otwiera oczy.

- Co robisz - pyta.

- Nic - odpowiada Mary i zaraz się poprawia - Czekam.

Sverker odwraca wzrok.

- Na co

- Aż się obudzisz.

Sverker szarpie szyją, aż wózek rusza i toczy się kilka centymetrów do tyłu.

- Dlaczego

- Wyjeżdżam. Chciałam się tylko pożegnać.

Sverker robi się czujny, zwężają mu się oczy.

- Dlaczego Przecież cały czas gdzieś jeździsz i nie żegnasz się tak uroczyście.

Mary prostuje plecy. Całym ciałem zbiera się do odpowiedzi.

- Ale tym razem nie wiem, kiedy wrócę. Albo czy w ogóle wrócę.

Sverker znowu szarpie głową i toczy się jeszcze kilka centymetrów do tyłu. Dalej i tak nie pojedzie,

koła wózka już teraz ocierają się o ścianę.

- Aha. Chcesz mnie rzucić.

Mary najpierw nie odpowiada, patrzy tylko na swoje ręce. Chwytają się siebie, trzymają się nawzajem w uchwycie.

- Podałam się do dymisji.

- I to oczywiście moja wina.

- To nie twoja wina.

Sverker prychnął.

- Oczywiście, że moja. To ja jestem przyczyną skandalu.

Jego głos robi się nagle piskliwy i zrzędzący. Mary podnosi głowę i patrzy na Sverkera, przygląda

się wygiętej górnej wardze i obnażonym zębom. Musi się wysilić, żeby nie okazać mu pogardy, która

nagle ją wstrząsa, ale może on i tak ją widzi, bo rzuca tylko szybkie spojrzenie i odwraca wzrok do

okna.

- Cały czas to wiedziałem - mówi.

- Co

- Że mnie zostawisz. Wcześniej czy później.

- To wiedziałeś więcej niż ja.

- Pieprzenie. Wprowadzisz się do Torstena

Mary wzdycha. Nie tak miało być, mieli ze sobą spokojnie porozmawiać, ostrożnie, ściszym

głosem. Sverker miał zrozumieć i przyznać, że nie ma drogi powrotnej, miał nawet zgodzić się na to,

by na pożegnanie przyłożyła swój policzek do jego. Tymczasem siedzi tu i wygląda na to, że chce się

klócić. Nagle Mary nabiera ochoty, żeby mu dokuczyć.

- Nie. Nie wprowadzę się do Torstena, ale kto mógłby mieć mi za złe, gdybym to zrobiła Ty

Zatrzymuję się na środku leśnej drogi, zdejmuję nogę z gazu i opieram głowę na kierownicy. Nie

chcę widzieć Sverkera. Nie chcę, żeby Mary siedziała tak blisko niego, że jestem zmuszona patrzeć na

jego twarz. Sverker nie żyje. Zabiłam go. Jest dymem z komina, prochem w urnie, jest pochowany w

grobie na przykościelnym cmentarzu w Racksta. Nie może siedzieć na wózku inwalidzkim w Bromma i

patrzeć na kobietę, którą bym była, gdyby wszystko ułożyło się inaczej. A Mary nie może siedzieć

naprzeciw niego, nagle pobladła i przestraszona tym, co mają sobie powiedzieć.

Teraz jego głos brzmi tak jak wcześniej. Prawie tak jak wcześniej

- Chciałaś, żebym umarł.

Mary kręci głową.

- To nieprawda.

- To prawda. Widziałem cię. Wiem, że stałaś nad moim łóżkiem i chciałaś wyciągnąć kabel z respiratora. To jedyna rzecz między nami, która jest prawdą.

Oskarża ją. Kolejny raz. On. Kłamca. Klient prostytutek. Chronicznie niewierny małżonek. Mary

czuje, jak coś w niej twardnieje, i kiedy to się dzieje, dostrzega władzę, którą w gruncie rzeczy nad

nim ma. Sverker też to widzi. Blednie, Mary obserwuje, jak z jego twarzy dosłownie znika kolor. Boi

się, myśli. Sverker Sundin naprawdę się mnie boi. Ma powody, żeby się bać. Mogłabym go zabić

zaledwie kilkoma słowami, poderznąć mu gardło jednym zdaniem...

Ale nie robi tego. Nie zamierza tego zrobić.

- Upraszczaś wszystko - mówi zamiast tego.

Sverker nie odpowiada. Pragnienie zranienia go jest jak swędzenie w gardle, Mary usiłuje odchrząknąć, ale to nie pomaga.

- Oskarżasz mnie o coś, co, jak ci się zdaje, pomyślałam. Nie wiesz, co myślę. Nie zabiłam cię,

nawet cię nie rzuciłam.

- Ale teraz chcesz mnie rzucić.

- Tak. Teraz chcę cię rzucić...

- Dlaczego właśnie teraz - pyta Sverker. - Czy to z powodu gazet

Mary siedzi przez chwilę w milczeniu. Naprawdę zastanawia się nad odpowiedzią.

- Nie - odpowiada wreszcie szczerze. - Dlatego, że zrozumiałam, że nie mogę ci wybaczyć.

Sverker bierze oddech.

- Czy nie zostałem dostatecznie ukarany Mary ze zniecierpliwienia zaczyna bujać się na krześle, ale

zaraz przestaje. Nie można robić człowiekowi wyrzutów za to, że nie rozumie. Nawet Sverkerowi.

- Zostałeś ukarany

Jego głos znowu robi się piskliwy i rozdrażniony.

- Oczywiście, że tak!

- I dlatego, że ty zostałeś ukarany, ja powinnam ci przebaczyć Wszystko zostało zapłacone i

kwita

Sverker nie odpowiada, wykrzywia tylko twarz. Mary nie może się powstrzymać

- A więc masz złamany kark nie dlatego, że ktoś wyrzucił cię przez okno. To kara. Ale kto cię karze

Bóg Ty przecież nigdy nie wierzyłeś w Boga.

- Nie, ale...

- Pałruski alfons A czemuż to chciał cię ukarać Próbowałeś wymigać się od zapłaty

Sverker pociąga nosem.

- Nie wiem, nie pamiętam...

- Bo chyba ta dziewczyna sama tego nie zrobiła

Co

Mary słyszy swój własny głos, ostry i twardy jak podczas debaty w parlamencie i powstrzymuje

się. Zawsze miała tendencję, żeby w dyskusjach posuwać się zbyt daleko. Unicestwić. Sverkera nie

chce unicestwić. To znaczy, chce tego, ale nie zamierza sobie na to pozwolić.

Jego głos rozmazuje się.

- Nie wiem, co się stało. Nie pamiętam.

- Ale pamiętasz chyba, że z nią poszedłeś

Sverker waha się sekundę, a potem kiwa głową. Mary wypuszcza powietrze z płuc.

- Tylko to chciałam wiedzieć.

Znowu zapada między nimi cisza. Deszcz szepcze coś szybko.

- Próbowałam zrozumieć - mówi po chwili Mary. - Ale nie rozumiem.

Nie patrzy na niego. Sverker ma zmęczony głos. Zrezygnowany.

- Nie ma nic do zrozumienia.

- Co ty sobie myślałeś

- Nie myślałem.

Mary kiwa głową. Nie myślał. To na pewno prawda. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Podnosi

się.

- Nie idź - mówi Sverker.

Wstrzymuję oddech. Nie zamierza chyba zostać Przez chwilę się waha, potem pochyla się nad nim i kładzie rękę na jego dłoni.

- Muszę iść - mówi.

Sverker mruga.

- Dlaczego pozwoliłaś, żebym żył

Istnieje wiele odpowiedzi na to pytanie, odpowiedzi, które szybko przelatują jej przez głowę. Bo

stchórzyła. Bo bała się wstydu i kary. Bo każdziutka komórka jej ciała wiedziała, że ma takie samo

prawo go zabić, jak on miał prawo kupić człowieka. Bo go kochała i wiedziała, że zawsze będzie

kochać. Jednak nie mówi nic takiego, nie jest w stanie powiedzieć żadnej z tych rzeczy. Wzrusza tylko

ramionami.

- Nie wiem.

Prostuje plecy. Przez chwilę patrzą na siebie, a potem Sverker opiera głowę na podglówku i odwraca wzrok.

Idąc do drzwi, Mary słyszy stukanie swoich obcasów o podłogę.

Zapalam samochód i pozwalam, żeby się wolno toczył do przodu po wąskiej, leśnej drodze, przygryzam mocno wargę, próbując uchwycić moją własną rzeczywistość. Nie udaje mi się to. Nie

mogę przestać śledzić Mary, która stoi w przedpokoju i zapina kurtkę, muszę ją widzieć, kiedy przed

otwarcie drzwi zerka do lustra, muszę zobaczyć, czy je zamknie i rzeczywiście zacznie schodzić po

schodach.

Robi to.

Idąc w stronę garażu, wymacuje pęk kluczy w kieszeni, czubkami palców przebiera je i szuka.

Dlatego kiedy dochodzi do drzwi garażu, ma już przygotowany klucz. Od razu otwiera i zapala światło.

W środku stoją dwa samochody, przystosowana dla niepełnosprawnych furgonetka i czerwony

passat. Jej samochód. Jej własny samochód, którego nie używała od paru miesięcy. Mimo to zapala

natychmiast, gdy tylko Mary przekręca kluczyk, mężczyzna w radiu zaczyna mówić w połowie zdania.

Mary wrzuca wsteczny i bardzo ostrożnie wyjeżdża z garażu.

Ja wyjechałam już nareszcie na drogę asfaltową. Wrzucam trójkę i dociskam gaz.

Zaskakuje mnie, jak trudno znaleźć miejsce parkingowe w Nassjón, to przecież małe miasteczko, ale

samochody stoją wszędzie. Sobota. Dzień zakupów. Muszę przez chwilę jeździć w kółko, nim znajdę

puste pole na Mariagatan, tuż obok dużego kościoła. Kościoły i lokale parafialne są w Nassjón

dosłownie w każdym zaułku. Jednak mieszkańcy miasteczka nie tylko czczą Boga, zawsze mieli także

nabożny stosunek do mamony. I tak jest do dziś, widzę to po wyjściu z samochodu, kiedy rozglądam

się dookoła. Ulice są wyludnione, ale wzdłuż chodników stoją rzędem błyszczące, nowe samochody.

Moja toyota wydaje się nagle dość zużyta. Spoglądam na swoją kurtkę. Czy też wygląda na podniszczoną Czy jestem wystarczająco zadbana, żeby móc się poruszać wśród innych zadbanych

mieszkańców Nassjó w to słoneczne sobotnie przedpołudnie

Zarzucam torbę na ramię i ruszam. Wyglądam całkiem dobrze. Nie ma czego się bać, minęło ponad trzydzieści lat, odkąd wyjechałam z Nassjó, i dwadzieścia od śmierci Herberta i Renate. Nikt

mnie nie rozpozna.

Ale zapomniałam o jednej osobie, osobie, którą powinnam była wziąć pod uwagę. Dlatego zamieram w pół kroku, kiedy skręcam z ulicy Mariagatan i nagle słyszę czyjś głos

- Cześć, MaryMarie.

Wpatruję się w ostrzyżonego na jeża mężczyznę w moim wieku, kompletnie nieznanego faceta,

który opiera się nonszalancko o szybę wystawową, należącą niegdyś do sklepu z kapeluszami Sonja,

butik, w którym mama, kiedy dorastałam, bywała raz na trzy lata. Mężczyzna uśmiecha się.

- Kopę lat - mówi. - Gdzie byłeś

Dopiero teraz uświadamiam sobie, kto to. Stanley Óstberg. Geniusz towarzyski. Chodząca księga

ewidencji ludności. Krągła i dość dziwna postać z zaledwie jednym talentem, zdolnością

zapamiętywania imion i twarzy wszystkich spotkanych przez siebie ludzi. Kiedyś był nastolatkiem,

który znał wszystkich nastolatków w Nassjó, nieznanym chłopakiem, zaskakującym milczące i

samotne dziewczyny, tak jak mnie teraz, nieoczekiwanym pozdrowieniem i rozmową taką, jakbyśmy

byli przyjaciółmi od podstawówki. Nie widziałam go od wielu lat, a mimo to Stanley stoi tu i uśmiecha

się do mnie, chłopiec w średnim wieku, pamiętający dziewczynę, którą kiedyś byłam. Uśmiecham się

niepewnie w odpowiedzi. Co jeszcze pamięta

- Tu i tam.

- Jak tam Sverker i reszta twojej paczki

Gapię się na niego zdumiona, zanim sobie przypomnę, że Stanley Óstberg spotkał cały Klub

Bilardowy Przyszłość. Było to któregoś letniego dnia, kiedy pojechaliśmy na rynek, żeby kupić trochę

owoców i warzyw, wtedy także stał nonszalancko oparty o ścianę domu i kiedy mnie zobaczył,

wrzasnął. Mary! Albo Marie! Kierowana starym przyzwyczajeniem, zatrzymałam się, w Nassjó

człowiek zawsze się zatrzymuje, kiedy Stanley Óstberg woła go po imieniu. Odczuł wyraźną ulgę,

kiedy Sverker objął mnie ramieniem i wytłumaczył, że teraz mam na imię MaryMarie. Myślę, że

niepewność co do mojego imienia martwiła Stanleya, ale udał, że nie zwraca na to uwagi. Teraz

zaczął pytać o innych zarejestrowanych w pamięci, o Maud i Magnusa, Annę i Pera, Sisselę i Torstena.

Minęło przeszło piętnaście lat, ale dla Stanleya Óstberga to nic. Stanley zapamiętuje każdego na

zawsze.

- Maud się tu przeprowadziła - mówi. - Jest dentystką. Na Langgatan.

Kiwam głową. Tak. Od przeszło dziesięciu lat.

- A Magnus jest jakimś artystą. Mieszkają za miastem, w Hasterum.

- Wiem o tym.

- Chociaż dzisiaj są w mieście - mówi Stanley Óstberg. - Przed chwilą tędy przechodzili.

Staram się sprawiać obojętne wrażenie.

- Dokąd poszli

- Na rynek - informuje Stanley Óstberg. - Tak mi się zdaje. Dziś przecież sobota.

Okej. Czyli wiem, gdzie nie iść.

Minęło siedem lat, odkąd byłam w prawdziwym sklepie spożywczym, w pierwszej chwili niemal

braknie mi tchu, zapominam, że powinnam zachowywać się normalnie i nie rzucać w oczy, stoję tylko

z moim wózkiem i przyglądam się przepychowi w dziale owocowym. Jabłka. Pomarańcze. Melony.

Czerwone i zielone mango. Truskawki w małych pudełeczkach. Maliny w jeszcze mniejszych. Kiwi.

Winogrona. I przede wszystkim małe, żółte macice z wnętrzem, które ocieka sokiem. Dojrzała

papaja. Naprawdę piękna dojrzała papaja.

Chcę mieć to wszystko. Wszystko będzie moje.

Chwytam kilka plastikowych torebek i zaczynam je napełniać, jedną po drugiej wkładam do wózka, nim nagle uświadomię sobie, że muszę być ostrożna. Zaczyna mi się kończyć gotówka. Nie

mogę zrobić zakupów za więcej niż czterysta koron, w portfelu mam tylko pięćsetkę, a muszę mieć

choć sto koron rezerwy do czasu, kiedy w poniedziałek otworzą bank.

Zerkam na owoce w moim wózku, nie mam pojęcia, ile będą kosztowały. Czy w ciągu ostatnich lat

owoce bardzo zdrożały Pochyliłam się i oczami krótkowidza odczytuję nalepki z cenami wzdłuż lady z

owocami, czując jednocześnie, jak kilka kropeł potu przeciska się przez pory mojego nosa. Pieniądze

muszą mi przecież starczyć na coś więcej niż owoce, a jeśli będę musiała oddać w kasie kilka produktów, nie da się uniknąć zwrócenia na siebie uwagi. Znam mieszkańców Nassjó. Ktoś, kto

będzie stał za mną w kolejce, obserwując całą sytuację, nagle przypomni sobie, kim jestem i co

zrobiłam, w ciągu niespełna godziny opowie o tym wielu innym i wszystko się wyda, potem już całe

Nassjó będzie wiedziało, że wróciła MaryMarie Sundin. Ta, która kiedyś, dawno temu mieszkała przy

halach sportowych i o której tak dużo pisano parę lat temu w gazetach. Morderczyni.

Po co tu przyjechałam Mogłam przecież pojechać do Jónkóping, gdzie nikt nie wie, kim jestem i

gdzie byłam.

Podnoszę torebkę z pomarańczami i przyglądam się jej, oceniając, ile może ważyć i kosztować,

kiedy ktoś wypowiada moje imię. Rozpoznaję ten głos, wiem, kto to, nim jeszcze się obejrzę. Kleryk.

Przez głowę przemyka mi szybka decyzja. W przyszłości będę robiła zakupy spożywcze w Jónkóping.

Zawsze.

Również dzisiaj ubrany jest w czarną koszulkę polo, ale nie wygląda tak klerykalnie jak wczoraj

wieczorem, jest raczej zmęczony i zużyty. W jednej ręce trzyma czerwony plastikowy kosz, w drugiej

zieloną reklamówkę ze sklepu monopolowego. Pije Z z zaciekawieniem zagląda do mojego wózka, ale

nie komentuje jego zawartości.

- Dojechałaś zgodnie z planem - pyta.

Uśmiecham się grzecznie.

- Tak. Jak widzisz.

Nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Czy już zakończyliśmy rozmowę

Lekko prostuję plecy, staram się stawiać opór.

- Tak, tak mi się zdaje.

- A mnie nie - mówi Kleryk. - Zupełnie nie.

możliwa samotność

Per stuka w swoje jajko na śniadanie. Na stole obok leży rozłożona gazeta, ale do niej nie zagląda.

Jest sobota i Minna nie pracuje, nie siedzi obok niego, nie wskazuje swoim białym palcem tytułu i nie

mruczy próbnego tłumaczenia na szwedzki.

Brakuje mu jej.

Przez wielkie okna jadalni wpada światło. Dziś nad Vladista świeci słońce.

Po drugiej stronie błyszczącego stołu siedzi Anna, kręcąc kosmyk włosów. Marzy.
Wspomina.

Myśli o pewnym wieczorze Midsommar dawno temu i czuje rękę Sverkera na swoim udzie,
rozkoszuje się jej ciężarem i ciepłem, a potem nagle wypręży się i chwyta swoją filiżankę
kawy. Co

takiego miała dziś zrobić

Nic. Niestety. Zupełnie nic.

Maud trzyma w rękę główkę kalafiora i uważnie się jej przygląda.

Wyjątkowo ładny kalafior, to widzi, zupełnie biały, bez śladu owych przypominających grzyb
czarnych plam, które znajdują się na niemal wszystkich kalafiorach. Mimo to opuszcza rękę i
kalafior

toczy się z powrotem na straganowe stoisko.

Po co jej kalafior Nie zamierza gotować.

Magnus zapala papierosa i spogląda na Maud.

Przez cały dzień nie powiedziała więcej niż kilka słów, nie chciała nawet wejść do pracowni i
zerknąć na jego nowe szkice. Czy to kara Czy jest zła za coś, co zrobił lub powiedział A może
się go

wstydzi, może jej wstyd stać na rynku w Nassjő obok mężczyzny, o którym wszyscy myślą,
że jest

skurwysynem

Rozgląda się dookoła, przyglądając ludziom, żeby sprawdzić, czy sam też jest obserwowany.
Ale

nikt na niego nie patrzy, mieszkańcy Nassjő, którzy przechodzą w pośpiechu obok, bardzo się
pilnują,

żeby na niego nie patrzeć.

Torsten siedzi w metrze z rękami wciśniętymi w kieszenie i przygląda się odbiciu pasażerów
w

czarnej szybie okna. Pociąg zatrzymuje się przy Odenplan. To jego stacja, powinien wstać i
wyjść.

Jednak nie robi tego, w ogóle się nie porusza, siedzi tylko nieruchomo, czekając, aż znowu zamkną się

drzwi.

W drodze z lotniska do hotelu w Sztrasburgu Sissela pisze palcem po zamglonej szybie okna samochodu tylko jedno słowo, potem opuszcza rękę i wzrok, żeby przyjrzeć się swoim czarnym

rękawiczkom. Na przednim siedzeniu kierowca pochyla się nad kierownicą i mruga oczami na

ciemność na zewnątrz.

Ktoś.

Słowo na szybie zachodzi nową mgłą. Już go nie widać.

Sverker krzyczy. Ale go nie słysząc.

Jego krzyku nie można też zobaczyć. Jego twarz nie wykrzywia się, usta nie zmieniają w czarną

dziurę. Ma zaciśnięte wargi. Wygląda poważnie, może na trochę zmartwionego, ale nie bardziej serio

i smutno, niż można by się spodziewać.

Mimo to krzyczy. Jest więźniem własnego krzyku. Łomot w czaszce, groźba popękania bębenków

w uszach, krzyk, który niszczy, unicestwia każdą myśl w jego głowie.

W kuchni uczy się Andreas. W domu jest cicho.

..i ta pierwsza

Obieram kawałek po kawałku. Obdzieram siebie samą ze skóry, aż do kości.

Najpierw Torsten. Potem rząd i polityka. Później Sverker. Na końcu mój dom.

Pozostaje już tylko jedno zadanie. Parkuję samochód przed kioskiem, biegnę zgarbiona przez deszcz w stronę skrzynki pocztowej i wsuwam w szparę dwie koperty.

Dobrze. Załatwione.

Na autostradzie włączam automatyczną kontrolę prędkości i opróżniam się z myśli, nie pamiętam

już, kim jestem i dokąd jadę. Samochód wypełnia muzyka organowa, ale mija chwila, nim sobie

uświadomię, czego słucham. Bach. Sverker słuchał tej melodii przez ponad trzydzieści lat.

Zrobiło się z tego długie pożegnanie. Pomimo wszystko.

Za Norrköping zatrzymuję się na stacji benzynowej. Przestało padać, ale wieje zimny wiatr. Unoszę

ramiona i dygoczę, zaczynam znowu myśleć, na chwilę przestaję się pilnować. To wtedy je widzę.

Plakaty z pierwszych stron gazet. Natychmiast odwracam wzrok, ale to nie pomaga. Kilka słów

utkwiło mi już na siatkówce. TAJEMNICA PANI MINISTER - MAŻ...

Tuż pod plakatami leżą żółte płócienne worki z drewnem na opał. Dobrze. W ostatnich latach drewnitnia była pusta. Dom w Hasterum nie jest przystosowany dla niepełnosprawnych i nie było

mowy o jakichś wspólnych wakacjach w naszym letnisku. Od czasu do czasu wpadałam tylko tam

sama, żeby sprawdzić, czy dachówki są na miejscu, a okiennice nie zaczęły butwieć. Ale teraz będę

potrzebowała drewna na opał. Otwieram więc bagażnik i ciągnę worek po asfalcie, podnoszę go,

stękając, i wrzucam do środka. Jeszcze jeden Tak. Albo dwa.

Za każdym razem, kiedy pochylam się nad workami z drewnem, moje ciało wykonuje taki ruch, że

nie mogę uniknąć czarnych liter. Zamykam oczy, ale to nie pomaga. Słowa są tam, gdzie były.

Wchodzę do sklepu, żeby zapłacić, i czujnie lustruję go wzrokiem, żeby zlokalizować gazety. Przez

krótką chwilę błyskają słowa SEKS ZA PIENIĄDZE, ale teraz jestem już gotowa i mój wzrok ześlizguje

się z nich, zanim cały tytuł do mnie przyłgnie.

Dziewczyna za ladą chyba mnie nie rozpoznaje. Siedzi na taborecie, czytając „Dziewczynę, i nie

podnosi wzroku, dopóki nie stanę przed nią.

- Trzy worki drewna na opał - mówię. - I benzyna.

Dziewczyna kiwa głową i uśmiecha się niewyraźnie, wystukując w kasie cyfry.

Zaledwie kilkaset metrów dalej znajduje się motel. Zaskakuje mnie, że mój samochód zjeżdża z

autostrady, wjeżdża na parking i zatrzymuje się tam. Przez chwilę siedzę bez ruchu z rękami na

kierownicy, a potem zerkam w dół, na swoją rękę. Ale nic tam nie ma. Zegarek został w łazience w

Bromma.

Wszystko jedno. Moje ciało czuje, że jest późno. Potrzebuję snu.

W restauracji odbywają się tańce. Stojąc na czerwonym dywanie w holu, zaglądam do dość ciemnej sali, widzę, jak unoszą się ręce i kołyszą uda, jak kobieta w czarnej bluzce przytula policzek do

gorsu białej koszuli, jak mężczyzna opiera się plecami o bar i niemal z nabożeństwem podsuwa do ust

kieliszek, jak jakaś samotna dziewczyna zapala małą lampkę na stoliku, a potem znowu ją gasi, zapala

i gasi, zapala i gasi. Wygląda, jakby wysyłała sygnał ratunkowy.

- Tak - mówi ktoś za moimi plecami.

Oglądam się.

- Pokój - mówię. - Najchętniej tak daleko od muzyki, jak to możliwe.

Portier kiwa głową. Oczywiście.

Marie idzie pośpiesznie do samochodu z plastikowymi torbami w każdej ręce, złączając się sama

na siebie, że pieką ją policzki. Powietrze jest chłodne i minęło kilkadziesiąt lat, odkąd była nastolatką.

Mimo to czerwieni się, czuje, jak nabrzmiewają wszyściutkie naczynka krwionośne na twarzy, jak

płoną jej szyja i policzki, jak rozszerzają się pory. Nikt nie może jej teraz zobaczyć.

Niepotrzebnie się martwi. Na ulicy nie ma ludzi, jedynie rzędy samochodów i wysokie drzewa. Jest

bardzo cicho. Świeżo przystrzyżony i zagrabiony trawnik przed kościołem, na zielonej powierzchni nie

został ani jeden jesienny liść, ani jedno źdźbło nie jest dłuższe od innych ździebeł. Ogrody po drugiej

stronie ulicy są równie wymuskane, drzewa i krzaki wyglądają tak, jakby usiłowały nie śmiecić, uschłe

różę zdecydowanie utrzymują brązowe płatki, które jeszcze niedawno były czerwone.

Pojawia się jakieś wspomnienie i Marie zatrzymuje się przy samochodzie, zapominając otworzyć

drzwi. Kiedyś była wewnątrz jednego z tych schludnych domów, stojąc pod kryształowym żyrandolem, dygała i prosiła o przebaczenie.

W domu mieszkała Elsa Lindström. Nauczycielka historii i nauki o religii chrześcijańskiej, kobieta z

wielkim biustem, wielkim krzyżem i problemami psychicznymi. Najmłodszy uczeń liceum byli dla

niej udręką. Dziewczyny plotkowały i gadały na lekcjach, chłopcy odwracali się do niej plecami,

krzyczeli i hałasowali, rzucali do siebie karteczki i przedrzeźniali ją. Elsa Lindström próbowała udawać,

że nic z tego naprawdę się nie dzieje. Siedziała za katedrą, wyprostowana, czasem czytała coś na głos

z książki lub mówiła swoim lekko nosowym głosem, ale rzadko na temat historii, raczej o swoich

własnych szkolnych latach. Była najlepsza w klasie, przynajmniej z ważnych przedmiotów, takich jak

nauka o religii czy historia. Tylko dwóch uczniów słuchało. Chłopak, który chciał być księdzem. I

dziewczyna, która siedziała trochę z boku.

Pod koniec wiosennego semestru po klasie rozeszła się fala niepokoju. Co będzie ze stopniami

Chłopak, którego ojciec był nauczycielem, zajrzał do przewidzianego planem materiału i wpadł w

lekką panikę.

Przecież nie nauczyli się niczego, czego powinni byli się nauczyć. Nie wiedzieli nic na temat wojny

trzydziestoletniej i Europy w siedemnastym wieku. Nic na temat wczesnego okresu chrześcijaństwa w

Szwecji.

Coś trzeba zrobić. Czy Mary - albo Marie - która tak dobrze pisze, nie mogłaby napisać listu do

dyrektora szkoły Zaszczycona tym, że nagle ją zauważono, Mary - albo Marie - napisała list do

dyrektora, przeczytała go na głos klasie i zyskała jej aprobatę. Uczniowie są poważnie zaniepokojeni

brakami w nauczaniu. Domagają się zmiany nauczyciela w następnym semestrze.

Nie wiedzieli, co czynią. Mary - albo Marie - nie wiedziała, co czyni.

Elsa Lindström gotowa była znieść wszystko z wyjątkiem publicznego poniżenia. Otworzyła z

impetem drzwi gabinetu dyrektora i przyparła go do muru. Co dyrektor zamierza zrobić Czy ona ma

się z tym pogodzić Ona, która ma trzydziestoletnie doświadczenie w pracy nauczycielskiej, zapewne

dłuższe niż to, którym on może się pochwalić. Ona, która ma solidne wykształcenie uniwersyteckie i

kiedyś myślała nawet o doktoracie

Trzy dni później Mary - albo Marie - stała pod kryształowym żyrandolem w salonie Elsy Lindström i

dygała, prosząc o wybaczenie, zgodnie z zaleceniem dyrektora. W ostatniej chwili spróbowała ocalić

odrobinę szacunku dla siebie samej, dodając, że jej przeprosiny dotyczą zachowania klasy, a nie istoty

krytyki, którą wystosowali uczniowie, ale ucichła, kiedy dyrektor położył rękę na jej ramieniu. Elsa

Lindström, w jedwabnym szlafroku i z papilotami we włosach, klasnęła w ręce i złożyła je na piersi.

Przeprosiny zostały przyjęte. Nie wspomniała nic o tym, że stopień Mary - albo Marie - zostanie

obniżony. To była niespodzianka.

Marie lekko wzdycha, stojąc tam, gdzie stoi, i zerkając w stronę szarego domu. Dlaczego to zrobiła Dlaczego wzięła na siebie winę za coś, za co nie ponosiła odpowiedzialności Przecież nie

rozmawiała na lekcjach. Nigdy nie robiła min za plecami Elsy Lindström. Nie rzucała po klasie

papierkami.

Odpowiedź jest prosta. Mimo to była winna. Wina była znajomym strojem, który od początku wisiał w jej szafie i który wkładała każdego ranka. Bez niej czuła się naga.

Zapomniały pokój. Brzydki.

Kładę się na żółtobrazowej narzucie i wpatruję w sufit, zmuszam się do powrotu do mojej rzeczywistości. Nie chcę być już w świecie Marie, chcę zostać na chwilę tutaj, pomyśleć i spróbować

pojąć, nie fantazjować.

Zostawiłam Sverkera. Co czuję Winę

Nie. Nie czuję winy. Nie jestem winna. To, co wcześniej nazywałam winą, to uczucie, w które przez

całe życie się drapałam i chowałam, jest fałszywe. To rodzaj odwrotnego samozachwyty, list

odpustowy, którego samo istnienie uwalnia grzesznika od grzechu, w którego udreće mieści się

zarówno pocieszenie, jak i akceptacja. Daje on pewność, że ten, kto czuje się winny, nie może być

jedynie zły, i właśnie dlatego uwalnia od odpowiedzialności. W ten sposób korzystałam dotąd z

poczucia winy. Drapałam je ponad moimi prawdziwymi uczuciami po to, żeby ich nie oglądać, żeby

nie musieć odpowiadać za swoją wściekłość, żeby nie musieć znosić swojego wstydu.

Tak. Mam w sobie furię. Jestem absolutnie wściekła na mężczyzn, którzy roszczą sobie prawo do rządzenia kobietami. Moją wściekłością mogłabym zburzyć całe miasta, obedrzeć ze skóry pełnych pogardy kardynałów ze Stolicy Apostolskiej i muzułmańskich fundamentalistów, a potem poprzybijać ich skalpy do ściany, chciałabym ułożyć na mojej plaży stos z zadufanych w sobie skurwysynów różnej maści i własnoręcznie podłożyć pod nim ogień, chciałabym skopać na śmierć wszystkich facetów na całym świecie, którzy biją żony, oskalpować wszystkich alfonsów i powtykać zapalone zapalki pod paznokcie klientów prostytutek. Zwłaszcza jednego z nich.

Nie robię tego. Oczywiście, że tego nie robię. Przeciwnie, wstydzę się swojego gniewu. Wstydzę

się go, tak jak się wstydzę tego, kim jestem, ponieważ noszę takie, a nie inne imię, ponieważ urodziłam się do tego, a nie do innego życia. Wstydzę się tak bardzo, bo jestem tchórzem, bo nie

umiałam wymazać historii i sprawić, by moi rodzice byli szczęśliwi, bo nigdy nie zrozumiałam,

dlaczego Sverker mnie chciał, i nie spytałam siebie samej, dlaczego ja go potrzebowałam. Wstydzę

się, bo mam dwie twarze i przez całe życie prowadziłam z ludźmi rozmowy, ale nigdy nie nauczyłam

się mówić.

Teraz widzę, że mój wstyd nie należy tylko do mnie. Jest także konsekwencją bezwstydu innych

ludzi. Herberta. Renate. Sverkera.

Za niemą wściekłością Herberta kryła się wieczność milczenia. Za ostrymi słowami Renate - katedra cierpienia. A za niezdolnością Sverkera do utrzymania spodni na tyłku zawsze wyczuwałam

szyderstwa Holgera i odwrócony wzrok Elisabeth.

Oni zasługują na współczucie. I współczuję im. Marie też.

Będzie miała gościa na kolacji. Sama nie wie, jak do tego doszło, podejrzewa, że Kleryk wprosił się

w jakiś chytry, zawołowany sposób, ale stało się. Dziś wieczorem Kleryk odwiedzi ją w Hasterum. To

dlatego Marie się czerwieni. Kleryk ją niepokoi, nie może zrozumieć, czego on chce.

Mimo to znajduje czas, żeby pojechać naokoło, pozwala, by samochód wjechał na Anneforsvagen

i powoli przejechał obok jej rodzinnego domu; robi zdumioną minę, kiedy widzi, że dom pomalowano

na nowy kolor.

Różowy Wybucho śmiechem. Tak powinno się postępować z przeszłością. Malować ją na różowo!

Miałam myśleć, a nie fantazjować o Marie.

Poza tym potrzebuję snu. Jeśli będę zanadto wyczerpana, może mnie znowu dopaść afazja, a nie

chcę powrotu niemoty. Chcę móc mówić, chociaż tak naprawdę nie umiem nic powiedzieć. Ale może

mogłabym się nauczyć.

Przecieram oczy i siadam. Teraz będę miła dla siebie samej, naprawdę miła i naprawdę troskliwa.

Wezmę ciepły prysznic, włożę czystą koszulę nocną i wpełznę do świeżej pościeli. Zasnę. Odpocznę.

Zapomnę.

Kiedy ściągam bluzkę przez głowę, czuję jakiś zapach, na moment zamieram, stoję zupełnie bez

ruchu, a potem przykładam bluzkę do twarzy i jeszcze raz ją wącham. Drzewo sandałowe. Smuzka

cytryny. Zapach Sverkera.

Zostawiłam go. Po tych wszystkich latach naprawdę go zostawiłam.

Woda jest gorąca. Bardzo gorąca.

To dobrze. Gorąca woda szczypie w oczy. Gorąca woda sprawia, że drżą mi usta i rozmazują się

rysy twarzy. Gorąca woda spływa w dół policzków.

Nie płaczę. Myślę. Próbuję myśleć.

Jednak nie do końca potrafię sformułować o czym. Pewność, która mnie nagle wypełnia, nie składa się ze słów i zdań, poukładanych w mojej głowie w rzędkie. To szybko przemijające wzburzenie

w systemie nerwowym, ciężar w okolicy serca, niespodziewany ból w podbrzuszu. Mówi, że istnieje

przebaczenie, ale nie da się go zdefiniować ani nakazać. Decyzja o przebaczeniu nie leży w mocy

człowieka. Zdolność przebaczenia jest specjalną łaską, być może jedyną prawdziwą. Któregoś ranka

człowiek po prostu budzi się i czuje, że przebaczył. Nie zapomniał, ale sprawa uległa zawieszeniu,

wszystkie oskarżenia gdzieś się odsuwają, a gorycz jest już tylko nieprzyjemnym posmakiem na

języku. Sam zostałeś ulaskawiony. Żeby móc wybaczyć, trzeba być ulaskawionym.

Jeszcze tam nie dotarłam. Jednak teraz wiem już, dokąd zmierzam. Lub przynajmniej dokąd chciałabym zmierzać. Zakręcam wodę i owijam się ręcznikiem, wycieram ciało długo i troskliwie, jak

matka dziecko. Jestem swoją matką. Jestem swoim nienarodzonym dzieckiem.

Kładę się i gaszę światło, a potem składam ręce. Nie modlę się, ale chciałabym móc się pomodlić.

Marie układa owoce w misce na stole w kuchni i przenosi ją na ławę. Na stole kładzie biały obrus.

Sprawdza kilka talerzy, szukając pęknięć i odbarwień. Spłukuje wodą parę szklanek i wyciera je do

połysku. Na stole stawia świecznik.

Na kuchni łagodnie bulgocze zupa rybna. Dobrze pamiętała przepis, każdy składnik i odpowiednią

jego ilość. Jest tym zaskoczona.

Zanim pójdzie na piętro, staje w drzwiach i rozgląda się dookoła. Nie ma się czym martwić.

Wszystko jest jak trzeba.

Ubrania z innego życia.

Olbrzymie saszety położyła na łóżku, które kiedyś należało do Herberta i Renate, ale ich nie otworzyła. Teraz wyjmuje ubrania sztuka po sztuce i przygląda się im. Wspomina. Czerwony sweter,

który zawsze wisiał na wieszaku w redakcji. Jasnoniebieska sukienka z wypukłymi guziczkami, którą

bardzo starannie wybrała na imprezę, co miała stać się ostatnim przyjęciem na Midsommar. Czowała się

wtedy piękna. Trzyma suknię przed sobą i przygląda się swojemu odbiciu w poplamionym lustrze

Renate. Nie, to nie jest strój, który może dalej nosić. Coś się stało z jej karnacją, skóra jest matowa i

wyblakła, tak samo jak ten niebieski odcień. Wygląda, jakby miała spłowieć i zniknąć. Poza tym w

październiku nie można włożyć sukienki bez rękawów, nie tylko dlatego, że będzie w niej zimno, po

prostu wyglądałaby idiotycznie. Bierze więc białą marynarkę i unosi ją pod światło. Plama na klapie

nie zniknęła - wspomnienie z ostatniej uczty rakowej z Klubem Bilardowym Przyszłość. Kiedy przyszła

pora na kawę i szarlotkę, Sverker położył jej nagle głowę na piersi i...

Nie. Nie chce tych starych ubrań. Trzeba je spalić na dworze razem ze starą pościelą. Poza tym nie

zamierza się przebierać do kolacji, Kleryk spotka ją dokładnie taką, jaka jest.

Reflektory jego samochodu oświetlają podwórze w chwili, kiedy Marie wychodzi na dwór z naręczem pełnym ubrań. Przystaje na schodach i stoi w żółtym świetle lampy nad drzwiami, podczas

gdy on gasi silnik i dość powoli wydobywa się z samochodu. W ręku ma butelkę wina. To prezent.

- Co robisz - pyta z uśmiechem.

Marie nie odpowiada na uśmiech, ale stara się sprawiać przyjazne wrażenie.

- Wyrzucam.

- Pomóc ci

Rzeczywiście potrzebuje pomocy, ręk niemal nie starcza, żeby objąć stertę.

- Tak, dziękuję.

Kleryk odstawia wino na schody i wyciąga do niej rękę, próbuje złapać cały ładunek. Marie opiera

się, chce nieść połowę.

- Dokąd to niesiemy

Marie wskazuje kierunek głową.

- Za róg.

Kiedy są już za węglem, Kleryk waha się, jednak tylko przez chwilę. Jest bardzo ciemno, ale w

kuchni jest zapalone światło i okna rysują na trawie białe kwadraty. Dwa cienie ze światła. Pomiędzy

nimi znajduje się stos białych firanek i pościeli z koronką, czerwone kołdry i poduszki w paski.

- A to co

Marie rozkłada ramiona i ubrania lądują na ziemi.

- Przyszłe ognisko.

Kleryk wygląda na zdziwionego.

- Chcesz to podpalić

- Tak.

- Dlaczego

Kleryk trzyma nadal przed sobą stos ubrań.

- Rzuć to tutaj - mówi Marie. - Mam dla ciebie więcej zadań.

Kanapa z salonu jest ciężka. Bardzo ciężka. Jakby była wyściełana całym dziesięcioleciem, jakby

lata siedemdziesiąte, z których pochodzi, ukryły się pod tkaniną w supelki. Poza tym jest brzydka.

Brązowo-beżowa, ciężka i brzydka.

- Ją też spalisz - pyta Kleryk, usiłując chwycić jedno z oparć.

Dziś wieczór nie ma koszulki polo, chuda szyja wystaje z białego kołnierzyka koszuli, a na ramionach wisi niebieska, sztruksowa marynarka. Wyelegantował się.

- Nie - odpowiada Marie. - Chciałabym znieść ją do piwnicy.

Żeby wynieść kanapę na korytarz i dalej przez drzwi wejściowe, muszą się obracać i manewrować.

Kleryk puszcza oparcie ze swojej strony i kanapa ześlizguje się po kamiennych schodach, przekręca i

ląduje krzywo na ścieżce.

- Uważam, że ładnie tu wygląda - mówi. - Jesteś pewna, że nie chcesz zrobić z niej mebla ogrodowego

Marie uśmiecha się.

- Całkowicie pewna.

Kleryk ociera czoło chusteczką do nosa.

- Mogłabyś przekazać je do misji.

Marie marszczy nos.

- A co takiego złego zrobiła misja

Kleryk wkłada chusteczkę do kieszeni.

- Mnóstwo rzeczy. Mam przedstawić całą listę

- Nie, dziękuję.

Idąc w kierunku schodów do piwnicy, Marie pociera klucz kciukiem, próbując oprzeć się uczuciu,

które ją nagle wypełnia. Migoczą nad nią gwiazdy, łatwo oddychać chłodnym powietrzem. Zbliża się

przymrozek i za niespełną godzinę cały ogród się posrebrzy. Marie próbuje powstrzymać nagłą

radość, która ją przepelnia - mieszkam w srebrnym ogrodzie! Wkłada klucz do zamka w drzwiach

piwnicy. Drzwi skrzypią przy otwieraniu. Marie z zamkniętymi oczami wsuwa do środka rękę i po

omacku szuka włącznika światła. Nie lubi piwnicy. Nigdy nie lubiła.

Szare cementowe ściany. Szara podłoga. Goła żarówka pod sufitem. Dwa ustawione do góry dnem

kajaki na podłodze, wyglądają tak biało i bezbrinnie, jak ryby do góry brzuchem. Trochę dalej

uchylone drzwi, które prowadzą do następnych pomieszczeń. Nigdy nie udało jej się do końca

rozeznac w tej piwnicy, za każdym razem, kiedy była pewna, że zna tu każdy kąt, pojawiały się jakieś

nowe drzwi, otwierające jeszcze jedno ciemne pomieszczenie. Kleryk opiera się na poręczy schodów

powyżej i spogląda w dół na nią.

- Czy schody są wystarczająco szerokie

Marie odwraca się twarzą do niego.

- O tak. Ale żeby zrobić miejsce dla kanapy, musimy wynieść kajaki.

Kleryk pyta z zainteresowaniem

- Kajaki

Marie kiwa głową. Kleryk puszcza barierkę i szybko zbiega po schodach na dół.

- Wiosłujesz

Marie znów kiwa głową.

- Tak. Ale minęło parę lat od ostatniego razu.

To zarazem prawda i kłamstwo. W ciągu lat w Hinseberg wiele nocy spędziła w swoim kajaku, w

myślach wiosłowała po jeziorze Hasterum w słońcu i we mgle, w deszczu i w śniegu, cicho prześlizgiwała się pomiędzy wysepkami, przesuwała się blisko kęp trzciny i kamieni, siedziała bez

ruchu, przyglądając się szczeniakom lisów i ptakom, tylko czasem pozwalając się wystraszyć krętemu

wężowi, który nagle wypełził na powierzchnię wody. Być może marzenia o kajaku dawały jej większą

rozkosz niż używanie go w rzeczywistości. Kiedy razem ze Sverkerem wiosłowali po jeziorze, zawsze

było gorące lato i musiała się mocno nameńczyć, żeby za nim nadążyć.

- Nigdy nie pływałem kajakiem - mówi Kleryk. - Ale zawsze o tym marzyłem.

Marie uśmiecha się.

- Możesz spróbować, jak przyjdzie lato.

- A wcześniej się nie da

- Nie. O tej porze roku jest za zimno dla początkujących. Jeśli wywrócisz się na środku jeziora,

może się to źle skończyć. Trzeba by mieć na sobie piankę ochronną.

- Na pewno mógłbym taką wypożyczyć w poniedziałek.

Marie unosi brwi, zdziwiona jego zapalem.

- Oczywiście. Zapraszam.

Brzmi to bardziej nonszalancko, niżby chciała. Kleryk trochę zbyt natrętnie szuka jej towarzystwa.

Czego tak naprawdę chce Uwieść ją Zbawić Czy jest tylko samotnym człowiekiem, który tęskni za

towarzystwem

Kajaki są lekkie, ale nieporęczne, trzeba uważać, żeby kadłuby nie porysowały się i nie zniszczyły

przy wynoszeniu z piwnicy. Potem kolejno niosą je na brzeg, układają przy samym skraju i stoją

jeszcze w ciemności, patrząc na jezioro. Po drugiej stronie miga kilka światełek.

- Czyli przynajmniej masz sąsiadów - mówi Kleryk.

Marie kiwa głową.

- Tak. Paru.

- Miło nie być zupełnie samą.

Marie odwraca się i rusza z powrotem do domu.

- Lubię być sama - mówi.

Kleryk śpiesznie idzie za nią.

- Tak, mogę to zrozumieć.

Ach tak. Co on tak naprawdę rozumie

Kanapa zjeżdża z hukiem po schodach do piwnicy, łamie się jedna nóżka, poduszki rozsypują na

wszystkie strony. Śmieją się, Marie przy drzwiach do piwnicy i Kleryk na szczycie schodów.

- Czemu chcesz ją zastawić - pyta Kleryk.

Marie wzrusza ramionami.

- Nie zamierzam jej zostawić. Niepotrzebna mi, ale większych śmieci tak często nie zabierają. Do

tego czasu chcę ją po prostu usunąć.

Znowu chwytają kanapę z dwóch stron, przenoszą przez drzwi i stawiają na cementowej podłodze. Kleryk otrzepuje spodnie.

- Kupisz nową kanapę

Marie kręci głową.

- Nie. Za kilka dni przywiozą trochę mebli ze Sztokholmu.

- I wtedy zacznie się reszta życia - mówi Kleryk. - Tak

Marie marszczy lekko brwi. O co mu chodzi

Kleryk wysuwa krzesło, rozglądając się z uznaniem po kuchni.

- Ładnie tu masz.

Marie miesza zupę rybną.

- No. Nie jest to jeszcze do końca estetyka moich marzeń. Ale może być.

Stawia przed nim dymiący talerz. Kleryk wciąga w nozdrza zapach jedzenia; chyba robi to nieświadomie.

- Zostaniesz tu - pyta po chwili. - Zamieszkasz tu na stałe

Marie nie odpowiada od razu, ostrożnie przenosząc własny talerz z kuchenki na stół. Kleryk przechyla głowę i czeka.

- No cóż - mówi w końcu Marie. - Nie jestem pewna. Na pewno na jakiś czas.

Kleryk dmucha na swoją łyżkę.

- Będiesz współpracowała z jakimiś pismami jako wolny strzelec

- Może. Zobaczę.

- Kiedy cię wypuścili - pyta Kleryk.

Marie zamyka oczy. Dobrze usłyszała

- Słucham - mówi po chwili. - Co powiedziałaś

Po twarzy Kleryka przebiega uśmiech.

- Zapytałem tylko, kiedy cię wypuścili.

Marie odkłada łyżkę. Nagle robi jej się niedobrze.

Na chwilę zapada cisza. Na dość długą chwilę. Na dworze wieje wiatr i przeciąg sprawia, że świece

zaczynają migotać. Kleryk zanurza swoją łyżkę w zupie.

- Przyszło mi to do głowy, kiedy tak szybko i dziwnie uciekłaś - mówi potem. - Najpierw nie pamiętałem dokładnie, o co chodziło, ale potem...

Marie ma zachrypnięty głos.

- Aha.

Kleryk przechyla głowę.

- Myślałem, że już wczoraj to zrozumiałaś. To znaczy wtedy, na parkingu.

Marie potrząsa lekko głową, ale nic nie mówi. Kleryk nie spuszcza z niej oczu.

- Myślałem, że to dlatego chciałaś rozmawiać o przebaczeniu...

Marie lekko chrząka. Próbuje jeszcze raz odnaleźć swój głos. Uchwycić siebie.

- Nie - mówi w końcu. - Nie chcę rozmawiać o przebaczeniu.

Jej głos jest bardziej niż zachrypnięty. Zanika. Kleryk nadal trzyma głowę przechyloną na bok.

- Z mojego doświadczenia wynika, że mówienie o trudnych rzeczach pomaga.

Marie wciąga powietrze. Jak on śmie Jak śmie siedzieć przy jej stole i wygłaszać te puste frazesy

Marie podnosi kieliszek.

- A z mojego wynika, że nie należy wtrącać się w sprawy, które w ogóle nas nie dotyczą.

Kleryk marszczy czoło, wygląda na naprawdę zaskoczonego.

- Sprawilem ci przykrość

- Tak.

Kleryk podnosi łyżkę.

- Doskonała zupa.

Marie siedzi bez ruchu.

- Dziękuję. Ale myślę, że nie powinieneś zostawać do deseru.

Kleryk marszczy czoło, ale nie przestaje jeść.

- Aż tak cię to dotknęło

- Tak.

Mężczyzna usiłuje pochwycić jej wzrok.

- A czego się spodziewałaś

- Co masz na myśli

- Naprawdę myślałaś, że możesz z powrotem zamieszkać w Nassjó i ludzie nie przypomną sobie

tego i owego

- Nic nie myślałam. Po prostu chciałam spokoju.

- I mimo to zaprosiłaś mnie na kolację

- Sam się wprosiłeś.

Kleryk uśmiecha się lekko i podnosi swój kieliszek.

- Tak - potwierdza i wypija łyk. - Chyba to zrobiłem. A teraz wypilem już tyle wina, że tak od razu

nie mogę sięść za kółkiem i jechać do miasta. Niestety.

Oczy Marie zwięzają się, ale nic nie mówi.

Kleryk spokojnie kontynuuje jedzenie, wyciera dno talerza kawałkiem chleba, a potem wstaje,

podchodzi do kuchenki i sam nalewa sobie zupy na talerz. Zachowuje się, jakby był we własnym

domu, jakby była to jego kuchnia.

- Czego ty tak naprawdę chcesz - pyta Marie, kiedy Kleryk znowu siada.

Mężczyzna podnosi oczy znad talerza.

- Chcę z tobą porozmawiać.

Marie odwraca wzrok, patrzy teraz w swój talerz. Jest pełen okruchów, pokruszyła całą kromkę

chleba i nawet tego nie zauważyła. Zupa zamieniła się w papkę, ale nie szkodzi. Nie jest głodna.

Prostuje plecy i mówi chłodnym tonem

- Ale ja nie chcę rozmawiać z tobą. Zwłaszcza na temat Boga i przebaczenia.

Kleryk uśmiecha się przelotnie, a potem dalej łapczywie pochłania zupę.

- Mogę to zrozumieć. Ale nie martw się, nie zależy mi specjalnie na rozmowie z tobą na ten temat.

Chciałem ci tylko zaproponować wymianę. Ty otrzymasz podstawowy kurs teologii, a ja część twojego

doświadczenia.

Marie czuje klucie w plecach, ale spokojnie składa ręce na kolanach.

- Doświadczenia

Kleryk wypija duży łyk wina, ale nie odpowiada od razu.

- Chcę wiedzieć, jakie to uczucie - mówi. - Chcę wiedzieć, jakie to uczucie zabić drugiego człowieka.

Serce wali, zrywam się z łóżka, po omacku szukam oparcia dla rąk. Mrugam oczami w ciemności.

Gdzie ja jestem

Nagle widzę żółte światła na autostradzie za oknem i przypominam sobie. Jestem Mary, a nie Marie.

Jestem w motelu pod Norrköping. Opadam na łóżko i zapalam lampę, obejmuję się ramionami,

kołyszę lekko, jakbym chciała się pocieszyć.

Ale nie tylko ja potrzebuję pociechy. Marie też jej trzeba.

Kleryk nareszcie skończył jeść, odsunął się nieco z krzesłem od stołu i założył nogę na nogę. Ze

zmarszczonym czołem patrzy w kierunku drzwi. Wygląda, jakby na kogoś czekał, ale oczywiście nie

ma na kogo czekać. Myśli. Czeka na swoje własne słowa.

- Chodzi o rolę - mówi w końcu. - Małą, ale ważną. W przyszłym tygodniu mam próbne zdjęcia.

Odwraca się w stronę Marie, która siedzi milcząca i blada po drugiej stronie stołu. Palcami prawej

ręki zbiera okruchy z blatu. Kleryk odchrząkuje, nagle wygląda na pełnego pokory.

- Nie jest za późno. Nie musi być za późno.

Głos Marie jest tylko szeptem.

- Na co

- Na wszystko. Żeby zrobić coś dobrego. Zagrać dobrą rolę, która doprowadzi do kolejnych dobrych ról.

Kleryk wyciąga rękę po wino, napelnia pusty kieliszek. Marie podąża wzrokiem za jego ruchami.

- O mordercach nie wiem prawie nic - dodaje Kleryk. - Tylko tyle, co z telewizji. Ale chciałbym,

żeby morderca w tym filmie był prawdziwym człowiekiem. Jak ty. Chciałbym wiedzieć, co dzieje się w

tym człowieku właśnie w tej sekundzie, kiedy decyduje się zabić.

Marie mruga. Żal wystrzela w niej jak gejzer, wymiata wszystko, myśli i uczucia, krew i wnętrzności. Nie może oddychać, nie ma dla niej miejsca we własnym ciele. Kleryk wypija łyk wina,

przygląda się Marie. Jej szczupła twarz jest teraz naga. - O Boże - mówi. - Ty płaczesz

możliwa męka

Jest noc. W domu na drugim brzegu śpi Maud. Śni jej się pewne popołudnie dawno temu, ciepłe

popołudnie, kiedy jaskółki niby nuty obsiadły przewody telefoniczne. Obok niej leży Magnus i

wpatruje się w ciemność. Niepokój nie pozwala mu zasnąć, wpełza pod skórę, swędzi w dłonie,

przykleja język do podniebienia. Niepokój ma imię i twarz.

Anastasia.

Minęły już trzy dni, ale na kolumnach poświęconych kulturze nie napisano jeszcze słowa o jej

samobójstwie. Magnus obserwował, jak jej śmierć ześlizguje się z najlepszego miejsca dla newsów w

gazetach codziennych oraz niemal całych wydań popołudniówek w schowane gdzieś pojedyncze

szpalty i notatki. Ale na kolumnach kulturalnych trwa milczenie. Wie o tym na pewno, czytał bardzo

uważnie. Szpalta po szpalcie. Artykuł za artykułem. Kilka razy wydawało mu się już, że znalazł ukrytą

informację, wzmiankę lub insynuację, ale kiedy przeczytał materiał jeszcze raz, musiał przyznać, że to

nie to. To nie na jego temat.

Nie da się dłużej tego znieść. Wyczekuje pierwszego otwartego ataku, napaści, na którą sam mógłby odpowiedzieć napaścią, tęskni, żeby móc polemizować i walczyć, żeby jeszcze raz przedstawić

swoje motywy i usprawiedliwić słuszność zamysłu. Nie zna sposobu na obronę przed milczeniem. Ta

cisza go zniszczy.

Nagle Magnus siada na łóżku. MaryMarie też była w Hinseberg. A teraz jest po drugiej stronie

jeziora. Będzie go oskarżała.

Gdzie jest gruby sweter

Kilka minut później Magnus stoi w swojej łódce i mocuje się z liną. Oczy przyzwyczyły się już do

ciemności, widzi, ale nie dość dobrze, żeby móc rozwiązać mocno zaciśnięty węzeł.

Potrzebuje noża,

sznur trzeba przeciąć.

Wyskakuje na pomost, wciska ręce do kieszeni i biegnie do swojej pracowni. Jest zimno, powinien

był wziąć rękawiczki, ale nie chce wracać do domu. Pieprzyć to, jeśli tylko uda mu się uwolnić łódkę,

jakoś da się chyba wytrzymać.

Drzwi nie chcą się otworzyć, musi je pchnąć udem, żeby wejść do środka tego, co kiedyś było

stodołą, a teraz stało się jego pracownią. Światłówki migoczą chwilę, zanim się zapalą, i Magnus

odruchowo zamyka oczy, żeby nie dać się oślepić. Kiedy znowu je otwiera, myśli, że widzi całe swoje

życie. Daleko w rogu sterta śmieci; to porzucone próby eksperymentatorskie. Stary ruchomy anioł

pod sufitem, którego zrobił trzydzieści lat temu. I najnowsze dzieło jeszcze nieskończone płótno w

gigantycznym formacie, oparte o ścianę. Tytuł roboczy Umierająca dziwka. Przedstawiona z

zaangażowaniem emocjonalnym i empatią. Wbrew tytułowi. Chętnie zwróciłby na to uwagę, jeśli nie

komuś innemu, to sobie.

A nóż Gdzie jest nóż

Tam. Na dużym stole.

Magnus tnie linę, szarpie, ciągnie, próbuje piłować, ale wszystko na nic. Nóż jest zbyt tępy.
Wiatr

coś szepcze, bardzo słaby wiatr, przelotny podmuch wśród drzew na brzegu, ale i tak udaje
mu się

prześlizgnąć pomiędzy oczkami swetra i pogłodzić Magnusa po plecach. Przechodzi go
dreszcz;

mężczyzna zaczyna się wahać.

Co on wyrabia Zaczyna wariować

Wypuszcza nóż i w tej samej chwili słyszy ciche pluśnięcie, kiedy nóż wpada do wody. Przez
kilka

sekund Magnus stoi bez ruchu, a potem opada na ławkę w łódce. No tak. Po ptakach. Bez
noża nie

jest w stanie uwolnić łódki. Bez łódki nie przepłynie jeziora. Nie przepłynąwszy jeziora, nie
może

wykrzyknąć swojej obrony przed MaryMarie. Może to dobrze. Cały pomysł nie ma przecież
sensu.

MaryMarie nie może jego, Magnusa, wyzwolić. Nikt nie może tego zrobić.

Po niebie suną szare chmury, gwiazdy gasną jedna po drugiej. Magnus siedzi przez chwilę
bez

ruchu, skulony i zmęczony, wpatrzony w swoje własne gumowce. Nie słyszy, że na górze w
domu

zamykają się drzwi i że ktoś schodzi w dół ścieżką, nie podnosi oczu, dopóki Maud nie
wejdzie na

pomost. Narzuciła na koszulę nocną pikowaną kurtkę, a gołe stopy wsunęła w tenisówki. Stoi,
obejmując się ramionami, i mu się przygląda. Magnus siedzi przez chwilę w milczeniu, a
potem nagle

wstaje i uderza pięścią w pomost tak mocno, że spróchniałe drewno dygocze.

- Pieprzę to, co powiesz! - wrzeszczy. - To nie moja wina!

Ale Maud nic nie mówi.

rozwiązanie

Nie mogłam przestać płakać. Stało się to, o czym zawsze wiedziałam, że się stanie kiedy już

zaczęłam, nie mogłam przestać. Wydaje mi się, że Kleryk przez chwilę jeszcze siedział, mamrotał

jakieś przeprosiny i próbował mnie pocieszać, ale go nie słyszałam. Płakałam. Potem sobie poszedł.

Nic mnie to nie obchodziło. Dalej płakałam, ale wstałam i płacząc, chodziłam po domu, waliłam

pięściami w ściany i drzwi, kopałam krzesła i stoły, przyciskałam do oczu haftowane poduszki Renate i

smarkałam w nie, aż płacz nagle ustał i zobaczyłam, że znajduję się w opustoszałym salonie. Bolało

mnie gardło. Piekły oczy. Przyciskałam do piersi poduszkę z czerwono-szarym haftem petit-points.

Otworzyłam ramiona i poduszka upadła na podłogę.

Później wyszłam na dwór, była noc. Zapomniałam o zmywaniu. Kiedy przypomniałam sobie, co

myślałam na ten temat wcześniej w ciągu dnia, głośno się roześmiałam.

Jestem zgubiona. Teraz już naprawdę jestem zgubiona.

Teraz już nie będę płakać. Nigdy więcej.

Nie mam prawa do płaczu. Nie mam prawa do żałoby. Nie mam i nie miałam przez te siedem lat.

Nigdy nie będę miała. Pytanie, czy w ogóle kiedykolwiek będę mogła z powrotem wejść do tego

domu, który jest tak pełen płaczu. Będę siedziała na brzegu i marzła. Wszystko jedno.

Czas przestał istnieć. Zniknęło siedem lat. Wszystko, co się kiedyś wydarzyło i co mogło się stać,

dzieje się teraz jednocześnie i na zawsze.

Święta Łucja. Najciemniejszy dzień w roku.

Właśnie dlatego wszędzie było pełno światła. Elektryczne świeczniki w każdym oknie.
Zapalone

świece na każdym stoliku w szpitalnej kawiarni. Dziewczyna w kasie miała na sobie białą
koszulkę i

koronę Łucji z gałązek żurawiny i czerwonych wstążek. W jednym ze światełek w koronie
szwankował

styk, za każdym razem, kiedy wyciągała rękę po pieniądze, ża- róweczka migiała.

Przy jednym ze stolików w kawiarni siedziała kobieta, przeciętnej urody blondynka; powoli
kruszyła na kawałki szafranową bułeczkę na talerzyku przed sobą. Na stole stała też filiżanka
kawy,

ale kobieta jej nie ruszała, siedziała sztywna i wyprostowana, rozdrabniając bułkę na coraz
mniejsze

kawałki, podczas gdy jej twarz wykrzywił grymas. Płakała, ale cicho, bez szlochów i łez.

Starsza kobieta przy stoliku obok podniosła się nagle i wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć
tej

młodszej i pocieszyć ją, ale niespodziewanie zatrzymała gest w pół drogi i opadła z powrotem
na

krzesło.

Trzy piętra wyżej pewien mężczyzna siedział przy łóżku innego chorego mężczyzny, rozpiął
płaszcz,

ale go nie zdjął. Był bardzo elegancko ubrany. Za nim stała równie elegancko ubrana kobieta,
która

tak mocno zacisnęła dłonie na oparciu krzesła, że aż zbieleły jej knykcie. Brązowe oczy
spoglądały to

na łóżko, to na respirator, to na nieprzytomnego mężczyznę i stojącą obok niego kroplówkę.

Po drugiej stronie łóżka siedziała siostra nieprzytomnego mężczyzny, była bardzo blada i
przez

cały czas gładziła go po ramieniu. Jej własny mąż siedział w rogu pokoju, w fotelu dla
odwiedzających,

założył nogę na nogę i przycisnął do siebie dłonie w geście Łucji. Włożył brązowe buty z
czarnymi

sznurówkami.

Nagle w drzwiach stanęła Jennifer. Miała na sobie szpitalną niebieską tunikę w paski, a we włosach świecący wianek.

- Już czas - powiedziała.

Kobieta o brązowych oczach odwróciła się do niej. Nadal miała ściśnięte ręce.

- Na co

- Zostanie przeniesiony na zwykły oddział.

- Ale... - zaczęła siostra.

- To dobra wiadomość - powiedziała Jennifer. - Jego stan się nareszcie ustabilizował.

Na prześcieradle w paski położyła teczkę z historią choroby, przystanęła na chwilę i popatrzyła na

nieprzytomnego mężczyznę.

- Gdzie jest jego żona

Najpierw nikt nie odpowiedział, tylko na siebie popatrzyli.

- W kawiarni - odpowiedział mężczyzna w płaszczu. - Zabraliśmy ją na dół, żeby mogła coś zjeść.

Jennifer skinęła głową.

- Dobrze. Trochę się o nią niepokoiiliśmy.

- Dlaczego

Błada siostra Jennifer zawahała się.

- Nie je i nie śpi. Nigdy nie jeździ do domu, nawet po to, żeby się umyć i zmienić ubranie. No i

jeszcze ta historia z mówieniem...

Kobieta o brązowych oczach kiwnęła głową.

- Pomożemy jej.

- Dobrze. O, już idą chłopcy.

W drzwiach stało trzech młodych mężczyzn.

- Zawieźcie pana do neurologa - poleciła Jennifer. - Z kroplówką i respiratorem.

Młody mężczyzna chwycił za zagłówek łóżka i popchnął je, drugi zaczął toczyć respirator, a trzeci

trzymał stojak na kroplówkę. Łóżko wyjechało na korytarz.

W drzwiach stali Maud i Magnus, Anna i Per i patrzyli, jakby wahając się, czy iść za tamtymi. Maud

trzymała w ramionach małą torbę - były w niej rzeczy Sverkera. Wcześniej w ciągu dnia otworzyła

torbkę MaryMarie i wyłowiła z niej klucz do domu w Bromma, a potem wsiadła do taksówki i

pojechała na miejsce. Nikogo tam nie było od czasu, gdy to się stało, skrzynka na listy niemal kipiała,

a dom śmierdział stęchlizną. Maud wyjęła pocztę, wyrzuciła śmieci, a potem spakowała szlafrok w

paski i czarną kosmetyczkę, na wierzchu zaś torby położyła świeżo wydaną książkę. Oczywiście

wiedziała, że Sverker ani nie potrzebuje, ani nie może używać żadnej z rzeczy, które zapakowała, ale

było jej wszystko jedno. Chciała, żeby miał tę torbę.

Anna wsiadła w inną windę niż reszta i zjechała na dół, kiedy Per, Maud i Magnus pojechali do

góry, na nowy oddział. Chciała pójść do kawiarni. MaryMarie nadal siedziała przy stoliku i krzywiła

twarz, płacząc bez łez. Wokół niej na stole leżały okruchy, które przed chwilą były szafranową

buleczką, jej palce zbierały je, ale ona tego nie widziała, wpatrywała się przed siebie. Anna opadła na

krzesło naprzeciw niej. Westchnęła.

- MaryMarie. Tak nie można.

MaryMarie kiwnęła głową. To prawda. Tak nie można.

W zupełnie innym czasie promyk słońca wpada przez okno i budzi Mary. Ona rozchyła nieco

powieki i przez chwilę rozkoszuje się senną utratą pamięci, potem je otwiera na dobre i rozgląda się

dookoła. Pokój motelowy. Dość paskudny.

Teraz powraca pamięć. Zostawiła Sverkera. Jest w drodze dokądś.

Siada na łóżku i zdumiona wpatruje się w budzik na nocnym stoliku. Naprawdę spała dwanaście

godzin

Tak. Już niedługo będzie popołudnie.

Nie. Jest noc.

Po ciemnym niebie suną jasne chmury. Dziwnie to wygląda. Jak negatyw. Przyszedł autentyczny

przymrozek, trzeszczy w domu za mną i powoli lukruje drzewa. Kiedy wyciągam rękę, czuję, że mróz

jak cieniutka błona osadził się na każdym źdźble trawy, błona, która rozpuszcza się pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, kiedy ją chwytam - po to, by natychmiast powrócić na swoje

miejsce, kiedy rozluźniam uścisk.

Na drugim brzegu miga małe światełko. Wstaję i podchodzę do pomostu, spoglądam w ciemność,

żeby zobaczyć, co to. Nie widzę.

Chłód wpełza mi pod skórę, w mięśnie, aż do kości.

MaryMarie zaczęła szczękać zębami, skóra na jej ramionach ścierpła, ręce zrobiły się lodowate.

Marzła, chociaż w kawiarni było ciepło.

- Tak nie można - powtórzyła Anna. - Musisz jechać do domu.

MaryMarie potrząsnęła głową. Nie mogła mówić, była w stanie powiedzieć tylko jedno słowo, a

tego wymawiać nie chciała.

- Tak - ciągnęła Anna. - Musisz odpocząć. Musisz coś zjeść. I musisz... - Na chwilę przerwała,

nabierając odwagi, żeby powiedzieć coś nieprzyjemnego. - ...naprawdę musisz się wykapać i umyć

zęby.

Wstała.

- Powiem tylko reszcie. Potem bierzemy taksówkę.

- Co się dzieje - spytała Sissela.

Anna i MaryMarie wyglądały na zaskoczone. Nie usłyszały ani nie zauważyły, że przyszła.

- Gdzie byłaś - spytała Anna. - Dzwoniliśmy i dzwoniliśmy.

- W Paryżu - odpowiedziała Sissela. - Ale przyjechałam, jak tylko odsłuchałam wiadomości na

sekretarce. Co się stało

- Albatros - powiedziała MaryMarie.

- Co - spytała Sissela.

- Coś strasznego - odparła Anna.

Siedzę w kucki nad brzegiem i gładzę ręką swój kajak, sprawdzając kadłub, potem go odwracam i

wkładam rękę aż po łokieć do kokpitu. Leży w nim wiosło. Dokładnie tak jak trzeba.

To dobry kajak. Zgrabny i mocny, biały i piękny Jak albatros.

Dostałam go od Sverkera, kiedyś, dawno temu. To prezent.

Mary stoi w recepcji z kartą kredytową w dłoni, trochę zawstydzona, że zasnęła. W zasadzie, powiedziała przed chwilą recepcjonistka, powinna zapłacić za dwie doby. Pokoje należy opuszczać do

godziny dwunastej. Mary odpowiedziała jedynie przepaszającym pomrukiem, a recepcjonistka

rozpoczęła negocjacje z samą sobą. No tak, mogłaby ostatecznie pozwolić, by życzliwość wzięła górę

nad przepisami, ale...

- Dziękuję - mówi Mary.

- Niech będzie - zgadza się zrezygnowana recepcjonistka.

Na blacie leżą dzisiejsze gazety. Żadna z kobiet na nie nie patrzy.

W szpitalnej kawiarni zapanowała niezgoda.

- Zabiorę ją do siebie - zaproponowała Sissela.

Anna westchnęła.

- Ale przecież widzisz, jak ona wygląda, na pewno nie kąpała się ani nie myła zębów, odkąd to się

stało. Powinna jechać do domu. Wejść w normalną rutynę.

- Tak, ale ona tego nie chce. Może wziąć prysznic u mnie. Potem przywiozę ją z powrotem, jeśli

będzie chciała.

Kawałek dalej otworzyły się drzwi windy. Wyszli z niej Per, Maud i Magnus.

- Jedziemy do mnie wszyscy - zarządziła Sissela. - Po drodze kupimy pizzę.

Maud wyglądała na zdeglustowaną.

- Pizzę

Sissela kiwnęła głową.

- Pizzę. I zadzwonimy po Torstena.

I tak Klub Bilardowy Przyszłość - albo przynajmniej jego pozostała część - jeszcze raz zasiadł wokół

stołu i zabrał się do pizzy. Minęło dwadzieścia pięć lat, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Czas

przestał istnieć, przyszłość i przeszłość stopiły się ze sobą. MaryMarie usiadła do stołu ubrana w biały

szlafrok Sisseli, była świeżo wykąpana, czysta, przesuwiała językiem po gładkich zębach, jakby to było

jakieś nowe i zaskakujące przeżycie.

- Albatros - powiedziała.

Maud rzuciła jej wrogie spojrzenie.

- Czy nie mogłabyś już z tym przestać Skoro nie masz nic do powiedzenia, mogłabyś siedzieć cicho.

- Szsz! - syknął Per. - Ostrożnie. Teraz wszyscy musimy być ostrożni!

- Ale ja straciłam brata - powiedziała Maud.

- Nie - odparła Sissela. — Nie straciłaś go. On żyje.

Maud pociągnęła nosem.

- Tak, i jest całkowicie sparaliżowany. Nic nie będzie już takie jak przedtem.

Tym razem nikt nie zaprotestował.

Po jedzeniu MaryMarie musi odpocząć. Co do tego wszyscy byli zgodni.

Położyła się na łóżku Sisseli. To także było nowe i niezwykle osobliwe doświadczenie. Nie mogła

spać przez kilka dób, ale teraz starczyło, że położyła głowę na czerwonej narzucie i oczy same się

zamknęły. Sissela przykryła ją kocem. Za ścianą, w salonie, siedziała reszta członków Klubu

Bilardowego Przyszłość, rozmawiali ściszymi głosami. MaryMarie słyszała tylko fragmenty tego, co

mówili

- ...fantastyczne wyniki badań...

- ...i w każdym razie dobre życie...

- ...trzeba pomóc...

- ...potraktować poważnie ten kryzys...

Potem zasnęła.

Mary za szybko jedzie. Dużo szybciej, niż powinna.

Minęła już Linköping. Zaraz dojedzie do Mjölby. Sama nie wie, czemu nagle tak się jej śpieszy.

Nie chodzi tylko o tę krótką informację pod koniec wiadomości w radiu; była w nim mowa o uporczywych plotkach, które sprawiły, że minister do spraw pomocy rozwojowej nagle podała się do

dymisji. Premier odmówił komentarzy, ale wiarygodne źródła podają, że...

Caroline jest wiarygodnym źródłem. Jedynym możliwym.

Mary mocniej przyciska pedał gazu, usiłując wyprzeć zarówno terażniejszość, jak i przeszłość,

próbując uciec od wspomnienia tamtej kobiety, która kiedyś spała pod kocem w sypialni Sisseli,

podczas gdy w salonie siedział Klub Bilardowy Przyszłość, prowadząc rozmowy ściszymi głosami.

Ja też nie chcę jej pamiętać. Była dziwna, nie potrafiła rozsądnie myśleć, przeinaczała wszystko, co

dobre i prawdziwe, przewracała rzeczywistość do góry nogami. Śniła na jawie. Nigdy nie chciałam być

kimś takim i nigdy tego nie wybrałam.

A mimo to nie możemy się jej pozbyć. Upiera się, żeby być.

Po obudzeniu MaryMarie przez chwilę leżała bez ruchu, nadal trzymała ręce pod policzkiem i próbowała sobie przypomnieć. Coś się stało Ale co

Potem sobie przypomniała.

Odrzuciła koc, usiadła i przetarła rękami twarz. W ciemności zamigotało światełko, musiała kilka

razy zamrunąć, zanim zrozumiała, co to. Dziurka od klucza. Na zewnątrz w korytarzu paliło się światło.

Sissela na pewno nie śpi.

MaryMarie wstała, przez chwilę stała, kołysząc się na piętach, kusiło ją, żeby znowu położyć się do

łóżka i zasnąć, ale jednocześnie wiedziała, że nie może tego zrobić. Musi wracać do Sverkera.

Klub Bilardowy Przyszłość nadal siedział w salonie Sisseli. Anna - na sofie, w pozycji półleżącej, z

głową na ramieniu Pera, Maud oparła głowę na rękach, Torsten siedział w fotelu, wpatrując się

pustym wzrokiem przed siebie, Magnus odwrócił się do nich plecami i wyglądał przez okno. Na stole

stały filiżanki z kawą i do połowy wypite kieliszki z winem. Sissela właśnie wyszła z kuchni; z

uśmiechem położyła rękę na ramieniu MaryMarie.

- Lepiej się czujesz

MaryMarie kiwnęła głową.

- Chcesz kawy

MaryMarie znowu przytaknęła. Tak, dziękuję. Chętnie napiję się kawy.

- Uprałam ci ubrania. Suszą się w suszarce.

MaryMarie uśmiechnęła się. Jak dobrze. Dziękuję.

W rzeczywistości niektóre marzenia się spełniają...

Kajak ześlizguje się na wodę. Ustawia się jak należy, tuż przy pomoście. Teraz trzeba tylko wsiąść

tak, żeby się nie przewrócił. Jeśli się zamoczę, będę musiała znowu wejść do domu, a tego nie chcę.

Nigdy więcej.

Czuję czubek języka na dolnej wardze, to mój ster, pomaga zachować równowagę, kiedy powoli

przestępuję przez brzeg pomostu i wślizguję do kokpitu.

Och! Na miejscu. Sucha i na miejscu w swoim własnym kajaku. Mocno ściskam wiosło.

Uśmiecham się, nagle niemal wzruszona z wdzięczności do łez. Jest noc, a ja będę wiosłowała po

jeziorze Hasterum.

Śnieg O tej porze roku

Mary włącza wycieraczki i rzuca szybkie spojrzenie w bok, dopiero teraz zauważa, że minęła już

Granna. Woda jeziora Granna jest szara jak skały i skalne podłoże, szara jak żelazo i ołów. Zaczyna już

zmierzchać. Śnieg nad wodą to tylko mgiełka.

Niedługo będzie w Jónkóping. Zatrzyma się tam na zakupy, a potem skręci na drogę do Nassjó i

Hasterum.

Klub Bilardowy Przyszłość w milczeniu obserwował MaryMarie pijącą swoją filiżankę kawy i

jedzącą kanapkę. Usiłowała się do nich uśmiechnąć, ale niezbyt dobrze to wychodziło, jakieś drgnięcie w kąciку ust. Kiedy już zjadła, ostrożnie strzepała z szlafroka okruszki, zmarszczyła czoło w

stronę Sisseli i pokazała na zegarek.

- Chcesz wiedzieć, która godzina - spytała Sissela.

MaryMarie potrząsnęła głową, dwoma palcami przespacerowała po dłoni.

- Chcesz iść

MaryMarie kiwnęła głową. Torsten pochylił się do przodu i spojrzał na nią.

- Do domu czy z powrotem do szpitala

MaryMarie pokazała palcem ponad ramieniem.

Torsten uniósł brwi.

- Do szpitala

MaryMarie kiwnęła głową. Głos Maud był zachrypły i oskarżający.

- Nie może jechać do szpitala. Nie o tej porze.

Siedziała wyprostowana w fotelu. Magnus przysiadł obok niej na oparciu.

- Nie wydaje wam się, że ona potrzebuje opieki lekarskiej

Sissela przeszyla go wzrokiem.

- Ona i ona... Przecież jej słuch jest w porządku. Prawda, MaryMarie

MaryMarie skinęła głową. Maud poddała się, zanim jeszcze rozpoczęła walkę, i z powrotem opadła na fotel.

- Może moglibyśmy się zmieniać. Jeśli ona będzie siedziała u Sverkera w nocy, to ja mogłabym

przyjść jutro rano. Umieram ze zmęczenia.

Magnus objął ją za ramiona i pokiwał głową.

- Pojedziemy do Bromma i tam się prześpiemy, jutro rano przyjedziemy do szpitala.

Utkwił wzrok w MaryMarie.

- Wtedy ty możesz pojechać na parę godzin do domu. Dobrze

MaryMarie kiwnęła głową. Nie do końca zrozumiała, co powiedział, ale i tak przytaknęła.

Mary parkuje samochód przed dużym marketem i biegnie do wejścia. Torba na ramię uderza ją w

udo.

Zastanówmy się. Czego potrzebuje Jedzenia na kilka dni. Kawy i herbaty. Mydła. I latarki, tak jak

Marie. Na baterie.

Nie zwraca uwagi na ceny, wędruje między półkami zdecydowanym, pewnym krokiem, nawet nie

zauważa, że jakiś młody mężczyzna idzie za nią, najpierw w odległości kilku metrów, potem coraz

bliżej. Kiedy ona wyciąga rękę po paczkę kawy, mężczyzna wypowiada jej imię i nazwisko

- Mary Sundin

Odwraca głowę i w tej samej chwili uświadamia sobie, że to błąd. Nie zna tego młodego mężczyzny. Ale zna ten typ.

- Witam - mówi mężczyzna z uśmiechem. - Tak myślałem, że to pani. Nie spotkaliśmy się wcześniej, nazywam się Mattias Svensson. Pracuję w Radiu Jónkóping. Czy mogłaby pani skomentować pogłoski o pani dymisji

Mary patrzy na niego przez chwilę, widzi w jego wzroku nadzieję, marzenia o supernewsie na wyłączność, czeka na panikę we własnej piersi i odruch ucieczki. Nie nadchodzi. Mary widzi natomiast

siebie samą, jak jeszcze raz wyciąga rękę po paczkę mielonej kawy i wkłada ją do wózka.

- Nie - odpowiada. - Naprawdę bym nie mogła.

Potem bardzo spokojnie idzie do kasy i ustawia się w kolejce.

Torsten i Sissela stali z dwóch stron obok niej w windzie, nie patrzyli na nią, tylko na jej odbicie w

lustrze. Torsten dotknął jej ramienia.

- Jesteś pewna, że dasz radę MaryMarie kiwnęła głową.

- I że naprawdę chcesz

To był głos Sisseli. MaryMarie znowu kiwnęła głową. Winda zatrzymała się.

W korytarzu paliło się przytłumione światło. Nocna pielęgniarka siedziała w swojej dyżurce i gryzła

długopis, pochylając się nad jakimiś papierami, nie podniosła oczu, dopóki Sissela nie chrząknęła.

- Sverker Sundin.

- Tak

- To jego żona. Chciałaby zostać na noc. Nocna pielęgniarka odsunęła z czoła kosmyk włosów.

- Leży w trójce.

Torsten zerknął na MaryMarie.

- Jest w pokoju sam Pielęgniarka kiwnęła głową.

- Na razie tak.

Przeniosła wzrok na MaryMarie. Zmarszczyła czoło.

- Czy pani dobrze się czuje

- Dobrze - odparła Sissela. - Jest tylko trochę zszokowana wypadkiem męża.

- Okej - odparła pielęgniarka. - Mam dziś dwa oddziały, więc będzie dobrze, jeśli ktoś u niego posiedzi.

Sissela uśmiechnęła się.

- Czyli trójka

- Tak jest - odparła pielęgniarka.

Śnieg Tak wcześnie

Odkładam wiosło na bok i wyciągam do góry otwartą dłoń. Tak. Pada śnieg. Duże i miękkie płatki

muskają tylko powierzchnię wody, a potem rozpuszczają się i przechodzą z jednej rzeczywistości do

innej.

Oczy przyzwyczały się do ciemności, a śnieg sprawia, że łatwiej widzieć. Na ziemi nie rozpuszcza

się od razu, rysuje białe kontury na kamieniach i wysepkach, sprawia, że pierzaste sitowie wynurza

się z ciemności i staje się widoczne.

Jest bardzo cicho. Jestem sama. Świat stał się nareszcie bezpiecznym miejscem.

MaryMarie rozejrzała się. Dwa łóżka. Jedno zajęte, drugie świeżo zaścielone, oczekujące. Na nocnym stoliku metalowy wazon z dwudziestoma różami, niektóre z nich zaczęły już więdnąć. Na

ziemi - otwarta do połowy torba, rozpoznała, że to jej własna, ta z brązowej skóry, którą kupiła kiedyś

w hotelowym sklepiku w Montevideo. W środku mignął szlafrok Sverkera. Dalej przy oknie stał fotel i

mały stolik, a obok łóżka - kropłówka i respirator. Był zupełnie cichy, jedynie zielona lampka wskazywała na to, że pracuje. Za maską tlenową - Sverker. Błady, z zamkniętymi oczami. Jego klatka

piersiowa unosiła się powoli, a potem znowu opuszczała, unosiła i opuszczała...

Sissela pomogła MaryMarie położyć się na wolnym łóżku i okryła ją kocem. Torsten zapalił lampkę

przy łóżku.

- Dasz sobie teraz radę

MaryMarie kiwnęła głową. Torsten pochylił się do przodu i musnął ją ustami w policzek, Sissela

ścisnęła jej rękę. Zatrzymała się w drzwiach, spojrzała przez ramię i lekko się uśmiechnęła na

pożegnanie.

Nareszcie byli sami. Sverker i MaryMarie.

Mary stoi w kolejce do kasy w supermarkecie i rozgląda się dookoła. To nieostrożne. Obraz trafia

ją najpierw w dołek. Odczucie wyprzedza myśl, Mary patrzy i wie, co widzi, ale mimo to mija kilka

sekund, nim dotrze to do jej świadomości.

Na pierwszej stronie „Expressen” krzyczy Sverker. Ma groteskowo wykrzywioną twarz i obłąkane,

wytrzeszczone oczy. Na mniejszej fotografii widać skuloną kobietę o poczochranych włosach, kobietę,

która siedzi na podłodze i zakrywa głowę ramionami.

Mary mocniej ściska uchwyt wózka, nabiera powietrza i próbuje poważnie ze sobą porozmawiać.

To nic strasznego. Opublikowanie tych zdjęć to głupia, nierozsądna decyzja i ktoś z redakcyjnej

hierarchii na pewno usłyszy z tego powodu porządną reprimendę, ale jej samej to nie zaszkodzi.

Podawała się do dymisji i nie osiągną jej żadne konsekwencje, może być ponad i lekceważyć wszelkie

upokorzenia, będzie sobie mieszkała samotnie w miejscu, gdzie nie ma znaczenia, co się pisze czy

mówi...

Nie pomaga. Ręce wypuszczają wózek, Mary odpycha go na bok i wychodzi z kolejki, przeciska się

obok kasy i nagle jest już na parkingu.

Biegnie. Pada jeszcze gęstszy śnieg.

MaryMarie usiadła na łóżku. Zasnęła i coś jej się śniło Czy może dalej śni

Sverker leżał w tej samej pozycji jak wtedy, kiedy przyszła. Na wznak, z wyciągniętymi
wzdłuż ciała

rękami. Wpół otwarte dłonie. Zamknięte oczy. Książę z bajki czekający na pocałunek, który
pokona

czar.

Ten, którego kochałam, pomyślała.

Ten, którego obie kochałyśmy, odpowiedział głos w środku.

W odpowiedzi w milczeniu kiwnęła głową, nagle pocieszona tym, że może mówić, chociaż
nie

musi.

Mieliśmy wszystko, powiedziała potem. Absolutnie wszystko.

Nie, odpowiedział głos. Nie do końca wszystko.

Teraz wydaje mi się, że słyszę samochód Mary. To całkiem możliwe. Mary jedzie przez
pogrążony

w ciszy las. Czekam na nią na otwartej wodzie. Powinnam ją usłyszeć. Słyszę ją. Wjeżdża na
boczną

drogę, zmienia bieg i powoli wtacza się na parking. Wyłącza silnik i reflektory. Przez chwilę
siedzi bez

ruchu i wygląda przez przednią szybę, a potem otwiera drzwi i wychodzi.

Jest jej zimno. Jej też.

MaryMarie wstała i podeszła do okna, oparła czoło o chłodną szybę. Minęła chwila, nim

zauważyła, że zaczął padać śnieg. Ciemność w parku na zewnątrz była tylko ciemnością, ale
kawałek

dalej, pod latarniami wirował i padał śnieg; duże, puszyste płatki, które za chwilę pokryją cały
świat i

wyciszą każdy dźwięk.

Kochaliśmy się, powiedziała. Naprawdę się kochaliśmy

Przez chwilę stała bez ruchu, czekając na odpowiedź, ale żadna nie nadeszła. Poczwała
niepokój,

chodziła w kółko, objęta ramionami, próbowała argumentować i przekonywać.

Kochaliśmy się, powtórzyła. Nie umieliśmy tylko pokazać, że się kochamy. Oboje byliśmy poobijani, myśleliśmy, że każdy człowiek, który jest zbyt blisko, może nas zniszczyć, zawłaszczyć,

unicestwić. To dlatego sobie siebie wybraliśmy. Sverker od początku wiedział, że nigdy nie będę od

niego żądała wszystkiego, a ja wiedziałam to samo o nim. Nie mogliśmy nawet wszystkiego wymagać,

nie byliśmy do tego zdolni, i właśnie tej wzajemnej niemocy potrzebowaliśmy.

To nieprawda, powiedział głos w środku.

To prawda.

To niecała prawda. Wiesz o tym.

Mary zachowuje się dość osobliwie.

Ostrożnie stąpa po śniegu, potem zatrzymuje się i uważnie przygląda swoim śladom, potem znowu drepcze i w skupieniu patrzy, jak jeden ślad niemal przykrywa drugi. Za nią stoi samochód z

otwartymi drzwiami, lampka w środku jest zapalona. Wsiądzie akumulator. Powinna zamknąć drzwi.

Jednak tego nie robi. Idzie na brzeg i przykuca, prawą ręką gładzi biały kadłub kajaka, a potem

odwraca go i po omacku szuka w kokpicie wiosła. Tu jest. Na miejscu.

Kajak wyslizguje się na wodę. Ustawia się tuż przy pomoście, dokładnie jak trzeba.

MaryMarie oparła się o parapet w szpitalnym pokoju, o jego chłodny marmur. Na chwilę zamknęła oczy, próbując samą siebie przekonać, że jej tam nie ma, że nareszcie znalazła się w domu,

w swoim salonie w Bromma, że wszystko jest już jak zawsze, że nic się nie stało, że niedługo przyjdzie

ranek i zwykły dzień.

To nic nie pomoże, powiedział głos w niej. Nie możesz wyrzucić z głowy tego, co się stało.

Otworzyła oczy i rozejrzała dookoła. To prawda. To właśnie się stało. Sverker nadal leżał na szpitalnym łóżku, obok niego stała kroplówka i respirator.

MaryMarie podeszła do łóżka i uklękła przy nim, położyła głowę obok jego głowy i zaczęła mu się

przyglądać. Jest taki blady. Podniosła rękę, żeby go pogłaskać po policzku, ale nagle przemknęło jej

wspomnienie Małej Szarej i sprawiło, że się odchyliła i szybko wstała z kolan.

Spokojnie, powiedziała do siebie. Tylko spokojnie.

Głos w środku natychmiast odpowiedział.

Ale dlaczego Czemu miałyby być spokojna Czemu powinna go tłumaczyć i rozumieć

Próbuję jedynie być sprawiedliwa.

Pieprzenie. Po prostu jesteś tchórzem. Nie masz odwagi przyznać, że jesteś wściekła. Nie masz

odwagi przyznać, że nienawidzisz go, że nim gardzisz.

Sverker jest nieprzytomny. Sparaliżowany do końca życia.

Jest zdrajcą. Jest kłamcą, oszustem, zdrajcą. Poza tym jest chciwy.

Chciwy

Tak. Nigdy nie chciał dawać. Chciał tylko mieć. Wszystko. Wszystkich.

Mary siedzi na pomoście.

Teraz trzeba tylko wsiąść tak, żeby się nie przewrócił. I uważać, żeby się nie zamoczyć, bo będzie

musiała wrócić do samochodu, a tego nie chce. Nigdy więcej.

Wysuwa czubek języka, to jej ster, pomaga zachować równowagę, kiedy powoli przestępuje przez

brzeg pomostu i wślizguje się do kokpitu.

Och! Na miejscu. Sucha i na miejscu w kajaku. Mocno ściska wiosło.

Jest noc, i Mary będzie wiosłowała po jeziorze Hasterum.

W pokoju Sverkera było cicho. MaryMarie stała na środku, mrugając i usiłując przywołać się do

rozsądku i przekrzyknąć głos, który przed chwilą był tak pocieszający.

On mi coś dał! Zrobił to!

Parsknęła, zła na siebie.

Co Kajak Kilka złotych łańcuszków Dziesięć tysięcy kłamstw

To, czego było mi potrzeba.

A czego potrzebowałaś Potiomkinowskiej fasady, żeby się za nią schować Prawa do tego, by nie

żyć

Żyłam!

Mówię o prawdziwym życiu. Na dobre i na złe. W takim życiu nie siedzi się przy stole w kuchni i

nie milczy się, nie uśmiecha przymilnie, nie łyka się każdego pieprzonego kłamstwa.

MaryMarie objęła się ramionami.

Ty też siedziałaś przy tym stole!

Głos w środku niej wydawał się nagle zmęczony. Bardzo zmęczony.

Tak, powiedział. Ja też tam siedziałam.

Mijały minuty. Kropla płynu powoli nabrzmiała i poleciała w dół rurki. Klatka piersiowa Sverkera

uniosła się i opadła.

A teraz

Głos Mary był tylko szeptem. Marie westchnęła.

Nie wiem.

Kocham go.

Ja go nienawidzę.

Chcę, żeby żył. Nieważne, co będzie.

Chcę, żeby umarł. Nieważne, co będzie.

A jego śmierć co zmieni dla mnie Co się ze mną stanie

Będę wolna.

Nie. Wszystko, ale nie wolna.

Wolna od niego. Choć tyle.

Marie wyciągnęła rękę do respiratora, ale zawahała się. Pochyliła się tylko nad Sverkerem i delikatnie zdjęła mu maskę. Popatrzyła na niego. Miał blade, spieczone wargi, kilkudniowy zarost.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie dotknąć ustami jego ust, ale zdecydowała, że nie. Zaczęły mu

drgać powieki. Wargi zsiniały. Miał bardzo słaby odruch oddychania. Stan może się poprawić,

powiedzieli lekarze, ale to potrwa. Na razie potrzebuje respiratora.

Sama nie wiedziała, dlaczego z powrotem założyła mu maskę. Po prostu to zrobiła, a potem stała

bez ruchu obok łóżka, patrząc jak jego klatka piersiowa znowu zaczyna się unosić i opadać. Pozwoliła

mu na siedem oddechów. Potem chwyciła przewód i pociągnęła. Zielona lampka zgasła.

Nie umarł od razu. Minęło kilka minut, kilka długich jak wieczność minut duszenia się, kiedy tlen w

jego krwi powoli się rozpadał i przekształcał w dwutlenek węgla. Może w tym czasie zdążył odzyskać

świadomość, a może to tylko przedśmiertne skurcze sprawiły, że nagle otworzył oczy i wpatrzył się

przed siebie, patrzył, nie widząc.

Marie stała przy nim bez ruchu, patrząc, jak umiera, i w tej samej chwili wiedziała już, że nie chce,

żeby umarł, widziała siebie samą, jak się zmienia, i wiedziała, że nie chce się zmieniać, słyszała swój

własny niemy krzyk i płacz, ale i tak nie była w stanie podnieść ręki i z powrotem włożyć wtyczki do

gniazdka.

Jednocześnie głaskała Sverkera po czole i całowała w policzki, wzięła jego dłoń i włożyła między

swoje dłonie - nagle poczuła, że jego ręka jest bardzo zimna, i przestraszyła się, ale potem uspokoił ją

widok zielonej lampki respiratora.

Paliła się. Sverker oddychał.

Maszyna nadal pomagała mu oddychać.

A potem

MaryMarie skuliła się na dodatkowym łóżku i zgasła lampkę na stole, odwróciła się plecami do

łóżka Sverkera.

Stało się. A jednocześnie może się nie stało.

Nie miała odwagi się odwrócić i sprawdzić, czy zielona lampka naprawdę się pali. Nie miała też na

to ochoty. Była zbyt zmęczona, chciała tylko spać. Przez dni i tygodnie. Przez miesiące i lata. Chciała

spać, aż do tego dnia, kiedy czas zawróci i wszystko zacznie się od początku.

na jeziorze

Lubię wiosłować. Lubię ciche dźwięki, które powstają, gdy wiosło zanurza się w wodzie i znowu

podnosi, lubię uczucie nabierania rozpędu i perlisty odgłos z dziobu. A już najbardziej lubię wiosłować

nocą. Teraz to wiem. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, w każdym razie na jawie, tylko w marzeniach,

ale teraz już wiem, że niczego nie można porównać ze ślizganiem się po czarnej wodzie, z wtargnięciem głęboko w ciemność i ciszę pod ochroną ciężkiego nieba w górze.

Podoba mi się nawet śnieg i chłód. Śnieg sprawia, że świat robi się czysty. Chłód przypomina mi,

że naprawdę żyję. Poza tym mocuje moje ręce do wiosła, zmusza, żebym chwyciła je naprawdę

mocno i tak trzymała, sprawia, że zachowuję dobre tempo i wyostrzam wzrok. Przystaję być senna.

Tak. Po raz pierwszy od dawna nie jestem senna. Jestem w pełni sobą. MaryMarie.

Kiedy zawrócę do brzegu, pójdę do domu i naprawdę zmienię go w swój dom. Tylko mój. Owinę

ramiona kocem, zapalę w kominku i usiądę przy nim skulona, będę długo tak siedzieć i patrzeć w

ogień, i nie pomyślę nawet jednej myśli, nie będę marzyć ani fantazjować, nie będę wspominać ani

bać się przyszłości. Będę tylko siedzieć i się grzać.

Uśmiecham się do ciemności, już teraz czuję, jak będzie przyjemnie, niemal słyszę trzask drewna i

czuję, jak rozszerzają mi się naczynia krwionośne, jak krew nareszcie zaczyna krążyć w moim ciele, jak

wdziera się w każdy mięsień, i wszystko to, co było zmarznięte i twarde, nareszcie robi się miękkie i

ciepłe.

Ale jeszcze nie. Jeszcze nie teraz. Najpierw przepłynę jezioro Hasterum razem z moim albatrosem.

Las jest tylko kilka metrów stąd, teraz to widzę. Instynktownie trzymałam się blisko linii brzegu.

Drzemie ciemny i cichy, ani jeden liść nie spada z drzew, a wiatr nie buszuje w trzcinach, ale śnieg

nadal pada i pomaga mi widzieć. Wszystkie skały i wysepki mają białe kontury, będę je widziała z

daleka, nie muszę się bać zderzenia z nimi w ciemności ani tego, że się zgubię. Wręcz przeciwnie. Na

moim brzegu palą się światła, poprowadzą mnie z powrotem, kiedy będę chciała wracać do domu.

Obracam kajak dziobem na zachód, kieruję go w stronę drugiego brzegu. Przed chwilą zdawało mi

się, że widziałam tam jakieś światło, migoczące małe światełko, które żarzyło się i zgasło, ale teraz

jest zupełnie ciemno. Maud i Magnus na pewno śpią, nie zauważą białego kajaka, zbliżającego się do

ich brzegu, tego, że ktoś prześlizguje się obok w ciemnościach, by po raz ostatni popatrzeć na miejsce, gdzie tak wiele się wydarzyło.

Ostatni raz Wykrzywiam się w grymasie do siebie samej. Tego przecież nie wiem. Nie mogę wiedzieć.

Śnieg pada coraz mocniej. Zaczął wiać wiatr. Jest naprawdę zimny, tak zimny, że trudno utrzymać

zamaszystość ruchów, tak zimny, że trudno znaleźć tę miękkość, której potrzeba dla zachowania

równowagi. Może to dlatego, że jestem teraz na środku jeziora, tak mi się przynajmniej wydaje, nie

widzę dokładnie, chociaż nagle zrobiło się jaśniej. Niebo nie jest już czarne, raczej ciemnoszare,

choć dużo ciemniejsze niż w midsommarowe noce.

Teraz ich słyszę. Na długo, zanim zdołam ich zobaczyć, mogę ich słyszeć. Siedzą przy długim stole

na pomoście i śpiewają. Zamieram w bezruchu z uniesionym wiosłem. Co To nie Taube ani Bellman,

żadna z perełek szwedzkiego skarbcza piosenek, którymi Maud i Magnus zwykli zapełniać powielane

na ksero śpiewniki. To coś innego, melodia, która przez ponad dwadzieścia lat zawsze błąkała się

gdzieś w tle w moim domu. Niezbyt się nadaje do wspólnego śpiewania. Jednak to właśnie ją śpiewają. Przewodzi niski, męski głos, słyszę głęboki bas, górujący ponad innymi głosami; nie jest

szczególnie piękny ani melodyjny, ale za to przepelniony żarliwym uczuciem

One of sixteen vestal virgins who were leaving for the coast and although my eyes were open they

might just as well've been closed...

Zaczynam się śmiać i zanurzam wiosło w wodzie, próbuję znowu się rozpędzić. Sverker.
Zawsze

ten sam. A tam, gdzie jest Sverker, jest też Klub Bilardowy Przyszłość.

Czekają na mnie. Moi przyjaciele. I mężczyzna, którego kochałam.

wydanie I lipiec 2006 w serii z miotłą

Augusta, Alice i Angelica to przedstawicielki różnych pokoleń tej samej rodziny. Łączą je nie tylko

więzy krwi, lecz także wspólne losy - dwie z nich to matki nieślubnych dzieci, trzecia jest niechcianą

córką. Nieświadomie wszystkie popełniają błędy swoich poprzedniczek. Przekazywany z pokolenia na

pokolenie dom Augusty, w którym szukają schronienia, staje się świadkiem rozpacz, radości,

poszukiwania prawdziwego uczucia oraz walki o niezależność i samodzielność.

Majgull Axelsson barwnie opowiada zawikłane dzieje kobiet, oddaje bogactwo emocji, przeplata

brutalną rzeczywistość z magią

Polecamy książki Majgull Axelsson

I liryzmem. Dom Augusty to mądra powieść o miłości, tłumionych tęsknotach, przemijaniu i śmierci.

wydanie II kwiecień 2008 w serii z miotłą (wydanie I maj 2002 w serii Don Kichot i Sancho Pansa)

Według skandynawskich wierzeń ludowych „wiosenne czarownice potrafią wcielić się w inne istoty i

działać za ich pośrednictwem. Taką moc ma dotknięta porażeniem mózgowym Desiree. Matka nie

mogła jej wychowywać, choć wzięła pod opiekę trzy inne dziewczęta. Skazana na szpitalny żywot

bohaterka stopniowo uczy się porozumiewać z otoczeniem i wykorzystywać swoją nieprzeciętną

inteligencję. Pod koniec życia nawiązuje osobliwy kontakt z przybranymi siostrami, by zrozumieć swój

los i zarazem wpłynąć na ich życie. Niezwykle zdolności Desiree oraz skomplikowane historie jej matki

i siostr są tematem tej obszernej, wielowątkowej, ale przez cały czas trzymającej w napięciu, pasjonującej opowieści.

Czterdziestokilkuletnia Cecylia jest pracownikiem szwedzkiej ambasady na Filipinach.

Katastrofa -

wybuch wulkanu Pinatubo - zmienia gwałtownie jej życie i skłania do rozrachunku z przeszłością -

latami dzieciństwa i młodości w szwedzkim miasteczku, nieudanym małżeństwem, pracą

charytatywną w Indiach, śmiercią matki. Tłem tej doskonale skomponowanej, zaskakującej głębią

psychologiczną powieści jest skomplikowana sytuacja społeczna i polityczna Filipin oraz losy uwikłanych w nią ludzi.

wydanie II kwiecień 2008 w serii z miotłą (wydanie I pt. Daleko od Niflheimu październik 2003

w serii Don Kichot i Sancho Pansa)

Redakcja Elżbieta Rawska

Korekta Magdalena Stajewska, Anna Hegman

Redakcja techniczna Urszula Ziętek

Projekt graficzny serii Joanna Szachowska-Tarkowska Fotografia autorki © Ulla Montan

Wydawnictwo WA.B.

02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31

tel.fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie Komputerowe Usługi Poligraficzne

Piaseczno, Żółkiewskiego 7 A

Druk i oprawa Drukarnia Wydawnicza

im. W.L. Anczyca S.A., Kraków

ISBN 978-83-7414-407-0

1 Szwedzka noc świętojańska. Święto bardzo hucznie obchodzone w całej Szwecji (przyp. tłum.).

2 Popularna w Szwecji używka, sporządzana na bazie tytoniu (przyp. tłum.).

3 Elegancka dzielnica Sztokholmu (przyp. tłum.).

4 Przy szwedzkich kościołach bardzo często działają kółka krawieckie (przyp. tłum.).

